

M.J. ROSE

SCHEMAT

ZBRODNI

Tytuł oryginalny:
The Halo Effect

Przełożyła: Urszula Szczepańska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Najpierw zobaczyła stopy kobiety - tak białe, że przypominały stopy marmurowej figurki Najświętszej Marii Panny w złotej aureoli. Figurka ta stoi w kościele katolickim, do którego ona codziennie rano wpada na mszę przed udaniem się do pracy w hotelu wieżowcu przy Szóstej Alei. W tym kościele była na niedzielnej mszy zaledwie cztery godziny temu, tylko że z tych oto stóp sączy się ciemnoczerwona krew.

Celia Rodriguez patrzyła przed siebie nieruchomo, jeszcze nie pojmując. Przecież stopy Marii Panny nie krwawią. Stopy Chrystusa tak. Przebite na wylot, ociekają krwią.

W imię miłości Boga. Nie. Żadna tu miłość. Krew. Kałuże zakrzepłej nocą krwi.

To tylko fragmenty jej rozbieganych myśli, które usiłowały nadążyć za oczami. Nie była w stanie pojąć sensu tej sceny. Na razie. Zdawało się, że upłynęła wieczność, zanim cała ta makabra dotarła do jej świadomości, ale faktycznie od chwili, kiedy pokojówka weszła do pokoju, do momentu, w którym otworzyła usta, żeby krzyknąć - nadaremnie - minęła zaledwie jedna minuta.

Święta Matko Boża.

Potem Celia Rodriguez zauważyła jeszcze pięćdziesięciodolarowe banknoty, już nie zielone, lecz przesiąknięte ciemnobrązową ciecżą, dziesiątki tych banknotów. Okalały one głowę kobiety niczym aureola. A to, co w pierwszej chwili wzięła za koc, było obszerną czarną szatą podciągniętą do góry i odsłaniającą zgrabne gołe nogi. Nie, szata odsłaniała więcej. Została podciągnięta tak wysoko, że widać było kasztanową kępkę włosów między nogami. Nagie łono. Zbyt nagie. Więcej niż nagie.

Pięćdziesięcioletnia gospodyni domowa i matka trojga dzieci była przekonana, że ma jakieś zwidy.

Na wzgórku łonowym kobiety został wygolony pewien kształt. Znała ten kształt. Ale nim zdołała się na tym skupić, zobaczyła, że stamtąd również sączy się krew. Celia przesunęła wzrok z prawej strony na lewą, zauważając, że kobieta ma rozkrzyżowane ręce, jeszcze bardziej zbroczone krwią. Nie mogła w to wszystko uwierzyć. Zwłaszcza w kształt wygolonych włosów. Znała go - był wyryty w jej własnym sercu, a złoty przedmiot o tym kształcie wisiał na jej szyi. To był krzyż.

Dopiero teraz wszystko ułożyło się w całość: obszerny, powłóczysty strój to habit zakonnicy.

Celia padła na kolana i dotknęła rąbka szaty. Cofnęła rękę, która przybrała teraz szkarłatną barwę. Była zahipnotyzowana tą makabrą, która przywiodła jej na myśl kapliczkę w tylnej części kościoła. Matki Bożej Bolesnej.

Bezwiednie wróciła spojrzeniem do znaku w szorstkim owłosieniu. Dlaczego nie mogła przestać na to patrzeć? Na ten krzyż. Na to bluźnierstwo.

I nagle zobaczyła więcej, jakby tego było jeszcze mało. Spomiędzy nóg kobiety wypływało coś, co nie było po prostu krwią, lecz czymś żywym, jakby pełzającym. Nie, to był ociekający krwią różaniec. Kropla po kropli przesuwała się z paciorka na paciorek, po czym spływała po medaliku z Matką Boską na figurkę Chrystusa. To, co skapywało z tej figurki, wsiąkało w dywan. I tak cały czas. Cały czas. Krew Chrystusa. Krew tej biednej kobiety.

Celia otworzyła usta i próbowała krzyknąć, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Wezwała swojego Boga, lecz nie była pewna, czy choćby on ją usłyszał.

Minęło jakieś pół godziny, zanim wszczęła alarm. Zjawiała się ochrona hotelowa, a dziesięć minut później trzej umundurowani policjanci.

Ale dopiero po godzinie detektyw Noah Jordain z Wydziału Specjalnego zajmującego się przestępstwami na tle seksualnym odebrał telefon w dusznej i zatłoczonej restauracji w Chinatown, gdy kończąc miskę zupy ostro- kwaśnej, miał się zabrać do jedzenia krabów w sosie z czarnej fasoli.

Dzień później Jordain dowiedział się, że brutalnie zamordowana kobieta w żadnym razie nie była służebnicą Boga, zaślubiona Chrystusowi albo oddaną czynieniu dobra czy miłosierdzia, lecz zwykłą call- girl, która cztery miesiące wcześniej wyszła z więzienia po odsiedzeniu swojego drugiego wyroku.

- W tym stroju miała przynajmniej fory u bram nieba - powiedział Jordain po wyjściu z prosektorium, gdy ze swoim partnerem Markiem Perezem oglądał habit zakonnicy, w który ubrana była ofiara.

- Noah, jeśli w ogóle wierzysz w Boga, to pora zacząć się modlić - zauważył Perez.

- Żeby dostała się do nieba?

- Nie, żeby to nie był początek czegoś...

Jordain pokiwał głową. Sam na to wpadł.

Morderstwo tego rodzaju, rytualne i szczegółowo zaplanowane, nie jest aktem furii. Jest najprawdopodobniej wizytówką jakiegoś socjopaty z misją.

Statystycznie rzecz biorąc, należy się spodziewać najgorszego.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Dobre dziewczyny nie opowiadają o swoich romansach. -
Gładziła poduszkę, którą położyła sobie na kolanach; płynny ruch jej
palców był hipnotyzujący.

- To znaczy, że nie jesteś dobrą dziewczyną? Czy że nie chcesz
opowiedzieć swojej historii? - zapytałam.

Cleo Thane roześmiała się rozkosznym śmiechem dziecka, z
niewinną nutą zmysłowości.

- Jestem dobra, ale nie jestem dobrą dziewczyną.

Patrząc na jej lśniące jasne włosy, nieskazitelną cerę, lekki
makijaż, który bardziej rozświetlał niż tuszował, na klasyczne
brylantowe kolczyki i zegarek - z subtelnej platyny, a nie złota - na
żakiet i spodnie ekskluzywnej marki, eleganckie buty i torebkę,
można było ją wziąć za dyrektora w firmie kosmetycznej, szefową
agencji lub galerii sztuki.

Ale poprzedniego dnia wieczorem ta urocza kobieta szeptała
kłamstwa do ucha znanego prezentera wiadomości telewizyjnych,
doprowadzając go do gwałtownego orgazmu na tylnym siedzeniu
wydłużonej limuzyny, gdzie tylko cienka szyba oddzielała ich od
kierowcy. A zanim się spotkali, obciążyła jego kartę kredytową na dwa
tysiące dolarów za przywilej spędzenia z nią trzech godzin.

Kontrast pomiędzy tym, kim w istocie była, a na kogo wyglądała,
stanowił tylko jedną z wielu rzeczy, które mnie w niej intrygowały.

Doktor Snow, żeby w nie wiem jak łagodne słowa to ubrać... ja
sprzedaję seks. Z tego żyję. Jak mogę być dobrą dziewczyną?

Zrzuciła jeden z pantofli na bardzo wysokich obcasach i
zauważyła moje spojrzenie. Chociaż zdarzało mi się spoglądać na jej

buty wcześniej, po raz pierwszy zwróciła na to uwagę. Zanotowałam to w umyśle.

- W mojej branży zawsze nosi się szpilki.
- Bo są bardzo seksowne?
- Bo mogą służyć za broń.

Tego nie spodziewałam się usłyszeć. Wiedziałam oczywiście, jak niebezpieczna jest prostytutka uliczna, ale Cleo opisywała swoje nadzwyczaj ekskluzywne zajęcie w taki sposób, że potrzeba posiadania broni nie przyszła mi do głowy. Ukryłam zdziwienie.

- Poza wyborem butów robisz chyba wszystko, żeby wyglądać jak dobra dziewczyna, prawda?

- Dlaczego tak trudno to pogodzić? Wyglądam, jak wyglądam. I sprzedaję seks. A skoro to robię, nie mogę być dobrą dziewczyną, prawda?

Powtarzała pytanie, żebym nie mogła go zignorować i żebym rozumiała, jakie to dla niej ważne. Spotykałyśmy się od pół roku i rozmawiałyśmy o tym nie po raz pierwszy, ale musiało tu chodzić o coś, do czego jeszcze nie doszłyśmy.

- Wcale nie jest powiedziane, że jesteśmy tacy jak to, co robimy, prawda? - Rozparłam się w fotelu, krzyżując nogi i zerkając na własne buty. Czółenka na niskich obcasach, klasyczne i nietanie, ale nie tak seksowne jak szpilki Cleo.

Z opuszczoną głową zastanawiała się nad moim pytaniem. Nie każdy to robił. Niektórzy pacjenci wyrzucali z siebie, cokolwiek im przyszło do głowy. Ale ponieważ spotykałyśmy się od dawna, wiedziałam już, że Cleo ostrożniej waży słowa, czasem mówiąc to, co chce, żebym usłyszała, zamiast tego, co naprawdę myśli. Głównie o tym rozmawiałyśmy podczas jej sesji: nie o tym, że jest prostytutką ani o rozterkach związanych z jej stylem życia, lecz o jej skłonności do zadowalania ludzi - zarówno seksualnie, jak i na inne sposoby. I nie

tylko klientów, bo to byłoby naturalne. Również innych ludzi pojawiających się w jej życiu.

Wskazującym palcem rysowała kółka na poduszce. Miała długie rzęsy rzucające cień na policzki i po raz pierwszy, odkąd do mnie przychodziła - dwa razy w tygodniu o dziesiątej rano w poniedziałki i środy - pojedyncza łza wymknęła się spod jej powiek i potoczyła po twarzy. Głowę miała nadal spuszczoną.

Czekałam.

Cleo jednak siedziała bez ruchu. Wykorzystałam okazję, by założyć włosy za uszy. Proste ciemne włosy, prawie czarne, sięgające do ramion. W takiej oprawie moja twarz była bardziej okrągła. Moja dwunastoletnia córka lubiła z nimi eksperymentować: układała je, spletała w warkocz, upinała spinkami. Lubiła też robić mi makijaż. Inne dziewczynki przebierają się w rzeczy swoich matek; Dulcie wołała przebierać mnie i przygotowywać do występu na prowizorycznej scenie urządzonej w naszym salonie. Kiedy już byłam w kostiumie, zapraszała mnie do gry w jakiejś sztuce.

- W roli głównej wystąpi Morgan Snow jako... - mówiła, i wprowadzała mnie w rolę, którą grałam pod jej dyktando. Ona grała ze mną. Z taką radością, jakiej nie sprawiała jej żadna inna zabawa.

Moja córka chciała zostać aktorką, co nie było zaskakujące, biorąc pod uwagę, że jej ojciec był reżyserem filmowym, a ja, będąc wbrew rozsądkowi zbyt pobłażliwą matką, spełniałam jej zachcianki. Nie miałam nic przeciwko takiemu hobby i takiej ambicji, ale ona chciała spróbować grać zawodowo, jeszcze w szkole podstawowej, a to już budziło we mnie opory.

Aktorstwo to ciężki kawałek chleba, a ja chciałam, by moja córka zaznała w życiu akceptacji i sukcesu - nie odrzucenia i frustracji.

Cleo uniosła w końcu wzrok. Jej szare oczy były łagodne i wilgotne.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Żałuję, że nie trafiłam do pani wcześniej. Żałuję, że nie poznałam pani rok temu. Dwa lata temu. Potrzebowałam kogoś takiego: kogoś, kto by mnie nie osądzał, tylko nakłonił, żebym osądziła się sama.

- Ja wcale nie chcę tego robić. Tu w ogóle nie chodzi o osądzanie.

- Chodzi o odkupienie?

- Potrzebujesz odkupienia? Uważasz się za grzesznicę?

Znów śmiech. Mimo że Cleo miała dwadzieścia siedem lat i była ode mnie tylko o siedem lat młodsza, przypominała mi moją córkę. Jak na to wszystko, co widziała i robiła, pozostała w jakimś fundamentalnym sensie niezwichnięta psychicznie.

- Może nie za grzesznicę. Nie. Ale nie jestem też dobrą dziewczyną.

- Mówisz o tym, jakbyś była z tego dumna. Co jest takiego złego w byciu dobrą dziewczyną?

Uśmiechnęła się, słysząc moją niezamierzoną grę słów.

- W tym, co robię, są pewne bardzo dobre rzeczy. Gdybym o nich mówiła, brzmiałoby to jak tekst z jakiejś nadętej propagandowej broszury.

- Pozwól, że to będzie moje zmartwienie. Myślę, że niepotrzebnie jesteś wobec siebie aż tak surowa. I o tym porozmawiajmy. To wiąże się jakoś z faktem, że robisz dla innych zbyt dużo. Zaslugujesz na dobre samopoczucie, nawet jeśli nie chcesz być dobra.

Pochyliła się i dotknęła mojej dłoni, by mi podziękować. Jej skóra, nawet na opuszkach palców, była aksamitnie delikatna. Raczej się nie zdarzało, żeby moi pacjenci mnie dotykali, ale nie cofnęłam ręki, nie wzdrygnęłam się i nie okazałam żadnej reakcji.

Dotyk jest zawsze wymowny. Brak dotyku jest jeszcze bardziej wymowny. Nie ma świętszej rzeczy niż gest człowieka, który wyciąga do drugiego rękę, by nawiązać z nim kontakt, i ja bym tego gestu nigdy nie zlekceważyła. W tym, jak Cleo oparła palce na mojej dłoni i lekko, ale zdecydowanie ją przycisnęła, nie było nic erotycznego, ale mnie na moment pobudziło seksualnie. Sprawilo, że pomyślałam o seksie, nie z nią, nie z jakimś mężczyzną, lecz po prostu o seksie we mnie samej. Dotknęła mnie dwoma palcami, a ja poczułam nagle pragnienie czegoś, czego nie potrafiłam nazwać.

- Niewielu spotykam ludzi, którzy nie próbują mnie osądzać - powiedziała.

Poczucie więzi między nami było bardzo silne. W kontaktach z innymi pacjentami to również się liczyło, ale z natury rzeczy jednych rozumiałam lepiej niż innych.

- Jak myślisz, co mogłoby poprawić ci samopoczucie?

- Wydanie mojej książki.

Cleo właśnie skończyła pisanie wspomnień, w których zdradzała całą swoją wiedzę o mężczyznach i seksie opartą na doświadczeniach z klientami, którzy korzystali z jej usług w ciągu ostatnich pięciu lat. Przedstawiła streszczenie i pięć pierwszych rozdziałów jakiemuś wydawcy i dwa tygodnie temu otrzymała intratną opiewającą na sześciocyfrową sumę umowę.

Teraz zmagala się z realną perspektywą zrobienia tego, na co zawarła kontrakt. Ujawnienia sekretów, wprawdzie anonimowo, dotyczących konkretnych mężczyzn, aczkolwiek z zamaskowaną tożsamością i nienazwanych, którzy płacili jej i ufali, że nigdy nie zrobi tego, na co właśnie się skusiła.

Zadzwoził mój telefon, a Cleo zerknęła na niego z lekkim grymasem, choć daleko jej było do konsternacji, jaką okazują

niektórzy pacjenci. Zwykle nie odbieram telefonów podczas sesji, ale sprawdzam na wyświetlaczu, kto dzwoni, na wypadek, gdyby to była Dulcie albo jej szkoła.

Nie był to żaden z dwóch numerów, więc poczekałam, aż włączy się automatyczna sekretarka, przepraszając Cleo.

- Nic się nie stało. Ale zadała mi pani inne pytanie, na które nie odpowiedziałam. Co to było? Nie lubię pytań bez odpowiedzi.

Mówiła miękkim głosem ze śladem południowego akcentu. Zbyt miękkim, żeby rozmawiać o tak ponurych faktach i twardej rzeczywistości.

Westchnęła i skrzyżowała nogi w kostkach. To był ruch pełen gracji, pasujący do kobiety siedzącej na werandzie w zwiewnej letniej sukience, sączącej mrożoną herbatę.

- Takich pacjentów lubię. Spytałam, co jest takiego złego w byciu dobrą dziewczyną.

- Wyobraża pani sobie coś nudniejszego?

- A ty?

- Dobrze, to ja odpowiadam na pytania, nie pani. Zapomniałam. Więc nie, nie wyobrażam sobie niczego nudniejszego niż bycie dobrą dziewczyną. Dobre dziewczyny są bezsilne, nic nie znaczą. Tak łatwo je lekceważyć. Zony. Dziewczyny. Ukochane. - Skrzywiła się. - Znam ich mężów. Patrzę w oczy ich kochankom. - Pokręciła głową, a jej złociste włosy zafalowały jak muślinowa zasłona. - Wszyscy opowiadają, że mężczyźni mają ogromną władzę, ale przecież tak łatwo ją odebrać. Zwłaszcza jeśli ma się tę jedną rzecz, na której im strasznie zależy.

- Co cię różni od tamtych kobiet? Co takiego wiesz, czego nie wiedzą one? - Chciałam usłyszeć jej odpowiedź, by dowiedzieć się więcej o niej, ale i po to, aby zrozumieć lepiej mężczyzn, którzy korzystali z jej usług.

- Wiem, czego chcą i cała moja energia skupia się na tym, żeby im to dać. I zrobić wszystko, żeby nie mieli żadnego powodu czuć przede mną strachu. Ja nie jestem od wydawania sądów, dobrych ani złych. Mężczyźni się boją, doktor Snow. Niektórzy bardziej niż inni. Niektórzy mężczyźni, ci, którzy mają kłopot z erekcją, albo ci, którzy mają kłopot z przedwczesnym wytryskiem, boją się po prostu tego, co kobieta ma między nogami. Wiedziała pani o tym? Oczywiście, że tak. Pani wie o tych rzeczach jeszcze więcej niż ja. Pewien mężczyzna powiedział mi, że wyobraża to sobie jako wielką ziejącą jamę z rzędami maleńkich ostrych zębów w środku i boi się, że gdyby został we mnie zbyt długo, odgryzłabym mu członek. Słyszała pani coś takiego od kogoś z pacjentów?

Nie po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, jak wiele Cleo i ja mamy ze sobą wspólnego. Zgadując życzenia swoich klientów, zadowolając ich, musiała słuchać o ich lękach i fobiach, a ja przecież dokładnie to samo robię z moimi pacjentami.

Pochyliłam się do przodu, odrobinę, żeby tę więź między nami jeszcze wzmocnić.

- Zaniepokoiłaś się, kiedy ten mężczyzna ci to powiedział?

- Nawet nie, ale zrobiło mi się smutno. I dużo łatwiej było mi robić dla niego, co tylko mogłam. Nie miałam z nim stosunku, ale spotykaliśmy się przez wiele miesięcy. Wystarczały mu rozmowy, słuchanie go, delikatne pieszczoty. Odwiedzałam go w hotelu za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do miasta w interesach. Zamawiał do pokoju, co tylko chciałam, i szliśmy z jedzeniem do łóżka. Lubił, jak go karmiłam. A potem lubił karmić mnie. I lubił moje masaże, takie delikatne, z oliwką. Był silny, bardzo wysportowany. Przyjemnie było na niego patrzeć, kiedy leżał na łóżku, wyciągnięty. Ale nigdy nie zamykał oczu. I nigdy nie gasiliśmy światła. Używałam oliwki, żeby go

rozluźnić, a potem... - Urwała i spojrzała mi w oczy. - Pewnie nie ma sensu, żebym wchodziła w te wszystkie szczegóły?

- Jeśli chcesz o tym mówić, ja chcę słuchać.

Wciągnęła mnie w swą opowieść i zaczarowała subtelną modulacją głosu. Gdyby Cleo Thane zechciała zostać terapeutką seksuologiem, byłaby znakomita. Jedyny szkopuł w tym, że choć ja zarabiałam nieźle - dwieście dwadzieścia pięć dolarów za godzinę - ona ponad trzy razy tyle.

- To mnie męczy. To zagmatwanie. Te rozterki... - Przez chwilę drżały jej wargi. Odwróciła wzrok.

- Czego się boisz najbardziej? Co jest najbardziej zagmatwane?

- Nie jestem pewna. Może to ta książka... - Zawahała się. A potem powiedziała cichszym głosem: - Nie, nie chodzi o samą książkę. Ale to jest związane z książką. Właściwie chodzi o mężczyznę, z którym się spotykam.

- Spotykasz się? Jak z klientem? - Byłam zaskoczona. Nigdy dotąd, przez tyle miesięcy terapii, nie wspomniała, że zadaje się z kimś na poważnie, a ja na taką rewelację czekałam.

Może wydawać się, że pół roku to szmat czasu, jeśli pacjent ukrywa ważne szczegóły swojego życia osobistego, ale otwarcie się nie zawsze jest łatwe. Cleo od początku trochę kręciła. Moim zadaniem było zachować cierpliwość, robić, co w mojej mocy i wierzyć, że zdradzi swoje sekrety, kiedy będzie gotowa.

- Nie. - Pokręciła głową. - On nie jest klientem. Jest moim narzeczonym. Prawnikiem. W bardzo prestiżowej kancelarii. Wynajęłam go rok temu, żeby pomógł założyć konto dla mojej firmy w raju podatkowym. - Parsknęła lekkim, wdzięcznym śmiechem. - Zabawne, prawda? Ja wynajęłam jego. Wkrótce potem zaproponował mi randkę. Ta pieprzona miłość jest gorsza od faceta, który zamierzył się na mnie w łóżku nożem, kiedy dopiero wchodziłam w biznes. Z

nim wiedziałam, co zrobić, po prostu złapałam go za jaja. Ścisnęłam tak mocno, że jego tłuste paluchy rozwarły się i nóż po prostu wypadł. Ale cała ta miłość? Nie wiem, z której strony ją chwycić.

Uwagę terapeuty często pochłania język ciała pacjenta i jego głos. Właściwie w sposób obsesyjny. Jakiś uśmiech nie na miejscu odczytujemy jako wewnętrzny konflikt, skrzyżowane ramiona jako niechęć do otwarcia się, zamknięte oczy zdradzają nam obawę przed zmierzeniem się z prawdą. Słuchając pacjenta, wychytujemy subtelne modulacje tonu, pauzy i zmiany rytmu, bo głos jest znaczący. Mówią nie tylko słowa, ale także początki słów, które już mają paść, ale więzną w gardle, westchnienia, powstrzymane łzy. Dla mnie głos jest bogatym źródłem informacji, zwłaszcza gdy pacjent leży na kanapie i nie widzę jego ani jego twarzy.

Ale Cleo siedziała naprzeciwko mnie. Postawiła sprawę jasno na samym początku: nie chciała leżeć na kanapie. Zbyt przypominało jej to pracę.

- Co cię tak bardzo peszy w całej tej miłości, jak ją nazwałaś? - spytałam.

- Nigdy nie wierzyłam w romantyczną miłość. Przeczytałam kiedyś, że to jest coś, co wynaleziono w dwunastym wieku. I dotąd każde moje doświadczenie to potwierdzało. Nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło. I nie jestem pewna, czy się do tego nadaje. - Jej dalekie spojrzenie mówiło, że bardzo się stara odrzucić wręcz odwrotne uczucie.

Lekarze nie powinni się do tego przyznawać, ale faktem jest, że pewnych pacjentów lubimy bardziej niż innych. A ja lubiłam Cleo. Miała w sobie dużo świeżości i była uczciwa. Autentyczna. I to mnie ujmowało. Ale lubiłam ją przede wszystkim dlatego, że ja - Morgan Snow, nie jako lekarz, lecz jako kobieta - utożsamiałam się z nią,

głównie ze względu na podobieństwo naszych profesji. Ale również dlatego, że sama musiałam ciężko pracować nad tym, by nie próbować nadmiernie zadowalać bliskich mi ludzi.

Identyfikowanie się z pacjentem jest zdrowym, naturalnym elementem terapii. Pomaga nam głębiej wniknąć w psychikę kobiet i mężczyzn, którym pomagamy. Ważne jest jednak to, żeby mieć świadomość identyfikowania się z kimś, kto poddaje się terapii, bo bez tego stracilibyśmy obiektywizm.

- Cleo, dlaczego uważasz, że nie możesz być zakochana?

- Tego nie powiedziałam.

- Nie?

- Pani jest zbyt inteligentna. - Poparła swój komplement uśmiechem.

Ta kobieta miała niezwykle, zadziwiający dar uwodzenia. Jej czar działał jak piosenka, która wprawia w radosny nastrój i pozwala zapomnieć na kilka chwil o wszystkich innych sprawach. A jeśli ja - jej terapeutką - odbierałam go w ten sposób, to mogłam sobie tylko wyobrazić, jak reagowali mężczyźni.

- Pani zadaje dobre pytania - powiedziała, próbując zbroczyć z tematu.

Kiwnęłam głową. Czekałam. Wiedziałam, że chowa coś w zanadrzu.

- Mężczyzna, w którym jestem zakochana, uważa, że coś mi może grozić. - Lekki grymas zmarszczył jej czoło.

Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewałam.

- Dlaczego?

Za oknem chmura zasłoniła słońce i gabinet pogrążył się w cieniu. Tylko na sekundę, ale w tej jednej sekundzie Cleo wyglądała na wystraszoną. I nawet młodszą. A także bezbronną.

Jak to możliwe, żeby ta kobieta, która z powodzeniem prowadziła burdel na miarę dwudziestego pierwszego wieku, która wabiła, torturowała i zadawała mężczyznom, inkasując dwa tysiące dolarów za sesję, wyglądała tak niewinnie i tak bezbrannie?

- Cleo?

- Słucham? - Zamyśliła się tak głęboko, że nie mogła sobie przypomnieć, o co ją zapytałam.

- Powiedziałaś, że ten mężczyzna uważa, że możesz być w niebezpieczeństwie. Ktoś ci groził?

- Nie. Jeszcze nic się nie stało. Ale on boi się tego, co może się stać, kiedy rozejdzie się wiadomość o książce.

- Zapowiedzieli jej wydanie?

Pokręciła głową, ale się nie odezwała. Na moim biurku tykał zegarek, łagodnie lecz wyraźnie odmierzając upływ każdej sekundy. Czas nam się kończył, ale nie chciałam, by wyszła, zanim odpowie.

- Ja naprawdę jestem zakochana.

- Mówisz to, jakbyś musiała mnie przekonać o swoich uczuciach.

- Może... może muszę przekonać siebie samą.

- Dlaczego?

- Bo jak to możliwe, żebym kogoś kochała, ale nie była w stanie się z nim kochać?

- A nie jesteś...? - To było ważne wyznanie. Patrzyłam na nią z uwagą, czekając, aż się pozbiera i odpowie.

Najpierw pokręciła przecząco głową. Raz. Dwa razy. Potem trzeci raz. W końcu zaczęła mówić.

- Nie. Żebym nie wiem jak się starała. Nie mogę z nim zrobić najprostszej rzeczy. Jak mogę czuć do niego to, co czuję, jeśli nie jestem w stanie zrobić mu laski bez zakrztuszenia się? Kładzie mi ręce na piersi, a ja cała drętwieję. Całuje mnie, a mnie przewraca się w żołądku. Widzi pani, ja wciąż lubię seks, chociaż mi za to płacą.

Zawsze lubiłam. Więc dlaczego nie mogę tego robić z jedynym facetem, na którym mi naprawdę zależy?

We łzach, które napłynęły jej do oczu, odbijało się słońce. Cleo nawet płakała w ładny sposób: nie zaczerwieniły jej się oczy, nie zmarszczyła twarzy. Zadrżały jej wargi i z ust wymknął się delikatny szloch.

- Naprawdę mam mętlik w głowie.

W piętnaście minut powiedziała mi o sobie więcej niż przez tyle poprzednich dni i tygodni, które minęły od jej pierwszej wizyty w moim gabinecie. Pokiwałam głową.

- Wiem.

- Myśli pani, że po to tu naprawdę jestem? Nie żeby rozmawiać o tym, jak staram się zadowalać ludzi. Nie o książce, tylko o tym, co jest nie tak między mną a tym mężczyzną. - Potrząsnęła głową. - Czy w terapii tak bywa? Że ludzie przychodzą do pani z jakiegoś powodu dowiadują się, że gnębi ich coś zupełnie innego?

- Tak to może wyglądać, ale wszystko jest jakoś powiązane. W każdym razie nie nad tym powinnaś się w tej chwili zastanawiać. Powinnaś mi otwarcie powiedzieć, o czym myślisz. Nieważne, czy to wydaje się mieć jakiś związek z problemem, czy nie. Nie odezwała się.

- O czym myślisz? - zapytałam.

- Jak on by się czuł, gdyby wiedział, że powiedziałam pani to wszystko. On jest dosyć skryty.

- Cleo, czy jest jakiś powód, dla którego nie używasz jego imienia?

- Ryzyko zawodowe. Nigdy nie używam prawdziwych imion mężczyzn. Chronię ich prywatność. Każdemu daję jakieś przezwisko.

- Ale powiedziałaś, że on nie jest klientem.

- Nie. Nie jest.

- Gdybyś miała dać mu przezwisko, co by to było?

Zaśmiała się.

- Wymyśliłam dla niego kilka przezwisk.
- Okej. Pierwsze, które ci przychodzi do głowy?
- Cezar.

Pewnie uniosłam brwi, bo znów się zaśmiała.

- Uważa pani, że to głupie?
- Nie, ale jestem ciekawa. Dlaczego Cezar?
- Prawdziwy Cezar był taki władczy i potężny. Widziała pani film? Jego uczucie do Kleopatry było wszechogarniające. To mi przypomina mojego mężczyznę.

- Czy on jest wyrozumiały dla twojej seksualnej niechęci wobec niego?

- Nie. Tak. To znaczy intelektualnie tak. Rozumie, że mam pewnego rodzaju opory przed tym, co chce, żebym mu robiła, co ja chcę mu robić, i że myślę to z tym, co robię z klientami... - Urwała i omal znów się nie rozkleiła.

Jestem terapeutką od dziesięciu lat, z czego od pięciu - terapeutką seksuologiem w Instytucie Butterfielda, i miałam ponad pięćdziesięciu długoterminowych pacjentów. Jedną z rzeczy, których się nauczyłam, jest to, że jeśli okazujemy pacjentom wrażliwość, jeśli wsłuchujemy się zarówno w to, co mówią, jak i to, czego nie mówią, wystarczy pięć do ośmiu pierwszych tygodni terapii, aby naprowadzili nas na wszystkie tropy, których będziemy potrzebowali, by im pomóc. Nieskończoną ilość czasu może zająć przedstawianie elementów układanki, aż trafią na swoje miejsce i stworzą pełen obraz, ale najpierw dostajemy wskazówki. Cleo właśnie mi je dawała.

Miała schyloną głowę. Spuszczone oczy. Siedziała zupełnie bez ruchu. Nie wiedziałam, czy znów płacze, czy nie, ale była wyraźnie przygnębiona. Na sekundę odwróciłam wzrok, w stronę okien i

przylegającego do mojego gabinetu balkonu - wąskiego tarasu wystarczającej szerokości, by na nim postać i wypić kawę, przyglądając się z góry ruchowi ulicznemu oraz przechodniom. Pod tarasem rosną dwie piękne magnolie i drzewa dereniowe, które filtrują ostre letnie światło, gdy wlewa się do gabinetu, rzucając cienie tańczących liści na ścianę i chiński dywan w stylu art deco.

Cleo zaczęła mówić, gdy miałam odwróconą głowę.

- Cezar bardziej chyba przejmuje się książką niż naszym życiem seksualnym. Nie rozumie, dlaczego nie wystarczy mi poczucie spełnienia po napisaniu tej książki. Uważa, że teraz, kiedy „wyrzuciłam to z siebie”, jak mówi, powinnam ją spalić. Boi się, że któryś z tych, o których piszę, mógłby spróbować się na mnie zemścić. Och, to po prostu śmieszne. - Jej oczy znów zaszyły łzami. - Boję się, że postawi mi ultimatum. W sprawie książki!

Wskazówka minutowa małego srebrnego zegara, który stał na stoliku przy moim fotelu, przesunęła się z szelestem do przodu. Była za piętnaście jedenasta, praktycznie koniec sesji. Ale gotowa byłam dać Cleo jeszcze kilka minut.

Obracała szmaragdowy pierścionek na serdecznym palcu, tak że co kilka sekund kamień łapał światło, rzucając odbłask na ścianę.

- On czytał tę książkę? - zapytałam.

- Nie. Nikt jej nie czytał. Jeszcze nie.

- Dlatego, że jest w niej coś, o czym Cezar nie powinien wiedzieć?

Skinęła głową.

- Nie ukrywałam przed nim, czym się zajmuję. Po prostu nie wchodziłam w tego rodzaju szczegóły, które są w książce. Cezar myśli, że od kilku lat siedzę za biurkiem i wysyłam do pracy dziewczyny. I rzeczywiście to robię. Ale niektóre zlecenia załatwiam sama.

- Powiedziałaś mu, że z tym skończyłaś?

- On myśli, że jakiś rok temu. Ale nie skończyłam. Ciągłe mam sześciu regularnych klientów, którymi zajmuję się od dawna. Znam tych facetów. Jesteśmy... cholera... to są jakieś związki.

- Cleo, nie jestem pewna, czy rozumiem. Czy Cezar wie, że dalej chodzisz do łóżka z innymi mężczyznami?

- No właśnie, w tym rzecz. Praktycznie tego nie robię. Z większością nie uprawiam tak zwanego normalnego seksu.

- Normalnego seksu? - Roześmiałam się. - Ja niczego nie osądzam, ale nie ma czegoś takiego jak normalny albo nienormalny seks, jeśli o mnie chodzi.

- I dlatego panią lubię. Jesteśmy w tym wszystkim po tej samej stronie. Po stronie logiki. Logicznie rzecz biorąc, seks nie jest jakimś religijnym doświadczeniem, które ocala dusze albo pakuje człowieka do piekła.

Zegar wybił godzinę, dźwięk podobny do dzwonka przyciągnął jej uwagę.

- Mój czas się skończył? Przytaknęłam skinieniem głowy.

- Jeszcze sekundę, dobrze? Kiwnęłam głową ponownie.

Pochyliła się i sięgnęła po torbę na zakupy z logo Tiffany'ego. Zauważyłam, że z nią przyszła, ale specjalnie się nad tym nie zastanawiałam.

Wyjęła ze środka pękatą szarą kopertę, trzymała ją w rękę przez kilka sekund i głaskała, jak gdyby to była aksamitna poduszka albo męskie udo.

- Wydrukowałam to dla pani. Jak mówiłam, nikt dotąd nie widział całej książki i nie wie, że ją skończyłam. To pierwsza wersja. Czeka mnie jeszcze sporo pracy. Nie mówiąc o dużo lepszym zamaskowaniu facetów, o których piszę... - Uśmiechnęła się. - Ale naprawdę mi zależy, żeby pani to przeczytała.

- Czy Cezar wie, że mi to dajesz?

- Nie. - Wstała z fotela.

Chociaż zbierała się do wyjścia, nie chciałam, by straciła coś, co moim zdaniem mogło być dla niej olśnieniem.

- Dobrze się czujesz ze świadomością, że ukrywasz to przed nim? Czy źle?

Przechyliła na bok głowę, z półuśmiechem na ustach.

- Dobrze. I źle. - Westchnęła. - Ale o to właśnie chodzi. Jeśli mamy rozmawiać o tym, czy rzeczywiście mogę sobie pozwolić na wydanie tej książki, pani musi ją przeczytać. Bo jeśli to zrobię, będę musiała podać Cezarowi naprawdę dobry powód takiej decyzji. Chcę wydać książkę, ale nie chcę przy okazji stracić jego. Więc...

Zrobiła ostatni krok w stronę mojego skórzanego fotela. Wyciągnęłam rękę i wzięłam od niej kopertę.

Nie była lekka i to mnie dosyć zdziwiło. Cleo Thane była ucieleśnieniem lekkości. Wszystko, od jej śpiewnego głosu po jasne włosy, ubrania w pastelowych kolorach - tak różniące się od niemal całkiem czarnych uniformów, jakie nosi większość nowojorczyków - po jej bladoszare oczy i jasnoróżowe usta, było lekkie. Nawet jej perfumy, o podstawowej nucie bzu, które przypominały mi wiosnę.

W kobiecie, która wręczyła mi rękopis swojej spowiedzi, nie było nic ciężkiego, mrocznego ani groźnego.

Nic poza tym, co znajdowało się w tamtej kopercie: wszystkie tajemnice, które - choć nie wyjawiała ich jeszcze mnie ani nikomu innemu - w ostatecznym rozrachunku mogłyby zadziałać jak szpilki, którymi zbieracze motyli przebijają ich ciała po tym, jak je złapią i zabija.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po wyjściu Cleo włączyłam automatyczną sekretarkę, żeby odsłuchać poranne wiadomości. Podeszłam do okna, otworzyłam drzwi balkonowe i wyszłam na zewnątrz, spoglądając w dół.

Pierwszy nagrał się adwokat prowadzący moją sprawę rozwodową z wiadomością, że sędzia podpisał papiery i rozwód jest faktem dokonany. Spodziewaliśmy się, że to nastąpi tego dnia, ale zawsze było ryzyko, że formalności się przeciągną.

Potarłam dłonią szorstką kamienną balustradę. Z mieszanymi uczuciami myślałam o tym, że nasze małżeństwo naprawdę się skończyło. Tak, to był właściwy krok, i popierałabym ten rozwód, gdyby chodziło o któregośkolwiek z moich pacjentów. Ale ja, mimo naszych problemów, lubiłam spokój, jaki panował w moim życiu z Mitchem. To, że zabrakło w nim namiętności, nie było dla mnie zaskoczeniem. Wiele małżeństw tak kończy. Lecz mojego męża to przygnębiało i nie potrafił z tym żyć.

Eksmęża, przypomniałam sobie.

Następna wiadomość była z firmy ubezpieczeniowej. Agentka trajkotała niestrudzenie, podczas gdy słońce zniknęło za chmurą i wyłoniło się z powrotem. Był początek czerwca. W powietrzu unosił się zapach krzewu pnącej róży, który oplatał balustradę i piał się w górę po elewacji z piaskowca. Pochyliłam się i spojrzałam w dół.

Z bramy pode mną wyszła na ulicę Cleo. Stała przed budynkiem i zapaliła papierosa; w słońcu zaśniła jej złota zapalniczka.

Cleo mnie martwiła.

Nikt, kto zarabia na życie w taki sposób jak ona, kto był z tyloma mężczyznami, kto sprzedaje seks samotnym - w najlepszym wypadku

- albo niezrównoważonym psychicznie czy uzależnionym od seksu mężczyznom, nie może pozostać „nieprzemakalny”, bez szwanku na psychice. A ona sprawiała takie wrażenie.

Mimo że tak dużo czasu zajęło nam dotarcie do sedna jej problemów, nie czułam się manipulowana. Nie dopatrzyłam się żadnego oszustwa. Nie wyczuwałam - w intuicyjny sposób znany terapeutom - by świadomie coś ukrywała. Ona tylko potrzebowała więcej czasu, żeby się otworzyć. Ale co, w takim razie, powoduje moja nieufność?

Mój własny, przyjęty z góry pogląd na to, co powinna czuć kobieta zarabiająca na życie tak jak ona?

Miałam inne pacjentki, które były prostytutkami, choć żadna z nich nie prowadziła własnego biznesu ani nie miała dochodów takich jak Cleo.

Jeden dzień w tygodniu przeznaczałam na wizyty u kobiet, które trafiły za kratki. Udzielałam im porad, by po odsiedzeniu wyroku nie wróciły na ulicę. Oczywiście nie wierzę w cuda, ale od czasu do czasu się udawało. I dla tej jednej pacjentki rocznie, która nie wylądowała z powrotem tam, skąd przyszła, mogłam poświęcić pięćdziesiąt dwa dni.

Cleo nigdy nie była nawet w pobliżu więzienia. I patrząc na nią, można było w to uwierzyć. Ze swoimi lśnącymi włosami, wytwornym stylem ubierania się i błyszczącymi oczami robiła wrażenie bardzo szlachetnej. Daleka jestem od przypisywania ludziom cech charakteru na podstawie wyglądu, ale w niej widziałam autentyczną prostolinijność. Czyżby jej mechanizm obronny był tak silny, że po prostu nie dopuszczała, by realia życia, jakie wiodła, okaleczyły ją wewnątrz?

A może była zwichnięta w głębszy sposób? Gdzie ukryły się jej skazy i rysy? Ile czasu miało nam zająć, przy wspólnym wysiłku, ich znalezienie? Czy też była po prostu doskonałą aktorką, grającą inną

rolę ze swoimi klientami, inną ze mną? Nie wydawało mi się, a w końcu wiedziałam co nieco o aktorkach. Moja matka była aktorką, choć nie z tych bardzo sławnych. Nigdy nie została wielką gwiazdą. Była nią bardzo krótko tylko w oczach jednej małej dziewczynki.

Moja automatyczna sekretarka zasygnalizowała następną wiadomość.

- Doktor Stone, tu Tom Dignazio z Dwudziestego Czwartego Komisariatu. - Usłyszałam ponury głos i zeszywniałam. To była ostatnia wiadomość, ta, którą zlekceważyłam, kiedy w gabinecie była Cleo. - Znalaziono osobę, która z tego, co wiemy, była pani pacjentką. To młoda dziewczyna, którą odwiedzała pani na początku tego roku w więzieniu. Obawiam się, że została zamordowana. I potrzebujemy pani do zidentyfikowania zwłok.

Odklepał numer swojego telefonu i poprosił, żebym jak najszybciej do niego zadzwoniła.

Zwłoki? Która z tamtych dziewczyn jest teraz tylko „zwłokami”? Wiedziałam, że do niego zadzwonię, ale jeszcze nie teraz. Nie od razu. Byłam zbyt zszokowana.

Na dole, przed wejściem do budynku, wciąż stała Cleo, paląc papierosa. Dwaj mężczyźni idący na wschód od alei Madisonsa zwolnili nieco, wyraźnie jej się przyglądając. Musiała się do nich uśmiechnąć - stała tyłem do mnie - bo jeden z facetów rozpromienił się, jakby dostąpił łaski namaszczenia. Drugi po prostu się gapił. Byłoby to nieuprzejme, gdyby nie wyraz zachwytu na jego twarzy. Minęli ją. Potem jeden odwrócił głowę, nie mogąc sobie odmówić ostatniego spojrzenia.

Cleo zaciągnęła się jeszcze raz i rzuciła papierosa na chodnik, gasząc go swoim seksownym sandałem na wysokim obcasie, a potem spacerowym krokiem zaczęła iść na zachód. Już miałam się odwrócić, by wejść do gabinetu, kiedy zauważyłam trzeciego mężczyznę, w

cieniu budynku po drugiej stronie ulicy. Przy jego nodze stała pękata teczka, w rękę trzymał parasol z błyszczącą srebrną rączką, mimo że dzień był słoneczny.

Z całą pewnością obserwował Cleo.

Stał nieruchomo, tylko na nią patrząc; dopiero kiedy zbliżała się do skrzyżowania, zaczął iść w jej kierunku. Poruszał się jak zahipnotyzowany, jak gdyby ciągnęła go ku niej jakaś magnetyczna siła.

Skrzyżowałam ręce, dygocząc, mimo że było ciepło. Opanował mnie nagły lęk o Cleo.

Nie kołysała biodrami. Nie było nic wyzywającego w tym, jak trzymała ramiona czy głowę. Jakie sygnały wysyłała, co takiego instynktownie rozpoznawali mężczyźni, ledwie na nią spojrzawszy?

Miałam ochotę za nią pójść, po to, by ją chronić i ujrzeć „w akcji”. Słuchanie opowieści o uwodzeniu mężczyzn to jedno, ale ja chciałam zobaczyć, jak ona to robi, obejrzeć przebieg gry, poznać metodę działania.

Gdybym miała być całkiem szczerą, Cleo Thane dlatego tak bardzo mnie ciekawiła, że chciałam się od niej czegoś nauczyć. Badałam zachowania seksualne ludzi i doradzałam pacjentom z problemami seksualnymi od lat. Ale żyjąc prawie piętnaście lat z tym samym mężczyzną, niemal całkiem zapomniałam, jak się postępując z mężczyznami, i teraz, kiedy znów byłam wolna, czułam się jak pierwsza naiwna. Lekarzu, lecz się sam.

Gdybym mogła ją śledzić przez resztę dnia, nauczyłabym się tego. Gdybym mogła zajrzeć do mrocznych pokoi, w których czekali na nią zdesperowani klienci, spragnieni działania jej magii.

Pragniemy tego, czego nie mamy. Bierzemy to, co mamy w zasięgu ręki. Zastanawiałam się, jak by to było, gdybym znów kogoś pożądała. Od dawna nie czułam smaku mężczyzny, nie całowałam

męskich warg. Jak by to było? Jak łatwo albo jak trudno byłoby mi odnaleźć z powrotem tę cząstkę siebie?

Od dwóch lat mój mąż i ja żyliśmy w separacji, a już od kilku lat wcześniej fizycznie niewiele nas łączyło. Dostyc szybko wpadliśmy w układ, w którym na pierwszym miejscu byliśmy przyjaciółmi i rodzicami, a kochankami na ostatnim, i to z rzadka.

W tym cała rzecz. Chce się tego, czego wiadomo, że mieć nie można. Cleo nie chciała tego samego co ja. Ona budziła pożądanie mężczyzn. A chciała tego, co ja miałam - bezwarunkowej miłości, która nie zależy od seksu. Moje małżeństwo z Mitchem stało się właśnie takim związkiem. Wciąż nas łączyło prawdziwe uczucie, mimo rozvodu. Nie byliśmy już w stanie wykrzesać z siebie napiętności, ale wzajemnie się o siebie troszczyliśmy. To dlatego nasze rozstanie było zaprawione kroplą gorzkości.

Żeby być terapeutą, samemu trzeba poddawać się terapii. Ja zaczęłam, kiedy byłam nastolatką, i odtąd, na różnych etapach życia, kilkakrotnie korzystałam z pomocy psychoterapeuty. Wiedziałam, że mam problemy z panowaniem nad sobą, z chęcią zadowalania ludzi, o których się troszczę - czasami aż za bardzo. I wiedziałam, że dawno utraciłam łączność z własną energią seksualną. Dopiero w ostatnich miesiącach, kiedy było jasne, że rozwód jest nieuchronny, znów zaczęłam o tym myśleć: o uwodzeniu, napiętności. O spazmach rozkoszy, jakiej nie zaznałam od długiego czasu.

Cleo, jak opowiadała, stawała przed mężczyzną i patrzyła, jak twarz mu tępieje z pożądania. Widziała, jak przymyka oczy, zmuszony zapanować nad swą chucią. Słuchała, jak błaga, by wzięła go do ust albo pozwoliła w siebie wejść, po to, by choć na krótką chwilę zatracić się w tym bezgłośnym, niewidzialnym miejscu, gdzie wszystko tonie w falach błękitu, zieleni, czerwieni, żółci, i wybuchu uczuciami.

Eksplzje doznań. Żadnych słów.

Chciałam zobaczyć to, co widziała ona.

Mężczyzna na ulicy wciąż był jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków za Cleo, nie dosiegając granicy jej cienia. Nie chciał iść szybciej z ostrożności? Liczył swoje kroki? Był kimś, kto przypadkiem szedł w tym samym kierunku co ona? Czy jednak ją śledził?

Wiedziałam, na czym polega śledzenie kogoś, choć robiłam to ponad dwadzieścia lat temu. Zdarzało mi się śledzić swoją matkę. Wymykałam się za nią z domu, czekałam na rogu ulicy, by zobaczyć, w którą pójdzie stronę, a potem wlokłam się za nią w bezpiecznej odległości. Nie żeby ją szpiegować, tylko sprawdzić, czy rzeczywiście idzie tam, dokąd mi mówiła. Czy nie wybrała się po prochy albo po alkohol, albo na spotkanie z kolejnym facetem o nieznanym mi nazwisku.

Jeśli ktoś nie chce być widziany, zachowuje się ostrożnie. Tak jak tamten mężczyzna.

Cleo doszła do rogu, wciąż nieświadoma sytuacji. Ta kobieta tak przywykła do męskich spojrzeń, że nie robiły już na niej żadnego wrażenia. Kiedy ktoś gotów jest zapłacić kobiecie tysiąc dolarów za to, żeby na nią patrzeć, dotykać jej, i za to, żeby ona dotykała jego, samo spojrzenie musi być bez znaczenia. Były inne rzeczy, na które mogłaby zwrócić uwagę, ale zainteresowanie jakiegoś mężczyzny?

Ten facet był dobry w tym, co robił. Ktokolwiek inny na ulicy, kto nie oglądał tego baletu z suspensem jak ja z lotu ptaka, nie zauważyłby nic podejrzanego.

Aleja czułam, że ona jest śledzona. I nie wiedziałam, co z tą wiedzą zrobić. Zadzwoić na jej komórkę? Ostrzec ją? A jeśli nie mam racji?

Skręciła za rogiem. A dziesięć sekund później on skręcił za nią.

Oboje zniknęli mi z oczu.

Być może to nic nie znaczyło.

Pewnej środy, o jedenastej przed południem, jakaś kobieta szła Sześćdziesiątą Piątą Ulicą na zachód, a jakiś mężczyzna, który przypadkiem zmierzał w tym samym kierunku, zauważył ją. Zawahał się na jej widok, nie żeby skryć się w cieniu, nie żeby ona go nie zobaczyła, ale by nacieszyć oczy gibkim ciałem, gdy będzie go mijało, by z uśmiechem popatrzeć na błyszczące włosy. On ją po prostu podziwiał. A że poszedł w tę samą stronę? Cóż, każdy na ulicy musi iść albo na zachód, albo na wschód, na północ albo na południe. To było spotkanie bez znaczenia.

Nie po raz pierwszy moja wybujała wyobraźnia usiłowała przekształcić niewinny epizod z pięknego wiosennego dnia w zapowiedź nadciągającego zagrożenia.

Dokąd idziesz? Kiedy wrócisz? - pytałam swoją matkę, a ona uśmiechała się, przeciągała dłońią po moich włosach i obiecywała, że niedługo. Znowu zostawałam sama, zastanawiając się, czy tym razem moja matka mówi prawdę czy kłamie.

Aż odeszła na dobre.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Policjanta, który miał się ze mną spotkać w kostnicy, jeszcze nie było, usiadłam więc w korytarzyku, usiłując nie wdychać wiszącej w powietrzu woni środków antyseptycznych, tego zwiastuna śmierci i tajemnicy.

Aż do tej wiosny moi pacjenci nie umierali.

Choć zajmuję się sercem, głową i narządami płciowymi, nie używam skalpela ani piły. Nigdy nie rozcinałam zewnętrznej powłoki skóry, potem tłuszczu i mięśni, by odkryć guza, którego trzeba usunąć, pęknięcie, które trzeba zszyć, albo żeby chirurgicznie zmienić czyjś wygląd. Nigdy nie zanurzałam rąk w czyimś brzuchu, by wyłonić tętniący narząd, nie czułam ciepła krwi tryskającej z rany.

Ja, posługując się słowami, wydobywam sekrety, których uczymy się strzec przed ludźmi, i - co nawet trudniejsze - sekrety, których strzeżemy przed nami samymi, ukryte równie głęboko jak kula tkwiąca w kości.

Nigdy nie podpisałam aktu zgonu ani nie musiałam wyjść do poczekalni, by spojrzeć w twarze wyczekujących, zdenerwowanych członków rodziny, wbrew logice chwytających się nadziei, że mogą uratować życie kochanej przez nich osobie.

Mój gabinet nie jest szpitalną klitką i nie śmierdzi środkami dezynfekującymi. Ja pracuję w okazałym budynku z przełomu wieków na Upper East Side na nowojorskim Manhattanie. Klasyczna bryła i elegancka fasada domu zupełnie nie wskazują na to, że za jońskimi kolumnami i kutą żelazną bramą znajduje się najnowocześniejsza poradnia seksuologiczna w kraju.

Niewielka mosiężna tablica na zewnątrz budynku zdradza nazwę mieszczącej się w nim instytucji, ale nic więcej: Instytut Butterfielda.

Przeciągając palcem po czarnych pochyłych literach wyrytych głęboko na metalowej płycie, czuje się ostre krawędzie. Czy można by się o nie skaleczyć do krwi? Raczej nie, ale gdyby nawet nikt z nas w środku nie mógłby zaofiarować niczego więcej niż plaster z opatrunkiem.

Na mosiężnym prostokącie widnieją tylko te dwa słowa. My się nie reklamujemy. Nie dlatego, że wstydzimy się tego, co robimy - każdy z nas mógłby pracować dwa razy więcej godzin, a i tak nie przyjąłby wszystkich pacjentów, którzy czekają w kolejce na wizytę - lecz dlatego, że szanujemy prywatność naszych pacjentów: ich sekrety są naszymi sekretami.

W środku, w wyłożonym marmurową posadzką foyer, kryształowy żyrandol rzuca połyskujące światło na część recepcyjną. Młoda kobieta siedzi za bogato zdobionym biurkiem na złożonych lwich łapach. W głębi za jej plecami widać marmurowy kominek, masywny stiukowy gzyms pod sufitem i jeszcze jeden żyrandol. Piętro wyżej są nasze gabinety.

Wiosną za swoim oknem miałam kwitnące drzewa. Widziałam, jak z różowawych, zwiniętych ciasno pączków rozwijają się bujne, olśniewające kwiaty, jak stopniowo ich płatki brązowieją na brzegach i więdną. To było cudowne powolne uwodzenie, ale drzewa wypuściły liście i spektakl się skończył. A teraz jestem w kostnicy.

- A kuratorka sądowa Sheby Larcher? - zapytałam agenta Dignazio, kiedy wprowadził mnie do zimnego, wyłożonego kafelkami pomieszczenia. - Dlaczego jej pan nie wezwał?

- Jest poza miastem. Doktor Snow, nie zwrócilibyśmy się do pani, gdybyśmy mieli jakieś inne wyjście.

Laborant w zielonym fartuchu wyciągnął metalową szufladę. Kształt pod bladoniebieskim prześcieradłem wydał się tak mały, bardziej wielkości dziecka niż dorosłego. Lekarz sądowy chwycił róg prześcieradła i je odchylił.

Nie popatrzyłam na nią od razu. Musiałam się przemóc, żeby odwrócić głowę, podejść bliżej, spojrzeć.

Sheba miała zaledwie dwadzieścia lat. Była tylko o osiem lat starsza od mojej córki, ale postarzała się w taki sposób, że modliłam się, aby moja córka nigdy tego nie doświadczyła. Ta dziewczyna, mimo przejść, wciąż była bardzo ładna. Z jej oczu nadal błyskała nadzieja, gdy rozmawialiśmy o tym, jak porzuci Nowy Jork i znajdzie inny sposób na zarabianie.

Odwróciłam wzrok. Nie byłam w stanie patrzeć na nią dłużej.

- Tak, to ona - powiedziałam lekarzowi.

I nagle w tym odorze antyseptyków wyłowiłam inną woń. To nie był zapach kwiatowy - nie przypominał kobiecych perfum - lecz ciężki i jakby słodkawy. Dosłownie po sekundzie ostrzejsza, drażniąca woń przytłumiła go z powrotem.

Po raz ostatni widziałam Shebę w lutym. W więzieniu. Cztery dni później miała wyjść na wolność. Powiedziała, że matka przysłała jej pieniądze na powrót do domu, do małego miasteczka w Wirginii Zachodniej, że zdecydowana jest porzucić marzenia, które przywiodły ją do Nowego Jorku. Ale na wszelki wypadek zostawiłam jej swój telefon i adres. Prosiłam, żeby w razie potrzeby skorzystała z jednego bądź drugiego.

Przez pięć ostatnich lat przychodziłam do swojego bladożółtego gabinetu pięć razy w tygodniu, siadałam w wygodnym fotelu, po prawej stronie mając boczny stolik, na którym spoczywała popielniczka z agatu oraz niepozorny zegar, i patrzyłam przez pokój na tego lub innego pacjenta. Wydobywałam sekrety i słuchałam z

największą uwagę zwierzeń po to, bym mogła pomóc wyleczyć ich seksualne urazy i zintegrować ten aspekt ich osobowości z całą resztą, pogodzić miłość z pożądaniem, ustalić równowagę między tym, kim są, a tym, kim chcieliby być, odzyskać namiętność po żalu albo stracie, albo ciąży, albo rozwodzie, albo utracie poczucia własnej wartości, radzić sobie zarówno z obsesjami, jak i marzeniami.

I nikt, kto zwrócił się do mnie o pomoc, nie zginął z powodu moich rad. Aż do tej wiosny.

Aż do tej wiosny nie widziałam żadnego z moich pacjentów na szpitalnym wózku. Bez oddechu. Po raz ostatni spojrzałam na woskową twarz kobiety, z którą pracowałam - cała witalność, która ją rozświetlała, była już tylko moim wspomnieniem.

Zbieracze motyli łapią je żywe i duszą. Potem ostrożnie, z precyzją i jakąś obsesyjną pasją, przyszpilają te cudowne stworzenia i wystawiają na pokaz, by w stanie martwym mogły być podziwiane. Chociaż nie mogą trzepotać skrzydłami i latać, ich barwy lśnią pełnym blaskiem w przeszklonych grobowcach. Nawet po śmierci te istoty zachowują coś ze swej świetności.

Sheba nie zachowała niczego. Już nie błyszcziała. Jej włosy były matowe, skóra ziemista, policzki bezkrwiste. Ona miała nigdy więcej nie załśnić.

Zaczęłam pracować z prostytutkami w więzieniu, kiedy robiłam doktorat. Nie byłam tak naiwna, by wierzyć, że mogę je wszystkie uratować. Większość wracała do swoich alfonsów albo kont e-mailowych, albo gorzej, na ulicę. Ale tak, robiłam, co mogłam. Mając nadzieję, że niektórym uda się z tego wyrwać.

Niektórym.

Zwróciła się o pomoc, więc pojechałam do niej. Zaprosiła mnie z myślą o tym, co ją czeka. Chciała zmienić swoje życie, liczyła, że

pokaże jej światelko w tunelu i pomoże uwolnić się od przeszłości. Nic z tego nie miało się wydarzyć. Nigdy. Ona była stracona. Dla wszystkich, którzy ją znali. Dla swoich możliwości. Dla swojej nadziei.

Była jedną ze straconych dziewczyn.

Nie pierwszą, którą próbowałam ocalić i którą zawiodłam.

I na pewno nie ostatnią.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwadzieścia minut później byłam z powrotem w swoim gabinecie. Siedząc przy biurku, myślałam o sztywnym, bladym ciele, kiedy w drzwiach zobaczyłam głowę Niny.

- Morgan?

Zaskoczona, odwróciłam się gwałtownie.

Doktor Nina Butterfield, właścicielka instytutu, moja mentorka, moja matka chrzestna i przyjaciółka, stała w progu gabinetu.

- Dobrze się czujesz? - zapytała. Skinęłam głową.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Ciągle widziałam jakieś duchy i ona dobrze o tym wiedziała. Odpowiedź była zbyteczna. To też wiedziała. Powiedziała coś, by wypełnić ciszę, żebyśmy mogły zostawić to za sobą.

Jakby to było możliwe. Nigdy nie będę w stanie zostawić tego za sobą.

- Papiery podpisane? - spytała, mając oczywiście na myśli rozwód.

Przytaknęłam.

- No, miałyśmy wyjść na lunch, prawda? - Przyglądała mi się uważnie, jak zawsze. - Miałaś nadzieję, że zapomniałam. Wcale mnie to nie dziwi. Nie chcesz rozmawiać o rozwodzie, a wiesz, że cię do tego zmuszę. Roześmiałyśmy się obie.

Kiedy Nina się śmiała, zupełnie nie wyglądała na swoje sześćdziesiąt dwa lata. Miała miedziane włosy do ramion, cerę w ciepłym odcieniu karmelu i jasne bursztynowe oczy, którymi potrafiła przeszyć człowieka na wylot i skłonić do odwrócenia wzroku. Jej rzeźbione rysy u mniej zmysłowej kobiety wydawałyby się dość męskie. W miodowobrazowym żakiecie, czarnych spodniach i rdzawej

jedwabnej bluzce wyglądała jak profesjonalistka, ale sympatyczna i na luzie.

I taka była. Najbardziej elastyczna w podejściu do życia kobieta, jaką znałam. O wielkim sercu i błyskotliwym umyśle. Sfrunęła do mnie i rozpostarła nade mną opiekuńcze skrzydła, kiedy byłam zbyt mała, by wiedzieć, jak bardzo się boję i jak bardzo jej potrzebuję.

Teraz każdego dnia byłam wdzięczna za to, że znalazła się w moim życiu. Dała mi wsparcie i pomogła znaleźć własną drogę. Właściwie traktowała mnie jak córkę. Mimo że miała w sobie wiele matczynego ciepła i silny instynkt opiekuńczy, Nina nie została matką. Mówiła, że dzięki mnie i mojej córce nigdy tego nie żałowała. Że my byliśmy jej rodziną.

- Zbieraj się, mamy zarezerwowany stolik.

- Zarezerwowałeś stolik?

Zwykle w przerwie na lunch spacerowałyśmy po mieście. Wychodziłyśmy razem niekoniecznie po to, by coś zjeść, ale po prostu wyjść z instytutu i spędzić ze sobą trochę czasu. Włóczyłyśmy się po całym Manhattanie, często bez konkretnego celu. Byłyśmy niczym dwie pielgrzymujące kobiety nie szukające miejsca kultu, tylko potrzebujące tej wolnej godziny, by pobyc razem.

Spacerowałam z Niną od dziecka. Ona była najlepszą przyjaciółką mojej matki - poznały się w czasie studiów na Uniwersytecie Nowojorskim i mieszkały w sąsiednich pokojach w akademiku w Greenwich Village.

Po śmierci mojej matki, kiedy miałam osiem lat, Nina natychmiast zajęła się mną, nie próbując mi jej zastąpić - wiedziała, że nikt nie może tego zrobić - ale przynajmniej być przy mnie z pomocną dłonią, otwartymi ramionami i sercem. I nawet kiedy mój ojciec powtórnie się ożenił, pozostała najważniejszą kobietą w moim życiu.

Wzięłam torebkę i wyszłam z Niną na korytarz. Przystanąła na szczycie schodów, objęła mnie i uścisnęła. Orientalny, korzenny zapach jej perfum był tak znajomy; zamiast pobudzać, działał na mnie kojąco dzięki swojej niezmienności. Zwłaszcza tamtego dnia cieszyła mnie świadomość, że pewne rzeczy pozostają takie same.

- Właściwie to łatwiejsze, niż przypuszczałam - zauważyłam, kiedy zdjęła rękę z mojego ramienia.

- Cieszę się. - Wyczułam z jej głosu, że nie wierzy w ani jedno moje słowo, ale przynajmniej przez chwilę pozwoli mi się zgrywać.

Nina wiedziała dużo lepiej niż ja, jakim przeżyciem jest rozwód. Miała za sobą trzy.

- Rzeczywiście nie wyglądasz, jakbyś wylała dziś morze łez.

- Nie miałam czasu. - I wtedy opowiedziałam jej o Shebie Larcher i swojej wyprawie do kostnicy.

W restauracji Nina zamówiła dla nas obu po kieliszku szampana, a ja nie protestowałam. Ona zawsze piła szampana, a mnie po tym, co widziałam godzinę wcześniej i po telefonie od mojego adwokata, aperitif mógł dobrze zrobić.

Podniosła swój kieliszek.

- Wiem, że wciąż się dręczysz z powodu rozwodu, ale wybrnęłaś z tego najlepiej, jak mogłaś. Naprawdę jestem z ciebie dumna.

Tak, rozwód mógł się ciągnąć o wiele dłużej, mógł się zamienić w piekło i zranić naszą córkę jeszcze bardziej, niż to już się stało, ale Mitch i ja bardzo staraliśmy się tego unikać.

- Niewiele mogę poradzić na to, co przeżywa Dulcie, ile to wszystko ją kosztowało. Próbowałam tylko nie pogorszyć sytuacji - powiedziała.

- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Masz silną córkę i eksmeża, który jest dobrym przyjacielem. Teraz już nic nie może być gorzej, zacznij być coraz lepiej.

Kiwnęłam głową.

- Wspólna opieka sprawdza się, odkąd jesteście w separacji. Dulcie potrzebuje was obojga. Morgan, ja ją widziałam. Wiem, że sobie poradzi. Każde dziecko z czymś się zmagają. Ona też będzie miała swój problem, ale dzięki temu, w jaki sposób ty i Mitch z tego wybrnęliście, będzie się czuła mniej rozdarta niż mnóstwo dzieci w jej sytuacji.

Opieka nad dzieckiem była jedyną sprawą, o którą chciałam walczyć. Podczas separacji Dulcie spędzała dwa weekendy w miesiącu i jeden pełny tydzień z Mitchem, w jego mieszkaniu na drugim końcu miasta. Znosiła to dobrze, a Mitch chciał, żeby tak zostało. Ja nie.

Chciałam zatrzymać swoją córkę, mieć ją u siebie każdego dnia i każdej nocy. Nie żeby odsunąć od niej Mitcha, ale żeby mieć ją przy sobie, bo kiedy Mitch po nią przyjeżdżał i zabierał ją do siebie, coś we mnie pękało. Przez kilka minut po jej wyjściu ledwie mogłam oddychać. Rozłąka z nią była najboleśniejszym uczuciem, jakiego doznałam w dorosłym życiu. Jeśli można kochać kogoś za bardzo, to właśnie coś takiego czułam do Dulcie.

A jednak, kiedy rozsądek brał górę nad emocjami, zdawałam sobie sprawę, że Mitch ma takie samo prawo jak ja spędzać czas z naszą córką. To był mój problem, że nie mogłam znieść myśli, że tracę ją z oczu.

- On jest dobrym ojcem - powiedziałam, pociągając z długiego kieliszka łyk szampana.

- Jest wspomniałym ojcem - poprawiła mnie Nina.

- Tak, jest wspomniałym ojcem.

- Nie mogłaś zrobić nic innego. To nie była twoja wina. Niczyja wina.

Potaknęłam skinieniem głowy.

- Staralaś się, jak mogłaś. Ale kontynuowanie waszego małżeństwa nie miało sensu.

- Dla mnie miało. Byłam całkowicie zadowolona z naszego życia. Mitch jest moim przyjacielem. Mamy Dulcie. Mnie to wystarczało. - Trwałam przy swoim, ale Nina nie wypominała mi westchnień, irytacji czy znudzenia.

- Wiem, skarbie. - Urwała i upiła trochę szampana. - Niektórym ludziom to wystarcza, innym nie.

- Miałam tylu pacjentów, których małżeństwa o- stygły. Mąż uważał, że żona za bardzo angażuje się w pracę. Seks stał się nudny. Pomogłam tym parom wytrwać w związku albo się rozstać. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy... Nina, rzecz chyba w tym, że ja się czuję jak ostatnia nieudacznica.

- Nie jesteś nieudacznicą. Wy oboje nie wydobyliście z siebie nawzajem tego, co najlepsze - poza wszystkim, co dotyczy Dulcie.

- On mówi, że kiedy jest ze mną, czuje tylko moją mroczną stronę, tę, która jest związana z problemami moich pacjentów. Ze jego też traktuję jak pacjenta z problemem do rozwiązania. - Powtarzałam to, myślałam o tym, miałam na tym punkcie obsesję, i rozmawiałam o tym z Niną wcześniej. A jednak musiałam powiedzieć to jeszcze raz. - Ale moja osobowość to nie tylko mroczna strona, prawda?

- Zgadza się. To, że Mitch odbiera tylko ten jeden aspekt twojej natury, to w równym stopniu jego problem, jak twój. Mężczyzna o innej psychice dostrzegłby wszystkie pozostałe. Wiesz o tym. Musisz tylko dać szansę komuś innemu, żeby ci to pokazał.

Wzięłam do ręki menu. Rozmawianie o tym przyprawiało mnie o mdłości.

Próbowałam sobie z tym poradzić. Chodziłam na terapię indywidualną, potem na terapię małżeńską z Mitchem. Nie byłam w stanie się z tym uporać. Oboje nie byliśmy w stanie tego zrobić. I tyle.

Idąc za moim przykładem, Nina zaczęła przeglądać menu.

- Ja poproszę sałatkę nicejską - powiedziała, kiedy zjawił się kelner.

- Dla mnie sałatka z zapiekany kózim serem.

Kelner odszedł.

- Znów masz to w oczach, Morgan.

- Co?

- To spojrzenie z serii: „Powinnam się lepiej starać”.

- Nie. To jest spojrzenie z serii: „Więc tak się porobiło z twoim życiem”.

Wymieniłyśmy smętne uśmiechy.

- Jak na dwie kobiety, które zawodowo pomagają ludziom w rozwiązywaniu problemów seksualnych, jesteście dość żałosne.

Roześmiałyśmy się.

- Żeby się lepiej poszczęściło następnym razem - podsunęła Nina.

Stuknęłyśmy się kieliszkami. Ona wypila łyk, ja swój kieliszek trzymałam w powietrzu.

- Chcesz następnego razu? - zapytałam.

- Czasami tak. Kiedy indziej... nie jestem pewna. - Potrząsnęła głową.

- Wiem.

- Ale jeszcze obie będziemy chciały.

- A musimy? Życie jest naprawdę dużo łatwiejsze, jeśli się przyjmie, że romantyczny związek nie wchodzi w grę.

Parsknęła śmiechem.

Dostarczono nasze sałatki. Zanurzyłyśmy widelce w przyzmacz zielonych liści, atakując je z niemal drapieżną zachłannością.

- Wolność to tylko jeszcze jedno słowo oznaczające samotność - zauważyła.

- Ale być samotnym znaczy nie musieć traktować ulgowo cudzych felerów.

- A to z kolei znaczy nie musieć po nikim sprzątać. Nina długo mogłaby o tym mówić.

- Seks, miłość, małżeństwo, pociąg seksualny, fantazja, flirtowanie i uwodzenie są problemami wszystkich ludzi, przynajmniej dzisiaj. - Nadziałam na widelec następny liść sałaty.

Nina objęła wargami oliwkę i zeszkrobała zębami miąższ.

- Namietność jest passe - powiedziała. A potem z gracją odłożyła pestkę na brzeg talerza i równie taktownie nie wspomniała, że po moich policzkach płyną łzy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dla większości ludzi był to koniec dnia, ale nie dla detektywa Noaha Jordaina i jego partnera Marka Pereza. Tana Butler, trzydziestokilkuletnia funkcjonariuszka policji, specjalistka od dostrzegania rzeczy, które umykały uwadze innych ludzi, właśnie przybyła ze swym raportem, i cała trójka zabierała się do roboty. Wieczór się dopiero zaczynał.

W kącie pomieszczenia na zdezelowanym stoliku parzyła się w dzbanku kawa, a Jordain stał nad nią, czekając niecierpliwie z kubkiem w ręku.

- Problem z pokojem hotelowym... - mówiła Tana, kiedy Jordain gwałtownie uciał.

- Dobra, możesz sobie darować. Masz za dużo śladów, żeby ustalić, które mają coś wspólnego z naszym sprawcą i setką gości czystych jak lza - powiedział w charakterystyczny powolny, nowoorleański sposób.

Tana Butler pokiwała głową.

- A jest cokolwiek, co można wyluskać? Pod jej paznokciami? W ustach, na miłość boską? - spytał Perez, prawie krzyżąc.

Każdy, kto pracował z Jordainem i Perezem, szybko się orientował, że choć obaj byli w pełni skuteczni, stanowili swoje przeciwieństwa. Perez miał gwałtowny temperament i domagał się konkretnych ustaleń jeszcze przed zebraniem dowodów. Jordain był dokładny, analityczny aż do przesady. Do tego stopnia, że można by mu zarzucić opieszałość.

Obaj razem - jeden niefrasobliwy, drugi impulsywny - wzajemnie się uzupełniali.

Tana przerzuciła swoje papiery.

- Nie, Mark. Przykro mi. Oczywiście, są ślady włókna pod paznokciami: z dywanu, z habitu, różne pozostałości z pokoju. Nic znaczącego. Resztki mydła. Tego, które wykląda hotel. Wzięła kąpiel albo prysznic w łazience. Albo przed jego przyjściem, albo kiedy już tam był.

Jordain chodził po pokoju.

- Więc wiemy, że albo chciała być czysta, albo on chciał, żeby była czysta.

- Aż tyle wiemy! No to cholerni z nas szczęściarze, co?

Jak zawsze, gdy jego partner przesadził z sarkazmem, Jordain rzucił Perezowi spojrzenie z ukosa. Perez to zauważył, wstał, chwycił puszkę dietetycznej coli i otworzył. Był uzależniony od tego napoju, ale nie bardziej niż Jordain od zaprawionej cykorią kawy, którą pijał od rana do późnej nocy.

- Różaniec? Habit zakonniczy? - spytał Jordain.

- Pracujemy nad tym.

- Cieniutko, Tana - mruknął Perez. - Wiesz, że potrzebujemy świeżego tropu. Pierwsze czterdzieści osiem godzin...

- A hotelowe kamery? Co z kasetami? - Jordain umyślnie przerwał swojemu partnerowi. Tana jest fachowcem i nie zasługuje na to, by robić jej wykład tylko dlatego, że jej ludzie jeszcze na nic nie wpadli.

Perez pociągnął następny łyk coli.

- Jak idzie praca nad kasetami? - zapytał Jordain. Tana zajrzała do leżącego na stole raportu.

- Ta sama historia. Zatłoczony hol recepcyjny wśród miejskiego hotelu. Setki wchodzących i wychodzących ludzi. Ona zameldowała się o wpół do szóstej. Zmarła o drugiej nad ranem. On mógł wjechać na górę o każdej porze, powiedzmy o północy. - Pokręciła głową. - Z

mniej więcej setką innych ludzi. Na kasetach mamy tysiące ujęć głowy, głównie od tyłu.

- Dlaczego ci idioci ustawiają kamery w takich miejscach? - zapytał Perez.

- To jeszcze nic, detektywie. Jak prawie we wszystkich hotelach, system jest przestarzały. Jakość zdjęć jest fatalna.

Jordain westchnął i odsunął kubek z kawą, potem przysunął go z powrotem i wypił długi łyk.

- Nie lekceważmy tych kaset. Chcę mieć zdjęcia wszystkich mężczyzn, którzy weszli do którejkolwiek z wind. Albo wyszli. Teraz może nam to nic nie dać, ale jeśli facet jest recydywistą, chcę być przygotowany.

- Jest jedna rzecz - oznajmiła Tana. Obaj mężczyźni skierowali na nią wzrok.

- Nic wielkiego. Ale to wyglądało, jakby dziewczyna przyjęła ostatnie namaszczenie.

- Szczegóły? - spytał Jordain. To było najczęściej powtarzane przez niego słowo. Niektórzy młodszy gliniarze, nie znający Jordaina na tyle, by traktować go z takim respektem jak większość ludzi, nazywali go Detektywem Szczegółowym. Oczywiście za plecami, ale Jordain o tym wiedział, i nic sobie z tego nie robił.

Diabeł siedzi w szczegółach, uczył go ojciec. Tam znajdziesz rozwiązanie sprawy.

- Miała płamę oliwy na czole i...

- Obaj jesteście dobrymi katolikami - powiedział Perez. - Wiemy, że księża używają oliwy. Błogosławiona oliwa.

Tana zignorowała jego sarkazm i czytała dalej swoje notatki.

- I tuż przed śmiercią wypila niewielką ilość czerwonego wina.

Jordain wstał, by dolać sobie kawy.

- Sakrament? Archidiecezja nie będzie zachwycona. Ale musimy do nich zadzwonić.

- To ksiądz? Ksiądz zrobił jej coś takiego? - mruknał pod nosem Perez. - Kiedy byłem dzieciakiem, w kościele nie było żadnych skandali. Nikt nie mieszał sacrum z profanum. A jeśli już, to było to tak dobrze ukrywane, że nigdy nie wychodziło na światło dzienne. Teraz w wiadomościach ciągle są jacyś księża. - Pod-
szedł do okna.
- Myślisz, że ten zboczeniec jest księdzem?

- Nie wiem. Możliwe. Ale równie dobrze to może być ktoś, kto był księdzem. Albo ktoś, kto chce, żebyś- my myśleli, że jest księdzem.

- Okej, do roboty. Szukamy faceta. Powiązania religijne. Strefa nowojorskiego metra. Tacy na ogół nie oddalają się za bardzo od domu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ponieważ padało, kiedy wychodziłam z pracy, zatrzymałam taksówkę i zanim otworzyłam drzwi, wzięłam do ust miętowy cukierek.

Mam bardzo wrażliwe powonienie, a taksówki bywają przesiąknięte wieloma stęchłymi zapachami. Miętówka w ustach sprawia, że większość z nich dość skutecznie się rozmywa.

Podaliśmy kierowcy adres mojego mieszkania na rogu alei Madisonsa i Osiemnastej Ulicy, a potem otworzyłam aktówkę i wyjęłam pakunek, który dała mi Cleo.

W szarej kopercie znajdował się gruby tekst autorski, wydrukowany na kartkach do skoroszytu, spięty w całość błyszczącymi mosiężnymi ćwieczkami.

Papier miał świeży, atramentowy zapach dziewiczego egzemplarza. Cleo musiała go wydrukować nie wcześniej niż poprzedniego dnia, bo zapach atramentu nie utrzymuje się dłużej niż dobę.

Wyczułam też inną woń, ale nie potrafiłam określić, co to może być.

Zamknęłam oczy i wciągnęłam w nozdrza powietrze. Mentol.

Niezbyt mocny, ale wyraźny.

Cleo Thane

Z miłości lub dla pieniędzy

Rozdział pierwszy

Pokój w pięciogwiazdkowym hotelu. To mógłby być którykolwiek z luksusowych pokoi hotelowych w którymkolwiek z amerykańskich

miast, które mają takie hotele. Minimum czterysta dolarów za noc. Czasami pięćset. Często sześćset. Tak więc dywan jest gruby, mięsista pościel sprowadzona z Francji albo Włoch, gęstość splotu tych tkanin jest porównywalna z ceną pokoju.

Jest noc. Mrok rozświetla tylko lampka na biurku. Zaciągnięte zasłony, ciężkie i kosztowne, opadają na podłogę.

Tapeta na ścianach jest bladoniebieska z drobnym wzorem w karo. Meble bogato zdobione ze złoceniami. Mężczyzna ma mniej więcej czterdzieści dwa lata, ciemne włosy zaczesane do tyłu i lekkie zakola. Jest w przyzwoitej kondycji. Widać to, bo jest prawie nagi. Ramiona ma muskularne - zapewne w każdy weekend gra w tenisa i co najmniej dwa razy w tygodniu chodzi na siłownię. Leżąc z rękami w niewygodnej pozycji nad głową, odruchowo napina mięśnie. Ma szerokie barki. Jędrną skórę. Lekką opaleniznę. Dziwisz się, że dobrze wygląda, prawda? Ona nie. Ona zwilża językiem wargi, nie w celu prowokacji, tylko dlatego, że będą jej potrzebne wilgotne usta, a potem pochyla się tak blisko nad jego twarzą, że mógłby ją pocałować.

Ale oni nie bawią się w romans. To jest sztuka uwodzenia. Inna bajka.

- Wystarczająco wilgotne? - ona pyta jego. On kręci głową.

Ona zwilża usta bardziej.

- A teraz?

On kiwa głową.

- Nie ruszaj się.

- Dobrze.

- Tylko na pewno. Wiesz, że jeśli się poruszysz, przestanę.

Znów kiwa głową. Ale porusza się, wyciąga nieco skrepowane nogi, związane sznurem w kostkach.

Związany mężczyzna czeka, by ona pochyliła się nad nim i zaczęła ssać jego sutki. Najpierw czuje, jak koniuszki jej włosów

łaskoczą jego gładki tors. Jest niecierpliwy, chce unieść tułów, ale wie, że jeśli to zrobi, ona każe mu czekać dłużej. A tego nie chce.

Dźwięk mokrych warg na jego ciele jest melodią, za którą jej płaci. Wypełnia mu uszy. Mężczyzna zamyka oczy. Jej język wiruje po jego skórze, zęby delikatnie skubią. Mięśnie pleców ma napięte i czuje żar płynący od czubków palców ku łokciom, do torsu, i wędrujący w dół, na spotkanie z żarem, który płynie w górę nóg. Wszystko łączy się w martwym punkcie ciała w jego erekcję.

Teraz ona wachluje włosami jego tors. Unosi twarz, by widział, jak jeszcze raz oblizuje wargi, potem znów się pochyła i bierze do ust drugi sutek. Przysysa się do niego jak wygłodniałe niemowlę, a on nawet nie zdaje sobie sprawy, tak bardzo jest skupiony na jej ssaniu, że wypływa z niego innego rodzaju mleko - wytryskuje łukiem, mocząc mu pierś, a także jej ramię i kark.

Ona to czuje i powoli wypuszcza z ust jego sutek. Prostuje się, wciąż uśmiechnięta. Sztuką jest efektowne zakończenie. Ona nie wstaje tuż po tym, jak mężczyzna miał wytrysk, i nie mówi: „Okej, zrobione, to ja już spadam”.

Ona postępuje z finezją do końca spotkania, nie przerywając złudnego snu. Jest poetką, i nawet jeśli tworzy niepokojącą poezję pełną odstręczających obrazów, które przyprawiają pewnych ludzi o mdłości, musi skończyć dzieło. Musi napisać ostatnią zwrotkę.

W końcu ten mężczyzna zapłacił za wieczór w ekskluzywnym hotelu. I płaci za wieczory jak ten od dwóch lat. Jest synem właściciela potężnego imperium medialnego. Jest tam drugi po Bogu i jego zdjęcie widnieje na okładce sprawozdania rocznego obok zdjęcia jego ojca.

Ona o tym wie, bo w zeszłym roku dostała od niego premię w postaci pakietu akcji tej firmy, a dwa miesiące temu przysłał jej pocztą sprawozdanie. Mimo wahań na giełdzie, akcje wzrosły.

Może przynajmniej zostać jeszcze trochę, zjeść coś albo wypić i wyrazić swoją szczerą wdzięczność. Bo ten mężczyzna lubi się popisywać i przechwalać. Chętnie jej opowiada o działalności firmy, żeby zrobić na niej wrażenie. Ona więc pyta, rozwiązując węzeł:

- Jak tam interesy?

- Ruszamy z nowym magazynem - mówi Clark Kent, kiedy ona uwalnia jego lewą rękę.

To nie jest jego prawdziwe imię i nazwisko, ale tak go nazwała. Po supermanie, po pewnym pocziwym reporterze, który jest inny, niż mu się wydaje.

- Jest skierowany do kobiet, które nie zamierzają rezygnować z aktywności zawodowej bez względu na to, ile mają dzieci.

Zdejmuje sznur z jego prawej kostki.

- Według statystyk demograficznych to jest największa część siły roboczej.

Węzeł na jego lewej kostce trudniej jest rozsupłać.

- Zastanawialiśmy się nad okładką ze zdjęciem.... - Podaje nazwisko znakomitości, którą widziała w telewizji. - Ale wpadłem na pomysł, żeby zrobić okładkę z mylaru, takiej folii poliestrowej, aby każda kobieta, która weźmie do ręki ten magazyn, zobaczyła siebie.

Jest już wolny, siada na łóżku i sięga po nieskazitelnie biały frotowy szlafrok, który należy do wyposażenia pokoju.

- Masz ochotę na drinka? - pyta ona.

On odpowiada skinieniem głowy.

Ona przyrządza jego ulubione dry martini w sposób, jaki podpatrzyła u służby hotelowej, potem rozmawia z nim o sprawach biznesowych, pomagając mu zapomnieć, że ona wie o jego sprawach osobistych takie rzeczy, o których wolałby, żeby nie wiedziała.

W taki oto sposób zarabiała na życie ostatniego wieczoru.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zamknęłam wydruk książki. Czułam gęsią skórkę na plecach. Tak głęboko pochłonęło mnie to, co czytałam, że przez moment nie wiedziałam, gdzie jestem. Cleo ściągnęła mnie do tamtego pokoju hotelowego. Miałam w ustach sutki jej klienta. Czułam, jak napina mięśnie. I to mnie krepowało.

Spojrzałam w okno i zobaczyłam, że jesteśmy już przy Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy. Deszcz ustał, zostawiając po sobie lśniące chodniki i ziemisty zapach wilgoci.

Zwykle wykorzystywałam czas, jaki zabierał mi powrót do domu, na przeistoczenie się z terapeutki w matkę Dulcie. Swoją drogą, wyjście z roli zawodowej i przestawienie się na macierzyństwo zawsze przychodziło mi wolniej, niżbym chciała. Być może dlatego, że macierzyństwa musiałam się nauczyć z drugiej ręki.

Niektóre kobiety stają się taką matką, jaką była ich matka. Ja nie miałam tego luksusu. Nawet kiedy moja mama jeszcze żyła, nie była tego typu rodzicem, jakim chciałam być ja. Nie odziedziczyłam żadnej mapy drogowej; do wszystkiego dochodziłam po omacku. Ileż to razy budziłam się rano z myślą, że dzisiaj pójdzie mi dobrze. Robiłam to od tak dawna, że powinnam była sobie spokojnie radzić. Dzisiaj wszystko potoczy się gładko, mówiłam sobie. Ale nie zawsze się udawało.

Dlaczego musiałaś odejść tak wcześnie? Nie byłam przygotowana. Byłam za młoda. Dlaczego nie mogłaś ze mną zostać do... do kiedy? Nie ma dobrego czasu na to, żeby stracić matkę.

Jakaś część mnie zawsze bacznie obserwowała z lotu ptaka kobietę, którą byłam ja sama: bawiącą się w teatr ze swoją córką, oceniającą, pełną wątpliwości, porównującą tę matkę z inną, która nie

stała tak mocno na własnych nogach, i córkę, która zbyt szybko dorosła.

Taksówka podjechała do krawężnika.

Wepchnęłam wydruk z powrotem do koperty, wsadziłam ją pod pachę i sięgnęłam do bocznej kieszeni torebki po portfel.

Piętnaście minut później siedziałam w kuchni, pijąc mrożoną herbatę, gdy usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Mignęły mi niebieskie dzinsy i biała bluzka, kiedy Dulcie mijała kuchnię w drodze do swojego pokoju.

- Skarbie? Jestem tu...

Zawróciła, weszła do środka i rzuciła na podłogę plecak. Zauważyłam od razu, że ma zabandażowaną rękę.

- Co się stało?

- Nic takiego. Oparzyłam się.

Wstałam z krzesła i podeszłam do niej.

- W jaki sposób?

- Głupia gorąca zupa w stołówce. Gretchen się potknęła i jej zupa pomidorowa wylądowała na mojej ręce.

- Pokaż.

Kiedy podniosła rękę, zobaczyłam plamy krwi na jej białej bluzce. Zauważyła mój przestraszony wzrok.

- Mamo?

- To jest krew?

- Zupa. Przecież ci powiedziałam. Pomidorowa zupa Gretchen.

Nie rób z tego sprawy, dobrze?

Zignorowałam jej rozdrażniony ton. Moja córka była w takim wieku, że każdy, choćby najbardziej powściągliwy przejaw mojej troski uważała za zbyt natrętny.

Pochyliłam się, by sprawdzić opatrunek.

- Boli?
- Nie.
- Nie?

- Bolało trochę na początku. Ale nie na tyle, żebym się rozryczała. To zwykłe oparzenie.

- Okej. - Objęłam ją ostrożnie, uważając na rękę. Pozwoliła się na chwilę przytulić, a potem się cofnęła. Odsunęłam jej z czoła grzywkę, zatrzymując palce w jej włosach chwilę dłużej, niż to było konieczne.

Podeszła do lodówki.

Dwunastoletnia Dulcie wciąż miała płaskie piersi i wąskie biodra, ale w oczach dorosłe spojrzenie, które pojawiło się pół roku wcześniej, a wraz z nim przejawy zniecierpliwienia wobec mnie. Nie byłam pewna, czy to tylko sprawa jej wieku, czy reakcja na separację rodziców, czy jedno i drugie.

- Może powinnyśmy pójść do doktora Kulicka, żeby obejrzał twoją rękę.

- Po co? Naprawdę nic mi nie jest. - Otworzyła jogurt z jagodami, puściła drzwi lodówki, które zamknęły się z hukiem, i wyjęła z szuflady łyżeczkę. - Mam dla ciebie kartkę od pielęgniarki - powiedziała między jednym łykiem a drugim.

Pogrzebała w plecaku i wyjęła zmięty kawałek papieru z przypiętą do niego receptą.

Przeczytałam szybko jedno i drugie, a potem jeszcze raz dużo wolniej. Szkoła teatralna, w której Dulcie spędzała wakacje, miała lekarza dyżurującego pod telefonem. Przyjechał na wezwanie, obejrzał oparzenie, stwierdził, że to nic poważnego, ale przepisał maść z antybiotykiem i środki przeciwbólowe, gdyby Dulcie ich potrzebowała.

Moja córka spojrzała na mnie swoimi wielkimi oczami - w tym samym chabrowym kolorze, co oczy mojej matki - i dotknęła mojej ręki, jak gdyby się nade mną litowała.

- Nie martw się o mnie - powiedziała i odrzuciła do tyłu głowę. Jej długie proste włosy, o identycznym odcieniu czerni jak moje, połyskiwały w górnym świetle.

Obserwowałam, jak dojada jogurt, próbując zgadnąć, jak się naprawdę czuje, ale nie wyglądała na obolałą ani zbyt przejętą. Nie miała podpuchniętych oczu ani śladów łez na policzkach. Mierzyłam jej temperaturę emocjonalną za każdym razem, kiedy się przy mnie pojawiała, szukając oznak stresu lub smutku. I zawsze byłam lekko zdziwiona, że tak rzadko mogę się czegoś dopatrzeć. Mimo wszystkich błędów, które musiałam popełnić, moja córka była pewną siebie i dość szczęśliwą nastolatką. Inteligentna, z charyzmatyczną osobowością i więcej niż ładna, miała dużą rodzinę i krąg przyjaciół, dzięki czemu jej dzieciństwo upływało względnie spokojnie.

Dulcie klapnęła na krzesło obok mnie.

- Ta Gretchen to łamaga. - Wzięła do ręki książkę Cleo.

- Zostaw - powiedziałam, odbierając jej wydruk.

- Dlaczego?

- To nie moje. Należy do pacjentki.

Kiwnęła głową. Rzecz, która nie wymagała u nas wyjaśnień, były święte zasady relacji między lekarzem a pacjentem. W jakiejś sprawie musiała mi wierzyć. Wiedzieć przynajmniej to, że jej matka nigdy nie łamie przykazania, które obowiązuje ją wobec pacjenta. Być może wiedząc to, Dulcie miała szansę uwierzyć w inne rzeczy, do których nie umiałam jej przekonać.

- Uuu. Do pacjentki - powtórzyła sarkastycznie Dulcie. - Jedna z grzesznic doktor Grzech.

Zaśmiała się, a ja razem z nią. Choćbym chciała, nie umiałam się na nią złościć. Za dobrze ją rozumiałam, za bardzo ją ceniłam.

Moja córka nie była nieszczęśliwa z powodu mojego zawodu, wolałaby po prostu, aby to było coś bardziej szlachetnego. „Jest lekarzem”. Zdarzało mi się słyszeć, jak mówi to swoim znajomym, nie wspominając, jakiego rodzaju lekarzem jestem i jakiego rodzaju pomocy udzielam.

Przeniosłam wzrok z białego bandaża na ręce mojej córki na równie białą pierwszą stronę książki. Ze wszystkich informacji, które dołożyłam tego dnia do swojej już i tak przeładowanej głowy, ostatnie dwie przeplatały się jak w podwójnej spirali DNA. Niepokój z powodu tego, co przydarzyło się Dulcie, łączył się z niepokojem o Cleo, i nagle przypomniałam sobie postać wysokiego mężczyzny, który ją śledził.

Dulcie wstała, pogrzebała w płytach CD i włączyła coś, co sama lubiła i co było do zniesienia dla mnie. Okazywała w ten sposób wrażliwość na cudze potrzeby, co zawsze wywoływało we mnie uśmiech. Spojrzałam znów na jej bandaż i pomyślałam, że na jej szczupłej ręce wydaje się za duży.

Nagle wpadło mi do głowy pewne nazwisko - Barry Johnson. To on musiał być mężczyzną leżącym na łóżku w pokoju hotelowym, który płacił Cleo dwa tysiące dolarów za doprowadzenie go do orgazmu. To nie powinno być dla mnie aż tak łatwe, ale się tego domyśliłam. Magnat medialny, który kieruje biznesem wspólnie z ojcem. Po czterdziestce.

- Poza oparzeniem ręki jak ci minął dzień? - To była nasza rutyna. Przegląd wydarzeń dnia.

Zwykle robiliśmy to przy kolacji, ale tym razem spytałam wcześniej. Przyjęliśmy zasadę, że na każdą złą rzecz musi przypaść jedna dobra. Tyle złych rzeczy, ile chcesz. Ale konieczna jest równowaga.

- Poza oparzeniem... No więc miałyśmy przesłuchania do „Naszego miasta”. - Powiększyły się jej oczy z przejęcia. Czekwała z utęsknieniem na ten dwunastotygodniowy letni program w Amerykańskiej Akademii Sztuki Dramatycznej już od lutego, kiedy została przy- jęta. I wcale nie martwiło jej to, że prawie nie miała przerwy między zakończeniem jednej szkoły a rozpoczęciem następnej.

- Mamusiu, ja uwielbiam tę sztukę.

Uśmiechnęłam się do niej, zabrałam ze stołu wydruk i włożyłam go do teczki.

- To rzeczywiście piękna szuka. O którą rolę się starasz?

- Głównej bohaterki. Nie nastawiałam się na to, ale pani Harte uważa, że jestem do tego przygotowana.

Pochyliłam się i pocałowałam ją.

- Jestem z ciebie dumna.

Moja córka promieniała. A po chwili podjęła grę, którą ja rozpoczęłam.

- A pani, doktor Grzech? Jak minął pani dzień?

Dzisiaj przyszły papiery rozwodowe pieczętujące rozwiązanie mojego małżeństwa z twoim ojcem. Ty oparzyłaś sobie rękę. Nazwałaś mnie doktor Grzech dwukrotnie. Musiałam pojechać do kostnicy, żeby zobaczyć jedną z moich byłych pacjentek, dziewczynę o niecałe dziesięć lat starszą od ciebie, jej zwłoki po sekcji. Potem domyśliłam się, kim jest jeden z klientów mojej pacjentki, i to nie dlatego, że Cleo sama mi odpowiedziała, lecz dlatego, że opisała go w zbyt łatwy do rozszyfrowania sposób.

Ale nie mogłam powiedzieć Dulcie o żadnej z tych rzeczy. Nie dlatego, że była na to zbyt młoda, tylko dlatego, że nie przychodziła mi do głowy ani jedna dobra rzecz jako przeciwwaga. A zasada jest

zasadą. Można powiedzieć o czymś złym, jeśli się znajdzie coś dobrego.

Trochę później przeszłyśmy się razem do apteki po maść z antybiotykiem. Nie zrealizowałam drugiej recepty na środek przeciwbólowy. Moja córka ma po mnie wysoką tolerancję na ból, i bez posuwania się do masochizmu dbałam, żeby tak zostało. Środki uśmierzające na receptę są darem niebios, ale są też zbyt niebezpieczne, by narażać na nie Dulcie bez potrzeby. Pewni ludzie mają wrodzoną skłonność do nałogów. Nie ma powodu, by testować odporność mojej córki na pochodną kodeiny, kiedy nie bolało ją nawet na tyle, by wziąć podwójny ibuprofen.

Potem zatrzymałyśmy się na kolację w jej ulubionym miejscu - znanym z wygórowanych cen sklepie z żywnością i restauracji E.A.T., na rogu Osiemdziesiątej Pierwszej i Madison. Wybrała ten sam zestaw „na pociechę”, który zamówiłby jej ojciec: makaron zapiekany z serem i colę.

Ja jadłam swoją drugą sałatkę tego dnia, czując nienawiść do każdego kawałka soczystej zieleniny. Dulcie trajkotała o zajęciach, na które była zapisana w szkole teatralnej, kiedy zadzwoniła moja komórka.

- Halo?

- Cześć - odezwał się mój były już mąż. - Właśnie dostałem twoją wiadomość. Jak ona się czuje?

- Dobrze. - Spojrzałam na Dulcie, powiedziałam bezgłośnie „twój ojciec”, a jej twarz się rozpromieniła. - To tylko niegroźne oparzenie. Jemy kolację. Ona opowiada o szkole teatralnej, wszystko bez zmian. - Uśmiechnęłam się do Dulcie, która przysłuchiwała się z napięciem mojej rozmowie. Wyciągnęła rękę. Zobaczyłam bandaż i mimowolnie się skrzywiłam. - Chcesz z nią pogadać?

- Najpierw mi powiedz, jak ty się czujesz. Wiem, jak panikujesz z jej powodu.

Problem z pozostaniem w przyjaźni z mężczyzną, który był kiedyś moim mężem, polegał na tym, że interesowało go również moje samopoczucie.

- Powiedziałam ci, że to naprawdę niewielkie oparzenie. Masz tu Dulcie.

Oddałam telefon mojej córce, i podczas gdy ona opowiadała ojcu całą historię od momentu zderzenia się z zupą, ja próbowałam odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego książka Cleo zaprzęta mi głowę bardziej niż cokolwiek innego. Psychiczna odskocznia? Zajęcie myśli czymś innym niż przypadkowość losu i koszmar, na który się skazywałam, wypuszczając moją córkę codziennie do szkoły, nie wiedząc, kiedy przydarzy jej się coś złego?

- I wtedy przyjechał lekarz i zaczął to oglądać... - mówiła Dulcie, mając za sobą dopiero połowę historii. Dramatyzowała ją, rozciągała, zamieniała w autorski spektakl dla połowy swojej najlepszej widowni.

Byłam zdziwiona, że książka Cleo wywarła na mnie tak duże wrażenie. Kilka godzin dziennie słuchałam ludzi mówiących o seksie, problemach związanych z ich ciałem oraz umysłem, o tym, jak one funkcjonowały albo nie funkcjonowały. Co takiego wyjątkowego było w tej kobiecie i w tym, co mówiła?

Patrząc na moją córkę, zdałam sobie sprawę, że rwie mnie ręka. Od czasów, kiedy Dulcie była niemowlęciem, bolało mnie to samo co ją. Wiedziałam, że to zjawisko psychosomatyczne i że gdybym nad sobą popracowała, mogłabym się prawdopodobnie od tego uwolnić. Ale nie zależało mi. Ona jest moim dzieckiem. Wolałabym zabrać jej każdy ból, niż przestać go odczuwać.

Pokazałam Dulcie na migi, by skończyła gadać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W sobotni wieczór detektyw Noah Jordain prawie do północy grał na fortepianie w tej samej restauracji na Greenwich Village, którą znalazł dziewięć lat temu, gdy przeniósł się do Nowego Jorku.

Tamtego wieczoru tęsknił za Nowym Orleanem, a to przywołało myśli o jego ojcu: przyzwoitym gliniarzu, którego imię zostało skalane i który umarł, zanim zdołał je oczyścić. Ktokolwiek wrobił Andre Jordaina, weterana policji z trzydziestoletnim stażem w Wydziale Policji Nowego Orleanu, myślał prawdopodobnie, że uszło mu to na sucho, ale Noah nie zostawił tamtej sprawy.

Andre i jego partner, Pat Nagley, rozbili gang kokainowy. Doskonale rozpracowane śledztwo. Czysta sprawa. Przynajmniej tak wszyscy myśleli, dopóki adwokat nie przekonał sądu do odrzucenia aktu oskarżenia, udowadniając, że Andre i Pat byli opłacani, że przez pięć lat brali dołę od jednego z dealerów, aż w końcu przycisnęli tego dealera, gdy odmówił płacenia więcej.

Przedstawiono ciąg dowodów, które pozornie obciążęły dwóch nowoorleańskich detektywów. Noah jednak wiedział, tak jak wiedziała jego matka, a także bracia i siostry, że to wszystko zostało sfabrykowane. Jego ojciec stał na straży prawa przez całe swoje życie. Był żarliwym katolikiem i wiernym mężem. Owszem, zdarzało mu się za dużo wypić, czasami ponosiły go nerwy, był też flirciarzem. Ale sprzedajnym glina? Niemożliwe. Wszystkie papiery i dowody musiały zostać spreparowane po fakcie.

To była jawna zмова, z pewnością istniało jakieś powiązanie między dealerem narkotyków a kimś wyżej postawionym, z większą władzą niż Andre Jordain. Noah wierzył, że pewnego dnia dowie się, kto za tym stał, i oczyści imię swojego ojca. Jest mu to winien.

W rok po wniesieniu oskarżenia ojciec zmarł. Kilka miesięcy później Noah zerwał z dziewczyną, z którą mieszkał. Jego matka miała poza nim trzech synów, dwie córki i sześcioro wnuków. Wszyscy mieszkali w pobliżu, co dawało mu wolną rękę.

Przeniósł się do Nowego Jorku, by uciec z wydziału policji, w którym korupcja była na porządku dziennym, i żeby móc lepiej ocenić sprawę z dystansu. Nie, to brednia. Mógłby przynajmniej być wobec siebie uczciwy. Przyjechał na Manhattan, by rozpracować sprawę z perspektywy Nowego Jorku, bo istniały dowody, że tamten gang narkotykowy był powiązany z kimś z nowojorskiego wydziału policji. Opuścił dom też dlatego, że nie znośił spacerować tamtymi ulicami, wdychać zapachu rzeki i robić tych wszystkich rzeczy, które ożywiały pamięć.

Restauracja U Karoliny, która stała się ulubionym miejscem Noaha, znajdowała się dwie przecznice od jego domu. Był tam długi mahoniowy bar, kominek w części jadalnej, a przed nim wysłużony stary poczciwy steinway, którego od dwudziestu lat, kiedy to zmarł poprzedni właściciel, nikt nie dotykał. Po kilku miesiącach zapoznawania się z nowym właścicielem, wpadania na drinka albo na kolację co najmniej trzy razy w tygodniu, od czasu do czasu z kobietą - zawsze inną - Noah zapytał, czy może coś zagrać.

Jego wolny, smętny, zabarwiony soulem jazz był jak Nowy Jork. Nastrojowy i dynamiczny, mroczny, potem jasny. Grał tak, jak się grywało w latach dwudziestych, i to pasowało do tego miejsca. Knajpa U Karoliny miała swoją muzyczną historię; była popularnym klubem jazzowym i nielegalnym barem w czasach prohibicji, goszczącym tłumy ludzi, którzy siedzieli i sączyli swój zakazany gin, słuchając muzyki równie smutnej jak ta grana przez Noaha.

Teraz grywał tam regularnie, w piątek i sobotę wieczór. W niedzielę odsypiał tęsknotę za domem i koszmary, które wywoływała

oczyszczająca muzyka. Zwykle spał długo, przynajmniej do południa. Jego jedyny grzech tygodnia. Może nie jedyny, ale taki, który budził największe poczucie winy, bo Noah tak został wychowany, by w niedzielę rano być w kościele. A on tymczasem leżał w łóżku.

Minęły już cztery lata, odkąd po raz ostatni wszedł do Domu Bożego - w dniu pogrzebu ojca.

To nie była utrata wiary, raczej kryzys wiary. Żywa rana, która krwawiła, krwawiła i nie chciała się zabliznić. Liczył, że kiedyś to nastąpi, tymczasem wolał spać.

Ale tamtego niedzielnego ranka już o dziewiątej rano obudził go telefon. To była druga niedziela z rzędu, kiedy wyrywano go ze snu w ten sposób.

- Spałeś? - zapytał Mark Perez.

- Uhm.

- Śniły ci się koszmary?

- Nie.

- Zła odpowiedź.

- Nie, tylko nie to - jęknął Noah Jordain, uprzedzając następne zdanie.

- Jednak wygląda na to, że mamy seryjnego mordercę. Miałeś rację.

- Cholera, po raz pierwszy, przysięgam na Boga, żałuję, że się nie pomyliłem.

- Ja też. Czekamy na ciebie.

Perez podał Noahowi adres hotelu, w którym piętnaście minut wcześniej znaleziono ciało.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przechodząc przez sypialnię hotelowego apartamentu, Noah ogarnął wzrokiem całą scenę: nie zasłane łóżko, ściągnięta pościel, wgniecione poduszki. Nic niezwykłego. W całym pokoju panował względny ład. Przy łóżku stała butelka wody mineralnej i niepełna szklanka klarownego płynu.

Telewizor był nastawiony na stację nadającą przez całą dobę wiadomości. Znany reporter mówił o zamachowcu samobójcy, który wysadził się wraz z siedemnaściorgiem ludzi w izraelskim supermarkecie. To zdarza się tak często, zdał sobie sprawę Noah, że człowiek się po prostu na to uodpornia. Może przejść koło telewizora, nawet nie zatrzymując się, by posłuchać.

Fatalnie, pomyślał, i jednak przystanął na kilka sekund, by pomodlić się w milczeniu za ludzi, którzy zginęli nagłą śmiercią z rąk szaleńca.

Potem ruszył dalej, ku światu innego obłąkanego człowieka, zostawiając za sobą cichnący głos prezentera wiadomości.

Była odwrócona plecami do drzwi łazienki i klęczała przed prowizorycznym ołtarzykiem. Mydelniczka służyła za postument figurki Chrystusa na krzyżu. To była plastikowa tandeta z jakiegoś sklepiku z dewocjonaliami. Nie to co ciężki złoty krzyż w nowoorleańskiej katedrze, którego ksiądz dotykał z nabożnym szacunkiem i który lśnił własnym blaskiem w łagodnym świetle kościoła. Ten raził w oczy.

Tak jak poprzednio, ofiara miała na sobie habit zakonnicy. Suta szata była tym razem podciągnięta do góry i odsłaniała nagie pośladki kobiety, która z pochyloną głową zdawała się nad wanną modlić.

Noah nie spieszył się. Dla niej nie było już ratunku.

Jej nieskazitelnie gładkie białe plecy pokrywały brunatne znaki w ciemnoczerwonym kolorze zakrzepłej krwi. To nie były przypadkowe plamy, lecz krzyże. Malowane palcem krzyże na całych plecach, bokach, na tylnej części ud i na podeszwach biednych stóp.

Z całego tego koszmaru to właśnie widok jej stóp najbardziej zasmucił Noaha. Pomarszczone podeszwy były bardzo małe. W kobiecych stopach jest coś tak cholernie niewinnego. Gdyby mógł, zmoczyłby ręcznik i zmył z nich obelżywe bązgroły jakiegoś świra.

Coś się ruszało między jej nogami.

Nie. Niemożliwe. Skupił się. Zanim jeszcze świadomie do tego doszedł, pamięć mu podpowiedziała, co to jest. Powinien był się spodziewać, bo widział to u pierwszej ofiary tego rzeźnika.

Niczym jakiś gad, niczym coś żywego, między jej nogami dyndał różaniec, do połowy wepchnięty w waginę i ociekający krwią biednej dziwki. To nieustanne kapanie powodowało, że święte modlitewne paciorki kołysały się w rytmie, w którym Noah nie rozpoznawał niczego, co kiedykolwiek zdarzyło mu się grać.

Nikt by tego nie słuchał.

Z kolejnych paciorków różańca, po medaliku z Matką Boską i figurce ukrzyżowanego Chrystusa, krople krwi spływały na podłogę i zbierały się w kałużę na białych kafelkach. Tak jak pani Rodriguez, pokojówka z hotelu na Pięćdziesiątej Szóstej, Noah podświadomie zaintonował modlitwę: Ojcze nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje.

Potem zrobił kilka kroków do przodu, stanął tak blisko ciała zmarłej, jak tylko mógł, uważając, by nie zatrzeć śladów, i zajrzał do ogromnej wanny. W lśniących srebrnych kranach odbijała się twarz kobiety, z zamkniętymi oczami. Na dnie wanny leżało dziesięć pięćdziesięciodolarowych banknotów, nasiąkniętych krwią i ułożonych w kształt krzyża.

Przyjechał fotograf policyjny, toteż Noah wycofał się z łazienki, ustępując mu miejsca. On i jego partner podeszli do gliniarza w mundurze, który jako pierwszy zjawił się na miejscu zbrodni. Musieli zadać mu kilka pytań i wysłuchać szczegółowych odpowiedzi.

- Przyjechała wczoraj o dziesiątej wieczorem.

- Podejrzewam, że nie w stroju zakonnicy - powiedział Noah.

- Recepcjonista, który ją obsługiwał, skończył już zmianę. Ale mam jego nazwisko i telefon domowy.

- Zrobione - rzekł fotograf, opuszczając łazienkę. - Jest wasza.

Do pracy przystąpił Tibor Mercer, lekarz sądowy, który miał dokonać wstępnych oględzin przed zabraniem zwłok. Był mężczyzną w średnim wieku, z nadwagą, miał rude kręcone włosy i pracował w nowojorskiej policji od początku swej kariery. Po tym, jak wystąpił jako biegły sądowy w ważnym procesie transmitowanym przez telewizję, stał się jednym z najbardziej cenionych lekarzy sądowych w kraju, pojawiającym się w programach kryminalnych i cytowanym w gazetach. Ale przy całym swoim doświadczeniu nie stwardniał i nie stracił wrażliwości, czym zyskiwał sobie szacunek wielu ludzi, z którymi pracował. Nie wyłączał Noaha Jordaina.

Mercer odsunął w końcu kobietę od jej porcelanowego kłęcznika.

- Jak myślisz, od ilu godzin nie żyje? - spytał Noah.

- Prawdopodobnie zmarła tuż po północy.

Noah przyglądał się pracy mężczyzny. Minęło kilka minut.

- Spójrz na to.

Noah wystarczająco dobrze znał Mercera, by zaniepokoić się tonem jego głosu.

- Co takiego?

- Zobacz sam.

Lekarz sądowy trzymał otwarte usta kobiety palcami obleczonymi w plastikowe rękawiczki. Noah pochylił się i zobaczył opiątek komunijny.

Nie, to nie to. Jasny szlag.

Na języku ofiary leżała najzwyklejsza, nowiutka i nieużyta prezerwatywa, fabrycznie zwinięta i płaska: krążek z jasnego przezroczystego lateksu w tym samym kształcie co błogosławiona przez księdza hostia.

Jak gdyby w godzinie swojej śmierci przyjmowała komunię.

W końcu był to niedzielny poranek.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W poniedziałek rano, podzuciwszy najpierw Dulcie do szkoły teatralnej, ruszyłam spacerkiem do pracy. Na rogu były trzy kioski z porannymi gazetami. Czekaając na zmianę świateł, przebiegłam wzrokiem nagłówki w „New York Timesie”, ale poraziły mnie trzy słowa na pierwszej stronie „New York Posta”: DRUGA RYTUALNA MAKABRA.

A niżej mniejszymi literami: „Morderca Magdalenek znów zaatakował. Śmierć prostytutki w habicie”.

Włożyłam do automatu dwie dwudziestopięciocentówki, pociągnęłam za rączkę, i z wnętrza metalowej skrzynki uniósł się zapach świeżych gazet.

Przeczytałam artykuł, tracąc pierwsze zielone światło, potem następne. Według ustaleń reportera morderstwo było prawie identyczne jak pierwsza zbrodnia, która wydarzyła się tydzień wcześniej.

Tę kobietę też znaleziono w śródmiejskim hotelu, w którym bywają ludzie biznesu i turyści. Doba kosztuje dwieście dolarów. Ona także zapłaciła za pokój gotówką. Nikt nie widział, z kim była. W pokoju nie znaleziono żadnych ubrań, a recepcjonista twierdził, że tego wieczoru z całą pewnością nie zameldowała się żadna kobieta w habicie zakonnym.

Nazywała się Cara De Beer. Dwadzieścia dwa lata. Z Austin w Teksasie. Zaczęła pracować w Nowym Jorku jako siedemnastolatka, jak tylko skończyła szkołę średnią. Miała na koncie dwa wyroki.

W możliwie najdrastyczniejszy sposób reporter opisał habit zakonnicy, kałuże krwi w łazience - ponieważ został wpuszczony na miejsce zbrodni tuż po zabraniu ciała - i zacytował jednego z

gliniarzy, który miał powiedzieć, że „rózaniec był wepchnięty w jedną z jam jej ciała”.

Ale więcej szczegółów policja nie zdradziła, tak jak nie wyjawiała nic więcej o pierwszej kobiecie znalezionej tydzień wcześniej. Różaniec mógł więc tkwić w ustach prostytutki, w jej uchu albo w każdym innym otworze.

Przeczytałam jeszcze raz imię i nazwisko ofiary oraz pozostałe dane osobowe. Nie znalazłam jej. Nie była żadną z kobiet, z którymi kiedykolwiek miałam do czynienia w więzieniu. Następny akapit zaczynał się słowami: „To oczywiście, że morderca obrał sobie za cel prostytutki”, powiedział detektyw Noah Jordain z Wydziału Specjalnego do spraw Zabójstw. „Dlatego do wszystkich kobiet wykonujących ten zawód apelujemy o ostrożność. Jeśli ktoś ma jakiegokolwiek informacje, prosimy się do nas zgłosić. Musimy złapać tego człowieka”.

Złożyłam gazetę, ale jej nie wyrzuciłam.

Już nie czułam zapachu świeżego druku, w nozdrzach miałam ciężką woń krwi. Wszystkie to znamy: skaleczenia, porody, zakrwawione nosy naszych dzieci i miesiączki. Ale nie brutalne masakry jak ta opisana w gazecie. Co za różnica. Odór krwi nie zmienia się w zależności od przyczyny krwawienia. Patrzyłam na przechodzących ludzi, ale cały czas miałam przed oczami śmierć tej dziewczyny. My wszyscy widzieliśmy tyle brutalnych scen w telewizji i w kinie, że zbyt łatwo przychodzi nam wyobrazić sobie ciało leżące na podłodze, kałuże krwi, martwą twarz.

Chciałam się jeszcze napić kawy. Nie, musiałam się napić kawy. Zatrzymałam się w pierwszym Starbucksie i zamówiłam podwójne espresso.

Przez kilka ostatnich nocy źle spałam. Od dnia, w którym Dulcie oparzyła sobie rękę i dowiedziałam się, że dostałam rozwód. Chociaż

moja córka nie skarżyła się na ból, ja ciągle się budziłam, by do niej zajrzeć. Mnie bardziej dokuczała ręka ze współczucia niż jej z powodu prawdziwego obrażenia, i ten fantomowy ból budził mnie co noc. A kiedy nie mogłam ponownie zasnąć, czytałam książkę Cleo, ale do końca pozostało mi jeszcze ze sto stron.

Cleo, tak jak mnie ostrzegała, niezbyt się przyłożyła do zamaskowania tożsamości mężczyzn. Chociaż wszystkim dała jakieś przydomki - Midas, król Henryk czy Valentino - tak dużo pisała o interesach, które prowadzili, o ich zawodach, że nie mogłam sobie odmówić zabawy w zgadywanke.

Nic dziwnego, że Cezar bał się publikacji tej książki. Gdyby jej autentyczni bohaterzy dowiedzieli się, że szczegółowo ich prywatnego życia ukażą się w druku, za- reagowaliby złością i strachem.

Literacka spowiedź Cleo nie przypominała żadnej z bestsellerowych powieści sensacyjnych Dana Browna, Douga Clegga czy Stana Pottingera, które pochłaniałam jednym tchem. Spostrzeżenia Cleo na temat mężczyzn, którzy korzystali z usług jej i jej „trupów”, jak nazywała pracujące dla niej prostytutki, były zbyt bogate i skomplikowane, aby czytać tę książkę szybko. Gdyby zechciała zostać terapeutką albo socjologiem, albo napisać więcej na ten sam temat, nie miałaby trudności. Jej styl był prosty i klarowny, potrafiła wyrazić zarówno swoją pasję, jak i znajomość tematu. Jej empatia wobec innych kobiet z branży była szczerą. Ona je rozumiała i pokazywała ich życie w niebanalny, pozbawiony melodramatyzmu, a jednak poruszający sposób.

Ale to empatia wobec mężczyzn, którzy do niej przychodzili, przykuwała moją uwagę. Sprawiała, że zatrzymywałam się na pewnych fragmentach i czytałam jeszcze raz.

Odnosiłam wrażenie, że Cleo wyrzekła się tej części siebie, która dokonuje ocen. O cokolwiek ją prosił mężczyzna, rozumiała, że ta

potrzeba wypływa z jakiegoś potężnego, żywotnego źródła i nie można jej bezwzględnie potępiać. Imponowała mi jej umiejętność racjonalizowania faktu, że jednego mężczyznę podniecają upokorzenia, a znów inny potrzebuje wiary w swą fizyczną sprawność. Niemniej jej dystans do tego, co sama robiła, budził mój niepokój.

I miałam nadzieję, że kiedy przyjdzie o dziesiątej na wizytę, uda mi się sprowadzić rozmowę właśnie na ten temat.

Lecz po raz pierwszy Cleo się spóźniała, a kiedy pojawiła się piętnaście po dziesiątej, przeprosiła za spóźnienie, ale nie podała powodu. Czasami ganiłam spóźniałstwo pacjentów, jeśli czułam, że jest niczym nieuzasadnione, ale Cleo bardzo zależało na terapii i nie sądziłam, żeby tak było w jej przypadku.

Gdy tylko usiadła, wyjęła butlę z wodą i pociągnęła długi łyk. A potem wzięła bardzo głęboki oddech. Dotąd zawsze się trochę ociągała, nim powiedziała, o czym myśli, ale tamtego ranka nie traciła czasu.

- Te morderstwa. Czytała pani o nich?

Skinęłam głową, ale nie powiedziałam jej, że pierwsza ofiara była kiedyś moją pacjentką. To należało do szczegółów objętych tajemnicą śledztwa, których policja nie ujawniła jeszcze prasie. Nigdzie nie opisano dokładnie, w jaki sposób zostało zbezczeszczone ciało tamtej kobiety. Policja zachowywała oczywiście dyskrecję, by nie prowokować naśladowców i nie dać się skierować na fałszywy trop. Do wiadomości publicznej podano tylko ogólne informacje na temat zbrodni.

- To nie powinno było się zdarzyć. Nie zdarzyłoby się, gdyby prostytutka była legalna.

- Znałaś tę zamordowaną kobietę? - spytałam Cleo.

- Nie. - Pokręciła głową, a ja po raz pierwszy zauważyłam na jej szyi maleńki krzyżyk z różowego diamentu. Błysnął, gdy odbił się w nim promień światła. Wyglądał ślicznie i musiał być kosztowny.

- Ta wiadomość pogorszyła sprawę jeszcze bardziej. Cezar jest bardzo przejęty. Martwi się o mnie. A wcale mu nie jest potrzebny kolejny powód, żeby się o mnie martwić. Więc się pokłóciliśmy. Nie na żarty.

- Opowiedz mi o tym.

- Zaczęło się od wiadomości o morderstwie, a potem znów zeszło na książkę. Ale tak naprawdę chodzi tylko o mnie i o seks, prawda? - Umilkła i łączywie piła wodę. - Jest zagubiony. I zniecierpliwiony. A ja to odczuwam jako presję: żeby w końcu coś z tym zrobić.

- Czy on wie, że chodzisz do mnie?

- Tak.

- Myśli, że to dobry pomysł?

- Tak, ale ma też własny pomysł, jak mnie wyleczyć.

- Wyleczyć ciebie? To jego słowa czy twoje?

- Jego.

Kiwnęłam głową.

- Mów dalej.

- On uważa, że powinniśmy odegrać scenę, w której on będzie jednym z moich klientów. Chce mi zapłacić za seks i spełnienie jego marzenia erotycznego. Myśli, że to może być sposób na przełamanie moich oporów. Może wtedy popatrzę na niego jak na jeszcze jednego klienta.

Czy to ma jakiś sens?

- A ma sens według ciebie? Wzruszyła ramionami.

- Nie za bardzo. Ale myślę, że mogłabym spróbować.

- Co to za marzenie?

Cleo wbiła się plecami w oparcie kanapy, jak gdyby chciała się ode mnie odsunąć, jak gdyby mogła wtopić się w mebel i uniknąć odpowiedzi. Po raz pierwszy zobaczyłam w jej oczach spojrzenie, jakie widywałam u kobiet, które zatraciły same siebie. Kobiet zgubionych. Takich, które zgubił alkohol, narkotyki, strach albo przemoc.

Czekałam.

- Chodzi o ten numer z Cezarem i Kleopatrami - wyrzuciła z siebie. Teraz jej twarz zdradzała zakłopotanie, ale mówiła dalej.

Przeczytałam dużą część jej książki i wiedząc, jak niewiele ma zahamowań wobec klientów, pomyślałam, że nieśmiałość, z jaką opisuje marzenie erotyczne, o którym rozmawiała ze swoim ukochanym, jest niemal czarująca. I że to sygnał, na który muszę zwrócić szczególną uwagę.

- Chce, żebym była Kleopatrami przyniesioną mu w dywanie, odwiniętą u jego stóp. Królową przybywającą do zdobywcy. Chce, żebym odegrała scenę, w której ta potężna władczyni oddaje się Rzymianinowi. Myśli, że jeśli wejść w tę rolę, poczuję do niego autentyczną namiętność. Tak jak to się zdarza aktorom, kiedy wcielając się w grane postaci, naprawdę się w sobie zakochują.

- A co ty o tym myślisz?

- A co powinnam myśleć?

- Nie ma żadnego powinnam.

Wstała i podeszła do okna. Nie przeszkadzało mi to, skoro miała taką potrzebę, ale większość pacjentów tego nie robi. Są powody, dla których pacjent powinien siedzieć skupiony przez całą sesję, ale w żadnym wypadku nie może się czuć jak przywiązany do kozetki.

Cleo chodziła. Niczym tancerka przemierzyła długimi krokami cały pokój, wszystkim się przyglądając. Zerknęła na bibeloty na moim biurku, wyjrzała przez jedno okno, potem drugie. Przeszła obok

pólek z książkami i przesunęła palcem po gładkim marmurowym jajku, które leżało na gzymsie kominka.

Sama wyrzeźbiłam to jajko, a kiedy Cleo musnęła je wskazującym palcem, poczułam się, jakby dotykała mojego ramienia. To fizyczne doznanie zdziwiło mnie. I wiedziałam, że przy najbliższej okazji będę musiała powiedzieć o tym Ninie.

Rzeźbienie było kiedyś moją pasją. Teraz pozostało z tego już tylko hobby. Zaczęłam się tym interesować, kiedy mój ojciec powtórnie się ożenił. Miałam czternaście lat, a Krista, jego żona, była rzeźbiarką. Nie traktowała mnie po matczynemu, a ja nigdy tego od niej nie oczekiwałam - kiedy miałam osiem lat, macierzyńska czułością obdarzyła mnie Nina.

Ale Krista wniosła do mojego życia swoją sztukę. Kiedy wprowadziła się do nas, jej zimne kamienne rzeźby, które z rozmysłem wkomponowała w nasze mieszkanie, zachwyciły mnie. I jeszcze dziś, podczas urlopu, a czasem późno w nocy, kiedy nie mogę zasnąć, zdarza się, że wyciągam narzędzia i zmagam się z opornym kamieniem.

Cleo z powrotem usiadła.

- Nie wiem, czy powinnam wchodzić w tę grę.

- Dlaczego?

- Czy ten pomysł ma jakiś sens? Myśli pani, że to coś da, jeśli zrobię z nim to, co robię z klientami? Nie wiem, czy chcę się bawić w aktorkę i odgrywać z nim jakąś scenę. On myśli, że to pozwoli mi się przemóc, że jak tylko wejść w rolę i zacząć się z nim kochać, automatycznie stanę się sobą i będzie mi dobrze.

- A co ty o tym myślisz? Pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jestem coraz bardziej zrozpaczona. Proszę pani, ironia faktu, że mam problemy seksualne z jedynym mężczyzną, z którym naprawdę chcę spać, nie jest czymś, co

po mnie spływa. Martwię się. Ale on martwi się jeszcze bardziej. Zaczął to brać do siebie. Myśli, że nie jest wystarczająco pociągający, że nie potrafi mnie podniecić.

- Nie sądzisz, że warto by było, żebyś przyprowadziła go tu ze sobą?

Wzruszyła ramionami.

- Może mu to zaproponujesz?

- Proponowałam. Był u kogoś innego. Niedawno. Mówi, że to strata czasu. - Znowu wzruszyła ramionami, a jej oczy wypełniły się łzami. Nawet nie próbowała ich ocierać.

Gdy płakała, wyglądała młodziej, bardziej niewinnie i bezradnie. Obie milczaliśmy. Ona płakała, ja patrzyłam.

To wyjątkowy przywilej być świadkiem takiej chwili w życiu człowieka, kiedy wszystkie jego mechanizmy obronne zawodzą i ujawnia się istota tego, kim jest i co czuje. To jak oglądanie motyla, który uwalnia się z kokonu. Kiedy ktoś poddaje się jakiegoś rodzaju terapii, jeśli metoda działa, przez pewien czas ten człowiek jest delikatny jak ten motyl. Nie wolno ci go dotknąć, bo zniszczysz wzór na skrzydłach i opalizacja - świetlistość - zostanie na twoich palcach. Możesz tylko czekać, i mieć nadzieję, że jesteś wystarczająco dobrym przewodnikiem, by docenić taki dar.

- Co czujesz? - spytałam łagodnym głosem.

- Chciałabym, żeby mogło być inaczej. - Ból w jej głosie był tak przejmujący, że sama go odczułam. Tak jak odczuwam ból mojej córki. Taka sama empatyczna więź powstała między mną a Cleo. Dlaczego miałyby nie powstać? Na tym polega sztuka terapii, jak uczyła mnie Nina Butterfield.

Czasami terapeuta też musi stać się bezradny, by nawiązać kontakt oparty na zaufaniu i zrozumieć rzeczy, które często nie mają oczywistej logiki, ale dla pacjenta mogą być świętą sprawą.

Minęło nasze czterdzieści pięć minut, co Cleo zauważyła wcześniej niż ja.

- Muszę wyjść punktualnie. Umówiłam się. - Pokręciła z żalem głową, więc pomyślałam, że idzie na spotkanie z klientem. - Zobaczymy się w środę - dodała.

- Cleo, może do tego czasu powinnaś wstrzymać się z decyzją, czy zrobisz to, czego chce Cezar. Co o tym sądzisz?

Najpierw powiesiła na ramieniu skórzaną torebkę i poprawiła spódnicę.

- Tak. Pewnie ma pani rację.

Ale jej spojrzenie nadal mówiło, że czuje się zdesperowana i że nagli ją czas.

Żałowałam później, że nie potraktowałam poważniej tego spojrzenia. Że nie krzyknęłam za nią i nie poprosiłam, by była ostrożna. Bardzo ostrożna. Ale ona mnie przekonała, sposobem, w jaki odrzuciła do tyłu włosy, patrząc mi prosto w oczy swoimi chłodnymi szarymi oczami, że potrafi sama o siebie zadbać.

Oczy okłamały mnie nie po raz pierwszy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po kolacji ja i Dulcie obejrzałyśmy w telewizji „My Fair Lady”, a potem moja córka poszła do swojego pokoju uczyć się roli do „Naszego miasta”, a ja zostałam w salonie i zabrałam się do książki Cleo.

Siedziałam nad nią do późna, a resztę przeczytałam następnego wieczoru, i z każdą stroną coraz lepiej rozumiałam, dlaczego Cleo z niepokojem myślała o tym, co się jej może przydarzyć, jeśli rzeczywiście zdecyduje się wydać tę książkę.

W środę rano nie mogłam się jej doczekać, ale po raz drugi z rzędu Cleo się spóźniała. Przez pierwsze piętnaście minut zakładałam, że jest w drodze, dopiero o wpół do jedenastej zdałam sobie sprawę, że nie przyjdzie.

Może w czasie poprzedniej sesji posunęłyśmy się za daleko? Czyżby się wystraszyła? Nie przypuszczałam, że otwarcie się może wywołać u niej taką reakcję.

A może po prostu obudziła się z chorym gardłem i chciała mnie zawiadomić, lecz z powrotem zasnęła? Albo zadzwonił do niej klient, którego nie mogła zlekceważyć.

Zajęłam się papierkową robotą, zatelefonowałam w kilka miejsc i w końcu przestałam czekać.

Jeśli pacjent opuszcza sesję bez uprzedzenia, płaci pełną cenę wizyty. Nigdy nie dzwonię, by dowiedzieć się, gdzie ktoś jest. Na początku następnej sesji proszę jego lub ją o wyjaśnienie, co się stało.

Tak więc przestałam myśleć o Cleo i kwadrans po dwunastej wyszłam z instytutu. Następną wizytę miałam dopiero o drugiej i chciałam pospacerować.

Był piękny czerwcowy dzień. Ruszyłam do Central Parku i przy fontannie Bethesda skręciłam na zachód. Mijałam nianie z dziećmi,

które trzymały w rękach zabawki i miały umorusane od jedzenia buzie; wyprowadzaczy biegnących szybkim truchtem, trzymających na smyczy sforeę od dziesięciu do trzynastu psów; i młode pary zakochanych odurzone wiosną, trzymające się za ręce, spacerujące leniwie w słońcu.

Przyglądałam się im i myślałam o mojej córce, wdzięczna losowi, że ona ma jeszcze dwa, trzy lata do swoich pierwszych miłosnych wtajemniczeń. Miałam nawet nadzieję, że jeszcze więcej. A potem, nie w pełni świadomie, znów zaczęłam myśleć o Cleo, tak bardzo zagubionej w sytuacji, kiedy jej udziałem stały się silne przeżycia, jakich dotąd nie знаła.

Miłość nie jest zarazkiem ani wirusem. Nie możemy jej wziąć pod mikroskop i zbadać. Nie jest też seksualnym przyciąganiem ani pożądaniem, ani brakiem pożądania. Ani żadną z obsesji czy lęków, które nas dręczą. A jednak próbuje, tak jak wszyscy z mojego instytutu i terapeuti na całym świecie, leczyć ludzi, którzy ulegają miłości, namiętności, pożądaniu czy którejkolwiek z ich odmian i potem z tego powodu cierpią.

Zerwał się wiatr i rozwiął śmieci. Pochwyciłam wzrokiem nagłówek z gazety, która przyczepiła się do dna kamiennej fontanny.

„Morderca prostytutek na wolności. Śledztwo stoi w miejscu”.

Wiatr porwał gazetę dalej.

Wróciłam pamięcią do szczegółów, o których czytałam wcześniej, myśląc sobie, że przynajmniej wszystkie dziewczyny, z którymi pracowałam w więzieniu, są bezpieczne. Bezpieczniejsze za kratkami, niż byłyby na ulicy. Cleo też nic nie grozi. Jest zbyt cwana, by zadawać się z kimś, kogo nie zna. Wiedziałam dostatecznie dużo o tym, w jaki sposób pracowała i jak ostrożnie wybierała klientów. Nie poszłaby do hotelu z kompletnie obcym mężczyzną. Nigdy by sobie nie pozwoliła na znalezienie się w sytuacji, w której nic by jej nie chroniło.

A gdyby jednak... gdyby jakiś facet był sprytniejszy od niej? Gdyby okazał się na tyle przebiegły, żeby...

Usiadłam pod altaną z glicynii na West Side i wyjęłam z torebki telefon komórkowy. Wybrałam numer swojego gabinetu, poczekałam na sygnał i wystukałam kod do odsłuchania wiadomości.

To nie było normalne, żebym aż tak się niepokoiła o pacjentkę czy pacjenta, lecz tamte morderstwa nie dawały mi spokoju. A Cleo była dla mnie kimś ważnym.

Miałam trzy wiadomości.

Pierwsza była od pacjentki, która chciałaby odbywać dwie sesje w tygodniu. Następna od innego terapeuty z instytutu, który prosił o konsultację któregoś dnia przed weekendem. Czekałam na trzecią wiadomość, modląc się, aby była od Cleo, bojąc się, że nie będzie od niej, czując, że jeśli teraz nie usłyszę jej głosu, wyobraźnia mnie poniesie jak wiatr tamtą gazetę.

Trzecia wiadomość była od mojego eksmęża. Pozdrowiał mnie i opowiadał, jak planuje spędzić z Dulcie resztę jej wakacji.

Ani słowa od Cleo.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Daleko od mojego gabinetu w Instytucie Butterfielda, jakby w innej części świata, znajdowało się stanowe więzienie dla kobiet. Po niespełna trzech godzinach jazdy z miasta na północ stanu Nowy Jork docierało się do budowli z czerwonej cegły usadowionej u podnóża wzgórza przy opustoszałej drodze, niedaleko parku stanowego. W czwartek rano jechałam tam z Simonem Weissem, kolegą terapeutą z instytutu. Prawdę mówiąc, robiliśmy to dla jakichś dwóch do sześciu pacjentek, prostytutek, które albo prosiły o rozmowę z terapeutą, albo zostały na taką rozmowę skierowane.

Te sesje wyjazdowe rozpoczęłam jeszcze w czasie studiów w ramach praktyk, ale robiłam to nadal, bo wciąż byłam wystarczająco niewinna albo wystarczająco głupia, aby wierzyć, że naprawdę mogę coś zdziałać. A Simon, który był moim kolegą po fachu i jednym z moich najbliższych przyjaciół, robił to ze mną od roku.

Od chwili zabójstwa pierwszej prostytutki nastrój więźniarek bardzo się pogorszył. Mieszały się w nich złość i smutek, martwiły się o swoje koleżanki na wolności i o swój własny los, kiedy wyjdą.

Podczas gdy Simon przedzierał się przez zatłoczone miasto, omówiliśmy instytutowe plotki, a potem pograżyliśmy się w kojącym milczeniu.

Patrzyłam w szybę, ale kątem oka go widziałam. Kręcone włosy w kolorze brudny blond, dołeczki w policzkach i żywe niebieskie oczy, a przy tym błyskotliwy umysł, za którym mało kto nadażał - to wszystko składało się na imponującą postać. Ale było w nim coś jeszcze. Simon miał pewną rzadką męską cechę: kochał kobiety. Uwielbiał z nami rozmawiać, spędzać z nami czas, słuchać nas i przyjaźnić się z nami. Czasami, kiedy wpadaliśmy gdzieś na drinka i

przy okazji ucinaliśmy sobie pogawędkę od serca, żartował rubasznie, że jest babą z futem.

- Strasznie jesteś dziś małowówna - zauważył.
- Jak się z tym czujesz?

Roześmiał się. To był nasz żart, greps, którym rozmieszciliśmy się wzajemnie, parodiując rozmowę lekarza z pacjentem. Zdawałam sobie sprawę, że pewnego dnia będziemy musieli poszperać głębiej i od- naleźć to coś, co maskujemy swoimi wygłupami. Ale miałam nadzieję, że uda się to odwlec.

- A tak na serio - powiedział - o co chodzi?
- Mam pacjentkę, która nie przyszła wczoraj na wizytę i nie zadzwoniła. Bronię się przed tym, ale mam przeczucie, że mogło się stać coś złego.

- Zadzwoniłaś do niej?
- Próbowałam, wczoraj późnym popołudniem. Nie byłam pewna, czy powinnam.

- Dlaczego?
- Zwykle tego nie robię.
- Ale ona jest wyjątkowa? Skinęłam głową.

Simon uśmiechnął się. Bywało, że jakiś pacjent szczególnie mnie poruszył, tak jak Cleo. Ale ostatnio stało się to dawno temu.

- Nie oddzwoniła?
- Nie.
- Kto to jest? Cleo Thane?

Przytaknęłam.

Podczas cotygodniowych spotkań cała dziesiątka terapeutów z instytutu rozmawia o pacjentach, więc oni wszyscy wiedzieli o Cleo.

- Kiedy powinna przyjść następnym razem?
- W poniedziałek. Zakładam, że dostała pracę, która zmusiła ją do wyjazdu z miasta.

- Czy tylko to cię gryzie?

Simon był moim przyjacielem od dawna.

- W zeszłym tygodniu zakończyła się moja sprawa rozwodowa.

- I cały tydzień czekałaś, żeby mi to powiedzieć. Przez moment czułam się zażenowana.

- Morgan?

- Hm?

- Chcesz o tym pogadać?

- Jeszcze nie. Po prostu nie dopuszczam do siebie myśli, żeby cokolwiek w moim życiu musiało się zmienić choć odrobinę bardziej, niż już się zmieniło.

- Zmiana nie zawsze jest zła.

- Zawodowo, zgadzam się. Ale na płaszczyźnie prywatnej... powiedzmy, że nie jestem przekonana.

Byliśmy poza Manhattanem na autostradzie prowadzącej do mostu George'a Washingtona. W oddali błyszczały metalowe dźwigary i kratownice, rzeka Hudson mieniła się w słońcu.

- Widok jak z pocztówki, prawda? Całe to błękitne niebo, zielone drzewa i ten gigantyczny most - powiedział.

- Z dystansu łatwo się widzi symetrię rzeczy.

Wziął mnie za rękę i położył na siedzeniu między nami, nie zwalniając uścisku. Zdałam się na całe swoje doświadczenie, wiedzę i intuicję, by ocenić, czy ten dotyk nie różni się od miliona dotyków, którymi okazywał mi sympatię przez pięć ostatnich lat. Był dość wylewny i takie rzeczy jak uściski, braterskie pocałunki czy trzymanie mnie za rękę po to, żebym czuła łączącą nas więź, były dla nas czymś naturalnym.

Ale teraz ja byłam rozwiedziona, a on lubił flirt. I to, co wcześniej byłoby niewinne, nabierało być może innego znaczenia. Miał ciepłą

skórę i długie, silne palce. Co by się stało, gdybym poruszyła dłoń? Gdybym, zamiast trzymać ją bezwładnie w jego ręce, splotła palce z jego pacami? Jakie to byłoby uczucie, gdybym skierowała energię na dotyk? Gdybym wykorzystywała bliskość naszych rąk, żeby dać mu sygnał? Żeby mu powiedzieć swoim ciałem, że chcę więcej?

Zniszczyłabym wspaniałą przyjaźń. Tego byłam pewna. Jeśli już miałam eksperymentować z tą stroną swojej natury, która była zbyt długo uśpiona, to nie z udziałem kogoś, kto kilka razy w tygodniu siedzi naprzeciw- ko mnie przy stole konferencyjnym.

Słońce świeciło przez szybę i czułam, że robi mi się gorąco. Poprawiłam się na siedzeniu i zabrałam rękę.

Jak gdyby nic się nie stało, bo się nie stało, Simon położył rękę z powrotem na kierownicy. Jechaliśmy kilka minut w milczeniu, zanim spytał mnie o coś, czego - ze zdumieniem sobie to uświadomiłam - podczas setek godzin naszych rozmów nigdy nie poruszyliśmy.

- Dlaczego jeździsz do tego więzienia?
- Z powodu „co komu pisane”.

Wiedział, co chcę powiedzieć: „Nigdy nie wiadomo, co komu jest pisane”. Zbyt wiele widziałam rzeczy, wobec których mogłam tylko wstrzymać oddech i być wdzięczna, że to nie ja tam jestem i że to nie jest moje życie. Dulcie to przejęła i czasami wracała ze szkoły z opowieścią z serii „co komu pisane”.

- Cudowna odpowiedź w stylu Morgan - rzekł z uśmiechem.

Położyłam prawą rękę na lewej i bawiłam się na kolanach swoimi palcami.

Ale nie można stworzyć więzi z własną skórą.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O dziwo, spacer z parkingu do więzienia był czystą przyjemnością. Szło się jakieś czterysta metrów ścieżką graniczącą z parkiem stanowym, wysadzaną drzewami, których gałęzie zwisały się na teren instytucji. Wyniosłe stare dęby, klony, cedry i sosny osłaniały tę ścieżkę swoim cieniem, toteż łatwo było zapomnieć, gdzie się jest. Aż do wejścia na szczyt, gdy pojawiała się wartownia, ogrodzenie z drutu kolczastego, ogromne reflektory i otaczający budynek mniejszy parking, wypełniony służbowymi samochodami - stanowymi, policyjnymi i więziennymi.

Wieżenie mieściło się w posiadłości pewnego bogatego przemysłowca, którego trzyletni synek został brutalnie zamordowany w domu, kiedy wszyscy spali. Morderczynią była jego matka, która miała problemy psychiczne i dużą część życia spędziła w szpitalach i gabinetach lekarskich.

Bez względu na jej stan, została skazana na dożywocie i powiesiła się w pierwszym tygodniu pobytu w więzieniu. Pętlę zrobiła z prześcieradła, które rozerwała zębami. Jej mąż, Al Serwin, opuścił to miejsce, przekazawszy posiadłość i jakiś kapitał władzom stanu, z przeznaczeniem na więzienie dla kobiet. Ale miało to być szczególne miejsce odosobnienia, takie, do którego będą trafiać najlepiej rokujące osoby, dysponujące pokaźnym funduszem na zapewnienie każdej skazanej opieki psychiatrycznej. Wysokiej jakości - udzielanej na miejscu i w pełni opłacanej. Żadnych ponurych pracowników socjalnych, którzy biorą każdą robotę, jaka im się trafia, i odpajkują wizyty, bo są tylko odrobinę mądrzejsi od ludzi, którym udzielają porad.

Było cieplej, niż przewidywałam, więc zdjęłam przed brama żakiet. Zresztą i tak musiałam poddać się rewizji i opróżnić kieszenie, aby wejść do środka.

Przywitała nas Mary Kathryn Evans, strażniczka, z którą spotykaliśmy się w każdy czwartek od kilku dobrych lat.

- Mieliśmy tu w nocy niezły cyrk - oznajmiła z posepnym uśmiechem. Była potężnie zbudowana i zawsze żuła gumę o smaku cynamonowym.

Położyła ręce na moich biodrach.

- Co się stało?

- Jedna z pań miała gościa. Wychodzi na to, że to był eks innej naszej pani.

Jej ręce przesuwały się po moich nogach, klep, klep, klep, szukając czegoś, czego tam nie było.

- Bitwa była nie na żarty. Drapały się, gryzły. Potem wyszła z tego zabawa.

- Jakieś poważne obrażenia? Dotykała teraz moich ramion.

- Szwy, wstrząśnienia mózgu. Kilka ugryzień do krwi, a to, rozumie pani, ze względu na AIDS może być poważna sprawa.

Mary Kathryn skończyła i przesunęła się do Simona.

- Nie wiem, gdzie jest Joe. Chce pan czekać? Czy może dzisiaj ja to zrobić?

- Nawet bym wołał, kochanie - zażartował.

Zaczęła od bioder, a ja obserwowałam, jak jej palce w tak bezosobowy sposób wymacują nieistniejący szmugiel.

- Jedna z pani pacjentek brała w tym udział - zwróciła się do mnie, gdy jej dłonie obmacywały kostki Simona.

Teraz cała zamieniłam się w słuch.

- Kto?

- Coffey Gerard.

Miałam nadzieję, że to nie będzie ona.

- Została zaatakowana czy wszczęła bójkę?
- Zaatakowała ją Caty Laine.

Coffey była piękną afroamerykańską prostytutką, której wiele innych dziewczyn zazdrościło.

- Ale mogę się z nią zobaczyć?

- Chyba tak, na rozpisce jest pani z nią o jedenastej. - Mary Kathryn kiwnęła w stronę dziennego grafiku przyjęć lekarzy i nacisnęła przycisk, by wpuścić mnie i Simona do środka.

Przeszliśmy korytarzem do poczekalni zarezerwowanej dla lekarzy, terapeutów i funkcjonariuszy więziennych. Zwykle nie czekaliśmy zbyt długo.

Zapach w tym pomieszczeniu był nie najgorszy, poza tym, że przesadzano z ilością środków dezynfekujących. Wiedziałam jednak, że gdy tylko zjawi się następny strażnik, by mnie zaprowadzić do pokoju, w którym przyjmowałam pacjentki, smród będzie nieznośny.

Więzienie było przepelnione, mimo że było jednym z najlepszych miejsc przymusowego odosobnienia. Ale nie ma dobrych więzień. Nie ma łatwych sposobów na odsiadki wyroku.

- Doktor Snow? - W drzwiach stanął nieznany mi strażnik. Podniosłam się, odwróciłam do Simona i zamachałam palcami.

- Do zobaczenia - powiedział.

Uśmiechnęłam się i wyszłam za strażnikiem.

Gdy tylko opuściłam tamto pomieszczenie, wgrzyłam się w miętówkę, by jej zapach zdominował wszystkie inne wonie. Jeśli skupiałam się na oddychaniu przez usta, zawsze to trochę pomagało. Ale wciąż dusił stęchły odór potu, uryny, dymu z papierosów oraz tanich perfum i szamponów, których używały niektóre kobiety, żeby spróbować się upiększyć. To było jak wdychanie rozpacz.

Dante opisał trzy kręgi piekła: ja w każdy czwartek przemierzałam czyściec.

Usiadłam w pokoju bez okna. Obok biurka stała kozetka i krzesło - namiastka gabinetu terapeuty. Przynajmniej nie było tam brudno. Więźniarki musiały sprzątać, a w niektórych pomieszczeniach przykładały się do pracy bardziej niż w innych. Za punkt honoru stawiały sobie utrzymanie w nienagannej czystości tego gabinetu. Wiele z nich zgłaszało się na terapię. Mówiły, że czują się potem lepiej. Traktowaliśmy tam nasze pacjentki w taki sam sposób, jak traktujemy pacjentów we własnych gabinetach, i ten szacunek był dla nich cenny.

Kiedy czekałam na Coffey, której prawdziwe imię brzmiało Sarah, włożyłam do ust jeszcze jedną miętówkę, zrobiłam głęboki wdech i położyłam pudełko na stole, wiedząc, że z nim nie wyjdę - że w pewnym momencie, kiedy będę miała odwróconą głowę, Coffey ostrożnie zwinie je z blatu i schowa do kieszeni.

Prędzej czy później czekała nas rozmowa o jej drobnych kradzieżach. Ale tymczasem miałyśmy na głowie ważniejsze sprawy.

- Dzień dobry, pani doktor - powiedziała, kiedy strażnik otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

Staralam się nie okazać zdziwienia. Jedno oko miała całkiem zapuchnięte, a jej nos, jeśli nie był złamany, to na pewno mocno obity. Na całej długości szyi miała zadrapanie pokryte świeżym czerwonym strupem.

- Powinna pani zobaczyć, co ja jej zrobiłam! - oświadczyła Coffey nie bez przechwałki.

- Taak?

Uśmiechnęła się.

- To była samoobrona, ale żaden strażnik ani w ogóle nikt o tym nie wie.

- Jak to?

- No, jak jestem wściekła na Billy, nie znaczy, że będę kapować na Caty. Ona miała pilnik do paznokci. Cholera wie, jak go zdobyła. Ale miała go i celowała nim w moje oko.

- Bo?

- Miałam wczoraj gościa.

- Kto to był?

- Tyson. - Rzuciła mi pełen zadowolenia uśmiech kobiety doskonale zdającej sobie sprawę z tego, że ma mężczyznę, który jest na nią tak napalony, że pojedzie szmat drogi do więzienia, by sycić się jej widokiem przez pancerną szybę.

- Więc on wrócił?

Coffey skinęła głową. Rozmawialiśmy o jej sutenerze kilkakrotnie, i dobrze wiedziała, że jeśli chce wyjść z więzienia i nie wrócić na ulicę, musi z nim zerwać.

- On spróbuje załatwić mi interview z kimś naprawdę ważnym, jak tylko stąd wyjdę. Uważa, że stać mnie na więcej, że mam w sobie coś ekstra. Martwi się o mnie. Ten facet, który zabija dziewczyny i przebiera nas za zakonnicę... Wszyscy są wkurzeni. A Tysonowi za bardzo na mnie zależy, żeby miał mnie wypuścić z powrotem na ulicę. Więc załatwi mi interview.

- Interview?

Pochyliła się, jakby miała jakiś sekret.

- Słyszała pani kiedyś o Cleo Thane?

Nie byłam aktorką - na takie życie skazała się moja matka - dlatego z trudem mi przyszło zachowanie kamiennej twarzy.

- Kim ona jest?

- Kim? To najgrubsza ryba w biznesie. Księżniczka, piękna jak z obrazka, wygląda, jakby mieszkała w którymś z tych wypasionych wieżowców na Piątej Alei i cały dzień nic nie robiła poza łażeniem po sklepach i katowaniu ciała w siłowni.

- Czy ona jest prostytutką?

- Czy ona jest prostytutką? - Coffey sparodiowała mnie i parsknęła śmiechem. - Tak. To Święta Patronka Dziwek.

Roześmiałam się razem z nią, ale w środku coś mnie ścisnęło i ciarki przeszły mi po grzbiecie.

- Zabawne przezwisko. Czym sobie na nie zasłużyła?

- No właśnie. Musi pani wiedzieć, jak ta facetka traktuje swoje dziewczyny. Daje im ubezpieczenie zdrowotne. Zakłada im te jakieś konta emerytalne. Zależy jej, żebyśmy były zadbane, rozumie pani, o co chodzi?

Nieczęsto się zdarza, by terapeuta musiał rozmawiać o swoim pacjencie z kimś innym. Zwykle jesteśmy zmuszeni przyjąć wersję pacjenta.

- A co ma z tym wspólnego Tyson?

- On mówi, że zna kogoś, kto zna ją, i że jak wyjdę, załatwi mi dojsście. Ona prowadzi interes, jakby to była agencja modelek, a nie burdel. Żeby pracować dla Cleo, trzeba umieć mówić, myśleć i mieć wyczucie. Ale Tyson mówi, że ja to wszystko mam. I że jej dziewczyny są bezpieczne. Jak żadne inne w branży. Że Święta zajmuje się wszystkim, co trzeba.

Coffey była dwudziestoczteroletnią prostytutką, która zadźgała jednego z klientów w samoobronie, gdy zagroził jej nożem i zażądał, by doprowadziła go do orgazmu, zrzucając na nią winę za własną impotencję. Dopiero z nożem przy jej gardle miał wreszcie wytrysk, a kiedy zapadł na kilka żalonych sekund w ekstazę, ona wyrwała mu ten nóż z ręki.

Podczas walki, która się wywiązała, zraniła go i facet zaczął krwawić. Skąd miała wiedzieć, że przecięła mu arterię szyjną? Zmarł u jej stóp. W opuszczonych do kostek spodniach, z zasychającą na brzuchu spermą. I teraz ona odsiadywała wyrok od szczęścia do trzynastu lat, z nadzieją, że wyjdzie po trzech.

- Więc masz swoją bohaterkę - powiedziałam. Coffey rzuciła mi paskudne spojrzenie.

- Co jest do diabła złego w tym, że kogoś podziwiam? Że mam wzór do naśladowania? Co?

- Nie uchronię cię przed ulicą, jeśli obrałaś sobie za wzór prostytutkę.

Powiedziałam to bez żadnej zmiany w brzmieniu głosu, ale czułam się, jakby Coffey trochę mi dopiekle. Cleo była moją klientką, nie chciałam zacząć o niej myśleć w jakkolwiek uwłaczający sposób. To nie było moje zadanie.

W gabinecie na Manhattanie istotnie nie było.

Ale tutaj owszem.

Coffey obgryzała paznokcie i patrzyła na mnie spode łba. Mimo posiniaczonej twarzy widać było jej wyraziste rysy i to, że ma świetną cerę. Jej włosy wciąż były lśniące i grube. Siedziała jednak w więzieniu od niedawna, nie dosięgła jeszcze dna. To była jej pierwsza walka, a czeka ją dużo więcej. I może być gorzej.

- Coffey, porozmawiajmy o tym. Czy nie przychodzi ci do głowy nikt inny, kogo mogłabyś podziwiać?

- Ma pani jakiś problem z tym, że ja myślę, że Cleo jest wyjątkowa?

- Widzisz jakiś powód, dla którego mogłabym mieć?

- Nigdy nie odpowiada pani na pytanie odpowiedzią?

- W porządku. Myślę, że są kobiety, które mogłyby ci służyć za lepszy wzór do naśladowania. Chcę ci pomóc zrozumieć, że są inne rzeczy, które możesz robić, poza uprawianiem prostytucji.

Coffey zarechotała. Tym jednym dźwiękiem przeobraziła się z czarującej, smutnej więźniarki w czarownicę.

- Siostró, pani tego nie łapie. Musi ją pani poznać. Musi pani posłuchać, jak mówi o tym, w jaki sposób my wszystkie zarabiamy na życie, dlaczego zasługujemy na coś innego niż pieprzonych tajniaków, którzy bez prze- rwy depczą nam po piętach. Cały czas pani o niej mówi, jakby była jakąś brudną zdzirą. Ona nie jest taka. Ta kobieta błyszczy. Stawia się każdemu, kto jej wejdzie w drogę. Nosi buty od Jimmy'ego Choo i najlepsze ciuchy. Powinna ją pani zobaczyć. Każdy włos na swoim miejscu, ani jednego zagniecenia na żakiecie. Ona jest piękna.

I nagle Coffey jeszcze raz zaniósła się zdrowym, donośnym śmiechem, pokazując srebrne ubytki w tylnych zębach.

- Pani mi ją przypomina, doktor Snow. Właściwie, gdyby miała pani takie same jasne włosy jak ona, mogłybyście robić za rodzone siostrzyczki. Poważnie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W drodze powrotnej nie byłam zbyt rozmowna. Niebo przed nami było szare, zaciągnięte chmurami. W miarę jak zbliżaliśmy się do miasta, robiło się coraz ciemniej, a za mostem George'a Washingtona zaczęło padać.

Na autostradzie utworzył się korek. Deszcz zamienił się w ulewę, która niemal całkowicie sparaliżowała uliczny ruch. W samochodzie Simona wszystkie szyby były zaparowane.

Niedaleko był bar, przy którym zwykle się zatrzymywaliśmy, wracając do Nowego Jorku. Simon zaparkował blisko wejścia i wbiegliśmy do środka tylko trochę zmoczeni.

On zamówił colę i zapiekaną kanapkę z serem. Przyzwyczaiłam się, że je, kiedy ma ochotę, to, co ja nazywałam „zestawem dziecięcym”. I zazdrościłam mu tego. Sama zamówiłam sałatkę i mrożoną kawę, którą potem osłodziłam sztucznym słodzikiem. Mimo że starałam się spacerować i chodzić do siłowni kilka razy w tygodniu, zawsze uważałam, że muszę schudnąć pięć kilo.

- Morgan, co się dzieje? - spytał wreszcie Simon, zmieniając żartobliwy ton na poważny.

- Wiem, że depresja jest złością skierowaną do wewnątrz, ale nie potrafię wykorzystać tej wiedzy, żeby pomóc sobie w takim stopniu, jak pomagam pacjentom.

- Cały czas złościsz się za swoich pacjentów. To twoja pięta achillesowa. Czujesz za nich. Chcesz za nich rozwiązywać ich problemy. Chcesz ich ocalać, a wiesz, że to nie jest dla ciebie dobre.

- Na świecie jest za mało miłości. I nawet za mało współczucia i litości. I na pewno jest za mało czasu, żeby dać te uczucia wszystkim, którzy na nie zasługują.

- Musisz pamiętać, że ty też zasługujesz na odrobinę tego wszystkiego.

- Już mam superwizora* dziękuję bardzo, doktorze Weiss.
- Chodzi o coś więcej - rzekł z uśmiechem. - Wyrzuć to z siebie.
- Cleo Thane. Te dziewczyny ją podziwiają.

Pokiwał głową i poczekał, aż kelnerka postawi na stoliku nasze jedzenie.

- Wiem. To dlatego tak ci załazi za skórę?

Spróbowałam swojej sałatki, potem odpowiedziałam:

- Nie wiem.
- Pierwsza myśl.

- Ona wydaje się taka twarda. Tylko że to wszystko jest grą. Ona jest najlepszą aktorką na świecie i nikt się o tym nigdy nie dowie poza kilkudziesięcioma facetami.

- Hm. A do kogo innego pasuje ten opis?

Przyznałam mu rację skinieniem głowy. To było zbyt łatwe. Kiedy przyjaźnisz się z terapeutą, który naprawdę cię zna, rozmawiasz z nim skrótami. Jeśli się czasem czułam zdezorientowana, to dzięki Simonowi Weissowi i Ninie Butterfield nigdy nie trwało to zbyt długo.

- Widzisz w niej swoją matkę, prawda? - zapytał miękko.
- Widzę w niej trochę z mojej matki.

Wtedy też padało. Mieszkaliśmy w tej norze na Lower East Side i woda przeciekała przez nieszczelne okna, w miejscach, gdzie rama odstawała od szyby. Moja matka leżała na kanapie w jedwabnej pomiętej bluzce i luźnych dżinsach, taka mizerna. Jej piękne czarne włosy kontrastowały z bladą twarzą. Przeszywające niebieskie oczy

* Superwizor - terapeuta nadzorujący pracę innego terapeuty (przypis tłumacza)

mojej matki były na wpół zamknięte, a jej szkolony głos bełkotliwy po zażyciu proszków przeciwbólowych, które łykała jak cukierki, i w wyniku działania alkoholu, którym je popijała.

Tamtego dnia, kiedy wróciłam do domu ze szkoły, był u niej jakiś przyjaciel. Nazywała go Jim i trzymała go za rękę. Kiedy ją cofnął, wetknęła coś do swojej kieszeni.

- Opowiedz mi bajkę, Morgan - szepnęła, kiedy sobie poszedł, a ona dalej leżała na kanapie.

I ja, mając osiem lat, za mało, by cokolwiek rozumieć, myślałam, że jeśli będę do niej mówiła, przywrócę ją, prawie martwą, do życia i uzdrowię.

- Dawno, dawno temu były sobie dwie zagubione dziewczyny...

Deszcz przestał padać równie szybko, jak zaczął, i kiedy skręciliśmy w Sześćdziesiątą Piątą Ulicę, by zostawić samochód na podziemnym parkingu jedną przecnicę od instytutu, wychodziło słońce.

Była piąta. Mieliśmy półtorej godziny do rozpoczęcia naszej czwartkowej sesji terapii grupowej.

Weszliśmy razem przez drzwi z kutego żelaza i szkła, po czym oboje przywitaliśmy się z Belindą, naszą recepcjonistką. Potem Simon poszedł do swojego gabinetu, ja do swojego. Chciałam przed sesją zadzwonić do Dulcie, która spędzała czwartkowe wieczory z rodzicami Mitcha.

Otworzyłam drzwi do gabinetu i zatrzymałam się w progu, czując, że coś jest nie tak, zanim świadomie to zobaczyłam. Musiałam zostawić otwarte okno i wiatr narobił... Nie, nie jakiś tam wiatr.

Tylko straszna wichura mogła narobić takiego bałaganu.

Kobaltowo- szmaragdowy dywan przykryty grubą warstwą papierów wyglądał jak zaśmiecona ulica po paradzie. Nawet nie

wiedziałam, że mam w gabinecie aż tyle papieru. Błat biurka był czysty, a wszystkie szafki z kartotekami otwarte, szuflady wyciągnięte, puste, rozdziawione jak paszcze głodnych bestii.

Między papierami walały się moje książki, zrzucone z półek na podłogę razem ze wszystkim innym. Mnóstwo książek leżało otwartych, miały wyrwane grzbiety. Nieprzyzwoite było popołudniowe słońce, które oświetlało to pobożowisko.

Nikt nie zostawił otwartego okna. I nie było wiatru, który mógłby spowodować tyle zniszczeń.

- Belinda?! - wrzasnęłam na całe gardło. Wiedziałam, że mogę zakłócić komuś sesję, ale nie mogłam się powstrzymać.

Wkrótce usłyszałam kroki; musiała rozpoznać przerażenie w moim głosie.

- Doktor Snow? Nic pani nie jest? Stanęła w otwartych drzwiach gabinetu.

- O mój Boże! - wyszeptęła.

- Widziałaś, żeby ktoś tu wchodził dziś po południu? Wpuszczałaś kogoś? Czy moje drzwi były przez całe popołudnie zamknięte?

Wiedziałam, że to daremne przesłuchanie. Belinda siedziała niżej w holu, odwrócona plecami do mojego gabinetu. Ale może przechodziła obok. Może coś zwróciło jej uwagę.

- Były zamknięte czy otwarte? - zapytałam.

- Musiały być zamknięte. Zauważyłabym, gdyby były otwarte.

Przechodziłam tędy co najmniej cztery razy. Myśli pani...

- Lepiej zadzwoń po Ninę.

Nina i ja stałyśmy pośrodku pokoju, szacując straty. W gabinecie nie było nic cennego oprócz komputera - który stał spokojnie na biurku - i dywanu. Ale obie się martwiłyśmy o karty pacjentów. Jeżeli

którąś z nich ktoś zabrał? Każda zawierała bardzo osobiste, poufne informacje. Dzisiaj nikt nawet nie mrugnął, kiedy człowiek mówił, że idzie do terapeuty, ale kiedy oznajmiał - jeśli w ogóle to robił - że chodzi do terapeuty seksuologa, ludzie zaczynali węszyć. Chcieli wiedzieć, nawet jeśli nie śmieli zapytać, na czym polega problem. Impotencja? Oziębłość? Brak pożądania, nadmiar pożądania? Gorzej? Jakieś zboczenie?

Wciąż jesteśmy purytańskim społeczeństwem.

- Spróbujmy rozejrzeć się w tym bałaganie i sprawdzić, czy coś zginęło. Masz dzisiaj grupę? - spytała Nina.

- Tak.

- Więc się pośpieszmy. Mamy godzinę. Zapomnij o książkach, przejrzyjmy papiery i zobaczmy, co jest czym. To mogłaby być katastrofa.

Kiedy przerzucałyśmy stosy kartek, a ja znajdowałam w swoich notatkach nazwiska byłych oraz obecnych pacjentów, ogarniało mnie coraz większe przerażenie.

- Większość z tych zapisków jest przyzwoicie zaszyfrowana, ale gdyby ktoś chciał szantażować męża albo żonę, albo walczy w sądzie o opiekę nad dzieckiem, znajdzie tu rzeczy, których mógłby użyć. - Mój głos przybierał histeryczny ton. - Skąd mogę wiedzieć, co zginęło?! Wszystko mogło zginąć. Ktoś mógł wziąć tylko jedną kartkę, która może wwołać...

Nina podeszła i położyła mi ręce na ramionach. Byłyśmy równego wzrostu, toteż mogła spojrzeć mi prosto w oczy. Pamiętałam czasy, kiedy ja byłam małą zagubioną dziewczynką, a ona dorosłą kobietą. Nie zwracała uwagi na moje śmierdzące ubranie i potargane włosy, nie zwracała uwagi na moją matkę leżącą na łóżku obok mnie, na wpół otepiałą od środków przeciwbólowych, tylko wpatrywała się we

mnie swoimi bursztynowymi oczami i trzymała w życzliwych objęciach.

- Morgan, nie zrobiłaś niczego złego. - Trzydzieści lat później nadal była jedyną osobą, która mogła mi to powiedzieć i sprawić, żebym uwierzyła.

Wzięłam oddech - tak jak mnie tego nauczyła. Poczwórny oddech, dający natychmiastowe uspokojenie. Wdech, raz, dwa, trzy, cztery, trzymaj, raz, dwa, trzy, cztery. Wydech, raz, dwa, trzy, cztery, trzymaj, raz, dwa, trzy, cztery. I od początku.

- Czy nie powinnyśmy zadzwonić na policję? - spytałam.

Nina pokręciła głową. Wiedziała, że nie będzie chciała tego zrobić. Mnie zdarzyło się kilka razy współpracować z policją w charakterze biegłego i miałam dobre kontakty służbowe z biurem prokuratora okręgowego, ale Nina nie.

W 1996 roku jej mąż od zaledwie dwóch lat i założyciel tego instytutu, Sam Butterfield, został aresztowany i oskarżony o prowadzenie nielegalnej działalności sutenerskiej. Był błyskotliwym starzejącym się hippisem, który darzył policję nienawiścią pokolenia dzieci kwiatów. Jako radykalny rewolucjonista, który uważał, że Ameryka jest zacofana i purytańska, jeśli chodzi o podejście do seksu, normy obyczajowe i prawa, łamał zasady i bez oporów tworzył nowe.

Policja metodą zorganizowanej prowokacji posłużyła się pisarką Julią Sterling do zinfiltrowania instytutu. Pół roku później Sam został skazany. Zmarł na atak serca w drugim tygodniu pobytu w więzieniu.

Nina, która zawsze kierowała się zdrowym sceptycyzmem równoważonym szacunkiem dla organów prawa, popadła w rozgoryczenie. Za śmierć Sama winiła wyłącznie policję i ich zręcznie przeprowadzoną akcję prowokacyjną.

Wystarczyłoby, mówiła nieraz, by przyszli i powiedzieli Samowi, czego od niego chcą, by przeprowadzili otwarte śledztwo, zamiast

uciekać się do podstępu w imię rzekomej sprawiedliwości. I to było przyczyną szoku, mówiła Nina, który go zabił. A teraz nie dowierzała policji tak samo, jak kiedyś jej mąż.

- Chciałabym wiedzieć, jak do diabła ten ktoś tu wszedł. Drzwi były zamknięte na klucz? - spytała.

- Nigdy nie zamykam drzwi na klucz.

- Kiedy po raz ostatni tu byłaś?

- Wczoraj, około piątej.

- Wczoraj wieczorem, między szóstą a dziewiątą, mieliśmy sześć grup. To więcej niż pięćdziesiąt osób. Ktoś mógł się w tym czasie wśliznąć niezauważony przez recepcjonistkę.

- Belinda by zauważyła - powiedziałam.

- Nie było jej wieczorem. Zastępowała ją dziewczyna z agencji. Serena jakaś tam. Nie pamiętam jej nazwiska.

Nina podeszła do okien i najpierw sprawdziła lewe, potem prawe. Tylko jedno było zablokowane. Mój gabinet był na pierwszym piętrze. W ciemnościach nocy, podczas kilku godzin, kiedy mieszkańcy sąsiednich rezydencji naprawdę śpią, ktoś mógł się wdrapać po murze i zakraść do budynku.

- Zablokowałaś wczoraj okna i balkon?

Wertowałam papiery, ale nie byłam skoncentrowana.

Czy to był akt wściekłości jakiegoś byłego pacjenta? Czy ktoś się włamał do mojego gabinetu, szukając cennych informacji, które pozwoliłyby mu zniszczyć jednego z moich pacjentów?

- Tak, oczywiście - odparłam. A może jednak zapomniałam?

- Domyślasz się, któremu z twoich pacjentów mógł grozić szantaż?

- Któremu? Raczej którym. Mam pacjentkę, która zdecydowała się w końcu zażądać od męża separacji. Maltretował ją seksualnie i nawet był tu z nią kilka razy. Myślę, że mógłby się wściec na tyle, żeby

zrobić coś takiego. Znał położenie gabinetu i mógłby się dostać do środka. Każdy mógłby się dostać, jeśli dyżur w recepcji miała jakaś dziewczyna z agencji.

- Kto jeszcze?

- Dziesiątki innych. Nawet nie wiem, od kogo zacząć. - Czulałam się przytłoczona widokiem kompletnego pobojuwiska i chaosu.

- Porozmawiam z tamtą dziewczyną i przejrzę książkę rejestracyjną. Musi być jakiś sposób na zrozumienie, o co w tym chodzi.

Pół godziny później była u mnie z powrotem.

- Zauważyłaś, czy coś zginęło? - Zaczęła podnosić z podłogi książki i ustawiać je na półkach.

- Nie, ale kto wie. To mogła być jedna kartka z moimi notatkami. A ty doszłaś do czegoś?

- Nie. Za dużo opcji. Mieliśmy tu wczoraj wieczorem sześćdziesiąt pięć osób między indywidualnymi przyjęciami a grupami. Pięciu nowicjuszy. I pracował ktoś z firmy telefonicznej. Poza tym około pięciu posłańców dostarczyło paczki. Każdy z nich mógł się ukryć w łazience. Będziemy musieli mieć na oku tych nowych pacjentów, którzy przyszli tu wczoraj, ale nie wróca.

- To się da zrobić pod warunkiem, że taka osoba podała prawdziwe nazwisko. Jeśli nie, możemy się nigdy nie dowiedzieć, kto to był. Ani czego chciał. - Wyglądziłam wyklejkę książki o freudowskim kompleksie ladczy- madonny, po czym zaniósłam ją na półkę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Katedrę Świętego Patryka z jej zaledwie stumetrowymi kamiennymi iglicami przytłaczały wieżowce ze szkła i stali, ale kościół emanował dostojnością, którego tamte wyższe budowle były pozbawione. Codziennie od rana, kiedy otwierano bramy, do ich zamknięcia wieczorem ponad siedem tysięcy ludzi przekraczało progi tej majestatycznej gotyckiej świątyni. A już trudno było o większe tłumy niż w letnią sobotę, kiedy miasto zwiedzali turyści z całego świata.

Właśnie dlatego wybrał tamto przedpołudnie o jedenastej.

To była jego najbezpieczniejsza kryjówka w Nowym Jorku. W tej katedrze mógł spędzić tyle czasu, ile chciał, i nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, obmyślić, co powinien robić dalej. Nigdy nie siadał dwa razy z rzędu w tej samej ławce, nigdy nie odwiedzał tej samej kaplicy częściej niż raz w miesiącu.

Ludzi, którzy się modlili, kryła zasłona niewidzialności. Wciąż panowało przekonanie, że nie wypada się gapić na człowieka z pochyloną głową i zamkniętymi oczami. Więc właśnie taką pozycję przyjmował, kiedy miał dosyć ulic i ludzi, którzy go znali i czegoś od niego chcieli.

To był jego azyl, a dzisiaj było to również jego miejsce zakupów. Sceneria, którą obmyślił, wymagała kilku zwykłych czarnych różańców. A nie było bezpieczniejszego miejsca, w którym mógłby je kupić, niż sklepik z pamiątkami w tym świętym gmachu.

Komercjalizm wtargnął do kościoła z taką samą zachłannością, z jaką opanował świat sztuki. Na każdego z ludzi, którzy stawali urzeczeni przed obrazem van Gogha, przypadało dwudziestu, którzy kupowali gadżety w muzealnym sklepie. Na każdego z ludzi, którzy przychodzili do tej wspaniałej katedry wielbić Pana, stu innych

wyrażało swą pobożność w małym sklepiku, kupując medaliki, obrazki, święconą wodę w butelkach czy jeden z dziesiątków wystawionych na sprzedaż różańców.

Nikt by nie zapamiętał mężczyzny, który kupił czarny różaniec. Nikt nie miał szansy się zdziwić, że on od kilku tygodni bywa tu co sobotę, za każdym razem kupując identyczną rzecz. I nikt nie zauważył, że udawało mu się nie dotknąć paciorków, bo podając je sprzedawczyni, trzymał je za metkę.

Znów wybrał czarny - dlatego że był prosty, dlatego że podobało mu się, jak wygląda na tle jasnej, w kolorze kości słoniowej skóry. Wybrał różaniec z paciorkami średniej wielkości, ze srebrnym łańcuszkiem, medalikiem i krucyfiksem. Uważał, że złoto jest pretensjonalne.

Akt podania pieniędzy i zabrania torebki z różańcem był aktem wiary samym w siebie. Mężczyzna odwzajemnił uśmiech kobiety. Naturalnie, bez lęku, wiedząc, że nie zapamięta jeszcze jednego przeciętnego klienta.

Wyszedł ze sklepiku i udał się do absydy kościoła. Zamierzał podejść do kratki konfesjonału i poprosić księdza o poświęcenie różańca. Prosi o to codziennie mnóstwo ludzi - turyści, którzy nie mają szacunku do domu Bożego, którzy robią zdjęcia, którzy kupują pamiątki. Gdyby mógł ich wszystkich przepędzić, chętnie by to zrobił. Gdyby mógł przywrócić czystość katedrze, nie wahałby się ani chwili.

Ale wtedy już nie byłby niewidzialny. A nie mógł ryzykować, że zostanie rozpoznany, dopóki nie spełni swego zadania do końca.

- Ojciec, ostatni raz byłem u spowiedzi tydzień temu. Wzywałem imię Pana Boga nadaremno i pożałowałem żony sąsiada. I proszę o poświęcenie różańca. Zechce Ojciec to zrobić?

- Tak, mój synu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W poniedziałek rano, piętnaście po ósmej, jechałam z Dulcie taksówką do jej szkoły teatralnej.

- Chciałabym chodzić do tej szkoły przez cały rok - powiedziała tęsknym głosem.

Podczas gdy taksówka przebijała się przez zatłoczone ulice, moja córka trajkotała jak najęta: o akademii, którą lubi o „wiele, wiele” bardziej niż zwykłą szkołę, i o tym, że jej nowa przyjaciółka, Gretchen, podobnie jak ona uważa, że im wcześniej zaczniesz się grać, tym większą ma się szansę na zostanie prawdziwą aktorką.

Nie miałam nic przeciwko temu, by Dulcie chodziła w wakacje na zajęcia teatralne zamiast jechać na jakiś obóz, chociaż wolałabym, aby spędziła lato na świeżym powietrzu, pływając, grając w piłkę i w tenisa. Spośród wszelkich możliwych rzeczy, którymi można się fascynować, teatr był ostatnim zajęciem, które bym dla niej wybrała. I nie tylko dlatego, że widziałam, co zrobił z moją matką jej wczesny sukces aktorski, a później porażka. Chciałam po prostu, by Dulcie miała normalne dzieciństwo, by nie doświadczała presji i odrzucenia - tego wszystkiego, co jest związane z karierą aktorską - zanim wyrobi w sobie mechanizmy obronne człowieka dorosłego. To może być okrutny zawód bez względu na wiek - ale ona miała dopiero dwanaście lat.

Tylko że aktorstwo moja córka miała we krwi.

Zatrzymaliśmy się przy szkole na rogu Madison i Trzydziestej Dziewiątej Ulicy. Dulcie wyskoczyła z taksówki, kiedy płaciłam kierowcy, a potem przed wejściem dała mi buziaka. Jej iskrzące błękitne oczy promieniały szczęściem.

- Wspaniałego dnia - powiedziałam.

- Tak jest - odrzekła i wbiegła do budynku. Jej radość była zaraźliwa i zdałam sobie sprawę, że się uśmiecham.

Mój uśmiech jednak był krótkotrwały.

Dotarłam do instytutu na czas. O dziewiątej miałam pierwszego pacjenta, który wyszedł za kwadrans dziesiąta, co dawało mi piętnastominutową przerwę przed spodziewaną wizytą Cleo.

Dziesiąta nadeszła i minęła, a jej nie było. Odczekałam piętnaście minut przy biurku i wyszłam na balkon. Niby podlewałam rośliny, które tam rosły, ale tak naprawdę patrzyłam na ulicę.

Po raz drugi w ciągu pięciu dni Cleo nie przyszła na spotkanie. I nie zadzwoniła, żeby je odwołać. Może to przeczulenie, ale naprawdę się o nią niepokoiłam.

Świeciło słońce i wiał ciepły wiatr. Geranium w terakotowych donicach przed wejściem do instytutu było obsypane białymi i różowymi kwiatami, które gięły się na wietrze. Z góry to wyglądało, jak gdyby się modliły.

Lustrowałam ulicę, mając nadzieję, że Cleo wyłoni się zza rogu i skęci w moją stronę.

Za dwadzieścia pięć jedenasta wróciłam do gabinetu, zadzwoniłam do niej i uzyskałam połączenie z automatyczną sekretarką. Zostawiłam krótką wiadomość, a potem usiadłam przy biurku, zastanawiając się, co jeszcze mogę zrobić. Na ile powinnam być zaniepokojona?

Otworzyłam jej teczkę i znalazłam formularz, który musiała wypełnić na wstępie pierwszej wizyty. Przebiegłam wzrokiem dane dotyczące jej ubezpieczenia, adres domowy, telefon i miejsce pracy. W rubryce, w której pacjent na naszą prośbę podaje dane najbliższego krewnego, z którym można się skontaktować w nagłym przypadku, Cleo wpisała Gila Howarda. I nowojorski numer telefonu.

Zakładałam, że to był mężczyzna, którego nazywała Cezarem, ale zadzwonienie do niego stwarzało dylemat etyczny. Z tego, co Cleo mi mówiła, Cezar wiedział, że ona chodzi na terapię, ale to jeszcze nie dawało mi prawa do skontaktowania się z nim, jeśli robiąc to, mogłabym mu udzielić informacji o czymś, co przed nim ukrywała.

A jeśli, na przykład, wzięła jakąś pracę poza miastem i wyjechała, nic mu nie mówiąc? Gdybym zadzwoniła do niego i oznajmiła, że Cleo opuściła kolejną wizytę, dowiedziałby się ode mnie więcej, niż chciała mu ujawnić.

A jeśli po prostu wyszła z gabinetu i zdecydowała, że koniec z tym? Czasami pacjenci tak reagują. Bywa, że terapeuta drażni zbyt głęboko, posuwa się za daleko i za szybko, i pacjent się płoszy. A jeśli mu nie powiedziała, że zrezygnowała z terapii?

Postanowiłam na razie nie dzwonić.

Pacjentka umówiona na jedenastą zjawiła się punktualnie.

Natychmiast po jej wyjściu wybrałam jeszcze raz numer Cleo. Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, odłożyłam słuchawkę. Zostawiłam już dwie wiadomości - jedną ostatniej środy, drugą dziś rano.

Gwałtowny skurcz strachu ścisnął mi żołądek. Do tej pory to szczególne uczucie było zarezerwowane dla Dulcie oraz, kiedy byłam dzieckiem, dla mojej matki.

Szósty zmysł, jaki mają matki i córki - przynajmniej u mnie on się przejawiał wobec mojej matki i mojej córki - po raz pierwszy odezwał się z powodu pacjentki.

W południe wyszłam z instytutu. Spacer po parku miał mnie otrzeźwić i pozwolić zrozumieć, dlaczego tak silnie reagowałam na zniknięcie Cleo.

Idąc przed siebie pod gęstą osłoną liści, z każdym krokiem byłam coraz bardziej przekonana, że Cleo jest w tarapatkach. Gdyby po prostu zrezygnowała z terapii albo wyjechała do klienta, dałaby mi znać. A gdyby zapomniała, odsłuchałaby moje wiadomości. Była zamożną kobietą interesu; bez względu na to, gdzie była, na pewno sprawdzała, kto do niej dzwoni. Zarabiała ponad dwa miliony dolarów rocznie, była związana z dziesiątkami wpływowych, bogatych mężczyzn. To nie była narwana, uciekająca z domu nastolatka.

Cleo była odpowiedzialną kobietą.

Coś musiało się stać.

W drodze powrotnej zatrzymałam się w barze na podwójne espresso, ale darowałam sobie jedzenie. Teraz, kiedy już się zdecydowałam, co robić, chciałam jak najszybciej znaleźć się w swoim gabinecie.

Otworzyłam jej teczkę, znalazłam numer Gila Howarda i zadzwoniłam.

- Klub Diabło - powiedziała słodkim głosem jakaś kobieta.
- Z Gilem Howardem proszę.
- Kogo mam przedstawić?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Podać jej swoje nazwisko czy nie?

- Morgan Snow.

Mężczyzna, który się odezwał po chwili, miał nowojorski akcent i wydawał się zdenerwowany.

- Halo?

- Dzwonię z gabinetu lekarskiego. Cleo Thane była umówiona na wizytę u mnie, ale nie przyszła. Ponieważ podała mi kontakt do pana jako najbliższego krewnego, chciałam się po prostu dowiedzieć, czy nie jest chora.

- Nie... ja... - Najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć.

- Czy zna pan jakiś telefon, pod którym mogę ją zastać?

- Nie.

Nie miałam pojęcia, z kim rozmawiam, lecz wiedziałam, że w głosie tego mężczyzny brzmi rozpacz.

- Dobrze się pan czuje? - wymknęło mi się. Zawodowy odruch: głos rozmówcy przybiera pewną intonację i rytm, które zdradzają cierpienie, i natychmiast go pytam, czy się dobrze czuje.

- Cleo tu nie ma.

To nie była odpowiedź na moje pytanie.

- Mogę zostawić swój numer? Jeśli się do pana odezwie, mógłby jej pan przypomnieć, że nie przyszła na wizytę?

- Kiedy miała u pani być?

- Dziś rano o dziesiątej.

Zaległa długa cisza.

- Tak, jasne - odezwał się w końcu. - Wiem. Mówiła mi o tym. Poniedziałki i środy o dziesiątej. Była u pani w ostatnią środę?

Ale wyczułam z jego głosu, że już zna odpowiedź.

- Nie.

- Pani jest terapeutką, prawda?

- Tak. Doktor Snow. Przepraszam za tajemniczość, ale musiałam być ostrożna...

Przerwał mi gwałtownie.

- Dostaję tu już szału, denerwuję się jak cholera. Od wtorku wieczorem do nikogo się nie odezwała. To już sześć dni. Sześć pieprzonych dni. Cleo nigdy nie robiła takich numerów. Boję się o nią jak diabli. Ciągłe dzwonię, szukam jej. Mogę oddzwonić do pani później? Będzie tam pani?

- Tak. Przez całe popołudnie mam pacjentów. Najlepsza pora, żeby dzwonić, to dziesięć minut przed każdą pełną godziną.

- Tak, tak, wiem. Przerabiałem to. Mam drugi telefon. Odezwę się do pani później.

I nie czekając na odpowiedź, rozłączył się. Nagła martwa cisza była zatrważająca.

Ale nie miałam czasu myśleć o tej rozmowie, bo przyszedł pacjent umówiony na drugą.

RS

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ostatni mój pacjent wyszedł za piętnaście czwarta. Każdego innego dnia wróciłabym wcześniej do domu, ale miałam nadzieję, że zadzwoni Gil Howard. Zająłam się na chwilę papierkową robotą, próbując ignorować ból głowy, który umiejscowił się dokładnie między moimi oczami.

Kiedy za piętnaście piąta zadzwonił telefon, natychmiast podniosłam słuchawkę.

- Doktor Snow? - Ten mężczyzna nie miał głosu Gila, byłam pewna, chociaż rozmawiałam z nim tylko raz.

- Tak.

- Ja... Ja... - Wahał się.

- Mogę w czymś pomóc? Z kim rozmawiam?

- Przepraszam. Nazywam się Elias Beecher. - Zamilkł.

Imię i nazwisko brzmiało równie obco jak głos.

- W czym mogę panu pomóc?

- Nie wiem... - Znów urwał.

Przywykłam do tego, że ludzie, którzy dzwonią po raz pierwszy, wahają się. Podjęcie decyzji, by pójść do terapeuty, może nie być łatwe. Nawet jeśli ktoś zdaje sobie sprawę, że potrzebuje fachowej pomocy, zwrócenie się o nią to co innego.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - spytałam jeszcze raz.

- Nie jestem pewien. To krępująca sprawa. Zwłaszcza przez telefon.

Miał kulturalny głos, głęboki, dźwięczny. Pociągający głos, a jednocześnie delikatny. Od razu go polubiłam. Nawet jego wahanie. Większość ludzi kryje się za nadmiarem słów, mówi zbyt szybko.

- Nie musimy rozmawiać przez telefon. Możemy się umówić. Możemy porozmawiać, kiedy pan przyjdzie.

Ze słuchawką wciśniętą między ucho a ramię podeszłam do półek z książkami i nalałam sobie wody ze srebrnej karafki. Była zimna i zanim upiłam łyk, przyłożyłam szklanekę do czoła. Ból głowy, który męczył mnie od godziny, narastał i miałam nadzieję, że dotyk zimnego szkła przyniesie jakąś ulgę. Powinnam była się poddać i połknąć dwie aspiryny. Ale mimo że te pigułki były niegroźne, miałam opory, by je zażyć.

Minęło tyle lat, a ja wciąż wolałam cierpieć, niż przekonać się do łykania proszków.

- Pani nie wie, kim jestem, prawda? - spytał Elias Beecher.

- Nie. A powinnam wiedzieć?

- Nie, sądzę, że nie. To było nieuprzejme zakładać, że będzie pani wiedziała. - Jego rozwaga i delikatność kogoś mi przypominały, ale nie mogłam sobie uprzytomnić kogo. - Z pewnych powodów myślałam, że może pani zna moje nazwisko - powiedział, nadal tego nie wyjaśniając.

Wyjęłam z szuflady biurka buteleczkę bufferinu, powlekaną aspiryną, i postawiłam ją przy telefonie. Biała plastikowa buteleczka, niebieska etykieta. To było nieszkodliwe, złagodziłoby mi ból głowy. A jednak dalej się wahałam.

- Przepraszam, czy powinnam je znać? - spytałam.

- Tak. Ona mi powiedziała, że zwróciła się do pani o pomoc. I że jej pani pomaga. Byłem taki wdzięczny. Powinienem od tego zacząć. Jak bardzo byłem wdzięczny za to, że zamierza jej pani pomóc i że ona czuje, że jej problemy... nasze problemy dadzą się rozwiązać. Boże, ja ją kocham. I tylko na tym mi zależy.

Czy to był mąż albo ojciec którejś z moich pacjentek? W jego głosie było tyle smutku. Nic mnie tak nie poruszało jak czyjaś

melancholia. Chciałam mu pomóc. Natychmiast. Najszybciej, jak to możliwe. Poza tym wrażenie zrobiło na mnie to, że ten człowiek chciał - i był w stanie - rozmawiać ze mną otwarcie, mimo że nigdy się nie widzieliśmy. To tylko potwierdzało wrażliwość, jaką słyszałam w jego głosie. Jest tylu ludzi zamkniętych na własne emocje, a ktoś taki jak Elias Beecher to marzenie każdego terapeuty. O wiele łatwiej jest pomóc pacjentowi, który nie walczy z tobą. Który chce się przed tobą otworzyć.

- Panie Beecher. Wiem, że jest pan bardzo przygnębiony, ale nie mogę nawet zacząć się zastanawiać, czy mogę panu pomóc, dopóki nie zrozumieć, o kim i o czym pan mówi. Czy mógłby pan zacząć od początku? Co to za kobieta, która ze mną rozmawiała? I dlaczego rozmawiała ze mną o panu?

Wziął głęboki oddech.

- Doktor Snow, kobieta, z którą jestem zaręczony, jest jedną z pani pacjentek. I zaginęła prawie tydzień temu. Byłem na policji. Jestem prawnikiem, wiem, jak to wszystko funkcjonuje. Ona będzie dla nich osobą zaginioną, dopóki nie znajdą jej martwej, i dopiero wtedy stanie się priorytetem. Nikt nie nastawał na jej życie, nie ma żadnych podejrzanych śladów, nikt się nie włamał do jej mieszkania. Jeśli została porwana, nikt nie skontaktował się ze mną w sprawie okupu. Nie mam niczego, co mógłbym dać policji, żeby nakłonić ich do potraktowania tego poważniej. A do tego wszystkiego oni myślą, że to ja mogę być winny jej zaginięcia. Narzeczony albo mąż jest zawsze podejrzany, prawda?

Elias Beecher mówił tak szybko i tak gorączkowo, że nie miałam szansy mu przerwać, ale w końcu zamilkł, żeby złapać oddech.

Splotłam na kolanach dłonie, które były równie zimne jak woda w szklance.

- Kto jest pana narzeczoną, panie Beecher? - Musiałam to od niego usłyszeć.

- Cleo Thane.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sięgnęłam do biurka i zacisnęłam rękę na plastikowej buteleczce z aspiryną. To nie Gil Howard był jej narzeczonym?

- Doktor Snow?

- Tak. Przepraszam. Tak, owszem, wspominała o panu, ale nie z imienia i nazwiska. Kiedy pana zdaniem Cleo zniknęła, panie Beecher?

- Sześć dni temu, tak jak zeznałem na policji. Powiedzieli, że na razie nic nie mogą zrobić. Wypełniłem raport o zaginięciu, ale sądząc po tym, jak mnie traktowali, jakie zadawali mi pytania, osiągnąłem tylko tyle, że stałem się podejrzanym.

Otworzyłam buteleczkę, ale nie wysypałam ani jednej tabletki. Nie chciałam go niczym rozpraszać, nie chciałam zmieniać tonu tej rozmowy. Musiałam słuchać bardzo uważnie i wyłowić z jego słów jak najwięcej.

- Podejrzanym? W sprawie jej zaginięcia? - spytałam. Wiedziałam, że ma rację, że policja zacznie od prześwietlenia osób, które były jej najbliższe. Ale chciałam się wsłuchać, jak odpowiada na moje pytania. Jego reakcje były najważniejsze, mogły mi pomóc wywnioskować, czy rzeczywiście jest go o co podejrzewać.

Zaśmiał się. I podobnie jak jego głos, ten śmiech był ciepły i dźwięczny.

- Byłem zakochany dwa razy w życiu - oświadczył.

- Pierwszy raz, kiedy byłem w college'u. Zostawiła mnie dla mężczyzny, z którym nigdy nie miałbym szansy konkurować. I teraz w Cleo. Przy niej czuję, że żaden mężczyzna nie może konkurować ze mną. Inni są tylko klientami.

- Czy policja pytała pana, czym zajmuje się Cleo?

- Tak, ale właściwie im nie powiedziałem. Co miałbym odpowiedzieć, gdyby spytali, jak się z tym czuję? Jak miałbym wytłumaczyć, żeby zrozumieli, że nie jest mi obojętne, czym ona się zajmuje... oczywiście, że nie. Nie byłbym człowiekiem, gdyby mi to nie przeszkadzało. Ale nie przeszkadza mi na tyle, żebym chciał wyrzucić jej krzywdę. Cleo jest młoda. Jest śliczna. I niezwykła, bo w jakimś sensie jest tym wszystkim nieskalana.

Kiwała głową. Sama to czułam, wiedziałam, co ma na myśli. Ale milczałam. Nie chciałam mu przerywać.

- Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć - ciągnął.

- Cleo tylko gra z tamtymi mężczyznami, staje się kimś innym. Ze mną ma to światło, tę radość życia... Perspektywę. Rozwodzę się. Przepraszam, to wszystko jest nieistotne. Niepotrzebnie się rozgadałem. Rzecz w tym, że jej nie ma, zniknęła sześć dni temu, a ja muszę ją znaleźć i chciałbym wiedzieć, czy może mi pani pomóc.

- Ja też się o nią martwię. Miałam nadzieję, że wyjechała gdzieś odpocząć albo w interesach, i po prostu zapomniała mnie zawiadomić.

Zaśmiał się. Innym śmiechem. Ten był jakiś... Jaki? Ostrzejszy? Bardziej ironiczny. Słuchałam go z takim napięciem, że głowa bolała mnie coraz bardziej.

Kim on jest? Jaki to człowiek? Czy jest zamieszany w zniknięcie Cleo?

Zdarza się, że to sprawca pierwszy idzie na policję.

Codziennie czytamy o tym w prasie. Zaginęła żona, mąż to zgłasza. Sześć tygodni później zostaje aresztowany za zabójstwo.

Ale nic z tego, co Cleo mówiła o Cezarze - czy Eliasie, skoro znalazłam już jego prawdziwe imię - nie sugerowało, żeby był z jej powodu u kresu wytrzymałości psychicznej.

- Mogę się z panią zobaczyć? - zapytał. - Porozmawia pani ze mną? Pomoże mi pani? Może wspólnie dojdziemy do tego, co się stało.

- Mogę spróbować. Nie jestem pewna, jak dużo mogę panu powiedzieć. Wszystko, o czym mówiła mi Cleo, jest poufne. Ale oczywiście zrobię, co będę mogła.

- Wierzę. Sądząc po tym, co Cleo mówiła o pani, jestem pewien, że może mi pani pomóc. Jest pani dla niej bardzo ważna. Ona panią naprawdę ceni.

Podziękowałam mu, czując się po tej rozmowie jeszcze gorzej niż przedtem. Umówiliśmy się na następny dzień i gdy tylko odłożyłam słuchawkę, znowu ścisnęłam buteleczkę z aspiryną, jak gdyby lekarstwo w środku mogło przeniknąć do mojego krwiobiegu przez plastikowe opakowanie.

Ale nic z tego. Aby ulżyć choć trochę cierpieniu, musiałabym wyjąć dwie tabletki, włożyć je do ust i połknąć.

Gdybym to w końcu zrobiła, mogłabym spróbować rozgryźć nowy element układanki. Kim jest człowiek, do którego zadzwoniłam? Ten, którego wzięłam za kochanka Cleo? Kim jest Gil Howard?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Pięć minut później dalej siedziałam przy biurku, gapiąc się na aspiryne, czując pulsujący ból między oczami, wiedząc, że sam tak po prostu nie przejdzie, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę.

To była Belinda, a za nią stał wysoki mężczyzna, którego twarz schowana była w cieniu.

- Doktor Snow, ktoś chce się z panią widzieć. - W głosie Belindy słychać było napięcie.

- Nie mam żadnych umówionych sesji i właśnie się zbierałam do wyjścia. Czy ktoś ci się daje we znaki?

Człowiek w korytarzu odezwał się:

- Nie jestem umówiony, ale byłbym wdzięczny, gdyby poświęciła mi pani kilka minut. - Miał akcent, którego nie potrafiłam zlokalizować, ale byłam pewna, że mężczyzna pochodzi z południa. Nie czekając na odpowiedź, stanął w drzwiach. Był wysoki i chudy, ubrany w dżinsy, białą koszulę i czarną marynarkę. - Przepraszam za najście, doktor Snow. Detektyw Noah Jordain. Tak, to jest służbowa sprawa.

- Coś się stało mojej córce? - Serce zaczęło mi łomotać, adrenalina skoczyła w ułamku sekundy. Ból w głowie rozsadzał czaszkę.

Policjant był szybki. Wszystko pojał.

- To nie ma nic wspólnego z pani rodziną. Przyszedłem do pani jako terapeuty.

Chciałam mu powiedzieć, że będziemy rozmawiać, jak dojdę do siebie po pieprzonym zawale serca, który mi zafundował, ale sobie darowałam.

- Proszę wejść - rzekłam uprzejmym, służbowym tonem.

Miałam ochotę położyć głowę na biurku i zamknąć oczy. Zamiast tego wykonałam szybki poczwórny wdech. Cholera. Dlaczego moja panika jest zawsze na straży, gotowa w każdej chwili wybuchnąć? To tak, jakbym ciągle czekała na telefon, pukanie do drzwi, na eksplozję. Jakbym coś przewidywała, jakbym się spodziewała okropnej wiadomości, że coś się stało, że Dulcie jest w niebezpieczeństwie. W moim umyśle jej bezpieczeństwo było zagrożone każdej minuty, każdego dnia. Walczyłam z tym, tłumilałam to i żyłam z tym, ale czasem to przeradzało się w lęk z dzieciństwa o bezpieczeństwo mojej matki. Ona nie była bezpieczna, a ja nie byłam w stanie jej ocalić.

Nie byłam mięczakiem, nie byłam ofiarą, a mimo to dzieliłam troski i lęki z niemal całą resztą świata. Żeby sobie z tym poradzić, nauczyłam się ćwiczeń, stosowałam technikę wizualizacji. Przeszłam też terapię. I na ogół panowałam nad swoją słabością, ale jeśli to mnie dopadało zniecka, właśnie tak, jak się zdarzyło w chwili, kiedy detektyw wszedł do mojego gabinetu i się przedstawił, traciłam kontrolę nad emocjami.

Wciągnęłam w płuca powietrze.

Nie miało znaczenia, że ten mężczyzna, którego widziałam po raz pierwszy w życiu, stał tam, patrząc, jak usiłuję się pozbierać. Czekał spokojnie i uśmiechał się do mnie oczami, które były zadziwiająco życzliwe, a potem podszedł do biurka.

- Mogę usiąść? - zapytał, kładąc rękę na oparcie krzesła.

I kiedy skinęłam głową, zdałam sobie sprawę, po co przyszedł. Oczywiście. To był lejtmotyw całego mojego dnia. Ten detektyw przyszedł tu w sprawie Cleo. Więc jednak coś się jej stało. Znaleźli ją.

Już miałam na końcu języka gotowe pytania...

Czy coś się stało Cleo Thane? Czy to ma związek z tymi dwiema prostytutkami, które zostały zamordowane? Czy ona jest ostatnią

ofiara Mordercy Magdalenek? Czy dlatego nie przyszła na umówione sesje i nie dawała znaku życia?

Po rozmowie z Gilem Howardem i błagalnym telefonie Eliasa Beechera byłam przygotowana, by usłyszeć rozwiązanie tajemnicy. A ktoś inny mógłby je znać, jak nie policyjny detektyw? Ten detektyw.

Patrzył na mnie, a ja się zastanawiałam, jak dużo jest w stanie wyczytać z mojej twarzy.

Chciałam się tylko dowiedzieć, czy Cleo jest cała i zdrowa, ale nie mogłam go tak po prostu zapytać, nie mając pewności, czy przyszedł w tej sprawie. Poza tym, nawet jeśli był tu z jej powodu, nie mogłam ujawnić, że Cleo korzysta z moich usług.

Chyba żeby się okazało, że została zamordowana. Jeśli żyła, nie miałam prawa nic powiedzieć. Najpierw musiałam usłyszeć, czego on chce, a dopiero potem zapytać o pewną pacjentkę, która stała się projekcją moich lęków. Lęków, których nie umiałam przezwyciężyć.

- Muszę pani pozwolić złapać oddech. Może trochę wody? - Rozejrzał się i zauważył obowiązkową karafkę z wodą.

Pokręciłam głową i wzięłam stojącą na biurku szklankę.

- Naprawdę bardzo przepraszam, pani doktor. Właśnie tego nie znoszę w tej robocie. Pojawiam się bez zapowiedzi, no i ludzie patrzają na mnie jak na kostuchę. Tak mi się marzy, żeby chociaż raz mógł się przedstawić i żeby ktoś rzucił mi się na szyję, mocno uściśnął i powiedział: „Och, jak cholernie się cieszę, że cię widzę”.

Uśmiechnęłam się.

Jak łatwo wyrwał mnie ze stanu zamroczenia. Ze znanstwem, powiedziałabym.

Ten człowiek musiał przejść jakieś szkolenia psychologiczne.

- Detektyw Noah Jordain.

- Witam. Jestem Morgan Snow.

W ciągu paru ostatnich lat kilka razy zostałam poproszona o współpracę z nowojorską policją. Dziesiątki razy składałam jako biegła zeznania w sądzie. Poznałam mnóstwo policjantów i detektywów, z których jedni pasowali jak ulał do stereotypu stróża prawa, a inni po prostu starali się wykonywać swoją pracę najlepiej, jak umieli.

Noah Jordain, takie było moje pierwsze wrażenie, należał do tych drugich.

Niektórzy ludzie dobrze czują się w swojej skórze, inni nigdy nie są naturalni. On był. Ubranie - marynarka, dżinsy, biała koszula i krawat - leżało na nim doskonale. Żadnych wypchanych łokci, kolan czy brzucha, kanty na swoim miejscu. Byłam pewna, że pachnie czystością. Jak cytryny, pomyślałam.

Ale kiedy się pochylił, by uścisnąć mi dłoń, ze zdziwieniem poczułam zapach rozmarynu i mięty. Też ostry i pobudzający. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat - raczej mniej, na pewno niewiele więcej - ale głos miał jakby postarzały, lekko zdarty. Słysząc w nim było wszystko, co w życiu widział. A wszystko, co w życiu słyszał, widać było w jego oczach. W niebieskich smutnych oczach, które szukając, analizowały. A szukały bez przerwy.

Zmrużył powieki, łytnął, rozejrzał się, przeniósł wzrok ze mnie na okna, poza mnie, na prawo, na lewo, z powrotem na moją twarz, na moje ręce, a potem spojrział mi prosto w oczy. Próbował mnie zmusić do odwrócenia wzroku. Policyjny trik - czy chociaż wiedział, że to robi?

Byliśmy siebie warci. Mimowolnie uśmiechnęłam się na tę myśl, kącikami ust. Kiedy podaliśmy sobie ręce, czułam, że jego dłoń jest duża, przyjemnie sucha, ale niezbyt szorstka. Domyślałam się, że ma ogromną siłę w palcach, ale miał tego świadomość i był ostrożny.

- Doktor Snow, prawda?

- Owszem. Usiądzie pan, czy będzie pan rozmawiał ze mną z góry?

- Ooo. Wiem, że panią zdenerwowałem i przestraszyłem. Ale aż tyle sarkazmu? Nie mówię do kobiet z góry. Zwłaszcza ładnych, które mają więcej dyplomów niż ja.

Z uśmiechem na ustach usiadł naprzeciwko mnie przy biurku, rozparł się i dał mi jeszcze trochę czasu. Był tak absolutnie swobodny, a tak niewielu ludzi w moim gabinecie stać było na swobodę, że z przyjemnością na niego patrzyłam.

To, jak ktoś się zachowywał przy pierwszym spotkaniu, a potem wkraczał w moją przestrzeń, sporo mi o tej osobie mówiło. Zwłaszcza ważna była przestrzeń. Niektórzy musieli dać sobie trochę czasu, byli nerwowi albo onieśmieni; inni za bardzo szarżowali, próbowali opanować terytorium, choć nie byli jego właścicielami. On nie robił żadnej z tych rzeczy. Jego zachowanie nie miało żadnych cech neurotycznych. Przynajmniej na razie.

Zaproponowałam mu kawę, a on nie odmówił.

Byłam zadowolona z zajęcia, które pozwalało mi go przez kilka minut obserwować i może na czymś przyłapać.

Moja ciekawość była jak ból głowy, zdecydowana i uporczywa. I choć tak bardzo mnie kusiło, by zapytać, po co przyszedł, dowiedzieć się, w czym rzecz, więcej mogłam osiągnąć w ten sposób. Wiedza, nawet intuicyjna, nawet drobna informacja, jest bronią. A ponieważ byłam pewna, że detektyw w kaburze pod pachą albo przy kostce ma pistolet, sprawiedliwość wymagała, że- bym ja też miała jakąś amunicję.

- Z mlekiem? Z cukrem? - spytałam, nalewając z termosu parującą włoską kawę do jednego z czterech kubków, które zrobiła dla mnie w szkole Dulcie. Ten, który wybrałam dla niego, miał napis: CZY FREUD NOSIŁ HALKĘ?

Odwróciłam się, czekając na odpowiedź.

- Jasną i słodką - powiedział miękko.

Wiedziałam, że nie było w tym najłżejszego erotycznego podtekstu. Wiedziałam, że miał na myśli wyłączyć kawę z dużą ilością mleka - czytałam to z jego twarzy. I omal się nie roześmiałam, widząc, jak okragleją mu oczy, kiedy zdał sobie sprawę, że jego słowa zabrzmiały dwuznacznie.

I nagle ten wysoki, silny detektyw zaczerwienił się, a we mnie coś się obudziło. Ale to nie było nic takiego, o czym mogłabym choćby pomyśleć. Nie tam i nie wtedy.

Przywykłam, że w tym pokoju jestem tylko lekarzem słuchającym pacjentów przez filtr wiedzy, ważącym każde wypowiedziane słowo. W gabinecie nigdy nie byłam kobietą i nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wdała się w jakieś męsko- damskie gierki. Oczywiście przez tyle lat zdarzyło się, że kilku pacjentów, a nawet jedna czy dwie pacjentki, próbowało ze mną flirtować, ale moja reakcja zawsze była stanowcza.

Teraz, z tym detektywem, to było coś zupełnie innego.

To głupie, myślałam, podając mu miksturę w kolorze kremowym, uważając, by nie dotknąć jego ręki. Oglądał kubek.

- Zabawny.

- Rękodzieło mojej córki.

- Inteligentne dziecko.

- Za inteligentne.

- Ile ma lat?

- Dwanaście. Czasami zachowuje się jak czterolatka. Kiedy indziej jak dwudziestolatka.

- Jest pani szczęściarą.

- Wiem - odparłam z uśmiechem.

Spojrzałam na swój kubek z napisem: SPRAGNIONY? CZY ZJUNGNIONY? Kiedy mu go pokazałam, roześmiał się donośnie.

- A więc czym mogę panu służyć, detektywie?

Teraz niestety ja się zaczerwieniłam. Wszystko to wyglądało na jakiś żart. Dlaczego? Co się dzieje? Sytuacja była poważna. Detektyw nowojorskiej policji siedział w moim gabinecie, w służbowej sprawie, a ja ciągle słyszałam jakieś podteksty seksualne.

W środku tego okropnego dnia, który spędziłam na zamartwianiu się o Cleo, z przerwą na dwie rozmowy z mężczyznami zrozpaczonymi jej zniknięciem, nagle zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od kilku lat spotkałam mężczyznę, który mnie naprawdę pociągał. Nie był typem przyjaciela jak Simon, na którym tę myśl wypróbowałam. To był mężczyzna, z którym nie widziałam się nigdy wcześniej i który wzbudzał moją ciekawość.

Nie było w nim nic szczególnego. Owszem, miał ładne, lekko szpakowate włosy, które łagodnymi falami opadały na jego szerokie czoło i szyję. Ale oczy mogły- by być większe, a nos trochę mniejszy. A jednak z tym wszystkim razem robił wrażenie. Był naprawdę przystojny. I miał wielkie dłonie.

Cholera. Odkąd to zwracam uwagę na męskie dłonie?

Zobaczył, że gapię się na jego ręce i jakby zmrużył oczy, a usta rozchyliły mu się w uśmiechu. Przez ten jego głupi uśmiech ścisnęło mnie w dołku i jeszcze bardziej rozboleła głowa.

Wzięłam do ręki buteleczkę z aspiryną i w końcu, po kilku godzinach cierpienia z powodu cholernej migreny, wysypałam dwie tabletki. Ale to nie znaczy, że je połknęłam. Trzymałam je w dłoni, oglądałam je, te dwie maleńkie tabletki, które mnie przerażały, a jednocześnie uspokajały.

On tylko patrzył. Nic nie umykało jego uwadze. Pociągnął łyk kawy, potem rzekł:

- Może lepiej, żeby je pani wzięła. Obawiam się, że to będzie trudna rozmowa.

Kiwnęłam głową, zdziwiona, że czytał w moich myślach.

- Już pan to wie?

- Mamy powody przypuszczać, że jedna z pani pacjentek zaginęła. Liczę, że pomoże nam pani ustalić dlaczego. - Obserwował mnie, tak jak ja obserwuję pacjentów, i nie byłam pewna, czy mi się to podoba.

- Która pacjentka? - Wiedziałam, ale nie miałam zamiaru się z tym zdradzić.

- Cleo Thane.

Nie mogłam sobie pozwolić na żadną reakcję. Musiałam ją chronić, dopóki wierzyłam, że jeszcze mogę.

- Detektywie, pan wie, że nie mogę panu powiedzieć absolutnie niczego o żadnym z pacjentów. Nie mogę nawet potwierdzić ani zaprzeczyć, że ktoś jest pacjentem.

- Ona jest. Jej narzeczony już to potwierdził. To on zgłosił zaginięcie. Niewiele możemy zrobić w takich przypadkach, poza tym, że rozsyłamy raport i czekamy. Chyba że zaginie dziecko. Albo jeśli wcześniej były jakieś pogróżki, albo mamy dowód, że to porwanie dla okupu, albo znajdzie się coś, co wskazuje na przestępstwo. Byliśmy w jej mieszkaniu, ale nie ma tam śladów żadnego przestępstwa. Niczego, co by sugerowało, że stało jej się coś złego. Zniknęła walizka, tak powiedział jej narzeczony. I jakieś ubrania. Na pozór nie ma w tym absolutnie nic podejrzanego. Ale wiedząc, co wyprawia Morderca Magdalenek, nie chcę niczego zakładać. Wiemy, kim jest pani pacjentka i jak zarabia na życie, a ponieważ na wolności jest maniak, który brutalnie...

- Skoro w jej mieszkaniu nie było nic podejrzanego, dlaczego pan sądzi, że jest jakiś związek z tamtymi morderstwami? - Czy słyszał panikę w moim głosie?

- Może zawrzemy układ. Odpowiedź za odpowiedź.

- Zgoda, ale pan pierwszy. Uważa pan, że jest jakiś związek? Myśli pan, że ona jeszcze żyje?

- To dwa pytania, ale odpowiem. Na razie nic nam nie wiadomo o jej zaginięciu. Z tego wszystkiego, co wiemy, wyjechała z sobie znanych powodów i po prostu nikomu ich nie zdradziła. Owszem, myśleliśmy, że żyje. Nie mamy żadnych powodów ani informacji, żeby myśleć inaczej. Teraz moja kolej - dodał. - Czy dostała pani jakąś wiadomość od Cleo Thane?

- Nie.

- Czy ona jest pani pacjentką?

- Tak.

- Kiedy ją pani widziała po raz ostatni?

- W zeszłą środę.

- Ile wizyt opuściła?

- Dwie.

- Zdarzało jej się to wcześniej?

- Nie.

- I nie uprzedziła pani telefonicznie, że nie przyjdzie?

- Nie.

- Czy to jest nietypowe zachowanie pacjenta?

Przyznałam skinieniem głowy.

Wypił długi łyk kawy. W holu na dole otworzyły się i zamknęły drzwi; bardzo wyraźnie dotarł do mnie ten dźwięk i cisza, która po nim zapadła. Detektyw odstawił kubek, ale nie odezwał się od razu. Jak gdyby się zastanawiał, co powiedzieć albo jakim tonem.

- Potrzebuję pani pomocy.

To była tak osobista prośba, że poczułam się zbита z tropu. Zniknął oficjalny ton, a w jego głosie usłyszałam autentyczny ból. Jak on mógł robić to, co robił, i zachować w sobie tyle wrażliwości? Wiedziałam, jaka to praca, i ja bym nie potrafiła.

- Nie wiem, czy mogę panu pomóc.

- Może pani. Pytanie brzmi, czy pani zechce.

- Nie mogę panu niczego zdradzić. Wszystko, o czym mówiła mi Cleo, jest poufne. To są prywatne informacje chronione tajemnicą lekarską.

- Doktor Snow...

- Morgan, dobrze?

- Morgan, cieszysz się fantastyczną opinią. Masz fanów w naszym wydziale. Mój biegły psychiatra mówi, że jesteś mistrzem w swojej dziedzinie. - Wziął oddech i zaraz potem wypuścił z płuc całe powietrze. - Pomożesz nam?

- Dopóki ona żyje, nie mogę nic...

Podniósł obie ręce. Jego palce były naprawdę niesamowicie długie i zgrabne. Wyobraziłam sobie, jak trzyma nimi pistolet. Ta wizja była absurdalna.

- No i w tym cała rzecz. Nie wiemy, gdzie jest Cleo Thane. Nie wiemy, czy coś jej grozi, czy nie. Ale mamy na wolności człowieka, który zamordował dwie prostytutki i zbezczeszczył ich ciała, i nie chcemy, żeby Cleo Thane była trzecią ofiarą. Więc bardzo mi zależy, żeby dowiedzieć się, gdzie ona jest, właśnie po to, żeby wykluczyć najgorsze. Byliśmy w jej mieszkaniu z jej narzeczonym i nie wygląda na to, żeby coś zginęło. Ale nie mamy jej terminarza ani komputera kieszonkowego, czy jakiegoś bipera, nie wiem, czego ona używa. Nie mamy jej telefonu komórkowego. Wiemy tylko, że od sześciu dni ani razu go nie użyła.

- Ale co ja mogę zrobić?

- Możesz nam powiedzieć, co o niej wiesz. Czy ktoś ją niepokoił? Czy planowała jakiś wyjazd? Czy była sfrustrowana pracą? Czy miała jakichś klientów, którzy mogli być psychiczni? A jej chłopak? Czy naprawdę była z nim szczęśliwa? Czy mieli jakieś problemy? Czy ona ma jakieś kłopoty, o których powinniśmy wiedzieć? - Widziałam, że strasznie mu zależy na odpowiedziach.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie mogę ci udzielić żadnej z tych informacji. Przykro mi, naprawdę. Ale Cleo jest moją pacjentką i wszystko, o czym mi mówiła, zostało powiedziane w absolutnym zaufaniu. Dopóki jest szansa, że żyje, nie wolno mi zawieść jej zaufania.

- Nawet jeśli to oznacza narażenie jej na niebezpieczeństwo?

Rozłożyłam ręce i rozczapierzyłam palce, jak gdyby wypuszczała z garści wszystkie odpowiedzi. Ale jedyne, co upadło na podłogę, to dwie białe tabletki przeciwbólowe.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Następny dzień był pogodny, słoneczny i ciepły, toteż w porze lunchu wybrałyśmy się z Niną na spacer do Central Parku. Weszłyśmy przez bramę do zoo i gdy tylko zostawiłyśmy za sobą miejski ruch i przesyconą spalinami Piątą Aleję, zaczerpnęłam głęboko świeżego powietrza.

Ci, którzy mają domy na przedmieściach, nie rozumieją, jak ważny staje się park dla mieszkańców miasta. Szczególnie latem. Większość z nas zna go jak własną kieszeń, tak jak się zna swój ogród.

- Co ci jest? - spytała Nina.
- Jestem aż tak przejrzysta?
- Nie.
- Tylko ty jesteś tak dobra, co?

Roześmiałyśmy się obie. To był stary żart. Potrafiła mnie przejrzeć, tak jak kiedyś potrafiła przejrzeć moją matkę; żaden gąszcz kłamstw nie mógł wywieść jej w pole.

- Z Dulcie wszystko w porządku?
- Chodzi do szkoły teatralnej. Nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej. Od wielu dni ani razu się ze mną nie pokłóciła.
- Dobrze, więc to nie Dulcie. Powiesz sama, czy mam to z ciebie wyciągnąć?

- Chodzi o pacjentkę.
- Uniosła brwi.
- Więc coś cię ruszyło?

Zaśmiałam się sarkastycznie. Od czasów studiów dyplomowych byłam obiektem żartu, że powinnam nazywać się Ice, a nie Snow*. Z wszelkich błędów, jakie popełnia się w moim zawodzie, rzadko, jeśli w ogóle, pozwalałam sobie na zbyt bliski związek emocjonalny z pacjentem. Prawie nigdy nie przekraczałam barier i nie miałam kłopotów z tak zwanym przeciwprzeniesieniem**, które jest powszechne w praktyce terapeutycznej i nawet bywa dobrym sposobem na utrzymanie kontaktu z pacjentem - dopóki jesteśmy świadomi, co się dzieje.

Doszliśmy do martwego punktu parku, gdzie stał wielki opuszczony amfiteatr, przypominający ułożone w kołyskę ramiona nawiasu. W dzieciństwie nazywałam tę budowlę uchem.

Na otwartym placu tuż za tym miejscem uczyłam się jeździć na rowerze i na rolnkach. A w szkole średniej obściskiwalam się ze swoimi chłopakami w cieniach muszli.

Opowiedziałam Ninie o zniknięciu Cleo i swoich rozmowach z Gilem Howardem i Eliasem Beecherem. Wyjaśniłam, kim są, mając już nieco więcej informacji po drugiej rozmowie z Gilem, którą odbyłam rano.

- Elias to chłopak Cleo, prawnik w prestiżowej firmie. Rozmawiałam z nim jeden raz. Nie jestem pewna, co o nim myśleć. Z Gilem rozmawiałam dwa razy. Jest jej współnikiem, pracują razem od pięciu lat.

* Ang. ice - lód, snow - śnieg (przypis tłumacza).

** Przewprzeniesienie (ang. counterference) - proces, w wyniku którego u psychoanalityka rozwijają się osobiste uczucia w stosunku do pacjenta, spowodowane spostrzeganym podobieństwem pacjenta do znaczących osób w życiu terapeuty (przypis tłumacza).

Myszę, że byli kochankami. On sugerował, że nadal są kochankami. W każdym razie on nie wie nic o Eliasie.

- Myślisz, że któryś z nich ma coś wspólnego z jej zaginięciem?

- Przeczucie mi mówi, że nie. Obaj są zrozpaczeni. Instynktownie czuję, że ich zmartwienie i obawy są szczerze. Ale obie wiemy, że jeśli któryś z nich jest psychopata, może mnie zmylić. Wspólnik mógł się przestraszyć książki, wiedząc, że jeśli Cleo rzeczywiście ją wyda, klienci mogliby przestać przychodzić do klubu. To byłby straszny skandal.

- A narzeczony?

- Policja go podejrzewa. Tylko dlatego, że jest jej chłopakiem, i on o tym wie. Od razu mi o tym powiedział. Ale nie sądzę, żeby maczał w tym palce.

- Dlaczego?

Wtajemniczyłam Ninę w szczegóły problemów seksualnych Cleo.

- Powiedziała mi, że jest cierpliwy, że stara się z nią współpracować.

- Albo ona chce tak to widzieć. Nie wiesz, jak jest naprawdę. Mógł być chorobliwie zazdrosny o innych mężczyzn. A co on myśli o książce?

- Nie wiem, czy ją czytał. Cleo dopiero skończyła pierwszą wersję. Ale mówiła mi, że niepokoi go ten pomysł.

- Mógł się do niej dorwać i wpaść w szal, kiedy przeczytał, co ona naprawdę robi z tymi facetami. Co innego wiedzieć, a co innego czytać szczegóły.

Przeszliśmy przez pusty plac, plosząc gromadę gołębi.

- Jest trzeci scenariusz - dodałam. - Wczoraj wieczorem złożył mi wizytę detektyw, który prowadzi sprawę Mordercy Magdalenek.

Widziałam, jak Ninie ze złości tężeje twarz.

- To nie ma nic wspólnego, z tym, co przydarzyło się Samowi - uprzedziłam jej słowa. - Tu chodzi o piękną młodą kobietę.

Nina pokręciła głową.

- Myślisz, że to mnie martwi? Daj spokój, Morgan. Wiesz, dlaczego się zdenerwowałam. Chodzi o etykę zawodową. Rozumiem, jak bardzo się niepokoisz o tę pacjentkę, ale wiesz, że nie możesz przekroczyć pewnej granicy. - Zmrużyła oczy, nie dlatego jednak, że raziło ją słońce. Patrzyła na mnie twardym wzrokiem. - Chyba nie przyszło ci do głowy, żeby rozmawiać z policją o swojej pacjentce, prawda?

- Oczywiście, że nie. Nigdy bym tego nie zrobiła, chyba że bym się dowiedziała, że jej życie jest zagrożone, a ja mam informacje, które mogą ją uratować - odrzekłam spiętym głosem.

- Masz jakieś informacje?

Z nagłym łopotem skrzydeł stado gołębi sfrunęło na scenę amfiteatru i zaczęło polować na okruchy jedzenia.

Wyjaśniłam, że Cleo dała mi kopię książki i że ją przeczytałam.

- Nie. Nie mam żadnych istotnych informacji. Poza tym, że jej chłopak słusznie się boi, że Cleo może opublikować te wspomnienia. Jej klienci są bardzo wpływowymi, zamożnymi mężczyznami, którzy powierzyli jej swoje grzeszki. Żaden nie będzie uradowany tymi wynurzeniami. Nawet jeśli Cleo ich zamaskuje.

Grupa dzieciaków w wieku Dulcie przemknęła boczną alejką na rowerach, wrzeszcząc i nasłuchując swoich głosów odbijających się echem od muszli koncertowej.

- Czy ona opisuje tych mężczyzn z imienia i nazwiska?

- Nie, ale podaje wystarczająco dużo szczegółów na temat kilku klientów, z którymi spotyka się regularnie, więc ja się domyślam, kim oni są.

- Czy to bardzo bulwersujące?

- Dla kogoś, kto by wiedział, o kim mowa, na pewno. Ona opisuje w detalach, czego od niej chcą. Część z tego jest smutna, część bardzo ponura. Wszystko to razem stanowi potencjalny materiał wybuchowy. Ciągłe zadaję sobie pytanie, co by było, gdyby jeden z tych mężczyzn wiedział, że ona jest gotowa ujawnić jego sekrety. Bałby się, że umieściła taką ilość szczegółów, że jakaś bliska osoba będzie w stanie go rozpoznać. To mogłoby go skłonić do desperackich kroków. A jeśli naprawdę tak jest, jeśli mam książkę Cleo i to ukrywam, być może uniemożliwiam policji znalezienie Cleo.

- Nie tak szybko. Na razie nic ci nie wiadomo o tym, żeby coś jej groziło. Ani że któryś z jej klientów wie o książce.

- Zgoda. Ale też nie mogę trzymać tej książki i nic nie robić.

- Musisz. Rozumiesz to, Morgan, prawda? Przytaknęłam.

Postanowiliśmy wracać, wybierając inną drogę, która prowadziła obok fontanny Bethesda. Jakaś ekipa filmowa kręciła zdjęcia i ogromne wozy zasłaniały widok na statwę z brązu.

- Nina, a gdybym...

- Morgan, nie możesz rozwiązać wszystkich problemów. Lepiej przestań próbować.

Kopnęłam złamaną gałąź. Zrobiłam krok i kopnęłam ją dalej.

- A gdybym spróbowała się spotkać z mężczyznami z tej książki i...

- Jak byś doszła do tego, kim oni są?

- Gil Howard, facet, który jest współnikiem Cleo i właścicielem klubu, mógłby zechcieć mi pomóc. Wielu z tych mężczyzn ma dużo do stracenia.

Nina przystanąła, przez chwilę nic nie mówiąc. Jak gdyby najpierw chciała poukładać sobie to wszystko w głowie.

- Co by ci dało spotkanie się z nimi? Jak by ci to miało pomóc w dowiedzeniu się, gdzie jest Cleo, co się z nią stało? Jeśli w ogóle coś się stało.

Zaczęłyśmy iść stromą aleją w górę, z jednej strony mijając plac zabaw, z drugiej trawnik.

- Mogłabym ich fachowo ocenić.

- Nie.

- Muszę coś zrobić.

- Morgan, a jeśli ona po prostu wyjechała, żeby odpocząć od swojego chłopaka? Albo zrobić sobie operację plastyczną? Albo przechodzi jakieś załamanie psychiczne? Wyobraź sobie, że poznajesz tych ludzi, jednego z nich podejrzewasz, więc mówisz o nim policji wystarczająco dużo, żeby zorientowali się, o kogo chodzi. A jeśli policja ujawni publicznie jego tożsamość, a potem okaże się, że twoja pacjentka nie była w żadnym niebezpieczeństwie? - Znow pokręciła głową. - Nie tylko naraziłabyś interes Cleo i prywatność jej klientów, ale doprowadziłabyś do jej aresztowania. W końcu prostytutka jest nielegalna. Wiem, że nie do nas należy wydawanie sądów i nie o to mi w tej chwili chodzi, ale masz do czynienia z kimś, kto dzień w dzień łamie prawo. I jeśli dostarczysz policji jakichkolwiek informacji, pomożesz im ją aresztować.

- Aresztować? Ale jej życie może być zagrożone. Po ustach Niny przebiegł chytry uśmiech.

- Jesteś pewna? Naprawdę jesteś pewna? Bo ja nie. Pamiętasz, jak załatwili Sama? Udawali, że sprawdzają jakąś biedną dziewczynę, która była w tarapatach, i okazało się to kłamstwem. Zakładali sidła na Sama. A jeśli znow zakładają sidła? Policja wie wszystko o Cleo i jej biznesie. Mieli ją na oku i czekali na jej potknięcie, a teraz mają bardzo wygodną sytuację. Jej narzeczony powiedział, że zaginęła. Odkąd to nowojorska policja przejmuje się zaginionymi ludźmi? W

tym mieście każdego tygodnia znika bez śladu tysiące ludzi. Bez dowodu, że została porwana, oni nie zajmują się takimi sprawami, wierz mi. A jeśli wykorzystują te seryjne morderstwa, żeby się tobą posłużyć do przyskrzynienia Cleo? To może być następna zaplanowana prowokacja.

Dzieciaki po zrobieniu jednego wielkiego okrażenia znów nas mijają, krzycząc tak głośno, że musiałyśmy przerwać rozmowę.

- To niemożliwe - stwierdziłam w końcu. - Mieszasz swoją przeszłość z teraźniejszością. Tu nie o to chodzi. Ten detektyw... nie.

- Uważasz, że policja nie może być tak obłudna? Myślisz, że jakiś detektyw, którego widzisz po raz pierwszy na oczy, miałby skrupuły, żeby się tobą posłużyć? Podaj mi chociaż jeden powód, dla którego taka kobieta jak Cleo miałaby dać się zwabić seryjnemu mordercy, który umawia się z dziwkami w hotelach średniej klasy? Z tego wszystkiego, co powiedziałeś, jej klientela jest o sto szczebli wyżej na społecznej drabinie.

Co do tego Nina miała rację. Nie mogłam sobie wyobrazić, by Cleo popełniła tego rodzaju błąd, zwłaszcza że miała świadomość zagrożenia. Ale jeśli człowiek popełniający te zbrodnie był kimś, kogo znała? Jeśli on się zadawał z różnej klasy prostytutkami w tym mieście?

- Nina, rozumiem, czego się obawiasz, ale detektyw Jordain nie okłamuje mnie.

- Wiem, że z jakichś powodów chcesz mu wierzyć, ale nie możesz być niczego pewna.

- A jednak jestem.

- To, że masz w głowie ten cholerny licznik Geigera do wylapywania bredni, nie znaczy, że nie możesz się kiedyś pomylić. Ludzie cały czas grają, a niektórzy są w tym bardzo dobrzy. Dlatego

nie dopuszczasz możliwości, że ten detektyw jest doskonałym aktorem?

Nie miałam na to odpowiedzi.

Wiedziałałam jednak, że on nie gra.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kiedy wróciłam do gabinetu, odsłuchiłam wiadomość od Eliasa Beechera, po czym umówiliśmy się na spotkanie pod koniec dnia w kawiarni hotelu Mark, kilka przecznic od instytutu.

Przyszedł pierwszy i czekał na mnie w recepcji. Był średniego wzrostu, wyjątkowo chudy, miał szerokie kości policzkowe, mocno zarysowaną szczękę i udrećzone ciemnobrązowe oczy. Zrobił na mnie wrażenie chorobliwie wyczerpanego.

- Witam, panie Beecher. - Wyciągnęłam rękę. Jego dłoń była bardzo silna, tak silna, że od uścisku zaszczypały mnie palce.

Dał znak starszemu kelnerowi, który zaprowadził nas do stolika w rogu sali.

- Dziękuję, że zgodziła się pani tutaj ze mną spotkać - powiedział, gdy usiedliśmy.

- Żaden problem.

- Mój klient tu mieszka i wkrótce mam kilka spotkań, jedno po drugim, ale najpierw chciałem zobaczyć się z panią... - zaczął się tłumaczyć.

- Rozumiem.

- Potrzebuję pani pomocy.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Odchodzę od zmysłów. Nikt mnie nie będzie słuchał.

- Ja pana wysłucham.

Bawił się porcelanowym wazonikiem z kwiatami, który stał na środku stołu.

- Szaleję z niepokoju i nie wiem, z kim innym mógłbym porozmawiać.

Jego cierpienie było autentyczne. Podszedł do nas kelner i w milczeniu czekał na zamówienie.

- Ja proszę kawę - powiedział Elias. - Espresso.

- Spojrzał na mnie. - Przepraszam za nieuprzejmość. Ja po prostu nie myślę. Na co ma pani ochotę?

- Poproszę mrożoną herbatę - zwróciłam się do kelnera, który skinął lekko głową i odszedł.

Ledwie znalazł się poza zasięgiem głosu, Elias zaczął mówić dalej:

- To wszystko wydaje się bez sensu. To jakiś koszmar, coraz straszniejszy. - Znów bawił się wazonikiem.

- A policja nic nie robi. Poszedłem do nich w dobrej wierze i poprosiłem o pomoc. Błagałem, żeby zaczęli szukać Cleo. Nawet zaprowadziłem ich do jej mieszkania. Powiedziałem wszystko, co wiem, i co oni na to? Odwrócili role i zaczęli mnie przesłuchiwać. Traktowali mnie jak głównego podejrzanego, nie wiedząc jeszcze, czy została popełniona jakaś zbrodnia. Oni muszą się skoncentrować na Cleo, nie na mnie. Muszą zacząć jej szukać. Do czego ja im się mogę przydać?

- Nie sądzi pan, że będą jej szukali?

- Nie wiem. Nie mam wielkiego zaufania do nowojorskiej policji. Ale przede wszystkim nie mogę na nich czekać. Muszę coś zrobić natychmiast.

- To całkiem zrozumiałe.

- Więc proszę mi pomóc.

- W jaki sposób?

- Niech mi pani opowie o Cleo, proszę. Co pani wie o niej i o mężczyznach, którzy byli jej klientami? Ona oczywiście nigdy zbyt wiele o nich nie mówiła, a ja nie chciałem wiedzieć. Jestem pewien, że pani to rozumie. Ale możliwe, że jeden z mężczyzn, z którymi praco-

wała, zawziął się na nią. Z powodu książki. Pani wie o książce, prawda?

- Tak.

- Czytała ją pani?

- Nawet gdybym czytała, nie powiedziałabym panu tego.

Potrząsnął gwałtownie głową.

- Pani nie rozumie, Cleo wszystko mi mówiła. Kochamy się. Ona mi ufa. Wiem, że dała pani kopię. Pytam tylko, czy ją pani przeczytała.

Mówił prawdę czy blefował? Nie miałam sposobu, żeby się dowiedzieć. Musiałam na niego postawić, tylko że nie byłam jeszcze gotowa.

Ale kiedy miałabym się zdecydować, i czy nie ryzykowałam, że będzie za późno?

Wrócił kelner. Żadne z nas się nie odezwało, dopóki nie postawił na stole kawy i herbaty.

- Ja też mam kopię tej książki - oznajmił.

Skąd? Czy Cleo mu ją dała? Byłam absolutnie pewna, że mówiła, że jestem jedyną osobą, której chce to dać do przeczytania na tym etapie. Ale Elias miał klucze do jej mieszkania - na pewno miał, bo powie- dział, że zaprowadził tam policję. Może znalazł kopię książki i sam ją wziął?

- Ma pan kopię? - zapytałam najniewinniej jak umiałam, mając nadzieję, że rozwinie wątek.

- Część przyniosłem ze sobą. Strony, które dotyczą jej klientów. Proszę je przeczytać z psychiatrycznego punktu widzenia i powiedzieć, czy pani zdaniem mam rację - że jeden z tych mężczyzn miał powody, żeby skrzywdzić Cleo. Rzecz w tym, że prawie wszyscy mogą życzyć jej śmierci, jeśli wiedzą o książce, tyle że guzik z tego wynika. Chcieć a mieć zdolność do działania to dwie strony księżycy. Znam mnóstwo

ludzi, którzy wymyślają różne rzeczy, ale nie potrafią ich wykonać. To czyny tworzą bohaterów. Albo łajdaków. Pani to rozumie, prawda? Liczy się to, co się robi. Łatwo jest siedzieć z założonymi rękami i pozwolić, żeby ktoś inny się martwił. Ja taki nie jestem, pani też nie.

Spojrzał mi prosto w oczy. Jego były przekrwione i smutne. Tylko Cleo, która znała go wcześniej, wiedziała, jak wyglądają te oczy, kiedy nie są tak cholernie smutne.

- Chyba nie jest pani zbyt przerażona, żeby mi pomóc, prawda? Wiem, czuję to. Pani mi pomoże. Jesteśmy w tym razem. Oboje się o nią martwimy. Oboje byliśmy jej opiekunami. Musimy ją uratować. Pomoże mi pani uratować Cleo, prawda? Właśnie to pani robiła, zanim ktoś ją porwał. Ratowała ją pani. A ona była tak bardzo pani wdzięczna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Tamtego wieczoru, kiedy Dulcie poszła do łóżka, ja udałam się do kuchni. Jeżeli miałam pomóc Eliasowi w ustaleniu, kto mógł mieć powód, aby skrzywdzić Cleo, musiałam naprawdę wczytać się w jej książkę, a do tego, żeby zarwać noc, potrzebowałam jakiegoś wspomagacza. Najsilniejszym środkiem stymulującym, na jaki sobie pozwalałam, była kawa. Czekając, by zagotowała się woda w czajniku, wyspałam sześć łyżeczek kawy do francuskiego zaparzacza.

Moja kuchnia była świadectwem marzenia o byciu kobietą „do tańca i do różańca”. Wyglądała jak żywcem wyjęta z programów Marthy Stewart* o prowadzeniu idealnego domu. Kuchenka z nierdzewnej stali z sześcioma płytkami plus podwójny piekarnik, lodówka dzieło sztuki i zmywarka, również z frontem w kolorze zmatowionego srebra. Błaty były z czarnego granitu. W przeszklonych szafkach wyeksponowane były dwa różne komplety naczyń stołowych - białe z grubej kamionki do codziennego użytku i wykwinna zastawa z porcelany z Limoges. Pod blatami było więcej szafek, ale te były w kolorze błyszczącej czerni i harmonizowały z czarno-białą kafelkową podłogą. Widząc taką kuchnię, ktoś mógłby pomyśleć, że umiem gotować, że piekę ciasta, umiem schłodzić tort i wycisnąć z cukierniczej szprycy rozetki z maślanego kremu. Mógłby sobie wyobrazić wielkie indyki ze złocistobrazową skórką, w środku odpowiednio kruche, wyjmowane z tych piekarników i krojone na

* Martha Stewart - amerykańska prezenterka telewizyjna, gospodyni popularnego programu na temat prowadzenia domu, dekoracji wnętrz, itp. Obecnie po głośnym procesie wycofała się z życia publicznego (przypis tłumacza).

porcje jednym z niemieckich noży z kompletu w drewnianym stojaku, który miał swoje stałe miejsce na blacie. Nadzienie byłoby z kasztanów i ostryg, sos domowej roboty.

Ale ja w swoim mieszkaniu byłam tylko marzycielką. Chciałam piec i szyć, i ozdabiać ściany fotografiami wiszącymi na rypсовych taśmach, tworzyć ozdoby na środek stołu inspirowane japońską prostotą, używać do posiłków ręcznie malowanych serwetek. Byłam jednak oszustką.

Zagotowała się woda, więc zalałam mieloną kawę, której nie zmełłam w domu, lecz kupiłam w Starbucksie. Włożywszy filtr z wieczkiem do szklanego kubka, usiadłam przy stole z marmurowym blatem na jednym z krzeseł w stylu francuskiego bistro i czekałam, aż mętna ciecz się zaparzy.

Moje mieszkanie było znakomitym przykładem tego, co się dzieje, gdy dziecko wychowuje się z matką, która żywi je gotowymi mrożonkami albo zupą z puszek, matką, która wykrada je w środku nocy i zabiera w podróż do piekła, a potem umiera, nie zdążywszy wrócić do domu.

Kiedy miałam osiem lat, zjawił się mój ojciec i wyratował mnie z dwupokojowego mieszkania w domu bez windy w Alei A, zabierając do swojego luksusowego apartamentu na manhattańskim East Endzie. Byłam zaledwie kilka kilometrów dalej, ale on o tym nie wiedział. Obwinił się o to, że nie znalazł mnie wcześniej, że nie zapewnił mi bezpieczeństwa, ale to nie była jego wina. Matka zabrała mnie od niego po kryjomu. Nie zapisała mnie tamtego roku do szkoły. Nigdy się nie pokazywała w lepszych dzielnicach.

Jedyną osobą z dawnego życia, którą widywałyśmy, była Nina. Moja matka zawsze sprzątała, kiedy miała przyjść jej przyjaciółka, i próbowała udawać, że nasze nowe życie układa się całkiem dobrze. Nina wiedziała swoje, ale nie miała pojęcia, jak bardzo było źle. Bez

względu na to, jak nisko upadła, moja matka wciąż była dobrą aktorką.

Ostatniego dnia, kiedy znalazłam matkę nieprzytomną, zadzwoniłam do ojca, a on do Niny, by zapytać ją o adres. Nie znałam go. Przyjechali oboje w odstępie piętnastu minut.

Po jej śmierci ojciec zabrał mnie z powrotem do domu, w którym się wychowałam. Nasza stara gosposia, Mary, wciąż tam była. Błagałam ją tamtego roku, żeby pozwoliła mi się przyglądać, jak gotuje, być z nią w kuchni. Przypuszczam, że tęskniłam do czegoś, co mogło mi dać wyłącznie patrzeć na roztopiające się na patelni masło, zapach smażącego się kurczaka czy wylizywanie miski po cieście. Ale Mary miała swoje lata i wredny charakter, więc gotowała, kiedy byłam w szkole i wypędzała mnie z kuchni.

Ojciec ożenił się w końcu po raz drugi, ale Krista знаła się na gotowaniu niewiele bardziej niż moja matka.

Marząc, żeby być taką matką, jakiej nie miałam, inwestowałam we wszelkie możliwe gadżety, o których czytałam w eleganckich magazynach, i patrzyłam na nie z uwielbieniem. Ale kiedy przychodziło do zrobienia użytku z tych inteligentnych urządzeń, okazywało się, że mam dwie lewe ręce.

W wieku dwunastu lat Dulcie była lepszą kucharką, niż ja miałam szansę kiedykolwiek zostać. Uwielbiała robić na mnie wrażenie swym talentem: dawać mi coś do posmakowania i wysłuchiwać ochów i achów. Nawet próbowała mnie uczyć.

Moja mała kobietka, która gotowała już pewne rzeczy bez przepisu, próbowała pokazać mi wszystko to, czego nauczyła ją babcia, matka Mitcha. Sarah przekazała swojej wnuczce całą uświęconą tradycją wiedzę kobiet królujących w kuchni. Ale to było coś, co łączyło je dwie, bez mojego udziału. Na szczęście nie byłam o to zazdrosna.

Ciągle jednak podejmowałam próby kulinarne, które, jeśli nie kończyły się pyszną kolacją, to przynajmniej napadem śmiechu. Nigdy nie zostawałyśmy z pustymi żołądkami, ale tylko dlatego, że obie nauczyłyśmy się znosić moje żałosne próby wykazania się zmysłem twórczym, albo, jeśli się nie udało, pałeczkę przejmowała moja córka.

Reszta mieszkania świadczyła o podobnych tęsknotach niespełnionej domatorki. W każdym pokoju miałam jakiś rozpoczęty, ale niedokończony projekt. Próby haftowania, dziergania, szycia narzut, materiały do robienia własnych ram, własnych szablonów do zdobienia ścian, do tkania własnych dywaników metodą pętłkową.

Co takiego było w tych różnych domowych robotach, co ciągle na nowo mnie kusilo? Tym razem, myślałam w kolejnym przypiływie zapału, na pewno to chwycę. Nic nie wyszło z robienia na drutach, więc się nauczę układać kwiaty. Jeśli nie potrafię upiec indyka, będę dobra w malowaniu ścian.

Niestety, nigdy nic mi nie wyszło tak, jak wychodziło na błyszczących stronach magazynów, nad którymi ślęczałam do późna w nocy, oglądając jednocześnie programy kulinarne i sącząc przypaloną czekoladę przyrządzoną z najlepszej francuskiej „Valrhony” w identyczny sposób - dowiedziałam się tego od telewizyjnej diwy - w jaki robiono to w paryskiej Angelinie od dziewiętnastego wieku.

Ale kiedy nalałam do kubka parującą kawę, nie otworzyłam tym razem żadnego magazynu, tylko wyjęłam rękopis Cleo. To była rzecz, którą zaczęłam i zdecydowanie zamierzałam skończyć. Od tego mogło zależeć czyjeś życie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Z rękopisu Cleo:

On nie jest tym, kim myślisz. Wyobrażasz sobie łysego, grubego mężczyznę, który pali papierosy i jest samotny i żaloszny w taki sposób, który pozwala ci go wykluczyć z twojego świata. Ludzie, których znam, mężczyźni, których kocham, nigdy nie chodzą do prostytutek.

Musisz zamknąć oczy i wyobrazić sobie, jak on wygląda naprawdę. Musisz zrozumieć, że ludzkie pragnienia nie są odrażające. Musisz odrzucić stereotyp. Musisz, jeśli chcesz się dowiedzieć o mężczyznach czegoś więcej, niż już wiesz, zrozumieć, że on jest dobrą partią. Nosi garnitury za trzy tysiące dolarów i szyte na miarę koszule. Jego zarobki są kosmiczne.

I jest tego wieczoru ze mną zamiast z tobą, bo może sobie na to pozwolić. Piotruś Pan ma żonę, uroczą kobietę, której zdjęcia widziałaś na stronach poświęconych modzie i w kronice towarzyskiej magazynu „Town&Country”. Jest potentatem na rynku nieruchomości. Ma tylko czterdzieści siedem lat i jest jednym z najpotężniejszych przedsiębiorców budowlanych w Nowym Jorku.

Siedzi w zaciemnionym kinie. Wynajął tę prywatną salę projekcyjną od wytwórni filmowej. Kosztowało go to osiem tysięcy dolarów za jeden wieczór.

Na ekranie „Absolwent”. Ścieżka dźwiękowa jest ustawiona ciszej niż normalnie, tak że tylko fragmenty dialogów są rozpoznawalne, ale słychać muzykę. Zwłaszcza że Piotruś Pan śpiewa większość piosenek Simona i Garfunkela równoległe ze ścieżką dźwiękową. Mamy butelkę szampana Cristal w srebrnym wiaderku i sączyśmy ten białozłoty płyn

z wykwintnych kryształowych kieliszków, które czekały na nas w firmowym opakowaniu „Tiffany & Co” z Piątej Alei.

Ustawiłam na stole szampana, kieliszki i szklany półmisek kawioru z siewrugi.

Piotruś Pan jest w dżinsach i w białej koszuli z krawatem. Krawatem z prywatnej szkoły średniej, do której chodził. Na nogach ma mokasyny i grube prążkowane skarpetki. A szkolna marynarka leży na wolnym fotelu obok niego.

Ja jestem ubrana w granatową plisowaną spódnicę, jasnoniebieską rozpinaną bluzkę, podkolanówki i prawie identyczne mokasyny. Mam rozpuszczone włosy. Pod spódnicą białe bawełniane majtki.

Znów jesteście w dziesiątej klasie. Mamy po szesnaście lat. W tym wieku był Piotruś Pan, kiedy na ekrany wszedł „Absolwent”.

Nie zapytam dziedzica fortuny, dlaczego jesteście tak ubrani ani dlaczego oglądamy ten film. Tak jak nie zapytałam go tydzień temu i nie zapytam w przyszłym tygodniu, dlaczego właśnie taką scenę mam dla niego odegrać. Zapłacił mi za ziszczenie jego marzenia, i tylko na tym polega moja praca. Spełniam marzenia swoich klientów. Niektóre są mroczne, ale jest wiele zadziwiająco prostych. Rzadko muszę odprawić klienta albo mu odmówić.

A dzisiaj nie tylko zrobię wszystko, czego chce Piotruś Pan, ale sprawi mi to przyjemność. Czy będę czuła to, co ty czujesz, kiedy patrzysz w oczy mężczyźnie, którego kochasz? Który sprawia, że twoje serce bije szybciej i czujesz wilgoć między nogami? Czy jednoczesny orgazm jest czymś, o czym marzę w taki sposób jak ty, kiedy leżysz w łóżku i wyobrażasz sobie, że twój kochanek całuje cię w usta i delikatnie pieści?

Nie. Ja z tego żyję, ale lubię swoją pracę. Zwłaszcza gdy mam takich klientów jak Piotruś Pan.

Przedstawienie za chwilę się zacznie. Cii. Usiądź wygodnie. Zapomnij o swoich uprzedzeniach. Śledź akcję. I nie oceniaj. Po prostu patrz.

Nawet się nie dotknęliśmy. Jesteśmy przyzwoicie ubrani. Film trwa od piętnastu minut.

Teraz Piotruś Pan kładzie wyciągniętą rękę na oparciu mojego fotela. Trzyma ją tak przez minutę. Jestem tego świadoma. Czekam.

Scena na ekranie się zmienia. Benjamin szykuje się na pierwsze spotkanie w hotelu z panią Robinson. Oglądamy film. Śmiejemy się. Mój śmiech jest bardziej autentyczny niż Piotrusia Pana. On w istocie jest bardziej zainteresowany wykonaniem następnego ruchu niż oglądaniem filmu. I w chwili, gdy znów rozbrzmiewa muzyka, czuję na ramieniu jego palce. Zamykam oczy.

Mam szesnaście lat. Siedzę w kinie z moim chłopakiem. Właśnie mnie dotknął. To pomaga mi się wczuć w graną postać. Im lepiej wejść w rolę, tym więcej autentyczności dostrzeże we mnie Piotruś Pan, a zadowalanie klienta jest moją jedyną prawdziwą rolą.

Ach, no widzisz. Zaczyna ci coś świtać. Wiesz, do czego zmierzam i nie podoba ci się to. Oczywiście, że nie. Tu nie chodzi o równouprawnienie, nie o związek dwojga ludzi budujących wspólne życie. Owszem, jest w tym miejsce na seks, ale seks innej natury. W stałym związku oboje macie jakieś pragnienia, jedno i drugie musi ustępować, dawać, brać i rozumieć. Tak trzeba. W tym jest jakaś wartość, ale w tym są również ograniczenia. Problemy. To prowadzi do konfliktów, ogranicza swobodę.

Natomiast ja niczego od Piotrusia Pana nie chcę. Jestem aktorką w jego sztuce. Pieniądze zmieniły już kieszeń. On jest reżyserem.

Zbyt piękne? Za proste? Uważasz, że przesadzam? Och, kotku, chciałabym. Chciałabym ci móc powiedzieć, jak wstrętne i obłąkańcze jest to, co robię, ale byłaby to nieprawda. Nie wszyscy mężczyźni są

potworami. Większość chce tylko przez moment wierzyć, że są centrum wszechświata i że władza, za którą tęsknią, jest władza, którą naprawdę dzierżą. Pragną spełnienia marzeń, a mają zwyczaj kupować to, czego chcą, i te marzenia spełniają.

Są kobiety, które opowiedzą ci inne historie. Być może jest ich więcej niż takich dziwek jak ja. Ale posłuchaj, są też żony i narzeczone, które opowiedzą ci jeszcze inne historie. Są kobiety, które noszą na palcach brylanty wielkości oliwek w martini, a są traktowane gorzej niż ja, i w łóżku wykonują o wiele bardziej poniżające rzeczy. Dziwka, matka, żona, utrzymanka, kochanka, dziewczyna - wszystkie rezygnujemy z czegoś, by coś dostać. Ja wolę dostawać swoje alimenty czy odszkodowania rozwodowe bez narażania się na emocjonalną gorączkę miłości i małżeństwa.

Piotruś Pan bawi się moimi włosami. To przyjemne. Ma subtelny dotyk. Pochyla się teraz ku mnie, a ja się lekko odsuwam. Taka jest moja rola. Mam być nieśmiała. Nigdy nie byłam z chłopakiem w łóżku. Mam szesnaście lat. Jestem w nim zakochana.

I prawdę mówiąc, wcale nie jest trudno to sobie wyobrazić.

Piotruś Pan pachnie wodą kolońską o nazwie Fahrenheit. A pod tym zapachem jest czysty. Jest schludny, ma zadbane paznokcie, mocne czarne włosy. Fakt, że z lekkimi zakolami. Ma ciemnozielone oczy i ujmujący uśmiech. Ciekawi mnie jego mała blizna na brodzie, ale nie pytam, skąd się wzięła. Nie teraz. Jego brwi są pełne ekspresji, usta nie. Jego sekretami są słowa. Ty też do tego dojdiesz, kiedy się bardziej postarasz. Każdy ma jakieś sekrety do ukrycia. Sekrety Piotrusia Pana są słowami, które wypowiedział. Jego usta są mocno zaciśnięte. Sekretami innego mężczyzny są czyny, których dokonał; taki będzie miał ręce przyciśnięte do kolan.

Nie ma już czasu, żeby o tym myśleć. Mój szesnastoletni chłopak pochyla się do przodu i nagle odwraca się w swoim fotelu, by móc

mnie pocałować. Na początku nieśmiało, więc się cofam. Gapię się na niego z mieszaniną zdziwienia i zakłopotania. Szepcze, proszę, daj mi się tylko pocałować. Jeszcze raz.

Nie odmawiam.

Przyciska usta do moich, tym razem z większym zdecydowaniem. I mocniej. To jest słodko pachnący pocałunek i czuję smak szampana. Ten pocałunek wnika we mnie, tak jak bąbelki wina kilka minut wcześniej.

Gdybym miała wyjść teraz z roli, powiedziałabym ci, że nie odczuwam tego tak, jak ty byś odczuwała, gdyby to był mężczyzna, z którym jesteś w związku. Ale mężczyzna, z którym jesteś w związku, nie powie ci, że w swoich marzeniach jest zawsze szesnastolatkiem, zawsze się zakochuje w swojej pierwszej dziewczynie, zawsze jest napalony, gotów ją obściskować w każdym ciemnym kącie, który znajdzie. Nie powie ci, bo jesteś teraz jego żoną albo narzeczoną, i jak byś zareagowała? Idź do terapeuty. Przestań roić o kimś, kto cię rzucił. Nie kochasz mnie?

Ja niczego takiego nie mówię. Gram rolę. Zarabiam pieniądze. Płacę rachunki.

Odwzajemniam pocałunek. On rozchyła trochę usta. Ja też.

Szesnaście lat. Lato. Film ma tytuł „Absolwent”. Muzyka Simona i Garfunkela. W kinie jest ciemno. Jego ręce są wilgotne, ale nie nieprzyjemnie, kiedy wędrują zza moich pleców do guzików bluzki. Odsuwam się.

Nie wiem, czy powinienes...

Cii. Ucisza mnie pocałunkiem.

Umie całować. I to, o czym zapomniał, będąc z tą samą żoną od osiemnastu lat, ja mu przypominam.

Problem polega na tym, że kobieta, z którą się ożenił, trzyma go za jaja. Jest dobrą, ciężko pracującą kobietą, która ma obsesję na

punkcie swojego wizerunku, swojej sławy i swojej władzy. Doszła do tego dość późno i to uwielbia. Nic dziwnego, jest błyskotliwa i pracowała na swój sukces jak niewolnica. Ale jeśli chodzi o seks, nie jest zainteresowana. Nie odmawia, ale nie jest namiętna. Kocha go, ale nie jest w nim zakochana.

Skąd ty to znasz! Albo sama jesteś w takim związku, albo znasz kogoś, kto jest. Małżeństwo jest w porządku. Para żyje ze sobą w przyjaźni, ale ogień wygasł dawno temu.

Żona Piotrusia Pana nie jest kobietą jego marzeń. Do diabła, nawet już nie jest jego kochanką. A on się martwi bardziej, niż powinien, że jeżeli ona się dowie, co on robi ze mną, zostawi go. No i biedak boi się konsekwencji - bo kłopot w tym, że on rozwinął swój biznes za spadek po jej ojcu. Więc w rezultacie to ona jest właścicielką jego biznesu, albo przynajmniej jego połowy. Czyli ma o połowę więcej, niż on jest gotów stracić.

Drażnię go językiem, a on podejmuje grę. Muszę działać wolno, grać swoją rolę i nie być zbyt gorąca. Jego ręce są teraz pod moją bluzką, palce obmacują materiał przeszkadzający mu w kontakcie, którego tak rozpaczliwie pragnie.

Nie pomagam. Pozwalam mu się szarpać z bawełnianym stanikiem. Właściwie zapomniałam, jak to było, na chwilę ja też odpływam i znów mam szesnaście lat. Jestem na randce z jakimś przystojnym chłopakiem. Obsciskujemy się w kinie.

Odpina mi wreszcie stanik. Kiedy obejmuje dłonią moją pierś, słyszę westchnienie. Długie, powolne, głębokie, słodkie westchnienie, jego pierwszy cel. Dotyka mojego sutka, jak gdyby właśnie odkrył, że taka rzecz istnieje, a ja twardnieję. Całuje mnie teraz z większym zapalem i pewną niecierpliwością. W filmie zaczyna się nowa piosenka - „Feeling Groovy”.

Tak, on się czuje fantastycznie. Ja też. Lubię tę rolę. Bycie dziewczyną Piotrusia Pana to fantastyczne doznanie i dopóki się na tym koncentruję, potrafię go uszczęśliwić.

Teraz pocałunki są coraz dłuższe, odstępstwa między nimi krótsze. Odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć. Ma rozpaloną twarz, wilgotne wargi, a filmowe sceny w technikolorze odbijają się w jego oczach. W szeroko otwartych chłopięcych oczach. To jest prawdziwe. On pograżył się w swym urojeniu bez reszty. I teraz, patrząc na mnie, wpijając się oczami w moje oczy, sięga ręką do mojego uda, pod spódnicę i dalej. Wsuwa palce pod majtki i szukając żaru, szukając ciepła, trafia tam, dokąd cały czas zmierzał. Gdy jego palce wślizgują się w wilgotne miejsce, uśmiecha się z satysfakcją. Kocha wilgoć. To jego dowód. To jego nadzieja. To nie jest jakaś poroniona próba, ale wzajemne pragnienie.

Zabiera się do następnego pocałunku, nie przestając mnie rozgrzewać. Umie to robić. Korzystam z tego, czego domagały się przede mną inne kobiety. Czterdziestosiedmioletni mężczyzna nie może być niezdarnym szesnastolatkiem, choćby nie wiem jak bardzo chciał. Umie poruszać palcami powolnym określonym ruchem. Nie może się tego oduczyć tylko po to, by spełnić swoją wizję, więc ja korzystam.

Nieczęsto mam orgazm z klientami. Moja praca polega na uprawianiu seksu, nie na pożądaniu klientów. Aktorka też nie zakochuje się w każdym filmowym partnerze, ale czasami jej się zdarza. A dzisiaj w kinie ta fantazja Piotrusia Pana jest zbyt rozkoszna. Jego palce są zbyt wprawne.

Uciska mnie raz mocniej, raz delikatniej; całuje mnie w rytmie, w jakim rośnie napięcie. Prawie się zapomniałam. Ale nie wolno mi, to nie jest moja gra.

Wyciągam rękę. Och, tak powoli, skrępowana i nieświadoma. Dotykam jego kolana i słyszę, jak wzdycha. Zachęta. Jego palce nieruchomieją. Rozpaczliwie pragnę, żeby pieścił mnie dalej, ale to nie moja gra. Przesuwam dłoń po jego udzie i trafiam na wypukłość pod spodniami.

Wciąż mam szesnaście lat, powstrzymuję się, reaguję, potem znowu próbuję. Przebiegam palcami po całej długości jego wzrodu. Badam go. Uczę się.

- Czy tego chcesz? - pytam szeptem.

- Jeszcze, Jenny, jeszcze. - Używa jej imienia. Ma do tego prawo, za to płaci. Mnie to nie przeszkadza. Cudownie się czuję jako Jenny, szesnastolatka, w której był zakochany trzydzieści jeden lat temu.

Nabieram śmiałości, odpinam rozporek i grzebię w spodniach, by uwolnić jego członek. Gładzę go, a on porusza się w fotelu, wysuwając biodra do przodu. I to wcale nie jest koniec, bo jego palce znów zaczynają krażyć głęboko we mnie. Naśladuje moje ruchy, i teraz robimy to samo jedno drugiemu. Wodzę dłońią tam i z powrotem, jego palce działają wprawnie. Jesteśmy w duecie.

Szybciej. On się rozpędza. Ja też. Jeszcze szybciej. Przywiera do mnie ustami, naciska mocno, czuję jego zęby i jego palce we mnie, moje palce na nim, dźwięki gitary w tle, dotyk puszystego welwetu pod udami i moje nieskrępowane piersi pod bluzką.

Pierwsza fala uderza mnie znienacka. To zdarza się bardzo rzadko, ale nie bronię się przed tym. Dzielę się z nim tym odczuciem, nie tłumię jęku rozkoszy, i to właśnie doprowadza go do szczytu. Czterdziestosiedmioletni mężczyzna, który nigdy do końca nie przestał pragnąć Jenny, kimkolwiek ona była, odrzuca głowę do tyłu i pozwala mi się doprowadzić do orgazmu.

Nieźle jak na robotę za trzy tysiące dolarów za wieczór.

Przykro mi.

Wiem, że nie chcesz w to uwierzyć. Wiem, że to boli. Chcesz być jego Jenny. Jesteś jego żoną, jego przyjaciółką i matką jego dzieci, ale nią po prostu być nie możesz. Przynajmniej nie w prawdziwym życiu. To jest dobre do filmów i fantazji, i właśnie na tym polega moja profesja. Sprawiam, że fantazje stają się rzeczywistością - choćby na kilka godzin.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Później, rozsądnie na to patrząc, trudno byłoby mi wyjaśnić swoją decyzję, ale w tamtym momencie wydawała się nieunikniona.

Mitch przyjechał w ową sobotę po Dulcie, żeby zgodnie z naszą ugodą mogła spędzić z nim następne dziesięć dni. Fakt, że Dulcie była poza domem pod opieką swego ojca, dawał mi wolną rękę. Jakkolwiek przywykłam do jej pobytów u Mitcha, wciąż źle spałam, kiedy jej nie było. Mieszkałam w strzeżonym domu z portierem, a mimo to byłam niespokojna. Moja dwunastoletnia córka nie zapewniała mi oczywiście poczucia bezpieczeństwa, ale czułam się bezpiecznie, gdy wiedziałam, gdzie ona jest i że mogę być pewna, że wszystko z nią w porządku.

Właśnie w takim stanie podminowania spędziłam weekend, myśląc obsesyjnie o mężczyźnie, który zamordował już dwie prostytutki i o fakcie, że jedna z moich pacjentek, która też była prostytutką, zaginęła.

Tym właśnie usprawiedliwiałam swą decyzję, bo istniała oczywiście możliwość, że za zaginięciem Cleo stoi ten sam mężczyzna. Albo jeden z mężczyzn, których opisała w swojej książce.

Tak czy owak, istniało ryzyko, że Cleo jest w niebezpieczeństwie.

A niewiele ludzi mogło jej pomóc.

Większość soboty spędziłam w starych dżinsach i T- shircie, siedząc w swoim salonie z rękopisem Cleo, i stronami z tego samego rękopisu, które dał mi Elias, opatrzonymi na marginesach jego notatkami, i blokiem żółtego papieru, na którym zapisywałam własne uwagi.

Od rana do późnego wieczora, podczas gdy słońce wędrowało łukiem na zachód, ślęczałam nad jej wspomnieniami, nie skupiając

się już na ogólnym sensie. Rylałam w tej książce, robiłam pełną listę mężczyzn, do których się odnosiła, i pod każdym wymyślonym imieniem notowałam wszelkie możliwe informacje potrzebne do ustalenia tożsamości tego klienta. Czym się zajmował, gdzie mieszkał, kto mu ją przedstawił, jakich innych klientów jej naraił, jakie dawał napiwki, jeśli dawał, i, oczywiście, jakie miał skłonności seksualne.

W sumie Cleo wspomniała o dwudziestu paru mężczyznach, piętnastu opisała szczegółowo. Wystarczająco szczegółowo, poza jednym przypadkiem, żebym z pomocą Internetu i kilkudziesięciu telefonów do znajomych znających ludzi, którzy znają ludzi, mogła się domyślić, kim są w prawdziwym życiu i jak się naprawdę nazywają.

Cleo przechrzciała tych mężczyzn według pewnej metody: nadawała im imiona zgodne albo z ich zamiłowaniem, albo z tym, co robili zawodowo. Na przykład Lindbergh był politykiem, ale także pilotem amatorem; Lord Byron był znanym pisarzem; Markiz, aktor, grał rolę markiza de Sade w nagrodzonym przez Akademię filmie; Perry Mason był obrońcą z urzędu, który wygrał nagłośnioną przez telewizję sprawę i został komentatorem telewizyjnym; Superman był bardzo charyzmatycznym, wysokiej rangi politykiem z Nowego Jorku, byłym prokuratorem okręgowym; i tak dalej, i tak dalej. Każda strona rękopisu mogła być powodem wytoczenia procesu, chyba że Cleo przyłożyłaby się bardziej do zatuszowania tożsamości tych mężczyzn.

Komuś, kto nie zajmował się profesjonalnie badaniem ludzkiej seksualności, wydawać by się mogło zadziwiające, że większość tego, czego ci mężczyźni od niej chcieli, była banalna. Nawet nudna. Do Cleo i jej dziewczyn mężczyzn tych sprowadzały raz za razem urok nowości, wolność od zobowiązań, więzów, odpowiedzialności, pragnienie kogoś młodego i pięknego, potrzeba kontaktu z kimś dyskretnym, komu można ufać, brak zainteresowania samą kobietą, męskie ego i narcystyczne potrzeby.

To nie byli mężczyźni, którzy biorą prostytutki z ulicy, takie, z jakimi pracowałam w więzieniu. Możliwe więc, że nie było związku między tamtymi morderstwami a Cleo. Może zniknęła z horyzontu z jakiegoś innego powodu i nie chciała o tym powiedzieć nawet tym dwóm mężczyznom, z którymi była najbliżej - swojemu kochankowi i współnikowi.

Ale nie byłam o tym przekonana.

Przez cały dzień pracowałam nad tą listą, wielokrotnie wracając do tych samych fragmentów książki. Potem porównałam ją z listą Eliasa. Oboje rozpoznaliśmy tych samych czterech mężczyzn jako tych, którzy mieli najwięcej do stracenia. Ale ja umieściłam na swojej liście piątego, którego on nie wziął pod uwagę, i za- brałam się do listy rezerwowej.

Kiedy w końcu zrobiłam sobie przerwę na kolację, instynkt zdecydowanie mi mówił, że jeden z bohaterów tej książki, wiedząc, że Cleo zawarła umowę z wydawcą, wziął sprawy w swoje ręce.

Tuńczyk w salaterce wyglądał żałośnie. Pokroiłam za grubo seler, dodałam za dużo majonezu, a potem za dużo pieprzu. Byłam załamana. Najprostsze danie, najbanalniejsze, i też potrafiłam je schrzanić. Wyłożyłam tę papkę na kromki żytniego chleba, który znalazłam w lodówce, dodałam jakieś pikle w plasterkach i zniosłam kanapkę na stół. Skubnęłam kawałek, pociągnęłam łyk zimnego białego wina i zaczęłam czytać swoje notatki od nowa.

Tylu mężczyzn miało motywy, że wydawało mi się coraz mniej prawdopodobne, aby ta sprawa miała jakiś związek z seryjnym mordercą. To musiał być jeden z tych bogaczy, który nie mógł znieść myśli, że jego starannie skonstruowane kłamstwo może wyjść na jaw.

Chleb pod sałatką szybko rozmiękł. Co ja zrobiłam źle? Cholera. Zapomniałam odsączyć sos.

Wyrzuciłam to paskudztwo, otworzyłam drugą puszkę i odsączyłam sos. Sięgnęłam po chleb, ale w plastikowej torebce była tylko piętka. Świetnie. Nie ma chleba, ale za to jest opakowanie umytej sałaty. Wrzuciłam ją do salaterki, dodałam tuńczyka i wymieszałam całość widelcem.

To z kolei było suche. Znalazłam w lodówce jakiś gotowy sos, wstrząsnęłam i polałam sałatkę. Smakowało lepiej, ale nic porywającego.

Myslałam o innej sałatce. Tej, którą widziałam w magazynie „Gourmet” - sałatce nicejskiej podawanej przy basenie w pięciogwiazdkowym hotelu na południu Francji. Z czarnymi, błyszczącymi w słońcu oliwkami i eleganckimi strączkami fasolki szparagowej przełożonymi filedami anchois na liściach różnego rodzaju sałaty.

Moje dobre intencje zawsze brały w łeb. Nigdy nie umiałam przełożyć pomysłu na dzieło. Ani jako kucharka, ani dekoratorka, ani rękodzielniczka, ani jako rzeźbiarka. Pracowałam w kamieniu i w drzewie przez lata, w szkole plastycznej i później, by wyciosać przedmiot, który tak jasno widziałam w swojej wyobraźni, ale moim palcom nigdy nie udało się urzeczywistnić wizji.

Tylko jedną rzecz umiałam robić dobrze: słuchać. Bardzo uważnie wsłuchiwałam się w słowa, niuanse, pauzy i milczenie, rozumiałam i notowałam to, co zrozumiałam, i pomagałam ludziom w tym, żeby zrozumieli samych siebie.

Kiedy o ósmej zadzwonił telefon, podskoczyłam w miejscu. Cały dzień był taki spokojny. Podniosłam słuchawkę, mając nadzieję, że to Dulcie. Kiedy była u Mitcha, starałam się do niej dzwonić nie częściej niż raz dziennie. To było trudne, ale zwykle wytrzymywałam, wiedząc, że ze swoim ojcem jest cała i zdrowa.

- Halo?

- Doktor Snow? - Męski głos.

Poczułam w sercu leciutkie rozczarowanie, że to nie Dulcie.

- Tak?

- Noah Jordain. Przykro mi, że niepokoję cię w domu.

- Więc dlaczego niepokoisz mnie w domu? - zapytałam bardziej szorstko, niż zamierzałam, ale to było spontaniczne.

- Mamy trzecie morderstwo. Trzecią kobietę.

- Och nie. To stra... Wiesz, kim ona jest? - Czy to Cleo? - chciałam zapytać, ale wciąż czułam się zobowiązana do absolutnej dyskrecji.

- Ona nie jest twoją pacjentką, jeśli to chcesz wiedzieć.

- Dziękuję za informację.

- Powinniśmy jednak porozmawiać.

- Teraz?

- Nie proszę, żebyś przyjechała do komisariatu. Mogę wpaść do ciebie.

Przeczesałam palcami włosy. Rano nie wzięłam na wet prysznic.

- Jest wieczór. Niedziela. Czy to nie może poczekać do jutra?

Wydawał się zupełnie nie przejmować tym, że jestem zdenerwowana i oburzona jego propozycją.

- Rzecz w tym, że ja nie chcę czekać do jutra. Czas jest moim wrogiem. Morderca przyspieszył tempo. Boję się, że niedługo możemy mieć kolejną ofiarę. Wiem, że pomagałaś nam wcześniej, a mój partner mówi, że twoje profile psychologiczne były genialne.

- Przecież macie własnego biegłego psychologa.

- Ta dziewczyna miała dwadzieścia lat. Ma wygoloną czaszkę jak zakonnica. Znaleźliśmy ją ubraną we Włosienicę. Wiesz, co to takiego? Narzędzie tortur używane przez religijnych fanatyków do zadawania

sobie cierpień. Ale ona nie chciała cierpieć, nie chciała być męczennicą, taką rolę wyznaczył jej nasz oprawca. Torturował ją. - Zrobił pauzę. - Na różne sposoby. I wszystko wskazuje na to, że głównie wtedy, gdy jeszcze żyła. Z pleców zdarł jej skórę paskami. Dosłownie.

Zamilkł dla wzmocnienia efektu. I zadziało. Po- czułam kłujące ciarki na rękach i nogach. Zamknęłam oczy, ale to oczywiście nie rozproszyło tej koszarnej wizji.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dotarcie do mnie miało zająć detektywowi dwadzieścia minut, z czego jedną trzecią poświęciłam na wymyślenie miejsca, w którym mogłabym ukryć rękopis Cleo. Było mało prawdopodobne, żeby z jego powodu Noah przywiózł ze sobą nakaz rewizji. Było mało prawdopodobne, żeby wiedział o jego istnieniu. Teraz jednak, kiedy już przeczytałam ten rękopis w całości i przeanalizowałam go starannie, wiedziałam, jakie stanowi zagrożenie.

Chciałam go usunąć z zasięgu ręki.

Chciałam, żeby był bezpieczny. Głęboko ukryty.

Te strony świeciły jak napromieniowane. Bzyczały, wydzielały jakiś odór. Pies tresowany do szukania materiałów wybuchowych pobiegłby prosto do nich.

W schowku na starocie była kołyska dla lalki. Stara zabawka Dulcie, na którą nie spojrziała od lat, a ja byłam pewna, że nie spojrzę nigdy więcej. Została zrobiona z surowego drewna, miała ponad pół metra długości i jakieś czterdzieści centymetrów wysokości. W środku leżała lalka na flanelowym materacyku. Podniosłam lalkę i schowałam rękopis pod tym materacem.

Starczyło mi czasu, by przebrać się w świeży T- shirt, przejechać szczotką włosy, umyć twarz i zrobić szybki makijaż. Spojrzałam w lustro. Makijaż pomógł, ale nie mogłam się pozbyć niepokoju i strachu bijących z moich oczu. Zdenerwowanie miałam wypisane na twarzy.

Dodałam trochę korektora, by rozjaśnić cienie pod oczami. Nie malowałam się dla niego; zrobiłabym to samo, nawet gdyby mieli wpaść znajomi Dulcie. Tylko po to, by wyglądać schludnie.

A potem czekałam, z każdą sekundą coraz bardziej się denerwując. Zajrzałam do salonu, by sprawdzić, czy wszystko pochowałam, i zatrzymałam się przy etażerce, aby zerknąć na fotografię mojej matki. Na tym zdjęciu była ze mną, kiedy miałam dwa latka. Opierałam głowę na jej ramieniu, ona bawiła się moimi włosami.

Na tym zdjęciu była jeszcze taka ładna - zanim prochy i alkohol zaczęły rujnować jej urodę. Niespecjalnie mnie zdziwiło, że znów o niej myślę. Zwykle była odległym wspomnieniem, które nawiedzało mnie raz albo dwa razy w miesiącu. Ale odkąd zniknęła Cleo, odkąd Dulcie została przyjęta do szkoły teatralnej, moja matka znacznie częściej zaprzętała mi myśli.

Leży na kanapie, a ja próbuję wydobyć ją z zamroczenia po przedawkowaniu leków. Nic innego nie działa, więc postanawiam odegrać dla niej jakąś historyjkę. Jedną z wielu rozwlekłych historyjek o „Zagubionych dziewczynach”, które będę dla niej często wymyślała.

„Zagubione dziewczyny” to był tytuł przedstawienia telewizyjnego o dwóch osieroconych nastolatkach, które zostały przygarnięte przez pewne małżeństwo - oboje byli profesorami w elitarnej uczelni bostońskiej.

Dziewczyny bez przerwy pakowały się w jakieś straszne tarapaty, a wtedy jedna z nich - albo moja matka, albo jej partnerka, Debi Carey - rozwiązywała problem nie do rozwiązania, ratując sytuację. Tymczasem czarująca, ale naiwna para starszych ludzi nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak blisko dziewczyny były niebezpieczeństwa, a czasem nawet śmierci.

„Zagubione dziewczyny” zaczęto kręcić, kiedy moja matka miała szesnaście lat. W sumie przez trzy lata powstało trzydzieści odcinków. Potem zagrała jeszcze w kilku filmach, ale nigdy nie odniosła takiego sukcesu jak w telewizji.

Kiedy miałam sześć lat, puszczone powtórkę serialu. Codziennie o siódmej wieczorem siadałam jak urzeczona przed telewizorem, by bez ruchu, jak w transie, oglądać moją własną matkę, która była na ekranie kimś, kogo nie znałam.

W każdy czwartkowy wieczór przez godzinę oglądałam rodzaj magii, której nie pojmowałam. Przez wiele lat szukałam kopii tamtych przedstawień, ale firma, która była ich producentem, kilkakrotnie zmieniała właściciela i nie udało mi się znaleźć nikogo, kto by coś o nich wiedział. Ale pamiętam je wszystkie.

Po tym, jak moja matka porzuciła ojca i zabrała mnie ze sobą, zamieszkałyśmy w maleńkim, zaniedbanym mieszkaniu w kamienicy czynszowej na Lower East Side.

Czasami wieczorem, kiedy matka leżała w swoim zamroczeniu - którego przyczyny jako ośmiolatka nie rozumiałam - opowiadałam jej treść kolejnych odcinków. A kiedy zabrakło mi prawdziwych, wymyślałam nowe, starając się z całych sił ożywić ją, rozbawić, skłonić, by usiadła i czymś się zainteresowała, żeby chociaż zaczęła do mnie mówić.

Po odegraniu każdej historyjki zawsze kończyłam tak, jak to było w telewizji, grając rolę pomagierki mojej matki i wygłaszając przedostatnią pożegnalną kwestię.

- A co było dalej? - zwracałam się do bladej, pięknej kobiety leżącej na sfatygowanej kanapie.

- I wszyscy żyli długo i nieszczęśliwie - mówiła.

Na wpół odurzona, na wpół śpiąca, wyniszczona nalogiem, zawsze pamiętała swą ostatnią kwestię. Kwestię, którą grana przez nią postać kończyła każdy odcinek.

Marzyłam, żeby chociaż raz w życiu to mnie moja matka opowiedziała jakąś historię. Żeby ona była mamusią, a ja małą dziewczynką, żebym to ja leżała w pościeli, a ona siedziała obok.

I gdyby w mojej wyobraźni zapytała, co było dalej, powiedziałabym coś zupełnie innego: uśmiechnęłabym się i oświadczyła: „I wszyscy żyli długo i szczęśliwie”.

Bo to, oczywiście, było moim marzeniem.

Zadzwonił dzwonek.

Idąc otworzyć drzwi, zastanawiałam się, co będzie dalej z Cleo: czy jest jakakolwiek szansa, by żyła długo i szczęśliwie. Jeśli w ogóle będzie żyła.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Zaprosiłam go do kuchni, żeby zrobić kawę. Detektyw był ubrany bardziej swobodnie niż wtedy, gdy przyszedł do instytutu. Zamiast białej koszuli i marynarki miał na sobie niebieską batystową koszulę i wiatrówkę. Te same mokasyny, te same okulary słoneczne zaczepione pod szyją na guziku koszuli, wiszące niepewnie, jakby w każdej sekundzie mógł ich potrzebować.

Zamiast się zdenerwować, gdy przyszedł, poczułam się spokojniejsza. Niechętnie się do tego przyznaję, ale ten spokój częściowo wziął się stąd, że Noah Jordain był postawnym mężczyzną i że z pewnością nosił z sobą broń. Właściwie o ewentualnym zagrożeniu pomyślałam dopiero wtedy, gdy poczułam się bezpieczna. I zdałam sobie wtedy sprawę, że często się boję, że funkcjonuję w ciągłym poczuciu lekkiego strachu.

Wiedząc aż za wiele o działaniu mózgu, o kruchości zdrowia psychicznego, o cienkiej granicy, jaka odróżnia poczytalną istotę ludzką od szaleńca, podchodzę do ludzi z ograniczonym zaufaniem. Nawet do ludzi, którym powinnam móc ufać.

Postawiłam na stole dzbanek z kawą, kubki, cukier i mleko.

- Jeszcze łyżeczka...

Potrzebowałam kilku chwil na oprzytomnienie. Podałam mu przez stół łyżeczkę. Gdy wyciągnął palce, przeniosłam szybko wzrok na jego twarz. Błysk w jego pogodnych niebieskich oczach. Wtedy uciekłam spojrzeniem w bok.

Nie wiem, gdzie patrzył. Odwrócona do niego plecami, szukałam w szafkach czegoś, co mogłabym podać do kawy, i w końcu znalazłam paczkę ulubionych ciasteczek Dulcie. Potem poświęciłam jeszcze kilka

minut na wyłożenie ich na talerz; moja świadomość a la Martha Stewart kazała mi je ułożyć w jakiś wzór.

Postawiwszy ciastka na stole, nie spojrzalam na detektywa, tylko nalałam sobie kawy i jego łyżeczką pomieszałam cukier.

- Nasz psycholog pracuje nad profilem mordercy od samego początku, kiedy znaleziono pierwszą ofiarę.

Kiwnęłam głową, czekając na dalszy ciąg.

- Ustaliliśmy mnóstwo rzeczy, ale tym razem opadły nam ręce, i czas już nie jest naszym sprzymierzeńcem. - Pokręcił głową. - Właściwie nigdy nie mieliśmy czasu, ale teraz tym bardziej. Facet zwiększa tempo, nie daje nam chwili na złapanie oddechu. Nikt go nie zapamiętał. Nie mamy pojęcia, jak wygląda. Wybiera największe hotele z setkami gości. I mamy tyle odcisków palców, próbek tkanin i włosów, że to wygląda jak przysłowiowe szukanie igły w stogu siana. Nasze ekipy nad tym pracują. Pewne tropy prowadzą nas do sklepów z artykułami kościelnymi, ale nawet z tym nie wiązałbym wielkich nadziei. To nie jest tak, że on kupił jeden jedyny przedmiot. Mamy wszystko: habity zakonne, hostie, prawdopodobnie święconą wodę i olejek do namaszczenia. W zasadzie znamy wszystkie materialne aspekty tej sprawy, ale nie posuwamy się do przodu tak szybko, jak bym chciał.

Sięgnął po ciasteczko i zjadł połowę, zanim podjął:

- Nie mogę siedzieć z założonymi rękami i czekać, muszę przewidzieć jego następny krok. Ale żeby to zrobić, muszę się wdrzeć do umysłu tego człowieka.

- A wasz biegły psychiatra nie może tego zrobić, bo...?

- Stara się, ale ja chcę zaangażować ciebie. Perez mówi, że jesteś najlepszym fachowcem, jakiego zna, w rozgryzaniu ludzi z problemami seksualnymi. On i Hobart. To nasz człowiek, pamiętasz go?

Przytaknęłam. On był dobry, Jordain miał rację. Ale nie zawsze starczało mu pomysłowości, gdy w grę wchodziły bardziej wymyślne przestępstwa seksualne.

- Więc Hobart zgodził się z Perezem. Byłem zdziwiony. Trzeba mieć silne ego, żeby zgodzić się na konsultację z kimś z zewnątrz. - Uciał, patrząc na mnie, spodziewając się mojego komentarza, ale ja milczałam. Zauważyłam natomiast, że Jordain wstawia psychologiczną gadkę.

Upił łyk kawy i nie doczekawszy się mojej reakcji, mówił dalej:

- Zgódź się obejrzeć wszystkie materiały śledztwa. Pokażę ci zdjęcia, wtajemniczę w szczegóły wszystkich trzech spraw. Te, których nie znają dziennikarze. Proszę cię tylko o dwie rzeczy. - Zrobił pauzę.

- Po pierwsze, żebyś dała sobie powiedzieć, co wiemy. Chcę, żebyś miała wgląd we wszelkie możliwe informacje. Po drugie, jestem pewien, że niepokoi cię zniknięcie Cleo Thane, i że będziesz próbowała na własną rękę ją odnaleźć. Nie, nie zaprzeczaj, najpierw mnie wysłuchaj. Wiem, że tak będzie, nawet jeśli ty tego jeszcze nie wiesz. Przecież ledwie możesz usiedzieć w miejscu, kiedy o tym mówię. A to, na czym mi zależy, to otwarty kontakt z tobą w przypadku, gdybyś trafiła na jakąś poszlakę. Nie podejmiesz żadnych kroków, dopóki się nie dowiesz, co o tym myślę. Zgadzasz się?

- Nie. Zupełnie nie mam na to ochoty. - Pokręciłam głową. - Kiedy raz zgodziłam się zostać waszym konsultantem, Hobart podważył wszystko, co powiedziałam, i nie poszedł moim tropem. Ustaliłam, że facet ma psychozę. Nie wychodzi mi gra drużynowa.

- Odrobiłem swoją pracę domową. Wiem, co się wtedy stało, Perez mi wszystko opowiedział. I o Samie Butterfieldzie.

Kompletnie to zignorowałam, ale zadałam mu pytanie:

- Więc dlaczego sądzisz, że zmienię zdanie?

- Dlatego, że martwisz się o Cleo. Poza tym nie proszę, żebyś z nami pracowała. Proszę tylko, żebyś mi pomogła. I miała otwarte oczy. Żebyś wzięła numer mojej komórki i dzwoniła, kiedy tylko zechcesz, mówiła, co robisz i co myślisz, i kiedy zauważysz coś, cokolwiek, co wzbudzi twoje podejrzenie jako ewentualny trop.

Patrzył na mnie cały czas, kiedy mówił, ale jego spojrzenie stawało się coraz intensywniejsze. Jak gdyby usiłował zajrzeć mi do wnętrza. Znaleźć tam kogoś.

Wiedziałam, w czym problem. Jestem cholernie dobra w budowaniu niewidzialnego muru, w odgradzaniu pacjenta od terapeuty. I terapeuty od pacjenta. W emocjonalnym zamykaniu się, tak by chłonać i przetwarzać informacje, uczucia drugiej osoby i jej rozterki. Potrafiłam się dematerializować, co czyniło ze mnie dobrą terapeutkę.

Teraz właśnie tak się zachowałam, a Jordain nie tylko to zauważył, ale próbował przebić mur. Dwa punkty dla detektywa. Większość ludzi nie próbuje. Nie chcę, żeby pacjenci to robili i nie spodziewam się tego po nich. Są uwikłani we własne dramaty - i dla nich głównym celem terapii jest odnalezienie więzi ze swoim własnym wnętrzem, własnymi sekretami, własną duszą. Nie moja.

Ale mój problem polegał na tym, że od separacji z Mitchem wpadłam w nawyk odcinania się, jak to nazywałam, i zamykania w swojej wygodnej przestrzeni przed wszystkimi, nie tylko przed pacjentami. Nikt nie mógł mnie wtedy urazić. Życie bez emocjonalnego angażowania się było nie tylko łatwe. Było bezbolesne. A ja zaczęłam bać się bólu.

- Doktor Snow... Morgan, nie chcę cię wykorzystać.

Chciałam się uśmiechnąć. Jego głos zabrzmiał odrobinę zbyt intymnie, przez co zupełnie dopuszczalna uwaga wydała mi się

absurdalnie frywolna, mimo że w jego zachowaniu nie było niczego frywolnego.

Prawdę mówiąc, był śmiertelnie poważny.

- Wiesz, że musisz mi pomóc - powiedział osobistym tonem. Jak gdyby nie chodziło o policję ani o kobietę w niebezpieczeństwie, lecz o niego samego.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Cleo Thane zaginęła, a ty nie możesz mi o niej nic powiedzieć, a zaangażować w to policję możesz tylko poprzez służenie mi radą jako konsultantka. W ten sposób możesz jej naprawdę pomóc, nie łamiąc swoich zasad etycznych. Czy wolno ci ryzykować i liczyć na to, że nie będziesz mnie potrzebowała?

- Inteligentne. To jedna jedyna rzecz, która mogła mnie przekonać, i ty na to wpadłeś.

Uśmiechnął się tym samym uśmiechem, jaki widziałam u niego w swoim gabinecie. Zmrużył oczy, a zmarszczki śmiechu wokół nich pogłębiły się, gdy rozciągnął usta. To nie był pełny uśmiech, zaledwie uśmieszek, choć nie było w nim ani arogancji, ani zarozumialstwa. Ale była śmiałość, która robiła na mnie wrażenie.

Parę innych rzeczy w jego sposobie bycia też zrobiło na mnie wrażenie. Wytworny sposób, w jaki trzymał kubek, co jak na gliniarza było dość niezwykle. Sposób, w jaki patrzył, jakby wszystko prześwietlał na wylot.

Nawet mnie. Nie mogłam się temu oprzeć. Ta jego intensywność interesowała mnie. Moją analityczną naturę intrygowały jego sprzeczności.

- Jeśli zdecyduję się, postawię pewne warunki.
- Tak jest, proszę pani - zażartował.
- Żadnych pytań o Cleo Thane.

Skinał głowa, a kosmyk jego grubych włosów zasłonił mu oko.
Odgarnął go i spojrzał mi prosto w oczy.

- Żadnych pytań. Obiecuję.

Nie wiedziałam, czy dobrze robię, czy będę tego żałowała i czy nie popełniam błędu, ale mu uwierzyłam.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Przerażała ją ciemność, myślała, że jutro o tej porze może już nie żyć. Panicznie się bała, bo nie miała pojęcia, czego się od niej oczekuje ani kiedy się z tego koszmaru uwolni.

Nic jednak nie budziło w niej większej grozy niż cisza. Całymi godzinami nie słyszała żadnego dźwięku. Niczego poza biciem własnego serca.

Nigdy dotąd nie była w miejscu, gdzie byłoby tak cicho. Nie wiedziała, jak ważne są dźwięki, dopóki nie została ich pozbawiona na tyle dni.

Ile?

Ile dni tu spędziła? Znowu próbowała to policzyć, ale nie była w stanie. Bez bodźców z zewnętrznego świata straciła poczucie czasu. Czasami nie wiedziała nawet, czy jest noc, czy dzień.

W celi było zawsze ciemno. Nawet kiedy do niej przychodził, często nie zapalał światła. A gdy była sama, tak jak teraz, mrok był gruby i gęsty. Jakby miał swój wymiar, jakby miał swoją wagę. Wagę czasu mijającego poza jej świadomością.

W ciemności Cleo widziała tylko upiorne kształty swoich związanych rąk i nóg. Były tak blade i chude, że ich nie poznawała. Zawsze była bardzo szczupła, ale teraz wychudła jeszcze bardziej. Nie dawał jej dużo jedzenia. Na przeżycie, to wszystko.

Poza tym, że łaknęła dźwięków, najgorzej znosiła to, że nie jest w stanie użyć rąk. Nie mogła dotknąć własnej twarzy ani włosów, a to są odruchy, myślała, które wydają się naturalne jak oddech. Odgarnięcie z policzka włosów, potarcie oka, podparcie dłonią brody, podrapanie swędzącego miejsca. A swędziało ją wszystko: ramiona, nogi, tułów, piersi, plecy, szyja. Każdy centymetr ciała, który miał kontakt z tą

szorstką i drapiącą koszulą. Skąd on ją wziął? To nie było jej ubranie. Nigdy by nie kupiła czegoś tak zgrzebnego. Ani tak ciężkiego. Ani tak ponurego.

Żaden klient nigdy nie wpadł na pomysł, by przebrała się w taki kostium. Aż dotąd.

I dotąd nigdy nie miała oporów, by spełniać prośby swoich klientów.

Ale to nie była prośba. Tym razem została do tego zmuszona. Zdjął z niej wszystko, co miała na sobie - szarą spódnicę i białą jedwabną bluzkę, jasnoróżowy jedwabny koronkowy stanik i stringi - a potem ją wykapał i ubrał w ten strój.

Dopiero z głową w ciemnościach, gdy poczuła ciężar koszuli, w tym pierwszym momencie klaustrofobicznego lęku dopuściła do siebie myśl, przed którą się dotąd broniła. Że to nie jest gra, że nie będzie prostego zakończenia tej niekończącej się nocy.

Tym razem nie była z mężczyzną, który łaknął zwyczajnego seksualnego zaspokojenia ani pocieszenia czy zycżliwości.

Gdyby choć mogła usłyszeć klakson samochodu, świergot ptaka, wołanie dziecka. Gdyby przez otwarte okno dobiegała grająca gdzieś blisko muzyka, czy chociaż szczekanie psa. Albo szmer spadających liści. Albo dźwięk gotującej się wody.

Gdyby chociaż mogła wyszeptać swoje imię i usłyszeć własny głos. Gdyby mogła dotknąć palcami własnej twarzy. Gdyby mogła oblizać własne wargi.

Zamiast tego czuła, jak taśma, którą miała zaklejone usta - zmieniał ją dwa razy dziennie - ściąga jej skórę. Czuła smak kleju, chemiczny i metaliczny.

Czekała.

Wciąż czekała.

Nie słyszała nic.

A pragnęła usłyszeć cokolwiek.

Cokolwiek poza jedną rzeczą, która była nieunikniona: skrzypieniem jego butów na podłodze. Poza zbliżającymi się krokami szaleńca, który chciał od niej czegoś, co nie było w jej posiadaniu. Ten odgłos był jedyną rzeczą gorszą od ciszy, bo oznaczał, że przez całą godzinę będzie musiała znosić jego dziwaczne żądania i prośby. A czasem przez dwie albo trzy godziny. Ale on właśnie wyszedł. Ma trochę czasu do jego powrotu. Lecz ile?

Żeby choć mogła słyszeć radio, albo tykanie zegara czy zegarka. Jakikolwiek dźwięk, który zakłóciłby ciszę jej mrocznego lochu, gdzie siedziała i czekała na mężczyznę, który modlił się u jej stóp o zbawienie, oczekując od niej mocy, jakiej nie posiadała i nie sądziła, by kiedykolwiek mogła ją osiąść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Na ostatnią poniedziałkową wizytę przed lunchem umówiłam się z Gilem Howardem, wspólnikiem Cleo i mężczyzną, którego wpisała do swojej karty jako najbliższego krewnego.

- Pozwoli pani? - zapytał, wyjmując paczkę papierosów.

Był tak roztrzęsiony, że z niechęcią kiwnęłam głową. Kiedy zapalał długiego brązowego papierosa elegancką zapalniczką z laki i srebra, drżały mu ręce, a słońce odbijało się w szkiełku jego płaskiego jak moneta zegarka marki Piaget.

Gil był starszy, niżby sugerował jego głos, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Na oko sześćdziesięcioletek, ale w dobrej formie, o surowych męskich rysach. Był w doskonałym, szytym na miarę garniturze, z białą koszulą rozpiętą pod szyją. Takie połączenie luzu i elegancji zwykle zdradzało tych, którzy przywykli do bogactwa, ale wiedziałam z książki Cleo, że dorobił się pieniędzy grubo po czterdziestce jako spekulant giełdowy na Wall Street. Szybko się obłowił, rzucił interes, zaczął się nudzić - i wtedy otworzył klub cygarowy Diabło. On i Cleo poznali się, jak napisała w książce, kiedy wynajął ją na noc.

- Kompletnie nie wiem, co robić - oznajmił, straszając nieistniejący popiół ze świeżo zapalonego papierosa do popielniczki, którą postawiłam przed nim na stole.

- Nie powiedziała, że wyjeżdża z miasta.

- Robiła coś takiego wcześniej?

- Nie. Zdarza się, że któryś z jej stałych klientów prosi, żeby z nim wyjechała, a jeśli miejsce jest wystarczająco atrakcyjne, jedzie. Pieniądze są zwykle zbyt duże, żeby nimi pogardzić. Ale znamy się od lat i Cleo nigdy tak po prostu nie zniknęła.

Znów strząsnął popiół. Tym razem do popielniczki wpadł centymetrowy słupek.

- Może sobie pani wyobrazić, jak się denerwuję. Nawet się zastanawiałem, czy nie pójść na policję, dla dobra Cleo. - Zaśmiał się i przez sekundę zobaczyłam w nim mężczyznę, który jeśli nie jest zestresowany i przybity, musi być w obejściu przyjazny i sympatyczny.

- Ona panią lubi. Bardzo.

- Ja też ją lubię.

- Mówiła, że poświęca pani czas dziewczynom w więzieniu. Ona też robi różne rzeczy. Nie ma drugiej takiej jak ona.

Pokiwałam głową. Wciąż nie byłam pewna, po co Gil Howard chciał się ze mną zobaczyć, ale byłam zadowolona, że przyszedł. Oszczędził mi drogi.

- A więc wiem, że pani z nią rozmawiała, ale nie wiem, ile ona mówiła o tym, co się z nią dzieje. I nie pytam. - Następne zaciągnięcie się papierosem, następne stuknięcie o popielniczkę. - Od kilku miesięcy Cleo była jakaś inna. I zastanawiam się, czy to może mieć coś wspólnego z jej zniknięciem.

- Czy właśnie to powiedziałby pan policji, gdyby pan tam poszedł?

- To wszystko jest trochę skomplikowane, rozumie pani. Prowadzimy legalny biznes, płacimy podatki.

I ludzie wiedzą, kim jest Cleo. Ale ona nigdy publicznie nie przyznała się do tego, co robi, i nigdy nie była aresztowana ani nie znalazła się w żadnej kompromitującej sytuacji.

Kiwnęłam ze zrozumieniem głową.

- Dlatego jestem w niezręcznym położeniu. Nie mogę kompromitować swoich klientów i nie chcę wpędzić Cleo w tarapaty, jeśli ona po prostu... - Nie dokończył zdania. - Ale prawda jest taka,

że nie wierzę, żeby ona dała nogę albo była na jakichś niespodziewanych wakacjach. Martwię się o nią.

- Więc jak mogę panu pomóc? Jestem w prawie identycznej sytuacji jak pan. Nie mogę nikomu powiedzieć, o czym rozmawiałam z Cleo. To wszystko jest objęte tajemnicą.

- Ale gdyby pani uważała, że Cleo jest w niebezpieczeństwie, i miała pani jakąś informację o tym, gdzie ona jest, mogłaby jej pani pomóc?

- O co pan pyta: czy naraziłabym jej prywatność, żeby ratować życie?

Przytaknął.

- Tylko wtedy, gdybym była pewna, że właśnie to robię. Jej prywatność miała dla niej duże znaczenie. Ogromne. Czego pana zdaniem oczekiwałaby po mnie Cleo?

- Ona nie wstydzi się tego, co robi. Jest tylko ostrożna. Ale sam nie wiem. - Spojrzał na papierosa, potem pokręcił głową i wściekłym gestem zmiażdżył go w popielniczce. Cienka smużka dymu wzniosła się w powietrze i ulotniła gdzieś nad jego głową. Wypuścił z płuc powietrze i przeczesał ręką włosy. - Swoją drogą, nigdy jeszcze nie musiałem podjąć decyzji, czy iść na policję. Przyszli do mnie, no i bach! Myśle, że jestem na ich liście podejrzanych. W porządku. Chłopak jest zawsze podejrzany.

- Od jak dawna jesteście razem? - Próbowałam nie okazać zdziwienia jego wyznaniem, że byli nie tylko współnikami, ale i kochankami.

- Od jakiegoś czasu. - Sięgał pamięcią wstecz. Widziałam to po jego spojrzeniu, które pomknęło w bok i zatrzymało się gdzieś na środku pokoju, jak gdyby coś tam zobaczył. - Kiedy się poznaliśmy, nie myślałem, że będzie z tego jakiś związek. Nigdy nie myślałem, że

możę kogoś kochać, naprawdę kochać kogoś, kto robi to co ona. Myśli pani, że to dziwne?

- Nie używam takich słów jak „dziwne”. Nie mam w zwyczaju nikogo osądzać.

- To coś więcej niż seks. Poza tym, że trudno jest oddzielić seks od reszty. Z Cleo prawie wszystko jest zabarwione seksem. Sam sposób, w jaki pochyla się, żeby słuchać, co do niej mówię. Albo jak kładzie mi rękę na ramieniu, kiedy ma coś powiedzieć. To nie tak jak z innymi kobietami, które po prostu są, kim są, cały czas, a potem w łóżku bywają trochę namiętne. Albo bardzo namiętne. I nie chodzi o to, że Cleo jest uosobieniem seksu. Nie w stylu jakiejś pozerki z silikonami czy laleczki w brazylijskim bikini. Cleo jest obłądnie zmysłowa. I to tak przyciąga do niej mężczyzn.

Urwał, żeby zapalić następnego papierosa. Nie odezwałam się, nie chcąc mu przerywać ani burzyć nastroju. Bez względu na to, kim on dla niej był, był zakochany w mojej pacjentce i zasługiwał na to, żeby mówić o swoich uczuciach, jeśli miał taką potrzebę. Zależało mi, by mówił. Nagle pojawił się jakiś motyw zniknięcia Cleo. Dwaj różni mężczyźni myśleli, że ona jest w nich zakochana. Czyżby uciekła od obu? Może jeden z nich był tak zazdrosny o drugiego, że postanowił coś z tym zrobić?

Jeśli na przykład Gil rzeczywiście był jej kochankiem, a teraz ona miała nowego kochanka, to całkiem prawdopodobne, że w furii coś jej zrobił.

- Nigdy nie myślałam, że będę w stanie zapomnieć w łóżku o innych mężczyznach, z którymi robi to samo dla pieniędzy. Ale pokazała mi, że to możliwe. I nie chodzi o to, co robiła dla mnie, tylko o to, co pozwoliła mi robić dla siebie. Była nieśmiała. Może pani w to uwierzyć? Naprawdę była ze mną nieśmiała. Ale pomogłem jej się rozluźnić. Byłem dla niej dobry. Powiedziała, że potrafi to wszystko

oddzielić - że praca to praca, a to, co jest między nami, to zupełnie co innego.

O czym on mówi? Potrafiła oddzielić pracę od tego, co robiła z Gilem? To w ogóle nie przypominało związku, który opisała mi Cleo. Powiedziała, że ma poważne trudności z przestawieniem się z pracy na miłość, i że z Cezarem jest skrępowana w łóżku. Czy „nieśmiała” dla Gila znaczyło to samo, co „skrępowana” dla Cleo? Czy może było jej dobrze z Gilem, bo nie była w nim zakochana? Czy ten problem dotyczył wyłącznie Eliasa Beechera?

- Oczywiście mogę uwierzyć, że była z panem nieśmiała. A pana to cieszyło?

- Tak. Cieszyło dlatego, że pozwalała mi się poznać z innej strony. A przede wszystkim dlatego, że byłem w stanie ją uszczęśliwić.

- Byłem? Mówi pan o tym wszystkim w czasie przeszłym.

Nie wyobrażałam sobie, że mogłam go złapać na czymś tak oczywistym, ale musiałam zapytać.

- Kilka miesięcy temu coś zaczęło się zmieniać. Oddalała się ode mnie. Nie w łóżku, w łóżku dalej było dobrze. Wciąż potrzebowała seksu. Albo chciała seksu, wszystko jedno. Ale uczuciowo była... nie wiem... jakaś nieobecna. Przestaliśmy spędzać ze sobą tak dużo czasu. Potem się jeszcze pogorszyło. Przez ostatnie dwa miesiące prawie jej nie widywałem, poza pracą. Ona zrzucała winę na książkę. Ale dlaczego przez książkę miałyby się stać taka... - szukał słowa - chłodna? Doktor Snow, o co tu chodzi?

- Jak jeszcze przejawiał się jej chłód?

- Przede wszystkim więcej czasu chciała spędzać sama. Wie pani, odkąd jej nie ma, staram się odtworzyć z pamięci dwa ostatnie miesiące. Cholera, nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio byliśmy razem. To nie stało się nagle. Swoją drogą, byłem zajęty klubem.

Otwierałem drugi lokal w Las Vegas. Często mnie nie było, odpoczywałem po długich podróżach samolotem, użerałem się z architektami. Ale teraz, patrząc wstecz, myślę, że ona przyjmowała z ulgą fakt, że byłem tak zajęty.

- Jakies inne zmiany?

- Owszem, zaczęła wydawać na siebie więcej pieniędzy. Nigdy nie była oszczędna, ale też nie kupowała sobie takich rzeczy, jakie zaczęła kupować wtedy. Torebka od Hermesa. Zegarek od Cartiera. Jakies brylantowe cacko na szyję. To nie są setki dolarów, to są dziesiątki tysięcy. Zapytałem, czy to klient ją tak obdarowuje, ale zaprzeczyła. Więc pomyślałem, że sama się rozpieszcza. I uważałem, że na to zasługuje. Ale może jestem tępy? A jeśli to był ktoś inny? Może to był jakiś klient związany z nią bardziej, niż wiedziałem? Może to on ma coś wspólnego z jej zniknięciem? - Kiedy mówił o ewentualnym innym mężczyźnie, jego głos stawał się zdyszany.

A może wiedział, że był inny mężczyzna, i nie mógł tego znieść? Czy jest lepszy sposób na to, żeby odwrócić od siebie podejrzenie, niż prosić o pomoc?

Czekając, aby Gil zaczął mówić dalej, zdałam sobie sprawę, że widziałam tamte rzeczy - torebkę, zegarek, brylantowe cacko, jak nazwał to Gil, na szyi. Powiedziała mi, że Cezar kupił jej naszyjnik. Więc jeśli to była prawda - a nie miałam powodu uważać, że Cleo mnie w takiej sprawie okłamała - to na pewno był drugi mężczyzna. Nie Gil był Cezarem, lecz Elias Beecher.

Ale dlaczego nie powiedziała Gilowi, że się spotyka z kimś innym? Dlaczego z nim nie skończyła? Może się asekurowała, bojąc się zerwać z mężczyzną, którego była pewna, podczas gdy jej nowy związek ciągle był najeżony trudnościami. A może wiedziała, że Gil jest tak zazdrosny, że nie będzie w stanie tego znieść?

Czy o to chodziło?

- Mówiła pani o książce, prawda? Dała pani jej egzemplarz?

Nie mogłam mu odpowiedzieć. Książka mogła stanowić jeszcze jeden motyw.

Rozmawialiśmy o tym z Niną, że Gil mógł się bać wydania książki, bo gdyby do tego doszło, mężczyźni, których opisała Cleo, trzymaliby się z daleka od jego klubu. A gdyby inni mężczyźni, bojąc się kompromitacji w przyszłości, też porzuciliby jego klub?

Dostałam gęsiej skórki. Ale jeśli to jest prawda, to po co Gil do mnie przyszedł? Żeby zorientować się, ile wiem? Przygotować pewnego rodzaju psychologiczną obronę?

- Panie Howard, nie mogę panu powiedzieć, o czym rozmawialiśmy z Cleo, ani czy widziałam jej książkę, czy też nie widziałam.

- Ale Cleo może być w niebezpieczeństwie.

- Wiem, ale to niczego nie zmienia, jeśli chodzi o moją odpowiedzialność wobec pacjentki.

- A jeśli jej życie jest zagrożone? I jeśli za tym stoi jeden z jej klientów?

- Strasznie się o nią martwię, ale wciąż nie rozumiem, jak mogłabym panu pomóc.

- Gdybym mógł przeczytać jej książkę, być może trafiłbym na jakiś trop. Gdybym przeczytał, czego ci różni faceci od niej chcą, jakich numerków żądają, co ich bierze, to może doszedłbym do tego, który jest na tyle szalony, że mógł jej coś zrobić.

- Nie mogę panu w tym pomóc.

Ta rozmowa napędziła mi strachu. Nie bałam się o siebie, tylko o Cleo. Bałam się wcześniej, ale teraz było w tym coś przerażającego, kiedy ten mężczyzna siedział na wprost mnie, palił papierosa za papierosem, nerwowo stukał papierosem o popielniczkę i strząsał popiół.

- Ale pani ma informacje - upierał się. - Wiem o tym. Wiem, że Cleo dała pani książkę, i myślę, że jest pani jedyną osobą, która ją ma. Byłem w jej mieszkaniu. Mam klucze. Zawsze miałem klucze. Zobaczyłem, że wyparował jej laptop. Miała w nim wszystkie notatki do książki. Nie było żadnego wydrukowanego egzemplarza. Pracowała na swoim wypieszczonym białym laptopie późnymi wieczorami, a ja leżałem przy niej i widziałem, jak blask monitora oświetla jej twarz. Powiedziała, że pozwoli mi to przeczytać, jak skończy. Była z tego dumna, jak z niczego innego, co dotąd robiła. Powiedziała, że ta książka ją wyzwoli.

Pokiwałam głową. Nie miałam mu nic do powiedzenia, ale on miał w zanadru jeszcze coś, na co nie byłam przygotowana.

- Jest pani piękna.

Odebrałam te słowa na więcej niż jednej płaszczyźnie. Byłam terapeutką słuchającą zrozpaczonego mężczyzny, byłam psychologiem pomagającym policji, i byłam kobietą, która nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś jej powiedział komplementy.

Wiedziałam, że jestem dość atrakcyjna. Żadna kobieta, która dorastała w ostatnich dekadach dwudziestego wieku, nie może nie wiedzieć, jak wygląda. Ocenia się, porównując z każdą inną poznaną kobietą. W konfrontacji z kulturą, która przywiązuje większą wagę do ładnej, dobrze „zrobionej” twarzy niż do jakości umysłu i tego, co się osiągnęło, każdy ma świadomość, w jakim stopniu spełnia te oczekiwania. Ale ja przez ponad czternaście lat byłam żoną tego samego mężczyzny. Był wprawdzie moim najbliższym przyjacielem i ojcem mojej córki, lecz nie kimś, kto patrzyłby na mnie w taki sposób jak ktoś obcy.

Pod wpływem baczego spojrzenia Gila czułam, jak zaczynają mnie piec policzki, lecz zamiast spróbować to zrozumieć, skupiłam się

na psychice mężczyzny, który przejęty losem kobiety, którą kocha, mówi mi, że jestem piękna.

- Mogłaby pani pomóc Cleo.

To nietrzymało się kupy.

- Powiedziałam już, panie Howard, że nie mam prawa dzielić się z panem ani z kimkolwiek innym niczym, co było przedmiotem moich rozmów z Cleo. Przynajmniej dopóki istnieje możliwość, że ona żyje.

Wzdrygnął się. To ostatnie zdanie wyzwoliło w nim odruch desperacji. Przyniósł się, położył ręce na kolanach, pochylił się ku mnie błagalnie.

- Może się pani spotkać z jej klientami. Mogę ich pani przedstawić. Może pani udać, że jest kimś, kogo ona poprosiła o zastępstwo na czas jej wyjazdu.

Wpadł na ten sam pomysł co ja. Nic nie powiedziałam, tylko skinęłam głową. Gil mówił dalej:

- Wiem, że ma pani egzemplarz książki. Cleo na pewno ją pani dała. Pani to przeczytała. Może się pani spotkać z tymi mężczyznami i wy badać ich. Może pani się im przyjrzeć, posłuchać ich i spróbować ocenić, czy któryś z nich mógł ją porwać. W taki sam sposób, w jaki robi to pani ze mną.

Ostatnia uwaga wprawiała mnie w osłupienie.

- Zajmuję się terapią, a nie czytaniem w cudzych myślach - wyjaśniłam, dziwiąc się sama, że mu po prostu nie odmówiłam. Rozważałam co prawda możliwość zrobienia dokładnie tego, co on mi proponował, kiedy rozmawiałam z Niną, ale to był tylko pomysł. Gil postawił mnie przed aż nazbyt realną szansą na wprowadzenie go w czyn.

- Doktor Snow, nie proszę pani o czytanie w czyichś myślach. Cleo mi mówiła, że wie pani o niej takie rzeczy, jakich sama o sobie nie wiedziała. Ze nie spotkała jeszcze nikogo, kto by znał ludzką

naturę i seksualność lepiej od pani. A Cleo zna się na ludziach. Cholernie dobrze wie, czego potrzebują mężczyźni. Potrafi do nich dotrzeć, poruszyć nawet takich jak ja, którzy zanim ją poznali, byli zimni jak lód. Ona potrafi zdziałać coś takiego, że człowiek się czuje, jakby jej zależało na jego szczęściu. Jakby robiąc te rzeczy, syciła się szczęściem. Chodzi nie tylko o seks, ale o sposób, w jaki ona potrafi słuchać. I w taki sam sposób słucha pani. Jakby liczyło się tylko to, że ja tu jestem i że mam coś do powiedzenia.

Chociaż zdawałam sobie sprawę, że Gil sam jest podejrzany, jego słowa mnie poruszały.

- Nie mogłabym tego zrobić.
- Chce pani powiedzieć, że tego nie robi.
- Chcę powiedzieć, że nie ma mowy, żebym udawała, że jestem...
- Nie miałam pojęcia, jak to nazwać.

Nie mogłam już nazywać Cleo prostytutką albo call-girl - te słowa zawierały negatywne nastawienie i osąd. Ona była kobietą, która czuła, myślała i kochała, nawet jeśli też udawała, odgrywając sceny sprawiające przyjemność mężczyznom, którzy płacili jej mnóstwo pieniędzy za to, co robiła, bo nie mieli szansy tego dostać nigdzie indziej.

- Nie musi pani nikogo udawać. Proszę się tylko z nimi spotkać. Niech panią trochę poznają, pani pozna ich. Cleo zawsze ustalała pierwsze spotkania gratis między dziewczynami a potencjalnymi klientami. Nie chciała, żeby ktoś płacił dwa tysiące dolarów za wieczór z kobietą, która nie odpowiada jego wyobrażeniom. Wszyscy faceci znają zasadę pierwszej randki. To oczywiście nie działa w przypadku klientów spoza miasta albo „dziewczyn na prezent”, które klienci wynajmują dla kolegów czy współników w interesach. Ale Cleo nie spotykała się z takimi facetami. Jej stali klienci, ci, z którymi umawiała się sama, ciągle dzwonią. Chcą poznać kogoś innego na

czas jej wyjazdu, bo powiedziałem im, że wyjechała. Ci faceci oczekują wstępnego spotkania, zanim się zdecydują. To są bardzo wpływowi ludzie, same grube ryby. Ci, którzy przychodzą regularnie, ci, którzy na nią liczą. I ci, którzy mają coś do stracenia, jeśli zostaną publicznie skompromitowani. Jeden z tych mężczyzn być może ją dopadł.

- Musi pan wrócić na policję, Gil. Musi pan im podać nazwiska tych mężczyzn. - Powiedziałam to, wiedząc, że on nie podejmie takiej decyzji. Z tych samych powodów ja nie mogłam tego zrobić. Bo jeśli Cleo naprawdę wyjechała w jakąś podróż? Jeśli wcale nie jest w niebezpieczeństwie?

Gdybyśmy udzielili informacji, których nie mieliśmy prawa nikomu zdradzać, zniszczylibyśmy Cleo.

- Pani wie, że nie mogę tego zrobić - odparł Gil. - Próbowałem wymyślić coś innego. Umówić klientów Cleo z inną dziewczyną i w ten sposób wyciągnąć od nich informacje, ale... żadna z nich nie jest dostatecznie bystra. Nie mają też wycucia. To są studentki, bezrobotne aktorki, bez żadnej psychologicznej wiedzy. Żadna z nich niczego by się nie dowiedziała.

Potrząsnęłam głową. Chociaż mówiłam Ninie, że chcę to zrobić, w konfrontacji z realną perspektywą moja odwaga się kurczyła.

- Wiem, że to brzmi obłąkanie, ale zapewniam, że z żadnym z nich nie musi pani uprawiać seksu. Chodzi tylko o to, żeby się pani z nimi spotkała. I przyjrzała się każdemu okiem psychologa.

Wstałam.

- Panie Howard, przykro mi, ale tu wchodzi w grę zasady etyczne. A to, co pan proponuje, łamie wszelkie możliwe zasady, jakie przychodzą mi do głowy.

On też się podniósł. Staliśmy naprzeciw siebie, twarzą w twarz. Wyciągnął rękę z białą wizytówką. Wzięłam ją. To była wizytówka

firmowa, z krwistoczerwoną, wytłaczaną nazwą i adresem klubu Diabło.

- To mój numer prywatny. Proszę, niech pani o tym pomyśli.

Urwał, jakby się wahał, czy powinien powiedzieć coś jeszcze. Próbowałam wyczytać emocje z jego twarzy, ale nie miałam pewności, czy malowało się na niej zmartwienie, niepokój czy poczucie winy.

- Kiedy panią poznała, powiedziała mi, że czuła się zagubiona i że w końcu spotkała osobę, która pomoże jej odnaleźć siebie. Cleo uchodziła za silną i niezależną, ale była dość bezbronna. Jeszcze jedna kobieta, która nie doceniała własnej wartości.

Zostawił mnie stojącą na środku gabinetu.

Na zewnątrz świeciło słońce i pokój był skąpany w porannym świetle, ale ja się czułam jak w środku zimy.

Objęłam się ramionami, by przestać drżeć, ale mogłam myśleć tylko o tych cholernych słowach, których użył, jak gdyby były jakimś szyfrem.

On nie miał przecież pojęcia o „Zagubionych dziewczynach”. Wykluczone, by Gil Howard wiedział, jak ważne było dla mnie ratowanie tamtych dziewczyn, mimo że ta, która znaczyła dla mnie najwięcej, odeszła dawno temu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Następnego dnia zadzwoniłam do Gila i oświadczyłam, że jestem skłonna przystąpić do realizacji jego planu, i że jest pięciu mężczyzn, których, opierając się na opisach Cleo, chciałabym poznać. Podałam mu pseudonimy i trochę informacji z książki.

To było śmiesznie łatwe. Wszystkich poza jednym poznałam po samych pseudonimach - Cleo musiała ich używać w rozmowach z Gilem. Piątego nie był pewien i oznajmił, że się zastanowi. To mógł być ktoś, z kim się od dawna nie spotykała, a on go po prostu nie pamiętał. Umówiliśmy się, że nazajutrz przyjdę do Diabła około wpół do ósmej wieczorem na pierwsze spotkanie.

Przez resztę dnia i większość następnego starałam się o tym nie myśleć. Po wyjściu ostatniego pacjenta zamknęłam drzwi i zmieniłam ubranie.

Gil mi wyjaśnił, że do Diabła wchodzi się przez nieoznakowane drzwi z holu małego ekskluzywnego hotelu o nazwie Bristol-Trent.

Na Manhattanie są inne prywatne kluby ukryte za nieoznakowanymi drzwiami - choćby Raffles w hotelu Sherry-Netherland - więc lokalizacja sama w sobie nie była niezwykła. Ekskluzywny klub bez szyldu za murami innej instytucji doskonale chroni prywatność klientów. Z pewnością jednak nie wszystkie prywatne kluby oferowały takie luksusy jak Diabło.

Książka Cleo szczegółowo opisywała sposób, w jaki działał ich klub. Stała karta członkowska kosztowała pięćdziesiąt tysięcy dolarów jednorazowo i suma ta nie podlegała zwrotowi. Były też roczne składki w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, w co wliczone były drinki, cygara i lekkie posiłki. Klubowa recepcjonistka mogła

rezerwować dla klientów pokoje w hotelu Bristol-Trent. A za dodatkową opłatą mogli umawiać schadzki za pośrednictwem Cleo.

Trudno było o lepszą gwarancję bezpieczeństwa i prywatności.

Ponad dziesięć minut stałam na chodniku, gapiąc się na fasadę hotelu i zbierając się na odwagę, by w końcu przejść przez ulicę. Bałam się, że nie będę umiała wejść w rolę, jakiej ode mnie oczekiwano. Odgrywanie przedstawień to nie mój fach.

To nie głos Cleo Thane słyszałam, stojąc tam jak wryta. Ani głos Gila, ani detektywa, który prosił mnie o pomoc.

To był głos mojej córki.

- Ale dlaczego nie jesteś prawdziwym lekarzem? - zapytała mnie rok temu.

- Jestem prawdziwym lekarzem, Dulcie.

- Nie. Ty tylko rozmawiasz z ludźmi o seksie. - Skrzywiła się. - Nie leczysz ich.

- Pomagam im czuć się lepiej. Czy to mało? Pomagam im naprawiać swoje życie.

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak, ale chciałabym, żebyś była takim prawdziwym lekarzem, który ratuje ludzi.

Przeszłam przez ulicę, czując się niepewnie i śmiesznie w swoim dziwnym stroju.

Moja czarna spódnica była krótsza niż te, które zwykle noszę, na nogach miałam luksusowe pończochy i najwyższe, najbardziej spiczaste szpilki, jakie udało mi się znaleźć. Pamiętając sandały Cleo od Jimmy'ego Choo, wybiegłam w czasie lunchu do miasta i kupiłam te absurdalnie drogie szpile, przerażona ceną i perspektywą, że będę musiała w nich jakoś się poruszać.

Zmarnowałam na buty więcej czasu i pieniędzy, niż planowałam, ale kiedy już dokonałam tego zakupu, wstąpiłam do Victoria's Secret i sprawiłam sobie koronkową bieliznę z jasnozielonej satyny. Skoro miałam grać, chciałam wczuć się w rolę; pamiętałam, jak robiła to moja matka. Miałam nadzieję, że łatwiej mi będzie udawać, jeśli przynajmniej upodobnię się do granej postaci. Tyle że czułam się jak w kostiumie teatralnym.

Obciągnęłam spódnicę i spojrzałam na swoje ręce. Cholera. W ogóle się do tego nie przyłożyłam. Miałam niepomalowane paznokcie. I to mnie jeszcze bardziej zdenerwowało.

Ile innych błędów mogę popełnić? Czy cała ta farsa nie jest czystą głupotą?

To się nie mogło udać. Poza tym, co chciałam osiągnąć? Naprawdę liczyłam na to, że będę w stanie przejrzeć tych mężczyzn na tyle, by odgadnąć, czy któryś z nich zrobił krzywdę Cleo?

Portier otworzył przede mną drzwi frontowe i weszłam do środka. Zgodnie z opisem Gila, w lustrzanym holu zauważyłam po prawej stronie drzwi, tuż za kontuarem recepcjonistki. Każdy mógł je otworzyć, ale do środka wpuszczano tylko mężczyzn, którzy mieli wystarczająco dużo pieniędzy, którzy spełniali rygorystyczne warunki Gila oraz Cleo i nie byli notowani w kartotece policyjnej.

Znalaziszy się po drugiej stronie owych drzwi, prze-maszerowałam przez bajeczny perski dywan, starając się nie potknąć. Kryształowy żyrandol rzucał łagodne światło na wiszące na ścianach obrazy diabłów.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał maitre d'hotel.
- Jestem umówiona z panem Gilem Howardem.
- Mogę prosić o pani nazwisko?
- Morgan White.

Zgodziłam się z sugestią Gila, by użyć innego nazwiska. Morgan Snow. White. Śnieg, biel, siedmiu krasnoludków. Dokładnie tyłu miałam podejrzanych. Dość łatwo mi przyszło wymyślenie pseudonimu.

- Powinien być w środku. Czy mam panią do niego zaprowadzić?

- Nie, dziękuję. Znajdę go.

Wielka sala była zadymiona, w powietrzu unosiła się woń cygar i whisky. Był to tak męski zapach, że zrobił na mnie zaskakujące wrażenie. Nigdy nie byłam w miejscu, które byłoby tak wyłącznie przeznaczone i stworzone dla mężczyzn. I nie tylko nie wydało mi się przez to odpychające, ale szczerze mnie zaintrygowało.

Ściany były pokryte boazerią, fotele klubowe bez wątpienia wybrane z myślą o wygodzie. Bar przy lewej ścianie był długi i lśniący, a za nim, na zachwycającym malowidle ściennym, w zaczarowanym lesie baraszkowały nimfy, za którymi uganiały się bardzo radośnie wyglądające diabły o niesamowicie długich i spiczastych ogonach.

Motyw diabła zauważyłam również na popielniczkach, został też bardzo subtelnie wytrawiony na ciężkich kryształowych szklankach, które roznosił kelner.

Z głośników płynęła piosenka Elli Fitzgerald.

Nic nie różniło tej scenerii od tego, co bym znalazła w każdej innej restauracji Nowego Jorku. Wystarczyło wejść do baru hotelu Mark albo St. Regis, by zobaczyć takich samych mężczyzn sącących tę samą szkocką albo martini.

Ale podczas gdy w restauracjach Nowego Jorku zawsze są jakieś piękne kobiety, tutaj były wyłącznie piękne kobiety, i wszystkie poniżej czterdziestki. Wiele z nich poniżej trzydziestki.

I żadna z par przy stolikach nie wyglądała na znużoną albo znudzoną, żadna się nie kłóciła.

Znalazłam Gila przy stoliku w rogu sali, z dwoma innymi mężczyznami. Podniósł się i przywitał mnie uściskiem, w którym wyczułam wdzięczność i ulgę.

- To jest Morgan. - Przedstawił mnie Tedowi i Bernardowi.

Jak większość członków klubu, ci dwaj wyglądali na miejscu w każdej radzie nadzorczej prestiżowej firmy. Elegancki, wymuskany i lekko opalony Ted miał czterdziestkę z niewielkim okładem. Bernard był nieco młodszy, ubrany w sportową marynarkę o europejskim fasonie i nieskazitelną białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Obaj uścisnęli mi rękę.

I nagle zdałam sobie z czegoś sprawę: obaj otwarcie się na mnie gapili.

Nie przywykłam do tego. Właściwie nie pamiętam, żeby ktoś kiedykolwiek patrzył na mnie w ten sposób - z wyjątkiem Gila, poprzedniego dnia w moim gabinecie. Ludzie ciągle na siebie patrzają, badają i oceniają wzrokiem i podejmują pochopne decyzje, opierając się na tym pierwszym wrażeniu, kiedy oczy ledwie zdążą prześliznąć się po człowieku.

Ale to nie było subtelne. Ci mężczyźni patrzyli na mnie bezwstydnie i czułam się jak obnażona.

Z drugiej strony, było coś tak szczerego w tych taksujących spojrzaniach, że mimo poczucia skrępowania doceniałam to, że niczego nie udawali. Byli po prostu mężczyznami, którzy pożerali wzrokiem kobiety. Nawet jeśli na płaszczyźnie intelektualnej miałam niechętny stosunek do zjawiska tańców godowych, to z socjologicznego punktu widzenia rozumiałam ich sens. Mężczyźni zostali zaprogramowani przez naturę do wybierania kobiet kuszących samym wyglądem. I to nie jednej kobiety, ale wielu naraz. I nie z byle jakiego powodu.

Cała ta gra toczy się o przetrwanie najsprawniejszych. Mężczyźni, którzy byli najwydajniejsi w płodzeniu potomstwa, przekazali nam kod genetyczny, a kobiety, które często zachodziły w ciążę i najlepiej pielęgnowały i karmiły swoje dzieci, były tymi, od których pochodzimy.

Mężczyzna bierze kobietę, kobieta go przyjmuje. Oczywiście bywa odwrotnie. Oczywiście, że kobiety mogą robić to samo, co robią mężczyźni. Intelktualnie jesteśmy jeśli nie identyczni, to na pewno sobie równi.

Ale nasza pierwotna, sterowana hormonami natura seksualna jest tym, co nas w jakimś stopniu różni. Mężczyzn bardziej podnieca kobieta, której nigdy nie smakowali i nie dotykali, niż ta, z którą już intymnie obcowali. Bardziej pożądana od zaufanej kochanki bywa obca kobieta, na której feromony mężczyzna nie zdążył się uodpornić i zobojętnieć.

Ale cały ten naukowy żargon, ten kulturalny sposób uzasadniania czegoś, co kobiety drażni, boli i złości, ani trochę nie zachęca do tańca godowego.

Niektórzy oświeceni mężczyźni zdobywają się na coś więcej niż gołosłowne deklaracje, że popierają zmianę tego stanu rzeczy - potrafią przechrzyć własny instynkt, ale takich nie było w klubie Diabło. Tutaj, za stalowymi, oklejonymi fornirem drzwiami, pod okiem uzbrojonych ochroniarzy, którzy siedzieli prawie niewidoczni w przedniej części sali, nie było miejsca na udawanie. Żadne żony ani narzeczone nie miały wstępu. To był klub dla mężczyzn i wszystkie kobiety były tu na sprzedaż.

Więc choć w każdym innych okolicznościach odwróciłabym się od ich beczelnych spojrzeń, tam nie wolno mi było tego zrobić. Nie mogłam sobie nawet pozwolić na pogardliwe zmruczenie oczu, nie mogłam rzucić kąśliwej uwagi, która przywołałaby tych facetów do

porządku. To było ich miejsce. Ja mogłam być albo intruzem, albo rozrywką. Miałam dwie sekundy do namysłu.

Gdybym wybrała pierwszą opcję, musiałabym wyjść, i nawet nie spróbowałabym pomóc Cleo - jeśli rzeczywiście coś jej groziło i jeśli nie było już za późno. Decydując się na drugą, mogłam zostać i wykorzystać szansę, licząc na to, że uda mi się czegoś dowiedzieć.

Tak czy inaczej, nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić za mnie.

Gil przeprosił ich i zabrał mnie do baru.

- Czego się pani napije? - spytał.

- Poproszę szklanekę gazowanej wody.

- Nie. Drinka. Wygląda pani jak zając w potrzasku. Musi się pani czegoś napić. Więc co to będzie?

- Martini z wódką.

- W takim razie diabelskie martini.

Kiedy barman postawił przede mną kieliszek, pociągnęłam łyczek.

- Co to jest?

- Smakuje pani?

Kiwnęłam głową, chociaż nie mogłam się domyślić, dzięki czemu ten drink jest trochę ostrzejszy i bardziej słony niż zwykła wódka z martini.

- Kilka ziaren czerwonego pieprzu dla koloru, odrobina zalewy z oliwek.

Spróbowałam jeszcze raz.

- Brudne martini - powiedziałam z uśmiechem. - Stosowne do okoliczności.

Wysilił się na uśmiech, który był tylko jego namiastką i zgasł w połowie, znacząc bruzdą jego twarz.

- Jestem wdzięczny za to, co pani robi.

- Proszę mi jeszcze nie dziękować. Nie mam pojęcia, czy sobie poradzę... A jeśli nawet, nie ma gwarancji, że się czegokolwiek dowiemy.

- Nie, ale lepsze to, niż siedzieć i czekać. Policja nie kiwnęła nawet palcem. A to już ponad tydzień.

- Nie mają żadnego dowodu, że Cleo...

Przerwał mi.

- Nie powinniśmy o tym rozmawiać. Nie tutaj. Nie teraz. - Rozejrzał się na boki.

Pomijając jego obawę, że ktoś może nas podsłuchać, wiedziałam, że to nie najmądrzejsze z mojej strony wracać do roli terapeutki Cleo.

Muszę się wyrwać z tego schematu myślenia, skoro mam rozmawiać z jej klientami i grać jej dublerkę.

- Właśnie przyszedł. - Gil wstał, żeby przywitać się z gościem.

Judasz - tak Cleo nazywała pierwszego faceta, którego miałam poznać. W książce napisała, że ma pięćdziesiąt lat, żonę i dwoje dorosłych dzieci. Jego żona była sędzią i prowadziła sprawy o naruszenie praw dziecka.

Był klientem Cleo od ponad dwóch lat, a chciałam zacząć od niego dlatego, że miał wiele do stracenia, gdyby doszło do opublikowania książki, i dlatego, że był jednym z najmniej wymagających klientów pod względem seksualnym.

Zdażyłam wypić tylko kilka łyków drinka, kiedy Gil wrócił do baru z mężczyzną, który wydał mi się znajomy. Oczywiście. Znałam go ze zdjęć, które od lat pojawiały się w gazetach i czasopismach. Judasz nie tylko miał bardzo wpływową żonę; był jednym z głównych fachowców od pozyskiwania sponsorów na rzecz

Partii Demokratycznej w Nowym Jorku i często się pojawiał na uroczystościach i balach w otoczeniu senatorów, gubernatora i przedstawicieli rządu.

- Morgan, to jest Nelson.

W przeciwieństwie do dwóch mężczyzn, których poznałam kilka minut wcześniej, Nelson - bądź Judasz - oszczędził mi lustrującego spojrzenia na dzień dobry. Był na to zbyt wprawnym politykiem. Na razie byłam dla niego obcą osobą, a on miał za duże obycie towarzyskie, by pozwolić sobie przy prezentacji na seksualne podteksty podczas rutynowego uścisku rąk, skupienia się na oczach i szczerego braterskiego spojrzenia. Na jakiejś oficjalnej zbiórce funduszy witałby się ze mną tak samo jak w męskim klubie, gdzie współczesne kurtyzany dyskretnie zabierają mężczyzn do pokoiów w przylegającym hotelu.

- Chodźcie, posadzę was w spokojnym miejscu, żebyście mogli się trochę poznać. - Gil zaprowadził nas do stolika przy ścianie, pogawędził z nami jeszcze chwilę i odszedł.

Niemal natychmiast zjawił się kelner z piwem w oszronionej szklance dla Judasza i z moim ledwie napoczętym martini.

Przez piętnaście minut rozmawialiśmy o polityce. Judasz nie ukrywał, w jaki sposób zarabia na życie. To był jeden z powodów, dla których ciągnęło ich do Cleo i jej dziewczyn: ci mężczyźni wiedzieli, że mogą być sobą, cokolwiek to znaczyło, i wierzyli, że ani jedno słowo nie wydobędzie się na zewnątrz. Płacili za dyskrecję. I dlatego decyzję Cleo o napisaniu książki, nawet gdyby ich w końcu doskonale zamaskowała, jej klienci uznaliby za totalną zdradę.

Dlatego była tak ostrożna i utrzymywała to w największej tajemnicy.

Czy w ogóle było możliwe, by zwierzyła się któremuś ze swych stałych klientów? Być może żaden nie miał pojęcia o jej nowiułkim laptopie, na którym w najdrobniejszych detalach opisywała seksualną niewinność i seksualną deprawację niektórych najbogatszych mężczyzn w Nowym Jorku, w Los Angeles i na świecie. W takim

przypadku cała ta farsa może być marnowaniem czasu. Ale nie miałam nic do stracenia poza kilkoma wieczorami. Dulcie mieszkała przez cały najbliższy tydzień u Mitcha, ja nie chodziłam na żadne randki. Wolałam się zająć zniknięciem Cleo w ten sposób, niż siedzieć sama w domu, myśleć o tym w kółko i mieć poczucie kompletnej bezradności.

- No cóż, przynajmniej wiem, że jesteś demokratką. Pierwsza przeszkoda za nami - oznajmił Judasz, kiedy przyznałam się do swojej przynależności politycznej.

- Czy to należy do twoich kryteriów? - Próbowałam kokietować go głosem, ale od bardzo dawna nie flirtowałam, toteż trudno mi było zadawać pytania i zabarwiać je jakimś dwuznacznym tonem.

Jako terapeutka postępowałam dokładnie odwrotnie. Moje pytania były wyprane z emocji i starałam się nie zdradzać żadnego nastawienia.

Gdy się uśmiechnął, poczułam ulgę. Moje pytanie było w porządku, ale pod stołem drżały mi nogi. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli nie przestanę panikować, nic z tego nie wyjdzie, a nie mogłam się odwołać do niczego z własnego życia, co mogłoby mi pomóc. Decydując się na tę grę, założyłam naiwnie, że skoro naprawdę chcę tę zagadkę rozwikłać, będę w stanie to zrobić. Skąd mi przyszło do głowy, że mogę tu tak po prostu wejść, w jedwabnej bluzce z głębokim dekoltem, w spódnicy o dziesięć centymetrów krótszej niż normalnie, w szpilkach, jakich nigdy w życiu nie nosiłam, i po prostu udawać kogoś, kim nie byłam?

- Nie mógłbym się zadawać w żaden, poważny sposób z kobietą, która głosuje na jakiegoś dupka.

Śmiech, mój i jego.

Tamtego popołudnia Dulcie opowiadała mi o swoich zajęciach w szkole teatralnej. Dostała zadanie zagrania płynu, jakiegokolwiek płynnej materii. Gra ciała miała wyrazić jej istotę. Wybrała miód. Opowiedziała mi, że myślała o tym, jak wolno miód się wylewa, i jak szła przez scenę krokami, które trwały wieczność, cały czas myśląc uparcie, że sama jest miodem. Jak po pierwszym kroku samo uniesienie stopy było takim wysiłkiem, że zwątpiła, czy uda jej się kiedykolwiek dotrzeć do końca sali. W końcu osunęła się na podłogę. Nie była w stanie iść. Zaczęła posuwać się pomalutku, ciągnąc na zmianę ramiona, potem tułów, potem nogi, wszystko oddzielnie. I kiedy znalazła się na drugim końcu sceny, nauczyciel jej powiedział, że wykonała wspaniałą robotę, Dulcie zaś stwierdziła, że minutę trwało, zanim przypomniała sobie, że nie jest miodem i może normalnie wstać.

Jeśli moja córka potrafiła coś takiego zrobić, to czy dla mnie może to być bardzo trudne?

Wyobraziłam sobie Cleo, jej otwarte w męczarni usta, jej przerażone oczy. Nie wiedziałam, gdzie jest ani co się z nią dzieje, ale mogłam się domyślać. Wiem, do jakiego sadyzmu może się posunąć mężczyzna wobec kobiety, jeśli zechce.

Próbowałam ją usłyszeć - jak ze mną rozmawia, mówi, w jaki sposób zagrać tę rolę. Co by mi powiedziała? Jakiej rady by mi udzieliła? Zasugerowałyby, żebym się nie spieszyła. Żebym stała się miodem, jakim była Dulcie. Że jej klientom smakowałby miód: gesty, słodki, złoty i kleisty.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam włosków na dłoni

Judasza. Delikatnie. Tak jak mogłaby to zrobić Cleo. Tak jak ja bym nigdy nie umiała.

- Przykro mi, jeśli nie jestem kimś, kogo się spodziewałeś - powiedziałam miękko. - Ale mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowany. Wiem, że liczyłeś na spotkanie z Cleo.

- Cóż, na pewno jestem zaskoczony. - Ale czy wyglądał na zaskoczonego, gdy się ze mną witał? Nie odniosłam takiego wrażenia. Być może nie był zadowolony, kiedy Gil mu powiedział o zastępstwie, ale jeśli Gil wspominał mu o tym przy drzwiach, minęło tylko kilka chwil.

Swoją drogą, jeśli miał coś wspólnego z zaginięciem Cleo, nie powinien być zdziwiony.

- Spotykam się z Cleo od dwóch lat. Nie wiedziałem, że wyjeżdża na odpoczynek. Kiedy ostatnio wyjechała, uprzedziła mnie. Dlaczego tym razem miałyby to ukryć?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem.

Próbuję uczyć pacjentów, żeby nie zawsze odpowiadali na pytania. Nie ma takiej zasady we wszechświecie, że trzeba odpowiadać na wszystko, o co ludzie pytają. Każdy ma prawo zachować swoje myśli wyłącznie dla siebie. Kiedy ujawnianie różnych rzeczy jest pożywką dla nadawanych na okrągło wiadomości i rozrywek typu talk-show, na pytania zwykle się odpowiada. Ale w prawdziwym życiu nie trzeba tego robić. I ja zastosowałam się do swoich rad. A Judasz, tak jak miałam nadzieję, mówił dalej.

- Ale nie potrafię się na nią długo złościć.

- Zdarzyło ci się na nią złościć? - Położyłam dłoń na jego ręce.

Postronnemu obserwatorowi wydawałoby się, że moje palce bawia się zalotnie jego dłonią, a tymczasem ja trzymałam opuszkę wskazującego palca na jego pulsie i czułam miarowy przepływ krwi w jego żyłach. Mój własny, niezbyt precyzyjny wykrywacz kłamstw. Za nic nie posłużono by się nim w sądzie, tak jak jego bardziej

naukowym bratem, ale wiedziałam, że to dobry sposób na ocenianie prawdomówności. Kiedy ludzie mówią prawdę, ich serce bije równo, a kiedy kłamią, zwłaszcza na temat czegoś, co może wprawiać ich w zdenerwowanie, tętno rośnie.

- Nie wiem, czy to fair, żebyśmy o niej rozmawiali - zauważył.

Jego puls wydawał się nieco szybszy.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby rozmawiać o Cleo. Ona jest wyjątkowa. Nie spodziewam się zająć jej miejsca. Mogę ją tylko spróbować zastąpić, gdybyś zechciał.

- Zastąpić - powiedział z przekornym uśmiechem, który szybko zgasł. - Dla mnie nie aż tak bardzo liczy się to, co robimy razem. Chodzi o to, że ona mnie nie osądza.

Teraz jego puls zdecydowanie przyspieszył.

- Tu nie ma czego osądzać. To, co nas uszczęśliwia, co sprawia nam przyjemność, nie zależy od opinii ludzi, nie podlega dyskusjom. Pod skórą jesteśmy naprawdę kruchymi istotami i powody, dla których pewne rzeczy jednych podniecają, a innych nie, to przedmiot bardzo tajemnej wiedzy.

On kiwał głową, a ja byłem przerażona. Znowu wpadłem w żargon. Na szczęście Judasz nie tylko nie wydał się tym zdegustowany, ale zaczął mnie słuchać uważniej. Musiałam jednak zachować ostrożność. Wiedziałam, że Cleo jest bystra i że jej klienci będą liczyć na kogoś równie inteligentnego, lecz wiedziałam też, że jest różnica między zadowalaniem ludzi, spełnianiem ich życzeń, a byciem ich terapeutką.

- Wiesz, to śmieszne, ale rzeczywiście bardzo mi jej brakowało w zeszłym tygodniu. Sam byłem zdziwiony.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

- Nie sądzisz, że to dziwne? Ze przywiązałem się do kogoś, kogo widuję raz w tygodniu?

Omali się nie roześmiała i pewnie bym to zrobiła, gdyby serce nie zaczęło mi walić, gdy on sięgnął ręką przez stół i zsunął mi z ramienia bluzkę.

- Nie, myślę, że jesteś bardzo wrażliwym człowiekiem. Oczywiście, że Cleo może coś dla ciebie znaczyć.

Nie miałam pojęcia, jak się zachować. Gil napomknął, że te spotkania to tylko wstępne randki, które dają zarówno klientowi, jak i dziewczynom szansę zorientowania się, czy chcą robić wspólnie biznes. Wszystkie dziewczyny mają prawo wycofać się w ciągu doby. Cleo w pełni zdawała się na ich instynkt w doborze klientów. Nie chciała, by którakolwiek spotykała się z mężczyzną, z którym nie będzie się czuła swobodnie. Były dziewczyny, które bez oporów szły z obcymi, zwykle te, które obsługiwały klientów poza klubem i wyjeżdżały „w delegacje”.

Ja wiedziałam, że z żadnym z tych mężczyzn nie będę musiała iść do pokoju; miałam z nimi tylko pogadać, zorientować się, kim są i spróbować wychwycić coś podejrzanego, cokolwiek, co by dawało podstawy do obaw, że któryś z nich był w stanie skrzywdzić Cleo. Resztę Gil wzięłby na siebie i poszedł na policję.

Jeżeli rzeczywiście coś jej się stało. Jeśli nie postanowiła uciec od swojego życia, nikomu o tym nie mówiąc. Ta myśl przyczepiła się do mnie jak refren jakiejś piosenki.

Cleo była zdezorientowaną młodą kobietą zakochaną w mężczyźnie nie mogącym pogodzić się z jej zawodem. Ona tymczasem nie była w stanie z nim się kochać, a jednocześnie pisała książkę, której wydanie, zdawała sobie z tego sprawę, groziło wielkim zamętem, i mogło spowodować mnóstwo cierpień. Była też kobietą związaną z dwoma mężczyznami, z których żaden najprawdopodobniej nie wiedział nic o drugim.

Judasz powiódł palcami po wnętrzu mojego nadgarstka i ramieniu. To było dziwne, nieznane mi uczucie. Nie pamiętałam, by jakiś mężczyzna dotykał mnie w ten sposób.

Podczas kilku ostatnich lat mojego małżeństwa z Michem i wszystkich nocy, kiedy braliśmy się w ramiona, łączyła nas miłość i komfort psychiczny, ale nie było niczego więcej. A teraz kompletnie obcy mężczyzna sprawił, że czułam coś, czego nie mogłam przywołać w żadnych wspomnieniach.

Skóra jest żywa. Oddycha. Składa się z końcówek nerwów. Chłonie doznania zmysłowe. Jego palce robiły coś, co nie miało nic wspólnego z tym, czy się znamy, lubimy, czy choćby jesteśmy zainteresowani dowiedzeniem się o sobie czegoś więcej. Mojej skóry nie obchodziło, że to jest nieprzyzwoite, że prowadzę bardzo niebezpieczną grę. Moja skóra była zachwycona leciuteńkim naciskiem męskich palców żeglujących po jej powierzchni. Zamknęłam oczy, nie udając, nie czując wstydu, lecz raczej odnajdując się w tym niezwykłym miejscu, gdzie siedziałam naprzeciwko zamożnego mężczyzny w średnim wieku, o miłej powierzchowności, który lubił dotykać kobiecej skóry i umiał to robić z właściwą delikatnością.

Reszta mojego ciała była zazdrosna o ten maleńki fragment, bo też od dawna nie była dotykana i nie dotykała mężczyzny. Toczyła się wojna między moim umysłem a ciałem i między fizycznym doznaniem a intelektem.

Cofnęłam rękę.

- Jeszcze nie.

- Wiem, że jestem niegrzeczny, ale twoja skóra jest cudowna.

- Czy powinnam wiedzieć więcej o tym, jaki jesteś niegrzeczny?

Chodzi o coś, co robisz? Musisz mi powiedzieć. Muszę być pewna, że potrafię być tym, kogo potrzebujesz.

Dowiedziałam się z książki o niektórych rzeczach, które mnie u Judasza niepokoiły. Był rozdarty. Dbał o żonę, dzieci i o swoje udane życie. Jego pozycja zawodowa miała dla niego wielkie znaczenie. Ale seksualnie był impotentem, dopóki nie czuł, że robi coś złego. Podniecały go dreszczyk strachu i świadomość, że postępuje nieuczciwie. I nie tylko nie potrafił wyjaśnić tego swojej żonie sędzinie, a z wszelkich możliwych rzeczy, które mogły go podniecać, pragnienie bycia złym - robienia rzeczy nielegalnych - było najgorsze.

- Lubię się bać.
- Czego? - szepnęłam.
- Że ktoś mnie nakryje.
- Czego jeszcze?
- Wiem, że robię coś, co mogłoby wywołać skandal i rozpieprzyć całe moje życie.

Chciałam go zapytać dlaczego, skłonić, by mi o tym opowiedział. Chciałam mu pomóc, ale byłam miodem, a nie doktor Morgan Snow. Tutaj nie miałam tych dwóch literek przed nazwiskiem. Nie miałam nawet nazwiska. Byłam po prostu Morgan, kimś, kto miał jedno zadanie: odkryć, co temu mężczyźnie sprawia przyjemność.

To było bardziej krępujące, niż przypuszczałam, jednak nie mogłam się wycofać. Musiałam zrozumieć, jakiego rodzaju niebezpieczeństwo miał na myśli. Czy w grę wchodzi uwięzienie gdzieś kobiety, skrzywdzenie jej, zmuszenie do przyznania się, czy naprawdę pisze książkę i czy występuje w niej również on?

Dziwnie się czułam ze świadomością że Judasz nie ma pojęcia, że wiem o nim tyle rzeczy, że czytałam o nim i analizowałam jego psychikę na podstawie wynurzeń Cleo.

- Jeśli to nie jest wielki problem, może powiedziałbyś mi, czego ode mnie oczekujesz? Żebym wiedziała, czy jestem dla ciebie właściwą osobą. Jeśli nie, mogę ci znaleźć kogoś innego.

Pochylił się w moją stronę.

- Chętnie ci powiem, ale najpierw musisz wziąć to. - Wyjął z kieszeni plik banknotów i oddzielił pięć studolarówek.

W miękkim świetle lampki błyszczał jego spinacz do banknotów w kształcie zwiniętego węża. Stworzenie miało mały język - z czarnej emalii - i dwoje maleńkich rubinowych oczu. To był niezwykle przedmiot i, owszem, wart sam w sobie, aby mu się przyjrzeć, ale mnie zaciękało to, że znałam tę spinkę z opisu Cleo.

Tyle że nie z rozdziału poświęconego Judaszowi.

W książce Cleo spinacz do banknotów należał do mężczyzny, którego nazywała Uzdrawiaczem - do tego piątego mężczyzny, którego nie rozpoznał Gil. Pisała, że widziała go za każdym razem, kiedy wyjmował go z kieszeni. Tamten piąty mężczyzna wręczał jej banknoty w identyczny sposób, w jaki Judasz wręczył mi przed chwilą pięćset dolarów - kładąc mi pieniądze na dłoni i zamykając wokół nich moje palce.

To nie miało być honorarium za wieczór. Gil to wyjaśnił.

- Co to jest? - spytałam.

- Jeśli mam ci powierzyć swoje sekrety, muszę zadbać, żebyś miała bodziec do ich zachowania.

Gdybym tak mogła mu powiedzieć, jak bardzo będą u mnie bezpieczne te sekrety! Ale mnie teraz nurtowało pytanie, czy on wierzył w dyskrecję Cleo, czy nie bał się, że go wyda.

Pokręciłam głową.

- Nie musisz. - Oddałam mu pieniądze.

- Ale chcę. Proszę. - Przesunął je z powrotem do mnie.

Nie chciałam robić zamieszania wokół tych banknotów i płoszyć go w momencie, gdy był już skłonny do zwierzeń. Wzięłam więc pieniądze i schowałam je do torebki. Później miałam się zastanowić, co z nimi zrobić.

- Miałeś mi powiedzieć, co lubisz - przypomniałam mu z uśmiechem, mając nadzieję, że wypadł zachęcająco.

Ale jak, do diabła, powinien wyglądać zachęcający uśmiech? Jakim cudem miałam przetrwać spotkania z czterema z tych mężczyzn? Albo pięcioma, gdyby Gil się domyślił, kim jest Uzdrawiacz...

Judasz uśmiechnął się.

- Lubię chodzić w różne miejsca. Publiczne. Tam, gdzie są inni ludzie.

Pokiwałam głową.

Cleo wymieniła kilka miejsc, do których ją zabierał. Kiedyś w nocy byli w gabinecie jego żony, raz w przymierzalni sklepu z męskimi ubraniami, na pustej scenie opery podczas wielkiej imprezy związanej ze zbieraniem funduszy, podczas gdy jego żona siedziała w ich stałej łóż. Załatwił Cleo bilet oraz jakiegoś partnera i zaaranżował z nią schadzke.

Chciałam jednak, żeby sam o tym powiedział. Sprawdzić, czy odkąd Cleo o tym pisała, nie zmienił się trochę, czy nie potrzebował teraz silniejszych podniet, czy nie był gotów posunąć się dalej, ku ostatecznym granicom.

- Dokąd ostatnim razem zabrałeś Cleo?

Uśmiech na jego twarzy nie był taki, jakiego oczekiwałam. Nie był przepełniony radosną satysfakcją jak kilka minut wcześniej, kiedy dawał mi pieniądze. Co teraz widziałam? Czy to była głęboka desperacja człowieka, który nie miał poczucia granic?

- Zabrałem ją do banku. Do skarbcza. Dałem jej pieniądze. To mi sprawiło przyjemność. Brakuje mi jej. - Zachryplł mu nagle głos. Spuścił oczy.

- Wszystkim nam jej brakuje - powiedziałam.

To była prawda. I wszyscy bardzo się o nią martwiliśmy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

O wpół do siódmej wieczorem pokojówka otworzyła drzwi pokoju 1543 w hotelu Pallard, a dwadzieścia minut później detektyw Noah Jordain i jego partner pędzili z Manhattanu do tego dużego hotelu w pobliskim Newark, w stanie New Jersey, obaj mając nadzieję, że to, co tam zastaną, nie jest kolejnym sukcesem człowieka, którego nazwali Mordercą Magdalenek.

Dla Jordaina ta seria morderstw była gorsza od innych, jeśli w ogóle można mówić o stopniowaniu horroru, kiedy ma się do czynienia z bezmiarem deprawacji. Te morderstwa dręczyły go bardziej nie tylko z osobistych powodów, ale dlatego, że nigdy wcześniej nie miał sprawy, która tak długo nie ruszała z miejsca. Jak dotąd fachowcy z laboratorium nie trafili na żadne poważne poszlaki.

Lekarz sądowy stwierdził, że morderca zadawał kobietom cios w głowę tępym, lekko wypukłym przedmiotem. Po ogłuszeniu dusił je w lateksowych rękawiczkach, takich samych, jakie można kupić w każdej drogerii czy aptece.

Opierając się na przypuszczeniu, ten sam lekarz zakładał, że ogłuszone kobiety nie odzyskiwały już świadomości.

Przynajmniej tyle - nie wiedziały, co się z nimi działo. Nie miały pojęcia o tym, że po śmierci mężczyzna bezczęścił ich ciała, przebierał za zakonnice i upozowywał swoje bluźniercze żywe obrazy.

Zapewne dziesiątki ludzi widziały mordercę w hotelu, zmierzającego do pokoju, w którym czekała na niego prostytutka. Ale dla nich był tylko jeszcze jednym człowiekiem w foyer, w windzie czy w korytarzu.

- Ktoś musi porównać taśmy z kamer monitorujących ze wszystkich hoteli i zobaczyć, czy przypadkiem nie pojawia się dwa

razy ta sama twarz - powie- dział Jordain do swojego partnera, kiedy jechali przez miasto.

- Jasne, masz świetny pomysł - odparł sarkastycznie Perez.

Obaj wiedzieli, że to nie będzie łatwe. Mogli jedynie zakładać, że przestępca był ubrany jak biznesmen, by wtopić się w tłum, i pewnie miał małą walizkę, w której mieścił się habit oraz wszystkie inne rekwizyty.

- Dobra, wiem. - Noah Jordain kiwnął głową. - To niewiele, ale on nie popełnia żadnych błędów, a w tych hotelowych pokojach jest tyle różnego gówna. Żeby chociaż wybierał droższe hotele z lepszą ochroną, albo żeby jakiś recepcjonista zwracał większą uwagę na to, kogo melduje. Albo gdyby ktoś w ostatnim miesiącu oddał do prania narzutę... - Noah zamilkł, sfrustrowany.

Nie ma sensu wałkować wszystkich możliwych scenariuszy, które mogłyby im ułatwić pracę. Na razie ze wszystkich trzech miejsc zbrodni zebrali tyle śladów włosów, tkanin i odcisków, że laboratorium nie ustaliło nic znaczącego. Wydawało się nieuniknione, że ten sam scenariusz powtórzy się w miejscu, do którego jechali.

- On musi popełnić błąd, prędzej czy później. - Nic lepszego nie przychodziło Perezowi do głowy.

- Wolałbym prędzej. Niech to szlag!

- Sytuację pogarsza to, że on zabija kobiety, których nikt nie pilnuje.

Była ciepła noc. Lekki wiatr, księżyc w pełni, niewielki ruch, miasto iskrzące się światłami, jakby to było magiczne miejsce przepelnione nadzieją, a nie okropnościami, o jakich Noah wiedział. Na każde światło przypadała jakaś ciemność, na każde okno, które jaśniało blaskiem - jakiś człowiek, mężczyzna albo kobieta, który ze stanu łaski mógł popaść w otchłań brudu.

Kościół, jego kościół, który powoływał mężczyzn do głoszenia słowa Bożego, a kobiety do czynienia dzieła Bożego, mówił, że dzieci rodzą się niewinne.

Noah Jordain był dobrym katolikiem, ale już w to nie wierzył. Za dużo widział zła. I zdawał sobie sprawę z tego, że zobaczy więcej.

RS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Była młoda.

Młodsza niż wszystkie poprzednie. Żadnej zmarszczki na twarzy. I choćby cienia życia.

- Osiemnaście lat? - spytał Noah lekarza sądowego.
- Możliwe.

Wszyscy mieli tego dosyć, ale Noah chciał jeszcze upaść na kolana, przeżegnać się i pomodlić, by w jej godzinie potrzeby zstąpił jakiś anioł i ulżył jej, i żeby nie wiedziała, co ten potwór jej zrobił.

Spodziewała się tylko, że będzie musiała rozebrać się do naga i obciągnąć mu łaskę albo rozłożyć nogi i udawać, że sprawia jej to przyjemność.

Ale to? Nie, to jej nie przyszło do głowy.

Młoda kobieta leżała na łóżku. Była pierwszą, którą znaleźli na łóżku, i również dlatego wydawało się to jeszcze gorsze. Dlatego że łóżko kojarzy się z wygodą, dlatego że ona musiała na nim cierpieć.

Tak jak poprzednie ofiary, była ubrana w habit zakonnicy podciągnięty do góry, by widać było rękodzieło szatana, na które w tym przypadku składało się owinięcie jej nagiego ciała drutem kolczastym. Obie nogi były okręcone oddzielnie. Najdłuższy kawałek opasywał spiralą jej tułów od bioder do piersi. Najkrótszy posłużył za koronę cierniową.

Została potraktowana jak poduszczyk do szpilek. Wszędzie, gdzie drut dotykał jej ciała, ostre metalowe kolce przekłuły głęboko skórę.

W pokoju unosił się mdlący słodki zapach krwi, która sączyła się z setek nakłuc i skapywała strumyczkami, łącząc się w strugi i rzeki krwi. Brudnoczerwona ciecz wypływała z jej wnętrza i nasączała białe

prześcieradło. Jordain wyobraził sobie, jak plama przenika w głąb, przez pościel do materaca. Czy przesiąka głębiej? Czy jej krew ścieka z materaca na podłogę i dywan, a przez sufit do pokoju piętro niżej?

- Możliwe, że coś tu mamy... - mruknął Perez.

Noah odwrócił wzrok od różańca między nogami kobiety, stanowiącego specyficzny autograf sprawcy.

- Co to jest? - spytał, kiedy Perez pochylił się i włożył do torebki jakąś rzecz leżącą na podłodze. - Czyżby coś przeoczył?

- Metka ze sklepu żelaznego. Musiała odpaść od drutu.

- Może jej nie zauważył.

- Może przykleiła mu się do buta.

- Duża rzecz! - jęknął Noah. - Ile może być takich sklepów? Ze dwa tysiące?

Narzekanie czy okazywanie frustracji nie było w jego stylu, lecz ta sprawa była koszmarna. Może Morgan Snow na coś wpadnie, pomyślał. Może jej umiejętność wnikania w cudze umysły wyjaśni chociaż jedną rzecz, przez którą wymyka się cała reszta.

Postanowił do niej zadzwonić, jak tylko skończą. Może będzie miała mu coś do powiedzenia.

- Nie, masz rację, to jednak coś jest. Właściwie duża rzecz. Musiał kupić ten drut gdzieś w okolicy. W Nowym Jorku, New Jersey, Connecticut. Nie może być więcej niż kilkadziesiąt takich sklepów.

Noah odwrócił się i spojrzał na biedną dziewczynę na łóżku, bo choćby bardzo się starał wcisnąć ją w stereotyp twardej ulicznej dziwki, nie potrafił.

Ona była dzieckiem. Czyjaś córka. Czyjaś siostrą.

Westchnął, oparł się o ścianę i czekał, aż fotograf skończy robić zdjęcia.

- Wiesz, co z tego wyniknie? - Noah miał tylko czterdzieści lat, ale mówił jak ktoś, kto przeżył już swoje życie. To coś brzmiało w każdej wymęczonej sylabie i ospalej intonacji jego słów.

Mark Perez wzruszył ramionami.

- Znajdziemy wszystkie sklepy, które sprzedają ten drut, może nawet uda się to zawęzić do kilku sklepów, które sprzedają go w zwojach identycznej długości. Może będziemy mieli aż tyle szczęścia, żeby zidentyfikować sprzedawcę, który go sprzedał. Ale i tak się okaże, że nie ma karty kredytowej, którą można sprawdzić. Wiesz, że to będzie zakup za gotówkę i oczywiście sprzedawca nie będzie pamiętał twarzy klienta. Kto by zwrócił uwagę na twarz człowieka, który kupił kilka metrów drutu kolczastego z kilkoma innymi rzeczami, dorzuconymi na wszelki wypadek, żeby mieć pewność, że nie zostanie zapamiętany?

- Może jednak tym razem się potknął. - Perez nie czekał na odpowiedź kolegi. - Wiem, nie musisz mi mówić, jak mało jest to prawdopodobne. Mamy do czynienia z kimś, kto jest równie cwany jak my, jeśli nie cwańszy. Tak było przynajmniej do tej pory.

Noah znów przeniósł wzrok na dziewczynę. Wpatrywał się w nią bez słowa przez kilka sekund.

- Możemy jeszcze powęszyć, skąd pochodzi habit.

- Jak to do cholery jest możliwe, żeby facet kupował habitę dla zakonnicy i nie został zauważony? Nawet jeśli jest księdzem, ktoś go powinien zapamiętać.

- Hobart uważa, że on nie jest księdzem, Morgan też.

- Wiesz, jaki mam stosunek do tego, co myślą specjaliści od świrów. Oni głównie zgadują. Dopiero jak znajdujemy delikwenta, nagle oświadczają, że cały czas mówili, że był taki, a nie inny. Jak często któraś z ich bredni do czegoś się przydaje? Kiedy ostatnio złapaliśmy faceta na podstawie profilu psychologicznego?

Noah wzruszył ramionami.

- Kwestia do dyskusji. Faktem jest, że niczego nie wiemy. Niczego nie mamy.

- Rozgryziemy sprawę habitów - rzekł stanowczo Mark Perez.

- Oby twoje słowa...

Perez uśmiechnął się kącikiem ust. Zdażył przyzwyczaić się do tego, że Noah Jordain przywłaszczał sobie jego wyrażenia. Nadal go jednak bawiło, gdy ten detektyw z południa używał ulubionego powiedzenia swojej babci.

Podczas gdy lekarz sądowy i jego ekipa wykonywali swe obowiązki, detektywi pisali raporty. W pewnym momencie zadzwonił telefon komórkowy Pereza.

- Coś mają? - zapytał Noah, gdy jego partner skończył rozmawiać.

Perez pokręcił głową.

- Owszem, nie. Zaliczyli kilka następnych sklepów z artykułami kościelnymi i nic.

- Ale mają ten pierwszy habit od dwóch tygodni. Jak długo można ustalać, gdzie taka rzecz została kupiona?

- On poobcinał z tych habitów pieprzone metki, a ten model jest najbardziej klasyczny i popularny. Nie masz pojęcia, jaką wiedzę mają teraz nasi chłopcy o strojach zakonnich.

- Lepiej, żeby się dowiedzieli trochę więcej. Komisarz zaczyna się denerwować - zauważył Noah.

W istocie jednak to on był coraz bardziej zdenerwowany, i jego partner o tym wiedział.

- Kilka lat temu byłoby łatwiej wytropić te kostiumy, ale teraz, kiedy wszystko można kupić przez Internet.

Noah odwrócił wzrok, gdy jeden z członków ekipy lekarza sądowego wyjął szczypcami zakrwawiony różaniec z pochwy dziewczyny.

- O, Perez! Przed chwilą powiedziałeś coś ważnego. Kostiumy. Czy nikomu nie przyszło do głowy, że to może nie są prawdziwe habity, tylko kostiumy? Czy ktoś...

Ale nie musiał kończyć. Perez już dzwonił do ludzi, by poinformować ich o nowej koncepcji.

Jordain spojrzał na gliniarza, który podawał technikowi z ekipy medycznej torebkę na dowód rzeczowy. Różaniec wciąż dyndał w powietrzu. Pojedyncza kropla krwi, ciemnoczerwona jak drogocenny kamień, zawisła na końcu krzyżyka, połyskując w świetle. Utrzymała się przez kilka sekund, a potem oderwała się i spadła na but policjanta.

Tylko Jordan widział tę plamkę, i przypawiło go to o mdłości. Właśnie wtedy zadzwoniła jego komórka. Wcisnął przycisk i rzucił ostro:

- Jordain. - To było jedyne słowo, które wymawiał z wyraźnym akcentem nowoorleańskim, wydobywając z niego całą jego śpiewność. Słyszał przez lata, że mówił tak jego ojciec, i sam robił to niemal bezwiednie.

- Cześć, szefie, ona wychodzi z klubu.
- Sama?
- Tak. Mam za nią jechać do domu?
- Nie. Śledź ją dotąd, aż uzyskasz pewność, że nie robi tego ktoś inny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Nie czułam się brudna. Nie potrzebowałam kąpieli, kiedy wróciłam do domu, ale miałam ochotę na drinka. Otwierałam butelkę białego wina, kiedy zadzwonił telefon. Odebrałam po sprawdzeniu na wyświetlaczu, kto telefonuje.

- Witam, detektywie. - Sprawdziłam na zegarku godzinę. Było wcześniej, niż myślałam. Dopiero dziewiąta.

- Jestem w pobliżu.

- Znów? Jaki masz tym razem pretekst?

- Żadnych pretekstów. Jesteś zbyt bystra, przejrzałyś mnie na wylot. Ale mogę poczekać do jutra, jeśli to zbyt kłopotliwe. Zadzwonię do ciebie do pracy i zapytam, czy mogę wpaść. Ty mi przypomnisz, że pani doktor Buttercup nie chce mnie tam widzieć. Wtedy ja zapytam, czy możesz przyjść do komisariatu. I poświęcimy dziesięć minut na próbę znalezienia wolnej godziny w twoim terminarzu...

- Jak daleko jesteś?

- Jakieś piętnaście minut drogi.

- Dobrze - powiedziałam i usłyszałam, że się rozłączył.

W łazience, patrząc na siebie w lustrze, zmyłam makijaż i pomalowałam tylko lekko usta. Zastanawiałam się, dlaczego Jordain pomyślał, że dobrze będzie zatelefonować do mnie wieczorem. I jak mu się udało zadzwonić dosłownie w kilka minut po moim powrocie do domu.

Sprawdziłam w pamięci automatycznej sekretarki, czy przypadkiem nie nagrywał się od paru godzin, zanim w końcu zastał mnie w domu. Żadnego nagrania jednak nie znalazłam. Potem sprawdziłam, czy może ktoś wybierał mój numer, ale rozłączał się, nie

zostawiając wiadomości. Też nic. Więc skąd on wiedział, że właśnie wróciłam?

Może jestem zbyt podejrzliwa.

Uczesałam się, zgasiłam światło, nie oglądając powtórnie swojego odbicia w lustrze, i wróciłam do kuchni, by otworzyć wino. Dzień był długi, wieczór także. A teraz się okazuje, że będzie jeszcze dłuższy.

Nalałam wina do kieliszka, pociągnęłam łyk i posmakowałam, skupiając się na doznaniach: zimny płyn, lekko kwaskowaty o owocowej nucie, wypełniał mi usta, spływał wolno do gardła, zachęcając do następnego łyka.

Kiedy detektyw Jordain pojawił się w drzwiach, zaproponowałam mu kieliszek, ale pokręcił głową.

- Jesteś jeszcze na służbie? Jest prawie dziesiąta.

- Możliwe, że będę musiał wrócić do komisariatu.

Wyglądał na wyczerpanego, nie z braku snu, lecz tak, jak wyglądają ludzie po przeżyciu jakiegoś urazu albo szoku. Kiedy siedzi za mną, czułam, że idzie wolniej niż zazwyczaj. I wtedy poczułam zaskoczenie, że zauważyłam coś tak nieuchwytnego jak szybkość jego chodu. On jednak był wysoki, dużo wyższy ode mnie, i miał tak długie nogi, że kiedy poprzednim razem przechodziliśmy przez salon, zdecydowanie mnie wyprzedzał.

Dzisiaj nie.

Zajął miejsce na kanapie.

- Chcesz kawy? Coś do jedzenia?

- A wiesz, że cały dzień nic nie jadłem. Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Tak. Cokolwiek. Coś prostego.

- W takim razie chodź ze mną do kuchni. Zobaczę, co mam, ale uprzedzam, że mogę ci zaproponować najwyżej puszkę jakiejś zupy czy mrożoną przystawkę wegetariańską, a jak będziesz miał wyjątkowe szczęście, to znajdę muffina i trochę masła orzechowego.

W kuchni oparł się o blat i spojrzał na mnie z lekko drwiącym smutkiem.

- Zupa, mrożonki? A ty jadłaś coś wieczorem?

Pokręciłam głową.

- Jesteś głodna?

- Teraz, jak o tym wspomniałeś, czuję, że tak. Umieram z głodu.

- I naprawdę nie umiesz gotować?

Znów pokręciłam głową.

- Usiądź.

Powiedział to w tak rzeczowy sposób, z taką swobodą, że posłusznie usiadłam. I ogarnęło mnie dosyć przyjemne uczucie. Nie pamiętałam, żeby ktoś wcześniej przejmował władzę. Nikt? Oczywiście, kiedyś mój ojciec, potem Nina Butterfield. Ale nigdy mój były.

- Zobaczmy, co my tu mamy. - Pootwierał szafki i zaczął bacznie lustrować zawartość półek. - Masz tutaj wszystko - odezwał się po chwili. - To jest jedna z najlepiej zaopatrzonych spiżarni, jakie w życiu widziałem.

- To nie znaczy, że potrafię coś z tym zrobić. W kuchni jestem niespełnioną Marthą Stewart, jak mówi moja córka. Ale wszystko ogranicza się do pobożnych życzeń. Nie mam talentu kulinarnego.

- No cóż, w takim razie siedź spokojnie, dolej sobie wina, a ja zobaczę, co da się zrobić z całą tą egzotyką.

Wszystko w nim było naturalne. Szeroki uśmiech i powolny sposób mówienia, znacznie wolniejszy niż u każdego Amerykanina ze wschodu. A w porównaniu z nowojorczykami mówił wręcz ospale.

Wyjmował spośród moich obfitych i niewykorzystywanych zapasów puszki i pudełka, uśmiechając się, czytając na głos, co niektóre z nich zawierają, a potem odstawiając je na miejsce.

Ostatecznie zgromadził na bufecie paczkę mrożonych obgotowanych krewetek, bagietkę, słoik sosu pomidorowego, oliwę i buteleczki z suszonymi przyprawami, w tym płatki czerwonej papryki chili, pieprz cayenne, biały pieprz i sól.

W lodówce w pojemniku z warzywami znalazł lekko obeschnięty czosnek, równie smutno wyglądającą czerwoną cebulę i szalotkę. Ze środkowej półki wyjął karton jajek - miałam nadzieję, że nie są przeterminowane - i pudełko masła, które, jak się obawiałam, mogło być puste.

Najpierw włączył piekarnik, potem zagotował trochę wody i rozmroził krewetki, wrzucając je na kilka minut do wrzątku. Następnie postawił na kuchence patelnię, włożył trochę masła i nalał oliwy.

- Oliwa i masło? - zapytałam.

Drgnęłam, kiedy wbił we mnie wzrok. Nie dlatego, że na mnie patrzył, lecz dlatego, że sobie przypomniałam, jak patrzyli na mnie mężczyźni w Diablu.

Kiedy zjawił się Noah, zapomniałam o nich, o wieczorze w klubie i o tym, co tam się działo. I nagle poczułam się dziwnie, siedząc we własnej kuchni i będąc zupełnie inną osobą niż zaledwie godzinę wcześniej, kiedy obcy mężczyzna dał mi pięćset dolarów tylko za to, żebym zachowała kilka jego sekretów.

Noah wrzucił cebulę na skwierczący tłuszcz, zamieszał kilka razy i dodał czosnek.

- Jakoś zniesiesz jedną łyżkę masła - stwierdził, mieszając dalej.
- Co z wami jest, do diabła? Mam na myśli kobiety ze wschodnich stanów. W Nowym Orleanie żadna kobieta nie przestraszyłaby się odrobiny masła.

Ale nie powiedział tego zwyczajnie, tylko z tym swoim niepowtarzalnym nowoorleańskim zaśpiewem.

Noah kucharzył dalej, a ja nakrywałam do stołu, zerkając na niego ukradkiem i dziwiąc się, że tak miłe zapachy dochodzą z mojej własnej kuchni.

Jestem po prostu głodna, mówiłam sobie.

Oparta o zlewozmywak, obserwowałam jego krzątanie: mieszał co chwila cebulę na patelni, roztrzepał jajka, włożył do piekarnika bagietkę.

Zaledwie kilka minut później wyłożył jedzenie na talerze i postawił je na stole. Pierwszy kęs był przyjemnie pieprzny i zachęcił mnie do następnego.

- Czy to ma jakąś nazwę? - spytałam.

- Powiedzmy. To jest frittata, rodzaj omletu...

- Wiem, co to jest frittata. Pytam o całe danie.

Pokręciłam głową, kiedy brałam do ust drugi kęs.

- Nie używam przepisów ani nut, jeśli mogę się bez nich obyć.

- Jesteś też muzykiem?

- Fortepian, jazz. Lubię gotować tak samo jak grać. Na luzie. To, na co przyjdzie mi ochota.

Jedliśmy, przez kilka minut niewiele rozmawiając.

- Dzięki, to było naprawdę pyszne - oświadczyłam, kiedy oboje skończyliśmy. - Napijesz się kawy?

Patrzyłam, jak odrywa kawałek bułki i wyciera nią talerz.

- Cykorii pewnie nie masz?

- Nie, tylko zwykłą kawę ze Starbucksa.

- Dobra, poproszę jak najmocniejszą.

Nie miałam wątpliwości, że z czymś do mnie przyszedł, ale wyraźnie odwlekał przejście do sedna. Był w moim domu od godziny i słowem nie wspomniał o śledztwie ani nie zapytał o Cleo. Zaczęłam się denerwować. A jeśli miał złe wieści? Okropne wieści? O Cleo. Jeśli ona... Po prostu zapytaj, powiedziałam sobie.

Odwrócona do niego plecami, wsypałam do francuskiego zaparacza mieloną kawę.

- Więc masz jakieś wiadomości?
- Poczekajmy na kawę.
- Nie wiem, czy wytrzymam. - Serce zaczęło mi walić jak oszalałe.

- Dziś w nocy miało miejsce kolejne morderstwo prostytutki.

Stalowy kubek wypadł mi z ręki na kafelkową podłogę. Kawa się rozsypała i wyglądało to, jakby na białych kwadratach pojawił się rój mrówek - setki martwych mrówek. Nim wykonałam ruch, by to sprzątnąć, Noah był już przy mnie. Przykucnęłam, on też, i prawie dotknęliśmy się głowami. Oboje w tym samym momencie podnieśliśmy wzrok.

Spojrzałam w oczy o tak jasnoblękitnej barwie, że wyglądały prawie nierealnie. Czułam na twarzy jego oddech.

Ogarnęło mnie zakłopotanie. Zaczęłam się chwiać. Miałam wrażenie, że pochylałam się do przodu, jak gdybym zbliżała się do niego jeszcze bardziej, jakby i on przysuwał się jeszcze bardziej do mnie. I straciłam równowagę na tyle, że Noah to zauważył i wyciągnął rękę, by mnie podtrzymać.

Moja skóra na to zareagowała. Po raz drugi tego wieczoru dotykał mnie mężczyzna. Zamarłam. Nie mogłam się poruszyć. To było inaczej niż z Judaszem. To było na swój sposób bardziej przerażające.

Ale jak to jest możliwe? Jak mógł ten budzący ufność detektyw, z wiernym pistoletem pod pachą, przerazić mnie bardziej niż kompletnie obcy facet, który lubił płacić kobietom za to, by pieprzyły się z nim w najbardziej publicznych miejscach, tam, gdzie mógł zostać przyłapany?

- Ja zrobię kawę - oznajmił - a ty usiądź. Powiem ci, co się stało, ty tylko słuchaj. A potem możesz mi zdradzić, co o tym myślisz.

Wiemy, z czym mamy do czynienia, to nie ulega wątpliwości, ale to ciągle za mało, żeby go przechytrzyć. - Noah odwrócił się do mnie plecami, żeby umyć zaparzac do kawy.

Na barkach tego mężczyzny spoczywało ogromne brzemie. Chciałam mu pomóc - nie tylko z powodu Cleo, ale i ze względu na niego samego.

Bo kiedy spojrzałam mu w oczy, zobaczyłam nie tylko niezwykle odcień błękitu. Zobaczyłam w nich ból.

RS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Następnego wieczoru spotkałam się z drugim mężczyzną, który, sądząc z opisu Cleo, mógł być podejrzany. Zdemaskowanie byłoby dla niego równoznaczne z klątwą, oznaczałoby wykluczenie z dzieła jego życia - pracy, która uczyniła go bohaterem. Cleo nazywała go Midasem, ale kiedy podał mi starczą rękę, Gil przedstawił go jako Keifera.

Śmierdział cygarami i miał głębokie zmarszczki wokół oczu i ust. Liczył sobie sześćdziesiąt osiem lat i był głową największej chrześcijańskiej organizacji charytatywnej w Stanach Zjednoczonych. Ogromnie zamożny, poświęcił życie na pomnażanie swego bogactwa i dzielenie się nim w możliwie największym stopniu. I choć wiedziałam o tym z książki Cleo, siedząc z nim tamtego wieczoru przy drinku udawałam, że nie mam o niczym pojęcia.

- Nie robiłam tego od bardzo dawna - wyznałam nieśmiało.

Przyszło mi wcześniej do głowy, że mogłabym swoje zdenerwowanie obrócić na własną korzyść, a mianowicie dając tym mężczyznom do zrozumienia, że sama czuję się nieswojo, mogłabym ich ośmielić, sprawić, by poczuli się przy mnie pewniej.

- Cóż, to może nawet lepiej, prawda? To jest twój pierwszy raz tutaj? - zapytał.

- Byłby, tak. Gdybyśmy oboje zdecydowali, że to będzie przyjemne.

- Dawanie sprawia mi przyjemność - rzekł z uśmiechem.

Mimo wieku miał bujne siwe włosy bez śladów zakoli. Wysoki, o szerokich ramionach i pociągłej twarzy, odchylił się do tyłu i obserwował moją reakcję. Nie czułam się ani trochę rażniej, kiedy

patrzył na mnie tym nieugiętym wzrokiem, ale wytrzymałam jego spojrzenie i przełknęłam kpiarski ton.

Był typem mężczyzny, którego zauważa się w tłumie z powodu jego osobowości. Miewałam podobnych pacjentów, tak pewnych siebie w swych publicznych maskach, tak spełnionych i tak zamożnych, że emanowała z nich aura sukcesu. I miewałam pacjentki, które lgnęły do takich mężczyzn.

- Ze mną, Morgan, jest tak, że wymagam niewiele, poza tym, żeby tobie sprawiało przyjemność to, co robisz.

Uniosłam brwi.

- Wyznam ci, dlaczego, jeśli zechcesz słuchać.

Bardzo trudno było nie zareagować, nie odezwać się, nie ponaglać go. Cała cierpliwość, której zwykle mi nie brakowało, wyczerpała się.

- Tak?

- Lubię rozdawać pieniądze. To jest to, co robię każdego dnia. Lubię je zarabiać, ale wprost uwielbiam rozdawać. Tak naprawdę to tylko to lubię robić. Nie jestem wymagający.

- Wprawiliś mnie w kompletne zakłopotanie. - Roześmiałam się.

- Domyślałam się. Szkoda, że nie widzisz swojej twarzy. Śliczna, ale wyraźnie zakłopotana. To całkiem proste.

Sięgnął do marynarki i wyjął pięciocentymetrowej grubości plik banknotów. Migotliwe światło było wystarczająco jasne, by zobaczyć, że to studolarówki, a musiało być ich co najmniej pięćdziesiąt.

- Trochę powiększyły ci się oczy.

- Chyba nigdy nie widziałam tak dużo gotówki.

- Ale ty jesteś warta tak dużej gotówki.

- Tak uważasz?

Znów mi się przyglądał, przesuwał wzrokiem z góry na dół, szacując moją wartość. I właśnie wtedy zaczęłam się wcielać w rolę, którą sobie wyznaczyłam.

Nie miało znaczenia, że byłam w miejscu, do którego nie pasowałam, udając kogoś, kim nie byłam. To była wciąż moja twarz i moje oczy, moje usta i moje ręce, mój głos i moje nawyki. On na mnie patrzył, a jego spojrzenie mówiło, że mnie chce.

Zaparło mi dech. Jawny głód w jego oczach robił na mnie wrażenie. To było doznanie fizyczne, jakby owiał mnie wiatr, jakby padał ciepły deszcz i spływał po moich policzkach.

- Poczuj to - odezwał się, po czym sięgnął po moją prawą dłoń i położył ją delikatnie na pliku banknotów.

Poczułam pod opuszkami palców gładki papier i bezwiednie przeciągnęłam kciukiem po krawędzi, rozkładając je jak talie kart, sprawdzając ich grubość.

- Możemy pójść teraz do pokoju? - spytał.

- Nie. Ale możesz mi powiedzieć, co by się działo, gdybyśmy wzięli pokój. Powiedz, czego oczekujesz. Możemy zacząć od tego, prawda?

Skinał głową, choć niezbyt radośnie.

- Rozłożyłbym te banknoty na łóżku. Dziesięć rzędów banknotów wszcz, dziesięć rzędów banknotów wzdłuż. Posłanie za pięć tysięcy dolarów.

Moja twarz musiała zdradzać zdumienie. Cleo nie napisała ani słowa, ile pieniędzy dawał jej Midas.

- Lubię to robić - powiedział w reakcji na moją minę.

- Rozdawać pieniądze?

- Wyobrażasz sobie coś lepszego?

Pokręciłam głową. Midas przywołał kelnera.

- Napijesz się wina? A może wolisz drinka?

- Wypiję to co ty. - Chciałam nawiązać z nim więź, a to był prosty sposób.

- Poproszę szampana. Cristal - zwrócił się do kelnera, a potem przeniósł wzrok na mnie. - Piję tylko szampana. I tylko Cristal.

Nasunęło mi się jakieś niejasne skojarzenie, ale wtedy nie mogłam się na tym skupić.

- Gdybyśmy byli w pokoju, ochrzciłbym cię szampanem.

- W jaki sposób? - Próbowałam zachować spokój, ale bałam się, że drży mi głos. Nie miałam prawa lekceważyć religijnych podtekstów w jego słowach.

- Przyłożyłbym kieliszek do twoich ust i bym cię poił.

Jego zmysłowość była bardzo sugestywna, jego niski i głęboki głos przyciągał niczym magnes. Czy istnieje jakiś związek między prostytutkami, które zostały tak brutalnie zamordowane, a zaginięciem Cleo? Czy ten mężczyzna jest elementem tego związku?

Mało prawdopodobne.

Znałam statystyki. Na Manhattanie zgłaszano zaginięcie ponad dwustu osób dziennie.

Midas zamilkł, kiedy zjawił się kelner, odkorkował szampana i ostrożnie napełnił dwa kieliszki.

- Chodź, pokażę ci - powiedział Midas, gdy tylko kelner odszedł. Podniósł mój kieliszek i nie spuszczając ze mnie oczu, jak gdyby rzeczywiście udzielał mi jakiegoś błogosławieństwa, wlał łyżek wytrawnego wina do moich ust. - Powiedz, że jest wyśmienity.

Przełknęłam.

- Jest. - Szampan naprawdę był wyśmienity.

- Pozwól, że dam ci jeszcze trochę. - Znow przysunął mi kieliszek do ust i pociągnęłam drugi łyk.

- Powiedz mi, co jeszcze działałoby się w pokoju? - poprosiłam.

- Karmiłbym cię smakołykami. Kawiozem. Czekoladą. Truskawkami umoczonymi w kremie. Tym, na co miałabyś ochotę.

- Czekolada - powiedziałam, pamiętając ten fragment książki. Cleo zawsze wybierała czekoladę.

Uśmiechnął się.

Przy tamtym stoliku byłam dwiema osobami. Jedna bawiła się w uwodzenie starszego pana, któremu zależało chyba wyłącznie na sprawianiu kobiecie przyjemności, a druga była psychiatrą usiłującym zwracać uwagę na wszelkie niuanse zachowania tego mężczyzny.

- A potem? - zapytałam.

- Poprosiłbym cię, żebyś rozchyliła dla mnie bluzkę, którą masz na sobie.

Cleo napisała, że to było jedyne, czego chciał. Żeby rozchyliła bluzkę i pozwoliła mu popatrzeć na bieliznę. Napisała, że nigdy nie miała nic przeciwko temu. Światła w pokoju były przygaszone. Nawet nie musiała się rozbierać do naga.

- A później bym cię poprosił, żebyś położyła się na łóżku. Na pieniądzach.

Przypomniałam sobie, jak Noah opisywał mi banknoty z miejsc zbrodni. Pięćdziesiątki zawsze przesiąknięte krwią. Wzdrygnęłam się.

A jeśli wszyscy się mylą i zaginięcie Cleo ma jednak związek z zamordowanymi prostytutkami? Czy ten znany z działalności dobroczynnej mężczyzna mógł popełnić tak odrażające zbrodnie?

Nie mogłam sobie tego wyobrazić.

Ale czy był zdolny zrobić coś Cleo, by powstrzymać ją przed wydaniem książki i ujawnieniem jego sekretu, który tak bardzo starał się chronić, że grubo przepłacał jej usługi?

Być może.

Sekrety drogo kosztują.

A zachowanie ich bywa warte ludzkiego życia.

- Wtedy musiałybyś zamknąć oczy.

- Nie wiem, czy mogłabym to zrobić.

- Musiałabyś. Zamknąć oczy i powiedzieć mi, jak bardzo lubisz pieniądze. Powiedz mi, co z nimi zrobisz. Ile przyjemności ci sprawia. Muszę wiedzieć, że potrafię ci sprawić przyjemność. - Brnął w swoją fantazję. Mimo że siedzieliśmy w klubie, zaczynał sobie wyobrażać, że naprawdę jesteśmy w pokoju. - Gdybym dał ci te wszystkie pieniądze, co byś z nimi zrobiła? - szeptał niskim i niecierpliwym głosem, niemal zdesperowanym.

- Nie wiem... - Zawahałam się, nie wiedząc, co powiedzieć. I nagle pomyślałam, że powinnam zrobić to, co poprzednio, czyli trzymać się prawdy.

I tak on mógłby pomyśleć, że to kłamstwo. Liczyło się tylko to, by go zaspokajać, aż pograży się jeszcze głębiej w swym pornograficznym urojeniu, aż straci czujność i będę mogła spojrzeć mu prosto w twarz, prosto w oczy, i zadać mu pytanie, z którym tu przyszedłam, i obserwować jego reakcję.

- Nieważne, co z nimi zrobić. Mnie radość sprawia fakt, że twoim zdaniem jestem aż tyle warta. Chodzi o to, że może cię podniecać dawanie mi pieniędzy. To jest dla mnie niezwykle - że mogę być na tyle atrakcyjna, na tyle pożądana, że chciałbyś mi aż tyle dać.

Wahałam się wystarczająco długo, by wsłuchać się w jego oddech, który był teraz lekko zdyszany.

- Nigdy nie byłam dla nikogo warta pięć tysięcy dolarów - ciągnęłam. - I za to jestem ci naprawdę wdzięczna. To sprawia mi przyjemność.

- Mogłabyś się dotknąć? Tylko tutaj, na szyi? - Wskazał miejsce pod moim podbródkiem.

Zdawało się to całkiem niewinne, toteż nieśmiało położyłam palce wysoko na szyi. Znałam ten scenariusz - Midas chciał tylko podniety.

I byłam w stanie wyświadczyć mu tę przysługę, jeśli miało mi to pomóc go rozgryźć.

Wodziłam dłonią po szyi, tam i z powrotem, nie zbliżając się nawet do piersi. Fakt, że ktoś czerpał przyjemność z samego patrzenia na mnie, że podniecałam mężczyznę ledwie odrobiną gry wstępnej, że niemal zaczęłam się dobrze czuć w tej amatorskiej roli, był ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam. Z jego ust wymknęło się ciche, lekko zachrypnięte:

- Och...

- Co jeszcze byś mi dał oprócz pieniędzy? - zapytałam, wykorzystując jego rozkojarzenie, żeby zastawić swoje sidła. - Zadałbyś mi ból na dokładkę do całych tych pieniędzy, gdyby sprawiły mi radość? Skrzywdziłbyś mnie?

Wyglądał na zaskoczonego.

- Czy bym się skrzywdził?

- Tak. Nie lubisz sprawiać bólu razem z tą przyjemnością?

Potrząsała głową.

- Nie. Nigdy tego nie zrobiłem. - Wydawał się przerażony choćby taką myślą.

Blefował czy mówił serio? Nie mrugał nerwowo oczami, tętnica na szyi nie pulsowała mu gwałtownie. Została mi tylko chwila czasu.

- Gdzie jest Cleo? Powiedz mi.

- Cleo? Nie mam pojęcia. Dlaczego mnie o to pytasz?

Widziałam to w jego oczach. Był zdezorientowany i mówił prawdę. A mnie było go nawet trochę żal, czułam się winna, że wprawiłam go w ten erotyczny stan tylko po to, by brutalnie go z niego wyrwać swoimi pytaniami.

- Ja chcę tylko sprawiać przyjemność... - wyszeptał niemal płaczącym tonem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Następnego popołudnia byłam umówiona z Eliaszem Beecherem w japońskiej restauracji niedaleko instytutu. Kiedy przyszedłam, sączył sake i wyglądał na jeszcze bardziej udręczonego niż przy poprzednim spotkaniu.

W sali panowała cisza, a stolik w rogu, który wybrał, dawał iluzję prywatności.

- Czuję się winny, nawet kiedy próbuję jeść - powiedział, gdy kelner przyniósł zamówione dania.

- Ale Cleo to nie pomoże, jeśli się pan rozchoruje. Czy pan w ogóle spał?

- Zaspiałam bez problemu. Śpię jakieś dwie godziny i nagle się budzę. Leżę, wyobrażam sobie... Och, nawet nie mogę pani powiedzieć, jakie rzeczy zacząłem sobie wyobrażać. Tu żyje tyle odrażających typów, zdolnych popełnić tak straszne, chore rzeczy, że ja...

Jego udręczone spojrzenie, bladość twarzy, sposób, w jaki mówił, zaledwie ton wyżej od szeptu, wszystko to bardzo mnie poruszyło. Wyciągnęłam rękę i przykryłam jego dłoń.

Spojrzał na moją rękę, jakby to był jakiś obcy przedmiot, którego nigdy wcześniej nie widział. Ten dotyk wydał się dziwny również mnie. Elias był kimś pomiędzy pacjentem a współnikiem.

- Jesteśmy z tym całkiem sami. Tylko ja i pani szukamy Cleo - zauważył.

- Gil też jej szuka.

Uniósł brwi, na moment jego miękkie spojrzenie zhardziało.

- Gil? - powtórzył z pogardliwą nutą, jakiej dotąd u niego nie słyszałam. - Nie ufam mu, Morgan. Jest tak samo podejrzany jak oni wszyscy. Ta książka mogłaby zniszczyć jego biznes z dnia na dzień.

- Wiem - odrzekłam, a potem powtórzyłam mu naszą rozmowę.

- Chyba mu pani nie wierzy, że nie miał pojęcia o Cleo i o mnie?
- spytał, kiedy skończyłam.

- Sprawiał wrażenie, że nie wie.

- Ale jeśli mu powiedziała, jeśli w końcu mu powie- działa, to mógł wpaść w szal. Widziała pani ten film... z Richardem Gere i Diane Ladd, „Niewierna”? Kiedy ten łagodny, czuły mężczyzna dowiaduje się o zdradzie swojej żony, nagle staje się zdolny do morderstwa. - Elias bawił się pałeczkami, pocierając końcówkami jedną o drugą, jakby tymi cienkimi drewnianymi patyczkami chciał wykrzesać iskry. - A w innym takim filmie...

Poniosło go i zaczął brnąć w listę filmów i książek, które zilustrowałyby jego punkt widzenia. Musiałam mu przerwać.

- Elias?

Patrzył na mnie jeszcze przez moment zagubiony, aż w końcu oprzytomniał.

- Musi mi pani pomóc. Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tych wszystkich facetach. - Zawiesił głos. - Spotyka się pani z nimi, tak?

- Tak, poznałam dwóch, i na razie nie sędzę, żeby któryś z nich był zdolny skrzywdzić Cleo.

- Więc musi pani wy badać następnych dwóch. A potem następnych dwóch.

- Wybrałam tylko czterech, którzy mieli poważne motywy... - Zawahałam się. Coś mnie powstrzymywało przed wspomnieniem o piątym mężczyźnie.

- Ale jest jeszcze coś. O co chodzi?

Nie po raz pierwszy śledził tok moich myśli.

- Cleo była bardzo dokładna w opisach. Wiele rzeczy się zgadza, ale zauważyłam u każdego z tych mężczyzn coś, o czym ona nie wspomniała. Tych szczegółów użyła do scharakteryzowania piątego mężczyzny. To tak, jakby on był zlepkiem ich wszystkich.

- Ale to nie powinno mieć znaczenia, prawda? Nadal pani wie, że jest czterech mężczyzn, którzy mieli motyw, którzy zostaliby absolutnie zrujnowani, w ten czy inny sposób, gdyby ta książka została wydana?

Przyszła kelnerka z lśniącymi sushi i sushimi na talerzach z laki. Podczas gdy stawiała je przed nami i nalewała sos sojowy do porcelanowych miseczek, oboje w milczeniu ją obserwowaliśmy.

Elias wrócił do pocierania pałeczek jednej o drugą, aż w końcu ten dźwięk, niczym skrobanie paznokciem po szkolnej tablicy, przyprawił mnie o ściskoszczyk.

Gdy kobieta odeszła, rozłożyłam swoje pałeczki, podniosłam kawałek tuńczyka, zanurzyłam w sosie sojowym i wzięłam go do ust. Od kremu wasabi z japońskiego zielonego chrzanu czułam ogień w gardle i łzawiły mi oczy, ale to był dobry rodzaj ognia.

Elias długo zanurzał nadziewane ogórkiem sushi w swoim sosie sojowym, aż w końcu roladka się rozpadła, bo ziarna ryżu straciły kleistość.

- Ta sprawa niemal stoi w miejscu. Wiem, że robi pani, co może, ale jednak to okropnie się wlecze. Dlaczego policja jest bierna? Dlaczego oni nie pomogą?

Pokręciłam głową.

- Nie mają jeszcze żadnego dowodu, żeby się włączyć.

- Zdaje sobie pani sprawę, jacy oni są nieudolni? Jak chrzanią robotę? Poszedłem do nich i błagałem o pomoc, a oni odwrócili się tyłkiem, potraktowali mnie jak podejrzanego, i dalej nic nie robią,

żeby ją znaleźć. Właśnie dlatego zostałem radcą prawnym. Mieć do czynienia z siłami porządku publicznego na poziomie policji to zbyt frustrujące.

Wziął następny kawałek sushi, chciał zamoczyć go w sosie, ale zauważył, że w miseczce jest pełno ryżu, więc odłożył go z powrotem na swój talerz.

- Nie znalazła pani niczego, co mogłoby ich przekonać, żeby przestali skupiać cały wysiłek na mnie zamiast na kimś, kto ją naprawdę porwał? Swoją drogą, po co ja miałbym to zrobić? Byliśmy razem, ona jest we mnie zakochana. Dlaczego nie skojarzyli jej zniknięcia z tym Mordercą Magdalenek? Za każdym razem, kiedy o to pytam, ten detektyw się zachowuje, jakbym próbował wyprowadzić go w pole. „Najpierw musimy coś mieć, panie Beecher, wystarczy jeden trop i pójdziemy za nim. Tymczasem nie ma żadnych poszlak”.

Parodiował nowoorleański akcent detektywa Jordaina. Już chciałam go poprosić, by tego nie robił, ale właściwie dlaczego mi przeszkadzało, że Elias naśmiewał się ze sposobu mówienia Noaha?

- Gdybym wierzył, że to ich skłoni do poprowadzenia śledztwa we właściwym kierunku, przyznałbym się do wszystkiego - ciągnął Elias z coraz większą rozpaczą w oczach. - Że zabiłem tamte trzy kobiety. Powiedziałbym, że odpowiadam za zamordowanie ich wszystkich i że Cleo jest częścią tego planu. Może wtedy ruszyliby tyłek i zajęli się tą sprawą? Musieliby ją znaleźć. A potem oddaliby ją mnie, a pani by doprowadziła do końca terapię, i ona poczułaby się lepiej. Byłaby zdrowa, odzyskałaby spokój ducha. Nareszcie święty spokój.

Odsunął miseczkę z sosem sojowym i nie zjedzonym kawałkiem sushi. Nawet nie tknął swego dania.

Mówił jak katarynka, perorował, coraz szybciej wyrzucane słowa wiązały się w potok myśli.

- Gdyby poświęciła pani jej więcej czasu, gdyby miała pani jeszcze dwa, trzy tygodnie, to co by pani zrobiła, żeby jej pomóc? Co by jej pani powiedziała? Umiałyby pani rozwiązać jej problemy? Umiałyby pani sprawić, żeby czuła się lepsza? Jak by pani to zrobiła?

- Ja nie rozwiązuję problemów.

- Owszem, robi to pani. Dlatego do pani chodziła.

- Ja tylko pomagam ludziom w rozwiązywaniu samodzielnie tych problemów.

- Więc co by pani powiedziała, żeby pomóc jej rozwiązać te problemy?

- Nie mogę o tym rozmawiać z panem - odrzekłam najłagodniej, jak umiałam.

- Może pani. Ja ją kocham. Wie pani, jak ją kocham. Może pani ze mną rozmawiać swobodniej niż z kimkolwiek innym. Myśli pani, że naprawdę mogłaby pani jej pomóc? Naprawdę?

Skinęłam głową.

- Jak?

- Skłaniając ją po prostu do mówienia o tym, co ją spotkało...

Urwałam. Uśpił moją czujność tak dalece, że omal nie zaczęłam rozmawiać o swojej pacjentce, a tego robić mi nie wolno. I nie zamierzałam złamać tej zasady. Nawet dla niego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Wizyta w komisariacie policji, w którym pracował Noah, nie była czymś, co mi się marzyło, ale obiecałam, że się z nim spotkam i rzucę okiem na wszystko, co on i jego ekipa dotąd zebrali.

Znalazłam detektywa Jordaina w dużym pokoju z ogromną korkową ścianą obwieszoną zdjęciami ofiar i dowodów rzeczowych. Na stole, który zajmował środek pomieszczenia, leżały stosy papierów, kaset wideo i mnóstwo innych fotografii.

Kiedy weszłam, Noah grzebał na stojąco w stercie wydruków komputerowych. Na dźwięk moich kroków odwrócił się i nawet nie próbował ukryć uśmiechu.

- Naprawdę milej jest zobaczyć ciebie niż jakiegoś policjanta z nową porcją złych wiadomości.

- Ja też mogłabym mieć złe wiadomości.

- Pochodzące od ciebie nie byłyby aż tak złe. - Wysunął dwa krzesła. - Usiądź. Napijesz się kawy? Jest świeża, sam parzyłem. Nie mam wyjścia, większość gliniarzy robi fatalną kawę.

- Jasne, z przyjemnością.

Nalał kawy do kubka. Spytałam go o śledztwo i słuchając relacji o niewielkich postępach, jakich dokonali, sączyłam mocny, gorzki, ale znakomity napój.

Noah miał na sobie koszulę w niebiesko-czarne paski, która jeszcze bardziej podkreślała wyrazistość jego błękitnych oczu. Ale cienie pod tymi oczami były dziś głębsze niż w niedzielę wieczorem.

Nikt z nas nie sypiał dobrze. Ani Gil, ani Noah, ani ja. To mi podsunęło pewną myśl. Człowiek, który ma na sumieniu te zbrodnie, prawdopodobnie też przestał dobrze sypiać. Musi być na obłąkańczym

haju. Raczej nie cieszy się spokojem ducha. Powiedziałam o tym Noahowi, a on potraktował to z uwagą.

- Ale nie sądzę, żeby te morderstwa go podniecały. Jemu nie chodzi o sławę. Gdyby tak było, bardziej by się starał zainteresować prasę. Uprawiałby jakieś gierki, robił wszystko, żeby ciała zostały znalezione wcześniej. Dbałby o rozgłos, gdyby to był ten przypadek. Tutaj zdecydowanie nie o to chodzi. On ma jakąś autentyczną potrzebę zabijania tych kobiet.

- Możesz to rozwinąć? Czego on od nich chce?

- Zwabia prostytutki i przebiera je za zakonnice. Zabija kobiety i charakteryzuje je na świątobliwe postaci. Musi być w tym scenariuszu jakiś osobisty motyw.

- Nadal nie sądzisz, że jest księdzem?

- Nie. Ale myślę, że jest religijny.

- Tu się zgadzamy. Ma wszystkie właściwe rekwizyty. Hostie, olejki do namaszczenia, wino. Nie tylko zna się na sakramentach, ale wie, jak się ich udziela, i potrafi zdobyć akcesoria. Wszystko, czym się posługuje, jest autentyczne.

- Chcesz powiedzieć, że nie używa okrągłych wafelków marki Necco?

Noah pokręcił głową i wstał, by dolać sobie kawy.

- Chcesz jeszcze trochę?

- Nie, dziękuję.

Usiadł i zaczął czegoś szukać w stercie papierów.

Wypadło jedno zdjęcie. Pośmiertna fotografia kobiety - setki maleńkich nakłuć na całym ciele. Żałowałam, że to zobaczyłam. Wiedziałam, że ten widok będzie mnie w nocy straszyć.

- Czy myślisz, że te kobiety są zabijane w ofierze? - spytał, widząc, jak się wpatruję, wgapiam w to zdjęcie.

- Pytasz, czy on, mordując te kobiety, składa pewnego rodzaju ofiarę Bogu?

Kiwnął głową.

- Nie, nie wydaje mi się. A tobie?

- No cóż, w katolickiej doktrynie nie ma niczego, co by do tego pasowało.

- W tym, co on robi, działa raczej mechanizm transformacji. Wygląda na to, że on próbuje przemienić te kobiety w święte.

- Jakaś chybiona próba zbawienia ich? - zapytał Noah.

- Coś takiego. - Wzruszyłam ramionami. - Macie jakiś dowód na to, że wykorzystał je seksualnie?

- Nie. Ani zanim je zabił, ani potem.

Pokiwałam głową.

- Ta sprawa nie daje ci spokoju, prawda?

- Tak jak wszystkie inne. Ale ta jest jedną z najgorszych.

- Trzeba być z żelaza, żeby zachować dystans.

- Myślałem, że jestem z żelaza, że potrafię zachować zimną krew.

Przysunęłam się bliżej. Noah oderwał wzrok od zdjęć. Po raz drugi żadne z nas się nie odezwało. Patrzyliśmy na siebie. Pośród tych smutnych, strasznych zdjęć i dowodów szaleństwa jakiegoś mężczyzny był inny mężczyzna, zdrowy na umyśle i wrażliwy.

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedziałam miękkiem głosem.

- Czy to mi pomoże w tej sytuacji?

Jeszcze jeden dwuznaczny komentarz. Nie do końca wiedziałam, czy odnosił się do śledztwa, czy do iskrzenia między nami. Ale dopóki nie byłam pewna, że Noah czuje to co ja, nie mogłam się przyznać do moich uczuć. Nie dlatego, że nie chciałam, ale dlatego, że nie wiedziałam, jak to zrobić. Bo co miałabym mu powiedzieć? W gabinecie zrobienie pierwszego kroku było w moim stylu, ale nie w

stosunkach z mężczyznami. Od ponad czternastu lat nie miałam żadnych romantycznych doświadczeń. Nie mogłam nawet powiedzieć, że wyszłam z wprawy; ja byłam w tym kompletnie zielona.

Spuściłam wzrok i podniosłam do ust filiżankę.

- Wiesz, że nie powinieneś pić tak dużo kawy. Jest bardzo mocna. Nic dziwnego, że cierpisz na bezsenność.

- Skąd wiesz, że cierpię na bezsenność? Czy to znowu zadziałał twój talent psychologa? Co takiego powiedziałem, co mnie zdradziło?

- Nic. I nie jest to moja umiejętność, tylko twoje podkrążone oczy.

- Kładę się do łóżka, ale te wszystkie pytania bez odpowiedzi nie dają mi spokoju.

- Mnie też się zdarzają pacjenci, przez których zarywam noce. Człowiek walczy w myślach fakty, przypuszczenia i domysły, w kółko i na okrągło to samo, w nadziei, że w końcu odkryje schemat. I to jest to, czego nam trzeba. Zaczynu jednego solidnego pomysłu, jak to wszystko łączy się w całość.

- Morgan, co może powstrzymać tego szaleńca?

- Albo znajdzie magię, której szuka, co jest mało prawdopodobne, albo będziesz musiał go powstrzymać.

Z wyrazu twarzy Noaha można było wywnioskować, że to pierwsze uważa za bardziej realne.

- Muszę cię o coś zapytać - oznajmił. Skinęłam głową.

- Chodzi o klub cygarowy Diabło...

- Nie będę rozmawiała o Cleo - przerwałam mu.

- Nie mam zamiaru cię o to prosić. Chodzi mi o ciebie. Chcę wiedzieć, po co tam chodzisz. Morgan, co ty wyrabiasz?

Skąd wie? Zrozumiałam w sekundę. To stąd miał dokładną informację, kiedy poprzedniego wieczoru wróciłam do domu.

- Kazaleś mnie śledzić?

- Dla twojego własnego bezpieczeństwa.

- Konsultacja skończona, detektywie. - Wstałam i bez jednego słowa więcej ruszyłam do drzwi.

- Proszę, zostań. Nie interpretuj tego błędnie. Martwię się o ciebie. Jeśli między tymi dwiema sprawami jest jakiś związek, mogłaś wdepnąć w coś o wiele groźniejszego, niż sobie wyobrażasz. Kazałem tylko pilnować, żeby ci się nic nie stało. To wszystko.

Odwrociłam się do niego.

- Nie, to nie wszystko. Jesteś na to za bystry. Myślisz, że jest jakiś związek, prawda? Ale mi o tym nie mówisz. Traktujesz mnie jak nowicjuszkę, która wymaga specjalnego prowadzenia.

- Traktuję cię jak kogoś, kto może być zagrożony. Nie przeżyłbym, gdyby coś ci się stało. Tego wszystkiego, co się dzieje, jest aż nadto.

- Cleo jest moją pacjentką. To wszystko bardziej obchodzi mnie niż kogokolwiek z całej pieprzonej policji nowojorskiej. Ona nie jest jakimś statystycznym przypadkiem, jakąś kolejną zaginioną osobą. To jest kobieta, naprzeciwko której siedziałam całymi godzinami w swoim gabinecie i słuchałam, jak otwiera się przede mną, jak mówi o swoich sekretach, marzeniach i problemach. Widziałam, jak ona płacze, Noah. Widziałam, jak wykręca palce. To, co robię, żeby pomóc jej chłopakowi ją znaleźć, jest moją sprawą i nie potrzebuję do tego żadnych pouczeń.

- Przepraszam.

Nie odezwałam się. Ostatnią rzeczą, jakiej się po nim spodziewałam, były szczerze przeprosiny. Cholera, w ogóle nie oczekiwałam żadnych przeprosin. Ale mimo całego zaskoczenia było w tym coś, co nie zdziwiło mnie aż tak bardzo.

- Możesz usiąść? Proszę.

- Zdejmiesz swoich tajniaków?

- Nie. Ja ciebie chronię, Morgan. Nie szpieguję.
- Więc nie pytaj mnie, po co byłam w klubie.
- Nie będę pytał, ale wiesz, że powinnaś mi powiedzieć. Nie jestem psychoanalitykiem, ale też mam oczy, a ty wyglądasz na tak samo zmęczoną jak ja. I tak samo przejętą. I sprawiasz wrażenie, jakbyś czuła się trochę winna. Ale teraz odłóżmy to na bok, dobrze?

Kiwnęłam głową, nie chcąc za dużo myśleć o tym, co powiedział ani o przenikliwości, jaką się wykazał, ani o tym, jak odebrałam jego troskę. Nie, to nie była pora na myślenie ani o jednym, ani o drugim.

- Jest jedna rzecz, którą możesz dla mnie zrobić - powiedziałam.

- Dobrze.

- Cleo nosiła na szyi maleńki brylantowy krzyżyk. Normalnie to nie byłaby rzecz łatwa do wytropienia, tyle że ten krzyżyk był zrobiony z różowych brylantów, które są niesamowicie drogie. Nie jestem pewna... może to strzał w ciemno... ale tu chodzi o krzyżyk, Noah. Może mógłbyś się dowiedzieć, w których sklepach sprzedają krzyżyki z różowego brylantu. Może mógłbyś się dowiedzieć, kto taki kupił. Może to jest jakiś trop...

Wyglądało na to, że przynajmniej na moment udało mi się oderwać jego uwagę ode mnie. I moją od niego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

- Rozumiesz, że to grzech? - spytał młodą kobietę, której brązowe oczy śledziły każdy jego ruch, bez sekundy dekoncentracji. - Rozumiesz, że oczyszczam cię z twoich grzechów?

Nie potrzebował odpowiedzi. Wiedział. Czuł, jak spływa z niej szlam i brud.

- Czujesz, że zrzucasz z siebie grzechy jak martwą skórę?

Oczywiście, że była przerażona, ale wiedział, że gdy zdoła przemoć strach, będzie mu wdzięczna za jego posługę. Bo znów będzie czysta.

- Nie musisz się bać. Nie robię tego, żeby cię skrzywdzić.

Ale mimo tych słów, strach w jej oczach nie zelżał.

Odsunął się od wanny, patrząc na kobietę siedzącą nago w płytkiej wodzie. Miał pot na czole i na górnej wardze. Pod pachami. W zagięciu kolan. On też był rozebrany do naga. Żeby nie zamoczyć i nie pognieść garnituru.

Gorąca, bardzo gorąca woda zamieniła marmurową łazienkę w saunę, ale nie regulował jej temperatury. Musi być aż tak gorąca. Jeśli wrzątek może się do czegoś przydać, to właśnie do tego. Trzeba zniszczyć bakterie, zabić żywy brud.

Taśma klejąca na jej ustach ściągnęła skórę w nienaturalny grymas. Przykro mu było, że musiał ją kneblować w ten sposób, ale nie miał powodu jej ufać. Jej prosty umysł nie potrafił się wznieść do poziomu jego umysłu. Choćby jej to jak najstaranniej wyjaśniał, i tak nie byłaby w stanie zrozumieć, że to dla jej własnego dobra.

Dla jej własnego dobra.

Dla jej własnej chwały.

Skórę miała teraz jasnoczerwoną, pot spływał jej po twarzy. Te maleńkie kropelki wody wyglądały jak przejrzyste perły.

Ona zasługuje na to, by wyglądać pięknie. Oddaje się za wielką sprawę. Jej ofiara ma pomóc innym kobietom. Szeptał o tym do niej, ale jej nic nie uspokajało.

Dość już starań, by zrozumiała i doceniła, co dla niej robi. Pora na kolejny krok. Jeszcze tylko kilka minut rytualnej kąpieli: chrzest na znak jej oczyszczenia, i wtedy będzie gotów. Poczł przyplw adrenaliny w żyłach. Wiedział, że tym razem to zadziała. Nigdy jeszcze nie był tak bliski celu.

Woda pachniała luksusowym mydłem, które hotel zapewniał wszystkim gościom. Wdychał jego słodycz, szorując myjką szyję kobiety. W dół ku plecom, wokół ramion, pod piersiami.

- Prawie zrobione - stwierdził. - Chyba już jesteś czysta.

Ale czy rzeczywiście była czysta? Skąd mógł wiedzieć? To nie powierzchownemu brudowi na skórze wydał wojnę. To coś, plugastwo, było w niej głęboko w środku. I był pewien, że to czuje: cuchnęła brudem, który zalegał w jej wnętrzu, zostawiony przez mężczyzn, z którymi obcowała.

Tak, potrzebowała tego. Tego oczyszczenia. Wiedział, że mu za nie podziękuje. Gdyby jeszcze wiedział, w jakim momencie może uznać, że jest dostatecznie czysta.

Rozwazał to przez następne dziesięć minut, a potem wyciągnął ją z wanny, położył na podłodze i gapił się na jej nagie ciało. Na długą szyję, pełne piersi i sutki w kolorze przekwitłych róż.

Była taka piękna, została obdarowana tak hojnie, a jednak hańbiła i bezceściła swoje ciało. Dostała je w darze od Boga, a kupczyła nim i rujnowała samą siebie.

Zaczął ją golić. Ostrożnie i z należytą skrupulatnością. Nie wzbraniał się przed przelaniem krwi, ale we właściwy sposób i we właściwym czasie. A ten czas jeszcze nie nadszedł.

Jej przerażony wzrok zatrzymał się na erekcji między jego nogami.

- To tylko chwilowa aberracja - szepnął kojącym głosem. - Nie wykorzystam cię. Moim celem nie jest gwałcić cię dalej, lecz powstrzymać się i wykonać zadanie.

W ten sposób się poświęcał. Podobnie jak poświęcić się miała ona.

Dmuchał na jej wzgórek łonowy i cienkie kręcone włoski rozsypały się po podłodze, zostawiając trójwymiarowy tatuaż. Najlepszy jak do tej pory. Idealny krzyż. Jezus umarł za nasze grzechy, ale zostawił na ziemi tylu grzeszników.

Dotąd nie osiągnął swego celu, nie wynalazł jeszcze formuły. Nie szukał jednak jakiegś mitologicznej alchemii. Był pewien, że transformacja, o jakiej myślał, jest możliwa. Wiedział, gdzie popełnił błąd. Aż do dzisiejszej nocy nie oczyszczał kobiet we właściwy sposób.

Zapomniał, jak Chrystus obmywał stopy grzesznikom. Jak mógł zapomnieć o takiej rzeczy? To był najważniejszy katolicki rytuał. Pierwszy. Polanie dziecka wodą i namaszczenie jego czoła: chrzest.

Niewinnemu dziecku wystarczy cienka strużka wody, ale kobietę, która rozchyłała nogi dla setek mężczyzn, która brała ich do ust, rąk, do pochwy, trzeba oczyścić naprawdę bardzo starannie.

To właśnie to przeoczył. Ten jeden jedyny krok, o którym powinien był pamiętać, jeden jedyny element tego wszystkiego, o którym zapomniał. Myśląc o swojej porażce, stracił wzwód. Ile zmarnował nocy? Ile wydał pieniędzy? Wszystko przez to, że zapomniał o tym jednym kroku.

Nie, nie miał zamiaru się łąać. Nie teraz. Nie w chwili, kiedy jest tak blisko.

Para w łazience powoli się rozrzedzała, skroplona osiadała na lustrze i kafelkach. Światło wciąż było lekko rozproszone. Niebo na ziemi.

Tak. Wiedział, że tej nocy się uda. Wyciągnie wnioski z lekcji, pozna sekret, a potem zastosuje go na tej, która najbardziej na to zasługuje.

Teraz, kiedy jest czysta, możesz ją przygotować na resztę.

To, co słyszał w swojej głowie, nie było jego własnym głosem, instruującym go krok po kroku. To był głos święty, głęboki, wzniosły. Głos Boga Ojca. Mógł zamknąć oczy i zobaczyć swego zbawiciela, z aureolą wokół głowy, z otwartymi ramionami.

Jeśli jest czysta, jeśli pozbawiłeś ją skazy na duszy, to nie umrze, zostanie ocalona.

Wiedział, że ta będzie pierwszą, która przetrwa traumę. Jej ocalenie doprowadzi do ocalenia innych. Był tego pewien. I to go podniecało.

Zobaczył się w lustrze. Nagi mężczyzna ociekający potem, z włosami skręconymi od gorąca, z uniesionymi ramionami, trzymający wysoko nad głową lśniący złoty

przedmiot, który błyszczał jak słońce na bezchmurnym niebie. Opuścił kielich mszalny. Ostrożnie, starannie. I nagle szybko, z całej siły.

Jej oczy zrobiły się jeszcze większe. Zobaczył w nich własne odbicie, i złotego kielicha. Blask. On błyszczał w jej oczach. Wiedział, że ją ocali.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Okazało się, że nie mam wystarczającej ilości ubrań na wszystkie wieczory, które miałam spędzić w klubie Diabło. Przed trzecią wyprawą do mrocznego i zadymionego lokalu przejrzałam całą szafę, starając się skompletować coś sensownego.

Mogłam ponownie włożyć czarną krótką spódnicę i szpilki od Jimmy'ego Choo, które odsłaniały palce bardziej niż wszystkie inne buty, jakie miałam w życiu. Ale w bluzce z odkrytymi ramionami od Donny Karan pokazałam się już dwukrotnie. Fakt, że to było najlepsze, co mogłam zrobić, byłby zabawny, gdyby nie smutna świadomość, jak mało seksownie się ubierałam.

Przesunęłam wszystkie wieszaki na prawo, jak się robi w sklepie, żeby obejrzeć przecenione ciuchy, nie chcąc niczego przeoczyć. Przy okazji zrobiłam pełną „inwentaryzację” swojej garderoby, i doliczyłam się kilkunastu białych, jasnoniebieskich, kremowych i czarnych jedwabnych, szytych na miarę bluzek, które nosiłam na okrągło do gabardynowych, lnianych albo wełnianych spodni w kolorze czarnym, szarym albo khaki. Żadnego obcisłego topu bez ramiączek ze szmaragdowego jedwabiu typu szantung, żadnej kobaltowoniebieskiej sukni z głębokim dekoltem. Żadnej przezroczystej jak mgiełka, złocistej bluzki.

W mojej szafie nie było żadnych uwodzicielskich rekwizytów.

Codziennie od trzynastu lat miałam do czynienia z kobietami, które były nieszczęśliwe i sfrustrowane świadomością, że nie spełniają czyichś oczekiwań. Widziałam, jak wpływa na nie presja bycia atrakcyjną i seksowną.

Nie ma mowy, żebyśmy mogli konkurować z tym, co widzimy za każdym razem, kiedy otwieramy kolorowe pismo, włączamy telewizję

albo oglądamy film. Media nas uczą - aczkolwiek podprogowo - że inni ludzie lepiej wyglądają, odnoszą większe sukcesy, mają więcej seksu, lepszy seks, są bardziej zadowoleni ze swojego wizerunku seksualnego, że rozwiązali swe problemy.

Mamy poczucie niższości bez względu na to, ile osiągnęliśmy i jak dobrze się czujemy we własnej skórze czy w związku z naszym partnerem. W świecie, w którym liczy się więcej i więcej, powszechne jest stale wrażenie niedosytu.

I teraz miałam się przebrać do roli kobiety, która nabywa udziały w świecie tych sztucznych wartości.

Z niesmakiem przejrzałam resztę szafy, znajdując w końcu żakiet od Armaniego, który zdobyłam kiedyś na wyprzedaży - krótki i tylko z dwoma guzikami. Z żadną z moich grzecznych bluzek nie tworzyłyby śmiałej kreacji, ale kiedy go włożyłam na czarny koronkowy stanik, który kupiłam w sklepie z luksusową bielizną, wyglądał doskonale. Dziwne zestawienie klasycznego kroju z nadmiarem golizny powinno pasować do mojej nowej roli.

Rozebrałam się, spakowałam kostium, włożyłam swoje zwykłe ubranie do pracy, chwyciłam teczkę i udałam się do instytutu.

W drodze myślałam o Uzdrawiaczu, jedynym mężczyźnie, którego Gil nie był w stanie skojarzyć z żadnym z klientów. Zastanawiałam się nad mężczyzną, który zdaniem Cleo miał obsesję na punkcie ratowania kobiet, i który ją traktował inaczej niż wszystkie inne. Pomyślałam też o dziwnym zbiegu okoliczności, że dwie z najbardziej wymownych rzeczy w jego charakterystyce zauważyłam u Midasa i Judasza.

Uzdrawiacz miał taki sam spinacz do pieniędzy, jaki wyjął przy mnie z portfela Judasz.

I tak jak Midas, Uzdrawiacz pił tylko szampana. I tylko marki Cristal.

Co to mogło znaczyć? Że Uzdrawiacz nie jest realną postacią? Czy że Cleo tak zależało, aby nikt go nie rozpoznał, że kompletnie go zaszyfrowała, przypisując mu cechy i akcesoria innych ludzi?

W południe wpadła do mojego gabinetu Nina.

- Idziesz na spacer?

Miałam wrażenie, że minęły tygodnie od naszego ostatniego wspólnego wyjścia. Spór, który stoczyłyśmy na temat Cleo i mojej ewentualnej współpracy z policją, wciąż odciskał swe piętno na naszych relacjach. Nie lubiłam tego chłodu.

Zawsze bardzo ciężko znosiłam, kiedy była na mnie zła. Pracowałam kiedyś nad tym z terapeutą, ale to wciąż był jakiś problem. Nie mając od tak dawna matki, spragniona matczynego zainteresowania, nigdy nie buntowałam się jako nastolatka, zawsze starając się być grzeczną dziewczynką, przynajmniej w oczach Niny. I wcale nie chodzi mi tu o seks, narkotyki czy rock and rolla, a o to, by wytrwale stawiać czoło przeciwnościom losu, szczerze okazywać emocje i uczciwość, kiedy Nina zadawała mi pytanie, choćby było ono bardzo trudne.

Skinęłam głową.

- Dobrze. Chcę rozprostować nogi, no i musimy nadrobić zaległości.

Miesiąc wcześniej z przyjemnością bym jej towarzyszyła, teraz jednak zupełnie nie miałam ochoty na odpowiadanie na jej pytania. Jakikolwiek. Łamałam jakąś setkę zasad, robiłam rzeczy będące na granicy dopuszczalności pod względem etycznym.

Ale czy nie robiłam ich po to, by nie przekroczyć innej granicy? Tej najważniejszej? Zasady poufności relacji z pacjentem. To była świętość, to musiało być chronione.

Był cudowny czerwcowy dzień. Około dwudziestu stopni ciepła, lekki wietrzyk delikatnie nasycony ciekawą nowojorską mieszaniną

zapachu spalin samochodowych, luksusowych perfum dobrze ubranych i uczesanych kobiet zmierzających na lunch, i kwiatów w wiszących koszach, balkonowych skrzynkach i na ulicznych trawnikach.

- Madisona, Piąta czy park? Twój wybór - rzekła Nina.
- Park.
- Zawsze wybierasz park. Nie musiałam o to pytać, prawda?
- Nie, ale zawsze pytasz.
- Jak myślisz, dlaczego?

- Ryzyko zawodowe? Przywykłaś do pracy z pacjentami, do tego, że niczego nie zakładasz z góry, że masz świadomość, że jeśli nie zapytasz, możesz nie dowiedzieć się o jednym jedynym fakcie czy uczuciu, które mogłoby zmienić cały obraz i dostarczyć brakującego fragmentu.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i weszliśmy do Central Parku przez zoo. Wszędzie były dzieci z matkami. Wiele małuchów trzymało niebieskie, czerwone albo zielone baloniki, które unosiły się w niebo i kołysały na wietrze. Inne dzieciaki miały buzie umorusane musztardą z hot dogów albo czekoladowe wasy od lodów. Niemal czułam lepkie palce, kiedy przypominałam sobie małą Dulcie.

- Nieee! - Jakieś dziecko wrzasnęło przeraźliwie. Stało sztywno wyprostowane, patrząc w niebo, wskazując coś jednym paluszkiem. Łzy płynęły mu po twarzy. - Nieee!

Jasnoniebieski balonik frunął w górę, biały sznurek ciągnął się z tyłu, wznosił się ponad linię drzew, a potem coraz wyżej i wyżej ku chmurom.

Ile baloników odlatywało z tej części parku każdego dnia?

- Kelsey, nie płacz, możemy kupić drugi balonik. No chodź. Czerwony. Chcesz mieć teraz czerwony balonik? - pytała zirytowana matka.

- Niecee.

Otaczał nas zapach zoo, zwierzęcy i przenikliwy, bijący w nozdrza. Nina marszczyła nos, krzywiła się, ale ja to lubiłam i oddychałam głęboko.

Po wyjściu z zoo zapuściliśmy się w głąb parku, gdzie przytłaczały nas wielkie drzewa, ciężkie od liści. Dalej, u wylotu alei, na wietrze falowały rabaty ostróżek.

- Kiedyś uwielbiałaś baloniki, ale tylko zielone. Byłaś taka uparta. Nigdy czerwone, nigdy niebieskie. Jeśli nie mieli zielonych, nie chciałaś żadnego.

Roześmiałam się.

Nina zapuściła się we wspomnienia.

- Byłaś uparta w każdej sprawie. Kiedy twój ojciec i ja przyjechaliśmy, żeby cię zabrać, siedziałaś na brzegu łóżka matki, trzymałaś ją za rękę i opowiadałaś jakąś historyjkę. Ona była głęboko pogrążona w swoim narkotykowym śnie, ale ty wciąż starałaś się do niej dotrzeć. A kiedy usiłowaliśmy odciągnąć cię od niej, nie rozplakałaś się, nie krzyczałaś, nie kłóciłaś się. Po prostu trzymałaś się jej ręki i dalej do niej mówiłaś, próbując ją uratować swoim opowiadaniem.

Dawne uczucie straty odżyło we mnie z całą siłą, owładnęło mną, podobnie jak nagły powiew perfum może

owładnąć zmysłami. I przez sekundę znów czułam zapach perfum mojej matki - różano-cytrynowo-lawendowy - zapach wryty w pamięć. To były jedyne realne wspomnienia, jakie zostały mi po matce. Znałam ze zdjęć jej twarz, zachowałam jakieś strzępy obrazów i słów, ale one nigdy nie układały się w całość. Uśmiech, jej niebieskie oczy, szkliste i rozbiegane. Bałagan panujący w mieszkaniu w alei A. Kuchenny zlew, w którym zawsze piętrzyła się sterta brudnych naczyń. Jej piękna dłoń z długimi paznokciami pomalowanymi na

różowo, drżąca, kiedy sięgała po bursztynową buteleczkę z proszkami. Dotyk jej szczupłych ramion obejmujących moje plecy. Szept jej głosu: moja mała zagubiona dziewczynka.

Pamiętałam kryształowy flakonik z perfumami, który stał na jej toalecie, zawsze do połowy pełny, i sposób, w jaki każdego ranka obracała go ostrożnie do góry dnem i zwilżała palce, tylko tyle, by wetrzeć po kropelce w skórę za uszami, jej i moimi. To był jej ostatni luksus, ostatnia oznaka próżności. Bez względu na to, jak byliśmy splukane, jak marne posiłki udawało jej się przygotować dla nas obu, jedyną rzeczą, z której do końca nie zrezygnowała, były te francuskie perfumy.

Jedyną rzeczą, o której jeszcze bardziej nie chciałam rozmawiać niż o tym, w jaki sposób pomagam odnaleźć Cleo, był tamten rok, kiedy miałam osiem lat, kiedy wszystko się zmieniło i straciłam orientację.

- Morgan, wiesz, dlaczego odnalezienie Cleo tak wiele dla ciebie znaczy?

- Bo ona jest moją pacjentką. Bo jej pomagałam, ale nie pomogłam wystarczająco. Bo poniosłam porażkę. Bo nie umiem przegrywać.

- Nigdy nie zdarzyło ci się ponieść porażki z innym pacjentem? - Głos Niny zdradzał jej dwoistą postawę wobec mnie: lekarza i matki. Był dociekliwy, ale ciepły. Wścibski, ale troskliwy.

- Wiesz, że mi się zdarzyło.

- Więc dlaczego akurat ona? Dlaczego porywasz się na coś, co jest etycznie wątpliwe?

- Bo nikt inny tego za mnie nie robi.

- Ale ty zaczynasz wpadać w obsesję.

- Posłuchaj, pewna kobieta mi zaufała, tylko mnie. I oto jestem jedyną osobą, która ma coś, co może być kluczem do rozwiązania zagadki jej zaginięcia. Więc jak do diabła mogę stać z boku?

- Morgan, ty za bardzo potrzebujesz czuć się potrzebna.

Zatrzymałam się. Ona przeszła dwa kroki, zanim zorientowała się, że zostałam z tyłu, i wtedy też przystanęła, odwracając się z uśmiechem.

- Kiedyś mi to zrobiłaś, w Centrum Rockefellera, kiedy poszliśmy obejrzeć choinkę. Miałaś, ja wiem, trzynaście lat? Rozdzieliłyśmy się. Pamiętasz?

- Wiesz, że to nie fair. W jednej minucie grasz matkę, w następnej superwizora, członka rodziny, koleżankę, powiernicę. Więc nie tylko ja łamię zasady.

- Po prostu używam wszelkich dostępnych metod, ale to mi i tak nic nie da, prawda? Wciąż jesteś uparta jak osioł i nigdy cię nie przekonam.

- Och, czasami daję się przekonać, ale nie w każdej sprawie.

- Morgan, co ty wyprawiasz?

- Dlaczego myślisz, że coś „wyprawiam”?

- Znam cię. Cokolwiek to jest, chcę, żebyś przestała.

- Nie mogę, Nina. Jeśli to zrobię, jeśli się poddam, to...

Minęły nas biegiem trzy dziesięcioletnie na oko dziewczynki, krzycząc do siebie, śmiejąc się i piszcząc. Hałas był tak głośny, że zagłuszał rozmowę, ale jak tylko się oddaliły, Nina mi przerwała:

- Po prostu skończ z tym. Wycofaj się z tego, w co wdepnęłaś i pozwól, żeby policja wzięła się do roboty i postarała się ją znaleźć.

Uśmiechnęłam się i ujęłam ją pod rękę.

- Jasne, zostawię pacjentkę samą sobie. Nie tego mnie uczyłaś, dobrze wiesz. Więc w jakimś sensie mogłabyś powiedzieć, że tak naprawdę to twoja wina.

Nina jęknęła, a ja wybuchnęłam śmiechem.

- Och, Morgan, tylko ty tak potrafisz odwrócić kota ogonem, żeby zrzucić na mnie całą winę.

- Ja nie zrzucam na ciebie całej winy. To po prostu jest twoja wina.

Nagle spowaźniała.

- Przecież to, co robisz, jest śmiertelnie niebezpieczne.

- Pomaganie detektywowi Jordainowi?

- Spotykanie się z klientami Cleo.

- Nie mówiłam, że to robię.

- Mówiłaś, że się nad tym zastanawiasz. Od dziecka to jest twój szyfr. Zawsze miałaś swój cwany sposób na to, żeby powiedzieć ojcu albo mnie o czymś, o czym chciałaś nas poinformować, nie mówiąc tego wprost.

Nie powiedziała tylko, że obie wiemy, że odniosła się do konkretnego zdarzenia - telefonu do ojca, na który się w końcu zdecydowałam, gdy miałam osiem lat i patrzyłam, jak moja matka na moich oczach znika.

- Tatusiu, może któregoś dnia mógłbyś przyjechać. Nie dzisiaj, ale jak mamusia poczuje się lepiej. Ale jeszcze nie. Zezłościłaby się, jakbym cię poprosiła, żebyś przyjechał.

Nie posłuchał mnie. Albo raczej usłyszał to, czego nie powiedziałam, i przyjechał. Niestety, było już za późno.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wieczór w klubie mnie rozczarował. Trzeci mężczyzna, z którym się spotkałam, wydawał się niezdolny do tego, by mieć jakikolwiek udział w zaginięciu Cleo, bo cierpiał na chorobę Parkinsona i chodził o dwóch laskach. Nie mogłam sobie wyobrazić, aby miał siłę kogokolwiek skrzywdzić. Następnego jednak dnia myślałam głównie o tym, że pewnego jego znaku szczególnego Cleo znów użyła do opisu piątego mężczyzny: Uzdrawiacza.

Ten ostatni klient miał bliznę na prawym policzku - kolejny szczegół, który przypisała w swych wspomnieniach Uzdrawiaczowi. To była drobna rzecz, sama w sobie nieistotna, ale w zestawieniu ze spinaczem do pieniędzy i upodobaniem do szampana oszustwo wydawało się intrygujące.

Dlaczego tylko w przypadku Uzdrawiacza pomieszała detale? Czy był to rodzaj techniki pisarskiej, którą się bawiła, ale nie zastosowała jej konsekwentnie do wszystkich postaci? Czy po prostu staranniej usiłowała chronić jego tożsamość? A może to było bardziej skomplikowane? Dlaczego opisywała wiernie innych klientów, a tego akurat nie?

Podczas mojej sesji między jedenastą a dwunastą zadzwonił Elias. Nagrał wiadomość z prośbą, żebym oddzwoniła. Kiedy zrobiłam to dziesięć minut później, był jeszcze bardziej rozgorączkowany i zdesperowany niż poprzednio.

- Może pani się ze mną spotkać?

- Jeśli chce pan przyjść na kawę do instytutu, mam przerwę za pół godziny.

- Nie bardzo. Mam spotkanie. Znalazłaby pani wolną chwilę trochę później?

Powiedziałam, że mogę się z nim spotkać w Starbucksie koło instytutu w alei Lexington.

Czekał na mnie w środku. Miałam godzinę do spotkania ze sprzedawcą antyków, który pomagał mi znaleźć coś specjalnego na prezent urodzinowy dla Dulcie.

Patrzyłam, jak podchodzi do stolika. Wszyscy, którzy martwili się o Cleo, chodzili przygnębieni, a Elias był w samym środku tego kręgu. Był zmęczony i wymizerowany. Miał wielkie smutne oczy, paznokcie obgryzione do żywego mięsa i bruzdy na czole, które wydawały się jeszcze głębsze i wyraźniejsze niż kilka dni wcześniej.

- Jeżeli czegoś nie wymyślę, jeśli nie zrobię czegoś, żeby zabrali się porządnie do jej szukania, to po prostu zwariuję! - oświadczył.

Wiedziałam, jak trudno jest siedzieć beczynnym i czuć się bezradnym, kiedy ktoś, kogo się kocha, jest w tarapatkach.

Poszłam po kawę, a gdy wróciłam, bawił się torebkami z cukrem, układając je na stole we wzory.

Usiadłam i poczułam od niego jakiś znajomy zapach. Coś mi przypominał, ale nie wiedziałam co. Może wodę kolońską, której używał ktoś, kogo znałam? Popularną przyprawę? Próbowałam wachać powietrze, nie zwracając jego uwagi.

To było coś innego. Ciężka woń, na pewno nie woda kolońska ani kobiece perfumy. Nie jakiś zwykły zapach, ale skądś go znałam. Marszcząc czoło, próbowałam się skoncentrować i skojarzyć go z miejscem. Ale nie mogłam.

- Doktor Snow?

Uśmiechnęłam się. To była Belinda z instytutu. Stojąc przy moim krześle, przeniosła wzrok ze mnie na Eliasa. Zdrętwiał.

- Cześć - powiedziałam.

- Wracasz do gabinetu? - zapytała.

- Nie. Zobaczymy się jutro.

Pomachała mi i z kubeczkim mrożonej kawy latte wyszła z baru.

Dopiero wtedy Elias zaczął normalnie oddychać i dzielić się ze mną kolejnymi teoriami na temat Cleo, gdzie ona może być i co powinna zrobić policja, aby ją odnaleźć. Cały czas przesuwiał po stole torebki z cukrem i układał je w przypadkowe wzory.

- Porozmawia pani z nimi? Powie im pani o moich pomysłach? Może gdyby wyszły od pani, ci detektywi wzięliby je łaskawie pod uwagę?

Skinęłam głową.

- Jak pan żyje? - zapytałam go.

- A jak mam żyć? Patrzę na jej rzeczy. Na jej szlafrok wiszący na drzwiach łazienki, na jej kosmetyki w apteczce, na jej pastę do zębów, na herbatę, którą sobie kupiła i włożyła do mojej szafki kuchennej. Ciągłe się czuję, jakby stała za moimi plecami i patrzyła na mnie. I szeptała: przyjdź i zabierz mnie, proszę. Przyjdź i znajdź mnie. No i co ja mam robić?

- Chodzi pan codziennie do pracy?

- Tak, ale jestem rozkojarzony.

- Czy pan w ogóle sypia?

- Kilka godzin. Od północy do czwartej.

Znów pokiwałam głową.

- To jest ta pora, o której budzą nas lęki. Myślę, że powinien pan iść do psychiatry i zażywać jakieś leki. Środek przedwiekowy albo przeciwdepresyjny.

- To nie jest jakiś problem psychiczny biorący się z tego, że matka kilka razy w tygodniu ciągnęła mnie do kościoła. Tu chodzi o to, że kobieta, z którą jestem zaręczony, kobieta, z którą chcę się ożenić, zaginęła, a jedyni ludzie, którzy naprawdę mogą pomóc, nie tylko nic nie robią, ale są pewni, że jeśli ktoś jest w to zamieszany, to właśnie ja.

Zadzwoiła moja komórka. Spojrzałam na wyświetlacz.

- Mój instytut - powiedziałam. - Jedną sekundę.

To była Belinda.

- Cześć. Właśnie dzwoniła twoja córka. Miała tylko dwie minuty i najpierw zadzwoniła tutaj. Powiedziała, że nie ma więcej czasu, żeby skontaktować się z tobą, ale prosiła, aby ci przekazać, że próba się przeciągnie, więc musi odwołać spotkanie w muzeum.

- Cholera.

- Przynajmniej dzwoni - zauważyła Belinda. - Mojej to nigdy nie przychodzi do głowy.

Roześmiałam się. Elias spojrział na mnie, jakby robienie tego rodzaju hałasu było bluźnierstwem.

- Morgan, ten człowiek, z którym jesteś, wiesz, że on jest pacjentem Simona?

Staralam się nie zerknąć na Eliasa, by nie wzbudzać podejrzania, że rozmawiamy o nim.

- Pacjentem?

- Tak. Był u niego jakiś miesiąc temu. Może dwa miesiące. Poznałam go, kiedy zobaczyłam go z tobą. Pomyślałam, że to dziwne, że ktoś chodzi do dwóch terapeutów.

- Okej. Dzięki, Belinda. Do jutra.

Rozłączyłam się.

Elias ze zmarszczonym czołem patrzył w przestrzeń.

Zacęłam się zastanawiać, o co tu chodzi. Dlaczego to przede mną ukrył? Przeszył mnie dreszcz. Dlaczego nie wspomniał o tym teraz, kiedy zasugerowałam, że powinien pójść do psychiatry?

- Elias? Był pan już u Simona Weissa? Mojego kolegi?

Przytaknął.

- Kiedy?

- Jakies pięć tygodni temu. Może sześć. Dlaczego pani pyta?

- Kiedy spytałam pana minutę temu, czy nie chce pan, żebym panu kogoś poradziła, dlaczego pan mi nie powiedział, że ma pan już lekarza? Był pan w naszym instytucie?

Stężała mu twarz.

- Nie! Pani też? Poznaje tę minę. To podejrzenie w oczach. Chryste. Wy wszyscy zagłądacie tak głęboko do wnętrza, że umyka wam to, co na powierzchni. Tak, byłem u niego, a on powiedział, że raczej nie może mi pomóc. Nie wspomniałem pani o tym, bo nie chciałem wyrażać się niepocholebnie o jednym z pani kolegów. Poza tym to nie ma nic wspólnego z szukaniem Cleo. Ale skoro pani pyta, chętnie pani powiem. Poszedłem do niego porozmawiać o problemach Cleo. Chciałem po- znać profesjonalny punkt widzenia, dowiedzieć się, czy jest coś, co mogę zrobić, żeby jej pomóc. Nie rozumie pani, jak to jest kochać kobietę całym sercem i nie być w stanie jej pomóc. Nie, gorzej. Być częścią jej problemu. Sprawiać jej ból samym swoim istnieniem.

- Co się wydarzyło u Simona? - Moje podejrzenia się rozwiewały. Elias tak szczerze mówił o swoim bólu, poczuciu winy, że nie potrafił pomóc swojej ukochanej, że mogłam mu tylko współczuć.

Wiedziałam, jak to jest kochać kogoś, kto nie jest w stanie odwzajemnić mojej miłości w taki sposób, żeby to uczucie trzymało nas razem.

- Powiedział, żebym zgłosił się do terapeuty razem z Cleo. I, jak pani wie, byłem na to otwarty. Nawet rozmawialiśmy o tym z Cleo i planowaliśmy... przyjść do pani... ale zanim...

Urwał. I znów miał ten ból w oczach.

- Ona musi gdzieś być. I ktoś musi ją znaleźć. Proszę. Musi być jakiś sposób, żeby zmusić policję do szukania jej. Do tego, żeby potraktowali jej zniknięcie poważnie. A gdybym miał list od porywacza?

- A ma pan?
- Czy wtedy podeszliby poważniej do zaginięcia Cleo?
- Oczywiście, więc jeśli ma pan coś takiego, musi pan ich o tym

zawiadomić.

Zobaczyłam w jego oczach nagły błysk podniecenia.

- Proszę tego nie robić - ostrzegłam.
- Czego?
- Nie próbować podrzucić im fałszywki. To panu tylko przysporzy poważnych kłopotów, jeśli pana zdemaskują. To jest ciężkie przestępstwo. Zostanie pan arestowany.
- Trudno. Jeśli to im pomoże ją znaleźć, jeśli dzięki temu zaczną jej szukać...

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Mimo że do urodzin Dulcie miałam jeszcze cały miesiąc, nie chciałam tego odkładać na ostatnią chwilę. Co roku dostawała ode mnie pozytywkę. Poszukiwanie, przynajmniej dla mnie, było połową radości z dawania prezentu, podobnie jak kolekcja, która ozdabiała jej pokój.

Na razie składała się z dwunastu pozytywek - wszystkie poza dwiema były antykami - i nawet kiedy Dulcie była małą dziewczynką, wszystkimi pozwalałam jej się bawić. Miałam rację; żadnego z tych bajecznych urządzeń nie zdarzyło jej się zepsuć.

Wsiadłam do taksówki i podałam kierowcy adres na West Broadway przy Spring Street. Sprzedawca antyków miał sklep na pierwszym piętrze budynku, w którym mieściły się głównie galerie sztuki. Poznałam Victora Messinga na wielkiej wystawie staroci na Armory kilka lat wcześniej, gdy zauważyłam, że ma w swej kolekcji cztery pozytywki.

Kiedy taksówka przedzierała się przez miasto, zadzwoniłam do Simona i spytałam go o jego kontakty z Eliasem Beecherem.

- Był u mnie tylko raz.
- Jakie zrobił na tobie wrażenie?
- Poczekaj, muszę zajrzeć do notatek. Niewiele pamiętam z tej wizyty...

Usłyszałam szelest przierzucanych kartek.

- Miał problemy z kobietą, z którą się spotykał. Twoja pacjentka. Zgadłem?

- Tak. Nie mówił, jak się nazywa?
- Nie.
- Cleo Thane.

- Jasna cholera.
- Simon, czy podczas sesji uderzyło cię coś szczególnego?
- Nie. Wydawał się autentycznie zmartwiony. Zasugerowałem, żeby zgłosił się razem z nią na terapię par. Był otwarty i powiedział, że tak zrobi.

Powtórzyłam Simonowi swoją rozmowę z Eliaszem, kończąc, kiedy taksówka dojechała na miejsce. Zapłaciłam kierowcy, weszłam do środka i ruszyłam do czekającej windy.

Otworzyła się na pierwszym piętrze wewnątrz bajecznego świata starych mebli: bogactwo najróżniejszych dywanów ułożonych jeden na drugim, krzesła stojące na krzesłach, stoły mniejsze na większych. Powietrze, zupełnie inne niż w holu po drugiej stronie drzwi, miało stęchły zapach staroci, z którym mieszała się woń cynamonu, kardamonu i orientalnych olejków.

Victor był Francuzem. Otwierał sklep tylko na siedem miesięcy w roku, a resztę czasu spędzał w podróżach, poszukując swoich skarbów.

Powitał mnie uśmiechem i pocałunkiem w oba policzki, w europejskim stylu.

- Usiądź, Morgan, bardzo proszę, usiądź. Pozwolisz, że pójde zrobić herbatę. Masz trochę czasu?

Skinęłam głową. To była prawdziwa ulga oderwać się od pacjentów i problemów, od łamania sobie głowy nad zaginięciem Cleo, od ponurej namolności Eliasa.

Kiedy z nim byłam, odnosiłam wrażenie, że wczepia we mnie palce i nie pozwala mi się ruszyć z miejsca, choć tak naprawdę nigdy mnie nie dotknął. Przygwaźdżał mnie wzrokiem w taki sposób, że nie byłam w stanie podnieść się z krzesła i odejść.

Podczas gdy Victor robił herbatę, wędrowałam wzrokiem po jego skarbach, i zatrzymałam go na stojaku z bardzo wyszukаныmi,

fantazyjnymi parasolami. Francuski parasol z rączką z kości słoniowej, inna rączka wyglądała na powleczonej litym złotem z filigranowymi zdobieniami z rubinem. I prosty elegancki czarny parasol ze srebrną rączką. Wydał mi się jakiś znajomy, ale nie mogłam dojść dlaczego. Dotknęłam gładkiej zimnej powierzchni, zamknęłam oczy.

I nagle sobie przypomniałam. Po jednej z sesji z Cleo patrzyłam z balkonu, jak ona wychodzi z instytutu, i zauważyłam mężczyznę po drugiej stronie ulicy z bardzo podobnym parasolem. Śledził ją. Jak mogłam o tym zapomnieć? To mogło być istotne.

Pomyślałam, że muszę zadzwonić do Noaha i mu o tym powiedzieć. Próbowałam sobie przypomnieć coś więcej na temat tamtego mężczyzny. Ale to było kilka tygodni temu, no i widziałam go tylko przez dziesięć, może dwadzieścia sekund. Mężczyzna na ulicy w czarnym garniturze, odwrócony do mnie plecami. Nic więcej do zapamiętania.

- Mam ci do pokazania tyle rzeczy - oznajmił Victor, stawiając na stole dwie filiżanki parującej zielonej herbaty. Usiadłam z powrotem.

Aromat świeżego naparu, w połączeniu z egzotycznymi zapachami sklepu sprawił, że poczułam się jak na jakimś orientalnym bazarze.

- Tyle rzeczy? Nie tylko pozytywkę?

- *Deux*. Dwie pozytywki. I jedną sztukę biżuterii. Od czego zaczynamy?

Żółte plamki w jego brązowych oczach błysnęły jak dwa światła. Tak bardzo lubił swoją pracę, że na moment mu pozazdrościłam. Gdzie w tym, co robił, było miejsce na tragedię? Jeśli nie kupił na aukcji jakiegoś antyku albo nie wyszła mu sprzedaż, to było niekorzystne dla interesu, ale nikogo na nic nie narażał. Niczyje życie nie było w niebezpieczeństwie przez to, że gorzej lub lepiej

wykonał swoją pracę. Nie był odpowiedzialny za to, że ktoś stracił poczucie rzeczywistości i wyskoczył przez okno - ciągle mając nadzieję, że jego ramiona zamienią się w skrzydła.

Pierwsza pozytywka, którą mi pokazał, była zrobiona z mahoni i grała „Motyw Lary” z „Doktora Żiwago”. Barwa dźwięku była wspaniała, ale najbardziej zachwyciło mnie to, co zobaczyłam po uniesieniu wieczka. W środku pysznił się pałac lodowy zrobiony z kryształu, który wyrastał z lustrzanego zamarznietego stawu. Wewnątrz, w głębi szklanej konstrukcji, stali kobieta i mężczyzna. W długich futrach, odpowiednich na mroźną rosyjską zimą.

- To klejnot - oświadczyłam.

- Tak. Pomyślałem, że ci się spodoba. Przez co jeszcze trudniej mi będzie pokazać ci następną.

Victor położył na stole przedmiot, który połyskiwał w świetle. Był w kolorach słodkiego rózu, śnieżnej bieli i złota. Fantazyjne, zdobione jajo wielkanocne z emalii komórkowej. Było dwa razy większe od prawdziwego kurzego jajka i stało na złotym filigranowym cokole. Oczywista reminiscencja „jaj carskich” Fabergego. Ale, jak przypuszczałam, zupełnie nie na moją kieszeń. Victor znał moje finansowe możliwości.

- Otwórz je, kluczyk do muzyki jest w środku.

Wewnątrz był biały króliczek misternie wyrzeźbiony w kości słoniowej, przykucnięty na brązowym kluczyku. Wyjęłam kluczyk i umieściłam go pośrodku zagonu kapusty, gdzie jedna marchewka z brązu miała kształt sugerujący, że kluczyk pasuje właśnie do niej.

Nakręciłam pozytywkę i cienko brzmiąca, ale śliczna muzyka popłynęła w powietrze. To była melodia z bajki Prokofiewa „Piotr i wilk”. Wszystko razem zabawne i piękne.

- Obydwie są urocze, *mais non?*

- Piękne. Trudny wybór.

Uśmiechnął się. Nic nie powiedział i zostawił mnie z dwoma dziełami sztuki. Wiedziałam, że jedną i drugą pozytywką Dulcie byłaby zachwycona, ale nie mogłam kupić obu.

- Oderwij od nich myśli i zobacz, co dla ciebie znalazłem - oznajmił Victor, kiedy wyobrażałam sobie minę Dulcie na widok króliczka z kości słoniowej.

Położył zamszową sakiewkę na aksamitnej poduszce i przysunął do mnie. Wyjęłam srebrny przedmiot i spojrzałam na swoją dłoń. Leżał na niej motyl o doskonałych proporcjach, wyczelowanych detalach, z jaskrawymi kamieniami z ognistego opalu osadzonymi na skrzydłach. Cztery kamienie - po dwa większe na szczycie skrzydeł; po dwa mniejsze na dole.

Owad wyglądał, jakby mógł w każdej sekundzie odfrunąć, trzepocząc tymi opalizującymi skrzydłami, mieniącymi się w locie błękitem, purpurą i zielenią.

Bałam się zapytać o cenę. To nawet nie było coś, co powinno mieć wartość pieniężną. Ten motyl powinien stanowić część kolekcji Muzeum Historii Naturalnej wraz z innymi okazami motyli chronionych, odkąd istnieje to muzeum.

Zadzwoił mój telefon komórkowy, ale nie miałam teraz ochoty go odbierać. Dopóki grały pozytywki, chciałam patrzeć na motyla i wdychać egzotyczne zapachy, a potem zrobić sobie wolne na resztę popołudnia i przespacerować się po SoHo, a później zjeść spokojnie, bez pośpiechu kolację w jakiejś staromodnej włoskiej restauracji i może pójść do kina.

Nie mogłam jednak ignorować rzeczywistości.

- Halo?

- Cześć, Morgan, tu Noah.

Serce zabiło mi trochę szybciej i chyba zamknęłam oczy. Telefon od detektywa nie zawsze przynosił najlepsze wieści.

- Następna? - zapytałam.
- Tak. Przykro mi.
- Kiedy? Wiesz, kto to jest? - Wstrzymałam oddech.
- Ostatniej nocy. Ale to nie Cleo.
- Nie wiem, co powinnam powiedzieć. Jeśli powiem, że się cieszę, to będzie nie na miejscu.

- Okej. Wiem, co czujesz.
- Jakies tropy tym razem?
- Być może, ale nic specjalnego. A my potrzebujemy czegoś specjalnego. Wszyscy pracują na okrągło, choć ciągle mi się zdaje, że jest w tym jakiś aspekt psychologiczny, który nam umyka.

Victor patrzył na mnie lekko zdziwionym wzrokiem. Chyba nie podobało mu się, że rozmawiam przez telefon, skoro jeszcze nie ubiliśmy interesu.

- Czy to jest prośba o spotkanie?
- Jesteś wolna?
- Tak. A raczej będę za pół godziny. Ja też mam ci coś do powiedzenia. Coś, o czym sobie przypominałam.

- Chcesz przyjść do komisariatu?

Wahałam się. Noah nie dał mi wiele czasu.

- Wolisz porozmawiać w swoim gabinecie?
- Nie. Właściwie mam wolne popołudnie. - Spojrzałam na motyla i opuszką palca musnęłam opal.

- Ja pracuję od dwudziestu czterech godzin bez przerwy i jestem wykończony. Dobrze by mi zrobił łyk świeżego powietrza. Spotkajmy się gdzieś w mieście.

- Może to szalony pomysł, ale mógłbyś przyjść do Muzeum Historii Naturalnej? Miałam się tam spotkać z Dulcie, żeby obejrzeć specjalną wystawę, ale przegrałam w konkurencji z próbą teatralną.

- Każdy pretekst jest dobry, żeby wyrwać się z biura, choćby na krótko.

Umówiliśmy się w holu przy wejściu za pół godziny.

Wyłączyłam telefon i zaczęłam się targować o cenę jajka z pozytywką - „Motyw Lary” był dość niesamowity. Zbyt niepokojący jak dla dwunastolatki.

- Może odłożę dla ciebie tę drugą do następnego roku? - powiedział Victor z błyskiem w oczach. - A szpilka z motylem?

- Ją też będziesz musiał odłożyć do mojej następnej wizyty. Jest za droga.

Wpiął ją w klapę mojego żakietu i sięgnął po lustro, żebym mogła ocenić efekt.

Spojrzałam na skrzydlatego owada, znieruchomiałego, jakby przed chwilą usiadł.

I kiedy tak patrzyłam, zebrał się do lotu, spadając wprost na moje kolana. Czubek szpilki, który ukłuł mnie przez spodnie, był bardzo ostry.

Victor musiał niedokładnie zapiąć zameczek.

- Strasznie przepraszam - zaczął się sumitować.

Potarłam palcem ukłute miejsce. Motyle nie żądła.

Na ogół nie żądła...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Nie zdarzyło mi się być w tym muzeum i nie pomyśleć o kanapce z tuńczykiem i oranżadzie - lunchu, jaki podawano nam w muzealnym barze podczas szkolnych wycieczek. Taki sam lunch opisała mi Dulcie po jednej ze swoich wizyt w tym miejscu.

Usiedliśmy z Noahem na drewnianej ławce na zewnątrz przeszklonej motylami - pawilonu o kontrolowanej temperaturze, gdzie setki motyli wylęgały się i przeżywały swoje trzytygodniowe życie, żerując na kwiatach, fruując z jednego na drugi, nieświadome, że są żywymi eksponatami.

- Próbujemy go rozgryźć, przewidzieć następny krok. Pierwszą kobietę naznaczył stygmatami, drugiej udzielił komunii, trzeciej założył koronę cierniową. Ta została ochrzczona. Lekarz sądowy powiedział, że była moczona w wannie z ukropem przez kilka godzin. I że została zlaną olejkami do namaszczenia. Było tego pięć kryształowych ampuł, które roztrzaskał na kawałeczki i wyścielił nimi łóżko. Leżała na tym.

- Szklane łoże?

- Tak. - Noah miał zmęczoną twarz i mówił ochrypłym głosem. Widać było, że ta sprawa psychicznie go wykańcza.

- Co on robi, o co w tym chodzi? - zapytałam, nie spodziewając się odpowiedzi.

I nie od razu ją dostałam.

Patrzyłam przez szklaną ścianę na motyla monarchę, który sfrunął na orchideę i siedział nieruchomo ze złożonymi skrzydłami, po prostu na coś czekając.

- On je za coś karze. Za to, że go w czymś zawiodły - odrzekł w końcu.

- Być może...
- A ty myślisz, że o co mu chodzi?
- Nie wiem, ale podejrzewam, że to jest bardziej skomplikowane.

On te wszystkie metody testuje. Pracuje nad czymś.

- Nad czym?

Pokręciłam głową. Nie miałam pojęcia. Dużo bym dała, żeby wpaść na jakiś pomysł, ale nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

- Wejdziemy do środka? - zapytałam.

W przeszklonym pawilonie było gorąco, wilgotno i pachniało intensywnie ziemią. Oranżeria o wysokości dziesięciu metrów została zaprojektowana na podobieństwo dżungli tropikalnej z setkami palm, orchidei, paproci i mnóstwa innych roślin oraz drzew - idealnego środowiska dla motyli.

Coś przefrunęło obok mnie i przysiadło na pierzastym liściu. Fosforyzujące zielone skrzydła, w pomarańczowe wzorki z czarną obwódką. Pstrokacizna barw.

Wpatrując się w owada, oboje staliśmy twarzą do szklanej ściany i widzieliśmy własne odbicia.

Noah był dużo wyższy ode mnie, i ze zdziwieniem zobaczyłam, że zamiast przyglądać się motylowi, patrzy na mnie. Odwróciłam się i spojrzałam mu w twarz. Z podkrążonymi oczami wyglądał smutno. Trudno było nie zauważyć udręki w jego oczach.

Czułam się z nim swobodniej teraz, kiedy wyraźnie cierpiał, niż w czasie poprzednich spotkań. Teraz, gdyby zechciał, mogłam mu pomóc. Wiedziałam, jak to zrobić, w tej roli czułam się pewnie. W roli terapeutki, która daje, ale nigdy nie prosi o nic w zamian.

- Strasznie cię to podłamało, prawda? - zapytałam.

Kiwnął głową.

- Chcesz o tym pogadać?
- Nie. Ani trochę. Ale chyba powinienem.

Tyle że się do tego nie kwapił. Staliśmy tak jeszcze kilka sekund, on patrząc na mnie z góry, ja na niego, zadzierając głowę. I nagle dotknęłam jego ręki. Mimowolnie, bez zastanowienia, i to mnie zdziwiło. Wyciąganie do ludzi ręki, w sensie dosłownym, nie było w moim stylu.

Niemal od razu, gdy go dotknęłam, wziął moją dłoń i zatrzymał w swojej, jak gdyby ten mój ruch przewidział. To była niezręczna chwila - nie dla niego, lecz dla mnie - i nie bardzo wiedziałam, co z tym fantem począć. Do diabła, nie wiedziałam nawet, co chcę zrobić. Nim zdażyłam o tym pomyśleć, on, wciąż trzymając mnie za rękę, pociągnął mnie za sobą w głąb miniaturowej dżungli. Nie zatrzymując się, opowiedział, co mu się przydarzyło.

- To było osiem lat temu, w Nowym Orleanie. Nie dotarliśmy do niej na czas.

- Ona też była prostytutką?

- Tak. Pomagała nam dopaść dealera narkotyków. To była ostatnia rzecz, którą miała zrobić. Zaoszczędziła dość pieniędzy, żeby rzucić ulicę i znaleźć sobie jakąś pracę. I wtedy daliśmy dupy. Znaleźliśmy ją pokrojoną w plasterki.

Poczułam, jak zadrżała mu ręka, i bezwiednie ją przytrzymałam.

- Dostałeś jakąś pomoc?

- Masz na myśli terapię?

- Tak.

- Na kilka tygodni. Nie należę do facetów, dla których korzystanie z pomocy jest poniżej ich godności, ale... - Wzruszył ramionami. - To nie był problem psychologiczny. Spieprzyliśmy robotę i pewna urocza, zabawna, silna dziewczyna została zamordowana. Terapia nie jest lekarstwem na zbrodnię. Nie przywraca życia zmarłym.

W boksie z pleksiglasu o powierzchni piętnastu metrów kwadratowych było kilkadziesiąt kokonów zwisających z czterech rzędów plastikowych rur - coś w rodzaju sztucznego drzewa do inkubacji poczwerek. Z jednej na moich oczach wylegał się motyl. Przez otwór w cienkiej jak papier osłonce w kolorze karmelu widać było, jak pompuje swoje pomarańczowe skrzydełka. Z szarej, bezkształtnej masy przeobrażał się w żywy fruwający klejnot.

Uwolniłam rękę z dłoni Noaha.

- Może zabijanie ich nie jest jego głównym celem - powiedziałam w zamyśleniu.

- Mów dalej.

- Myślisz, że jego intencją jest mordowanie tych kobiet, że to jego cel. A może to jest tylko finał tych sesji, jakiegoś procesu. Może w tych pokojach odbywa się coś innego? Jakiś inny rytuał?

Noah kiwał głową, śledził tok moich myśli, czekał.

- Rytuał? Czy to ma podłoże seksualne?

- Wybierając prostytutki, z definicji zadaje się z nimi na płaszczyźnie seksualnej. Ale to nie znaczy, że kieruje nim czysta potrzeba seksualna.

- Czyli przebieranie ich za zakonnice nie jest tylko obsesyjną fantazją erotyczną?

- Możliwe, że jest. Ale to nie takie proste.

- Okej, co nie jest takie proste?

Pokręciłam głową i rozłożyłam ręce. Liczyło się tylko to, by pomóc Noahowi rozwikłać sprawę, zanim coś się stanie następnej kobiecie.

Zbyt często potwierdza się fakt, że seryjni mordercy przyspieszają tempo. Drugie zabójstwo wydarzyło się w tydzień po pierwszym. Czwarte - zaledwie dwa dni po trzecim.

- Jak to możliwe, że ten facet wchodzi do tych hoteli i wychodzi przez nikogo niezauważony?

- Wielkie hotele. Przeciętnie wyglądający facet.

- Jakim cudem on przekonuje te kobiety, żeby włożyły na siebie habit zakonnicy? O tej sprawie aż huczy w mediach. Rozumiem, że pierwsza mogła nie mieć pojęcia, co się dzieje. Ale następne? W momencie, kiedy facet wyjmuje taki habit, dlaczego one nie uciekają?

- Być może nie mają już wtedy szansy. On może mieć broń albo nóż. Może nawet sam je przebiera, dopiero po ogłuszeniu.

- Ogłusza je? W jaki sposób?

- Nie chcę wchodzić w detale, jeśli to nie jest konieczne. Niektóre próbujemy zachować w sekrecie, na wypadek, gdyby się z nami skontaktował.

- Myślę, że jest bystry. Wykształcony. Zdecydowanie inteligentny.

- I jest nie byle kim, skoro stać go na takie wydatki.

- O jakich sumach mówisz?

- Pokoje kosztują około dwustu dolarów za dobę. Do tego pięćset do siedmuset dolarów, które zostawia. To prawie tysiąc dolarów za noc.

Żółto-czarny motyl, podobny do okazu, który wisiał w gablotce na ścianie mojego gabinetu, usiadł na wielkim różowym kwiecie tuż koło ramienia Noaha. Zatrzepotał skrzydłami, odsłaniając mozaikę czerwieni, pomarańcza i żółci. Barwy były tak głębokie i zdecydowane, jakby pochodziły z palety farb olejnych.

- Jest obeznany z liturgią katolicką - dodał. - Zna rytuał mszalny. I ma dostęp do artykułów liturgicznych.

- Ostatnio nie było żadnych kradzieży w kościołach? Nie musisz odpowiadać. Oczywiście, że nie było, bo inaczej coś byś o tym wiedział. A Internet? Czy te wszystkie rzeczy można kupić przez Internet?

Kiwnął głową i poklepał swoją kieszeń.

- Mam tu wydruki paragonów z ostatnich dwóch miesięcy z kilkudziesięciu hurtowni zaopatrujących kościoły, które nie wymagają od parafii posiadania stałego konta w ich firmie. Przeglądałem to, czekając na ciebie.

- Chcesz powiedzieć, że są hurtownie, w których absolutnie każdy może zamówić takie artykuły? Mogę do nich zadzwonić albo zamówić przez Internet kielichy mszalne, sutanny albo hostie?

- Nie możesz złożyć zamówienia na swój adres domowy w Nowym Jorku, ale gdybyś im podała adres jakiegoś kościoła, to tak, mogłabyś zamówić, co chcesz.

- O ile to zostanie dostarczone do jakiejś parafii albo klasztoru?

Przytaknął.

- Więc myślisz, że masz do czynienia z księdzem?

- Nie wykluczamy tego.

Pokręciłam głową.

- Nie sądzę. Ksiądz mógłby być wściekły na prostytutki za to, że grzeszą, że go kuszą, że afiszują się ze swoją seksualnością. Ale nie wyobrażam sobie, żeby mężczyzna, który jest czynnym księdzem, łączył odrazę do kobiet z odrazą do swojego powołania.

- Zamącałaś mi w głowie.

- Mam nadzieję, że nie.

Noah uśmiechnął się - tym swoim szerokim swobodnym uśmiechem. Co ja takiego powiedziałam? Co on usłyszał? Byłam zakłopotana. Przecież miałam na myśli sens dosłowny, prawda? Chodziło o to, czy nadaża za moim rozumowaniem. Ale też była w tym ta cholerna aluzja. Za dużo wiedziałam o funkcjonowaniu podświadomości, by nie zdawać sobie z tego sprawy. Tyle że nie było czasu, by się rozpraszać i myśleć o sobie. Przynajmniej na razie.

- Mordując w ten sposób te kobiety, profanuje sakramenty.

- Jak na miłą żydowską dziewczynę z Nowego Jorku, sporo wiesz o katolickich księżach.

Wiedział o mnie więcej, niż mu sama powiedziałam. Byłam zdziwiona, że już przestałam się dziwić.

- Byłam żoną miłego katolickiego chłopaka.

- Jesteś rozwiedziona, prawda?

Przeleciał koło nas gładki brązowy mól. Był większy od innych, ale nie dorównywał im urodą, dopóki nie spojrzano się z bliska na misterny deseń jego skrzydeł. Na wolnym powietrzu prawie nie zwraca się na te stworzenia uwagi. Przeklina się je tylko, kiedy dostaną się do domu i dobiorą do naszych wełnianych ubrań. Ale tutaj były piękne.

- Tak. Nie jest już zbyt gorliwym katolikiem, ale był, kiedy za niego wychodziłam.

- Jak dawno temu?

- Ponad czternaście lat.

- I co się stało?

- Nic szczególnie dramatycznego. - Wzruszyłam ramionami. -

Banalne sprawy. A ty jesteś żonaty?

- Nie. Ale mało brakowało. Mieszkaliśmy przez jakiś czas razem. Sporo czasu. Nie chciała się przenieść do Nowego Jorku.

Uniosłam brwi.

- To niezbyt poważny powód, żeby zostawić kogoś, kogo się kocha.

- Nie. To był pretekst. Tak naprawdę nie mogła znieść życia z policjantem. Próbowала, lecz przygnębiał ją ciężar zła, który co wieczór wносиł ze sobą do domu, a byłem zbyt zmęczony, żeby spróbować coś z tym zrobić.

Chciałam mu powiedzieć, że bardzo podobnie było z Mitchem i ze mną, ale nie wiedziałam, w jaki sposób to wyrazić, nie sprawiając

wrażenia, że próbuję znaleźć między nami jakiś wspólny grunt. Więc jak przystało na terapeutkę, wybrałam milczenie.

Na długą chwilę skupił się na moich oczach, a ja poczułam, że jego wzrok przenika do głębi mojego jestestwa.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Wyszliśmy na słońce i stanęliśmy na szerokich kamiennych schodach muzeum, oboje mrugając i adaptując się z powrotem do hałasu i światła. Kiedy zeszlśmy na dół, gdzie powinniśmy się rozdzielić i pójść każde w swoją stronę, Noah ujął mnie staromodnym gestem pod ramię i ruszyliśmy spacerkiem w kierunku ulicy.

- Chodź ze mną. Na kawę, drinka, cokolwiek. Do niczego tak naprawdę nie doszliśmy, jesteście w ślepym zaułku i potrzebuję twojego świeżego spojrzenia. Jeżeli nie przerwiemy tego... - Nie skończył myśli. Nie musiał.

Skinęłam głową. Byłam skupiona na swojej ręce, tej, którą trzymał. Skąd miałam wiedzieć, jaki to był rodzaj dotyku? Pamiętając z jednej strony obojętne, naznaczone rutyną objęcia mojego byłego męża, a z drugiej jawne poufałości mężczyzn z klubu cygarowego, nie umiałam ocenić tego rodzaju kontaktu i czułam się z tym niesamowicie głupio. Jak naiwny podłotek.

- Dlaczego się tak uśmiechasz? - zapytał.

- Nie wiedziałam, że się uśmiecham. - Teraz naprawdę poczułam się idiotycznie.

- No więc uśmiechasz się.

- Po prostu idę ulicą, której nie znam, a to dziwne uczucie dla kogoś, kto łązi po tych ulicach prawie od początku życia.

- Mam nadzieję, że nie identyfikujesz się zbyt z tym zawodem.

Musiałam przystanąć i pomyśleć przez chwilę, i nagle zdając sobie sprawę z niezamierzonej dwuznaczności, roześmiałam się.

- To było w bardzo złym guście.

- Wiem. Jestem przemęczony. Jestem wściekły. Jestem kompletnie skołowany.

Dotarliśmy do restauracji, którą wybrał Noah, i weszliśmy do środka.

Cafe des Artistes była dobrze znanym punktem orientacyjnym w Nowym Jorku. Ten piękny lokal zdobiły malowidła ścienne z początku dwudziestego wieku, których tematem były nagie ponętne kobiety.

- A wiesz, że tu też nigdy nie byłam - przyznałam, kiedy podeszliśmy do stolika w części barowej.

Była dopiero piąta i do pory największego tłoku brakowało sporo czasu.

- Mieszkasz tu całe życie, a ja ci pokazuję nowe miejsca?

Kiwnęłam głową.

Ledwie usiedliśmy, Noah wstał.

- Przepraszam, muszę zadzwonić. Jeżeli wszystko się toczy normalnym trybem i nie ma powodu, żebym wracał do pracy, będę mógł sobie pozwolić na prawdziwego drinka zamiast kawy. Zamów, co chcesz. Ja zaraz wracam.

Kiedy wrócił pięć minut później, nie mogłam nic wyczytać z jego twarzy.

- No i...? Coś mocniejszego czy kawa?

- Coś mocniejszego. Chyba wreszcie wpadli, skąd pochodzą habity, a chłopcy, którzy przeglądają taśmy z monitoringów hotelowych, mają zdjęcie mężczyzny, który pojawił się w dwóch hotelach. Ujęcie z boku, niewyraźne, ale to już coś. Każdy wie, co ma robić i nikt nie potrzebuje, żebym patrzył mu przez ramię. Powiedziałem Perezowi, żeby też się wynosił. Pracowaliśmy przez cały tydzień osiemnaście godzin na dobę. Żaden z nas do niczego jutro nie będzie się nadawał, jeśli przesiedzimy kolejną noc, szukając jakiegoś ducha w komputerach.

Gdy podszedł kelner, zamówiłam brudne martini. Noah powiedział, że chce to samo i usiadł na krześle prawie uspokojony. Tylko jego palce były ruchliwe, w stanie gotowości. Do czego?

- Takie dziewczyny lubię - oświadczył swoim nowoorleańskim akcentem, wypowiadając „lubię” dłużej i śpiewniej.

Chętnie go słuchałam. Doznawałam dziwnego wrażenia, jakby jego słowa dotykały mojej skóry, jakby mnie głaskał tymi przeciągniętymi sylabami.

Kim ja tu byłam?

Podczas sesji z pacjentami byłam dociekliwa i odważna, ale flirtowanie stanowiło dla mnie sztukę wręcz tajemną.

Gdy zjawiły się drinki, Noah uniósł elegancki kieliszek z martini w milczącym toaście. Napój był lodowaty i ostry, odrobinę słony.

Opowiedziałam mu o parasolu i mężczyźnie na ulicy, naprzeciwko instytutu. Potem Noah zadał mi kilka pytań, próbując wydobyć z mojej pamięci więcej szczegółów na temat wyglądu tamtego człowieka bądź jego zachowania. Nie pamiętałam jednak niczego, co mogłoby się do czegoś przydać.

- Przyszło mi wtedy do głowy, że może on ją śledzi... w taki sposób, jak ćma lgnie do światła. Tylko dlatego, że tak wyraźnie go do niej ciągnęło. Każdy mężczyzna, którego mijała na ulicy, oglądał się za nią.

Noah sęczył swojego drinka, cierpliwie słuchając.

- Dowiedzieliście się czegoś na temat krzyżyka z różowego brylantu? - zapytałam.

- Tak. - Wyjął z kieszeni notes i otworzył na stronie gęsto wypełnionej swoim dziwnym pismem.

Przerzucił jedną kartkę, potem następną.

- Perez podyktował mi to przed chwilą przez telefon. Znaleźliśmy dwa sklepy w mieście, które sprzedają coś takiego. Graff w alei Madisona, i Cartier.

Znałam jeden i drugi. Były to dwa z kilku najbardziej ekskluzywnych sklepów z biżuterią w Nowym Jorku.

- I miałaś rację. Taki krzyżyk kosztuje majątek. Trzydzieści tysięcy, jeśli mówimy o takim, który opisałaś. Waży siedem karatów, sprzedali tylko pięć sztuk. Jutro rano powinniśmy mieć nakaz sądowy, żeby sprawdzić, kto je kupił.

- Kiedy możecie dostać odpowiedź?

- Jak dobrze pójdzie, jutro przed południem. Najpóźniej w poniedziałek. Jak tylko się dowiemy, dam ci znać. Czy wiesz na tyle dużo o życiu Cleo, że skojarzysz nazwisko?

- Jest na to spora szansa.

Zrobił zdziwioną minę.

Pociągnęłam łyk martini i podjęłam decyzję.

- Muszę ci coś wyznać.

- Nie jestem księdzem.

- Dzięki Bogu.

Roześmialiśmy się oboje, śmiechem wciąż trochę pustym i powściągliwym, ale głębszym niż pół godziny wcześniej.

- Spotkałam się z kilkoma klientami Cleo.

- Tak? - Cały spokój z jego twarzy uleciał. Patrzył na mnie skupionym, dociekliwym wzrokiem.

Myślał intensywnie, kojarzył fakty. Widziałam w jego oczach, jak fragmenty układanki zaczynają do siebie pasować. Czyżbym już tak dobrze go znała?

- To po to chodzisz do Diabła?

Kiwnęłam głową.

- Czy ty kompletnie oszalałaś? Za kogo ty się uważasz, żeby porywać się na takie rzeczy? Nie masz przygotowania, żeby robić za tajną agentkę! - Żyła pulsowała mu na szyi, w oczach lśniła furia.

- Nikt inny nie traktuje poważnie jej zniknięcia. Muszę robić to sama - oświadczyłam oskarżycielskim tonem.

- Morgan, nie ma żadnego dowodu, że zostało popełnione przestępstwo. Na litość boską! Mamy na podsłuchu jej komórkę, obserwujemy jej dom. Nie możemy jej szukać, nie mając do tego żadnych powodów.

- Możecie, bo ona jest prostytutką, a to prostytutki padają ofiarą kolejnych morderstw.

- To bardzo kruchy związek. Ona nie jest w typie jego ofiar.

- Ale ona zginęła, Noah. I jest moją pacjentką. A skoro nie mogę ci powiedzieć, kim są jej klienci i jakie mają motyw, to robię jedyną rzecz, jaką mogę zrobić w tej sytuacji. Zamiast oficjalnego dochodzenia prowadzę nieoficjalne. Jako terapeutka wiem wystarczająco dużo, żeby mieć świadomość, czego szukam.

- Cholera! Może jesteś bardzo bystra, może jesteś dziesięć razy bystrzejsza ode mnie, ale nie jesteś policjantką. Nie możesz prowadzić własnego śledztwa. Może ci się coś stać. Jasny szlag. Gorzej. Możesz zginąć.

Zignorowałam jego słowa i pociągnęłam następny łyk martini.

- Jestem dobrze chroniona. Spotykam się z nimi w publicznym... okej, w prywatnym miejscu, ale na oczach mnóstwa innych ludzi. Znam podstawy samoobrony. Uczyłam się ich jako nastolatka. Wtedy tego potrzebowałam, dodatkowego poczucia bezpieczeństwa.

- Nie czułaś się bezpiecznie jako dziecko? - Jego spojrzenie na chwilę złagodniało.

- Moja matka... - Zawahałam się.

Wstępowaliśmy na grząski grunt mojej przeszłości, a ja rzadko zabierałam tam kogokolwiek.

Powstrzymałam się. Nie miało sensu siedzieć w restauracji w piątek wieczór, sączyć martini, a jednocześnie zamartwiać się o pacjentkę i rozmawiać o swoim życiu prywatnym z mężczyzną polującym na oszalałego psychola, którego czyny mogły mieć albo nie mieć związku z zaginięciem kogoś, o kogo się troszczyłam. Ale oczy Noaha wwiercały się we mnie. Znów.

Niektórzy ludzie mają zachwycająco piękne oczy, o cudownym kolorze, idealnym kształcie, ale te oczy niewiele wyrażają. To nie był przypadek Noaha. Jego oczy mówiły. Bez względu na to, co komunikował słowami, jego błękitne oczy wypowiadały co innego.

Kiedy spotkałam się z nim po raz pierwszy, uważałam, że jego oczy są za małe. Ale teraz, znając go lepiej, naprzyglądawszy mu się wystarczająco długo i doświadczwszy intensywności jego spojrzenia, cieszyłam się, że nie są ani trochę większe. To byłoby jak patrzeć w oślepiające reflektory.

- Opowiedz mi o swojej matce - poprosił miękko.

- Była aktorką. I zaczęła pracować, kiedy była bardzo młoda. Poza tym już w młodości uzależniła się od środków odchudzających. Kiedy złamała sobie na scenie obojczyk, uzależniła się od środków przeciwbólowych. Dość szybko odkryła też mocne trunki. Proszki przeciwbólowe, pigułki na odchudzanie i alkohol. Była jedną z „Zagubionych dziewczyn”.

- Za dużo tu takich.

Uśmiechnęłam się.

- To nie była przenośnia. Była jedną z dwóch aktorek grających w telewizyjnym serialu pod tytułem „Zagubione dziewczyny”. Puszczali to przez trzy sezony w latach pięćdziesiątych. Ale swoją drogą, masz rację. Była zagubiona, a ja przez pewien czas byłam zagubiona razem

z nią. Kiedy miałam siedem lat, porzuciła mojego ojca i wzięła mnie ze sobą. Rok później przedawkowała i zapadła w śpiączkę. Nie wiedziałam, że to było to, ale czułam, że jest w niebezpieczeństwie. Więc zadzwoniłam do swojego ojca i mówiłam do niej bez przerwy, opowiadałam jej nasze historyjki, dopóki nie przyjechał. Ale już się nie obudziła. Nigdy więcej jej nie zobaczyłam. Umarła. Miałam osiem lat. Wystarczy?

Pokiwał głową, a potem zrobił coś więcej. Pochylił się, ujął w swoje wielkie dłonie moją twarz i przyciągnął do siebie. Wstrzymałam oddech, ale nie zamknęłam oczu. Zdrętwiała widziałam, jak jego twarz przysuwa się coraz bliżej, i w końcu poczułam jego wargi. Na początku to był pocałunek muśnięcie, tak delikatny, że wydawał się czymś na miejscu, gestem zbliżenia. Myślałam, że w swej intencji nie był niczym więcej. Zwykłym pocałunkiem na pocieszenie: lekkim i ulotnym, jak gdyby jeden z motyli, które oglądaliśmy w muzeum, musnął mnie skrzydełkiem.

- Biedne dziecko - powiedział.

Nie wyczułam w tym protekcjonalnego tonu. To było takie południowe i powolne, jak inny rodzaj pocałunku. Wciągałam w nozdrza jego zapach, wychwytyjąc różne wonie jednocześnie: aromat leśny i piżmowy, z głębszą nutą wyprawionej skóry, a pod tym wszystkim słonawy zapach jego własnej skóry.

To ominęło moją głowę, a całkowicie ovladnęło zmysłami, pobudziło mnie. Nie czułam ani jednej nuty, która by mnie razila czy odpychała. Zamknęłam oczy i zobaczyłam słońce przezierające przez gałęzie sosen i tańczące w powietrzu drobinki kurzu. On pachniał jak rdzawoczarny aksamit, kiedy rozwija się belę, by pokazać kierunek włosa; pachniał jak znikanie horyzontu w nocy, kiedy nie wiadomo, gdzie kończy się woda i zaczyna niebo; i pachniał tak, jak strzela w

górze ogień z pierwszych rozżarzonych węgielków, powoli, a potem gwałtownie. Pachniał jak coś, na co od dawna czekałam.

- Ty mnie obwąchujesz. - Odsunął się i po raz pierwszy tego popołudnia roześmiał się naprawdę. Zupełnie jakby to śledztwo i moje wyznanie i wszystkie okropne rzeczy, które przygniatały go swoim ciężarem, nagle spadły z jego barków. A jego śmiech sprawił, że ze mnie też spadł ciężar, o którym nawet nie wiedziałam, że jest aż tak przytłaczający.

- Pachniesz dobrze - powiedziałam.

- Za dużo wachasz.

- To taka moja szczególna wrażliwość.

- Założę się, że nie ma w tobie niczego, co nie byłoby szczególnie wrażliwe.

Zauważyłam błysk w jego oczach, wesoły i uwodzicielski.

Wtedy znów się do mnie przysunął i oboje zatonęliśmy w jeszcze jednym pocałunku.

Kiedy złapaliśmy oddech, Noah sięgnął po rachunek.

- Mam randkę. W każdy piątkowy wieczór. Pójdiesz ze mną? - spytał i położył na stole kilka banknotów.

Zrobiłam wielkie oczy.

- Nigdy nie dostałam tego rodzaju zaproszenia. - Wysiliłam się na lekki ton, ale byłam zmieszana.

- Nie patrz na mnie w ten sposób. Jesteś najbardziej przejrzystą kobietą, jaką poznałem w swoim życiu. Polubisz ją.

- Ja jestem przejrzysta? Mylisz się. Studiowałam sztukę nieprzejrzystości, uczyłam się od mistrzów. Moi pacjenci narzekają, że nigdy nie wiedzą, co myślę. I to jest dla mnie ważne, pracuję nad tym.

- Ale ja nie jestem, dzięki Panu w niebiosach, twoim pacjentem. Gdybym był, nie poszłabyś ze mną na randkę. I z pewnością nie poszłabyś potem do mnie, gdybym był twoim pacjentem. No i

ominęłaby cię kawa z cykorią i pączki domowej roboty. Jadłaś kiedyś pączki domowej roboty?

Pokręciłam głową. Wyszliśmy z restauracji na zatłoczoną ulicę.

- Posypane cukrem pudrem. Podam ci je na srebrnej tacy. Cholera, nie mam srebrnej tacy! Dobra, podam ci pączki na bambusowej tacy i będziesz cała w cukrze pudrze, tutaj...

Wyciągnął rękę i musnął palcem moje usta. Zadrżałam.

- I będę musiał to scałować... a potem oblizać swoje wargi.

Pochylił się i jeszcze raz mnie pocałował. Staliśmy na Central Park West, samochody przemykały obok, zmieniały się światła i mijali nas ludzie, a ja się nie broniłam przed jego pocałunkiem.

Randka była z fortepianem, w jakiejś restauracji w Village. Siedziałam przy stoliku dla dwojga, słuchałam, jak Noah gra i patrzyłam, jak jego palce kochają się z klawiszami. I wyobrażałam sobie, jak by się czuły, gdyby kiedyś zagrały na mnie.

Jego muzyka była jak jego głos. Jazzowa, pełna wyrazistych powtarzających się motywów, wolna i nastrojowa, potem nagle mroczna i smutna. I jeśli przedtem miałam jakieś wątpliwości, czy zakończymy ten wieczór u niego w domu, wszystko stało się jasne, kiedy patrzyłam, jak gra na fortepianie.

Połączenie jego wrażliwości na muzykę, na mnie, zimnego spojrzenia na otaczający go świat i tak gorącego, jakim obdarzał mnie, jego niefrasobliwy, niemal arogancki chód, przekonanie, że zna się na swojej robocie, ale i ciekawość rzeczy, których nie rozumiał - wszystko w tym twardym, bezkompromisowym detektywie, który grał na fortepianie, nosił broń i lubił gotować cajuńskie jedzenie, wydawało mi się niepojęte.

To budziło we mnie strach, a chyba nigdy dotąd nie bałam się żadnego mężczyzny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Zbliżał się. Słyszała jego kroki. Wiedziała, że po trzynastu krokach znajdzie się po drugiej stronie szyby i że wraz z nim pojawi się światło.

Co było gorsze? Kiedy przychodził do niej, czy kiedy zostawiał ją na całe godziny samą w tych ciemnościach? Nie wiedziała, ile minęło czasu, ale wcześniej próbowała liczyć minuty, zanim pogrążyła się w koszarnej wizji tego, co się z nią stanie.

Wiedziała, że w końcu coś się stanie. Nie może jej tu trzymać w nieskończoność. Wykluczone. Ktoś na pewno jej szuka. Są ludzie, którym na niej zależało. To też wiedziała. Liczyła na nich. Na okrągło wypowiadała w myślach ich imiona podczas długich godzin, które spędzała w tym konfesjonale sama. Modliłaby się do nich, by przyszli i ją zabrali, żeby ją znaleźli, ale nie wierzyła w modlitwę. Żaden Bóg nie pozwoliłby, żeby całymi dniami tkwiła zamknięta w tym świętym miejscu. Od ilu dni? Od ponad tygodnia. Od ponad dwóch tygodni, pomyślała. Ale tak jak z minutami, straciła rachubę dni.

Usłyszała, że otwierają się drzwi.

- Wróciłem, wróciłem do ciebie, wróciłem, żeby ci pomóc - usłyszała.

Jego głos był miękki, spokojny, kojący. Nie dla niej, ale teoretycznie miał to być głos kojący.

Czy wołała, kiedy go nie było, czy kiedy wracał?

Była skołowana. Więził ją tutaj tak długo, że już nie wiedziała, co powinna myśleć. Marzyła teraz o zupełnie innych rzeczach niż dziesięć dni temu. Czy może jedenaście? Nie była pewna.

Teraz łaknęła lodowatej wody. Nie letniej, jaką zostawiał jej na podłodze z długą słomką w środku. Zostawiał dwie szklanki każdego

dnia rano. W jednej była woda, w drugiej jakiś gęsty płyn, który, jak mówił, był bardzo bogaty w składniki odżywcze. Ale nie chciała przyjmować płynów, gdy wychodził, bo nie wytrzymałaby bez pójścia do łazienki, a z wszystkich okropnych rzeczy, które wiązały się z zamknięciem w tym strasznym boksie, najbardziej nie mogła znieść myśli o zmoczeniu się. Wydawał się niemal rozczarowany, kiedy przychodził do niej w środku dnia z prowizorycznym sedesem - domyślała się, że około pierwszej - i widział, że nic nie wypila.

Była zbyt delikatna, by pozwolić sobie na inne rozwiązanie niż pościć za dnia po to, by wytrzymać bez łazienki. Wieczorem piła tyle wody, ile jej dawał, i zjadała wszystko, co jej przynosił. Z jedzeniem wieczorem nie było problemu. Wiedziała, że rano, przed jego wyjściem, będzie mogła skorzystać z łazienki - prawdziwej łazienki. Prowadził ją do małego, wykafelkowanego na biało pomieszczenia, z zawiązanymi oczami i skrępowanymi rękami, ale kiedy już była w środku, rozwiązywał jej ręce, zdejmował z oczu przepaskę i zostawiał ją samą na piętnaście minut.

Podczas tych długich godzin, kiedy go nie było, siedziała na ławce albo stała oparta o ścianę i patrzyła na zasłonięte drucianą siatką okienko, przez które nic nie widziała - i marzyła o brzoskwiniach. Albo słodkich truskawkach. Wiedziała, że jest lato; wyobrażała sobie owoce w sklepie, w małych drewnianych koszykach, maliny w kolorze rubinu. I łaknęła lodu. Kostek lodu do ssania, do zwilżenia spieczonych warg.

W małej zaciemnionej przestrzeni wielkości szafy, która nie była przeznaczona do tego, żeby jakaś ludzka istota w niej mieszkała, usiłowała zachować zdrowe zmysły, wyobrażając sobie strony rękopisu swojej książki i w myślach je przerabiając.

Pracowała nad słowami, ale skoncentrować się było trudno. Marzenia o świecie zewnętrznym prześladowały ją z obsesyjną siłą.

Jak naprawdę pachnie słodkie letnie powietrze? Jak odczuwa się wiatr?

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Światło było tak silne, że ją oślepiło. Zerwał taśmę z jej ust. Wargi miała popękane i suche, i kiedy nimi poruszyła, ból stał się nieznośny.

Potem znów wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Usłyszała szuranie drewna o drewno i wiedziała, że przysuwa krzesło do drzwi. Teraz siadał po drugiej stronie kratki, gotów wysłuchać jej grzechów. Gotów ją rozgrzeszyć i torturować dalej.

- Myślałaś o swoich grzechach? - spytał.

- Myślałam. - Znała już schemat i wolała się tego trzymać, niż próbować myśleć logicznie i go przechytryć, czy choćby się zastanawiać, o co w tym chodzi.

Czekał, by powiedziała coś szczególnego. Ale co? Może by w końcu do tego doszła, gdyby nie była tak skołowana.

- Wyznaj mi swoje grzechy - poprosił.

Była katoliczką i w dzieciństwie się spowiadała, ale wtedy to było proste. Ona i jej koleżanki zbierały się tuż po spowiedzi, by porównać, co powiedziały, do czego się nie przyznały, i jaką ksiądz wyznaczył im pokutę. Zwykle Cleo dostawała najłżejszą. Nie dlatego, że najmniej grzeszyła, lecz dlatego, że najlepiej kłamała. Teraz też mogła kłamać.

- Cudzołożyłam.

- I szczerze tego żałujesz?

- Tak.

- Dlaczego, moje dziecko?

- Bo degradowałam akt seksualny.

- A to dlaczego?

- Bo akt seksualny jest zastrzeżony dla małżeństwa. I ma swój cel. Prokreację.

- Czy popełniłaś inne grzechy?

- Tak, ojczec.
- Wyznaj je.
- Używam środków antykoncepcyjnych. Biorę pieniądze za uprawianie seksu. Sypiam z mężczyznami innych kobiet.
- Jak się z tym czujesz?
- Czuję się winna. Odbywam karę. Wiem, że to kara za moje grzechy.

Teraz była aktorką. Tak jak była nią w pracy, kiedy robiła to, czego życzyli sobie jej faceci i za co tak dobrze jej płacili. Wtedy przestawała być sobą. Osoba, którą była naprawdę, opuszczała jej ciało. Usuwała się, stawała z boku, a jakieś obce kobiety zajmowały jej miejsce, wstępowały w jej ciało i umysł.

Ta inna kobieta, ta aktorka, która urodziła się trzynaście lat wcześniej, gdy Cleo miała czternaście lat, która została powołana do istnienia, by chronić Cleo przed ojczymem, nie czuła strachu.

Ona po prostu kłamała.

Kłamała, mówiąc, jak świetnie mężczyźni wyglądają, jak dobrze pachną, jak cudownie są zbudowani, jacy są inteligentni, jacy zabawni, jakimi dobrymi, wspaniałymi, fantastycznymi są kochankami, jak hojnie wyposażyła ich natura, jak wielkie i grube są ich pały, i jak cholerną sprawiają jej rozkosz, kiedy w nią wchodzi. Ta aktorka, myślała Cleo, która nie miała imienia, bo nigdy nie rościła sobie prawa do własnego imienia, teraz stała u jej boku i walczyła o jej ocalenie.

Ona nacierała, a Cleo usuwała się w cień. Wkrótce miało jej nie być w tej drewnianej celi, która pachniała mocnym kościelnym kadzidłem i cedrowym drzewem. Wiedziała jednak, że kiedy on znów wyjdzie, aktorka się wycofa, ustąpi miejsca Cleo, pozwoli jej odetchnąć.

Ona, prawdziwa Cleo, nie będzie musiała nic pamiętać z tego, co wydarzyło się wieczorem. Aktorka weźmie to brzemie na swoje barki.

Teraz mówiła aktorka. Przemawiała przez usta Cleo, wypowiadając słowa, których Cleo nawet nie rozumiała.

- To są twoje grzechy i to będzie twoja pokuta - mówił. - Pewnego dnia będziesz tak czysta, że aureola zaświeci nad twoją głową. Ale na razie wciąż jesteś brudna. I musisz się modlić.

Potem Cleo już nic nie słyszała.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Przeszliśmy spacerkiem cztery przecznice z restauracji do mieszkania Noaha na rogu Broadway i Jedenastej. W blasku latarni lśniła mosiężna gałka u drzwi z kutego żelaza.

- Z jakiego okresu jest ta kamienica?
- Początek lat dwudziestych dwudziestego wieku.

Podziwiałam zdobienia na drzwiach w stylu art nouveau. Kiedy weszliśmy do środka, odwróciłam głowę. Od strony klatki schodowej ornament był ledwie widoczny. Wnętrze było równie ozdobne. Fragmenty posadzki z biało-czarnych ośmiobocznych płytek ceramicznych były popękane, ale to nie psuło ogólnego wrażenia.

We wzorze na tapetach ściennych rozpoznałam Williama Morrisa. Splotywały przez lata, niebieskie kwiatki z musztardowożółtymi środkami i soczyście zielone liście przywoływały na myśl inną epokę. Schody z mocno żyłkowanego białego marmuru miały wytarte stopnie.

- Mam uczucie, jakbym się przeniosła w inne stulecie - powiedziałam.

- Żartujesz. Poczekaj, aż zobaczysz kuchnię i łazienkę. Moja wanna stoi na zwierzęcych łapach.

Dwa piętra wyżej Noah otworzył drzwi do swojego mieszkania, zapalił światło i wpuścił mnie przodem do środka. Pokoje miały wysokość około trzech i pół metra, ściany, do połowy wysokości wyłożone dębową boazerią, nadawały wnętrzu przyjemnie ciepły nastrój.

Podłogi, przykryte rozłożonymi na chybił trafił orientalnymi dywanami, były również dębowe. Okna, obramowane bogato zdobionymi gzymsami, wychodziły na tylny dziedziniec kościoła.

Meble były proste, ale tradycyjne. Kanapa, krzesła i stół reprezentowały dobre rzemiosło artystyczne. Wzory wszystkich obić w stylu Williama Morrisa. Litografie i plakaty na ścianach z tej samej epoki schyłku dziewiętnastego wieku. W jednym z rogów salonu stał fortepian buduarowy.

Z salonu wchodziło się do małej kuchni z przeszklonymi szafkami, starą kuchenką i zlewozmywakiem, które pomimo wieku były w nienagannym stanie.

Wszystko było wysmakowane, po męsku powściągliwe, ale piękne.

- Jestem pod wrażeniem.

- Bo mam gust?

- Nie. Myślę o jakości tych wszystkich replik. Wyglądają oryginalnie.

- Dlatego tu są.

Nie mogłam go oczywiście zapytać, jakim cudem mógł sobie na to wszystko pozwolić, żyjąc z policyjnej pensji, ale Noah czytał w moich myślach.

- Napisałem kilka muzycznych kawałków, które zostały wydane.

Nie sprzedaję dużo, ale to, co sprzedałem, wystarczyło.

- To, co dzisiaj grałeś? To były twoje kompozycje?

- Niektóre.

Pokręciłam głową.

- Potrafisz to robić, a jednak trzymasz się pracy w policji?

- Tak jest, proszę pani.

- Mogę spytać dlaczego?

- Bycie detektywem jest częścią mnie. To jest to, co robił mój ojciec. To, co zawsze chciałem robić. Gram na fortepianie dla przyjemności, na pełnym luzie. Potrzebuję tego dla równowagi. Ale przede wszystkim jestem gliniarzem.

Pokiwałam głową.

- Ty przecież z tych samych powodów robisz kamienne rzeźby.

Nie było o czym mówić. Nigdy nie rozmawiałam o swoich rzeźbach i nigdy nie myślałam o nich w języku słów. Te abstrakcyjne bryły nie były czymś, co chciałam poddawać czyimkolwiek ocenom czy pytaniom. Przeszwały się dla mnie liczyć w momencie, gdy były skończone. Sam proces, sama praca nad nimi utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach, gdy zawodziło wszystko inne.

- Mogę cię czymś poczęstować? - spytał.

- Nie, dziękuję.

Nagle poczułam się nieswojo. Brakowało mi doświadczenia, pewności siebie, byłam zmęczona. Dziwne, ale z jakichś powodów Noah przestał mnie pociągać, a to, że znalazłam się w jego mieszkaniu, uznałam za błąd.

Ni stąd, ni zowąd, poczułam się jeszcze bardziej przerażona niż byłam w Diabłu, z klientami Cleo.

- Usiądź, proszę. Pójdę zrobić kawę.

Wszedł do kuchni. Spojrzałam na zegarek. Gdybym teraz wyszła, dostałabym się do domu i poszła spać przed jedenastą.

- Jedna łyżeczka cukru? - zawołał z kuchni.

- Tak, dziękuję.

- Może z dodatkiem brandy? Albo sambuca?

- Nie, dziękuję.

Przyniósł dwa kubki, postawił na stoliku przy kanapie i usiadł obok mnie. Pociągnęłam łyżeczkę kawy i skrzywiłam się. Była za gorąca, za mało słodka. Czułam gorycz cykorii.

- Wiesz co, powinnam już sobie pójść. To nie był dobry pomysł.

Patrzył na mnie przez długą chwilę. Potem skinął głową.

- Odwiozę cię.

- Nie.

- Nalegam.
- Nie wygłupiaj się. To niedaleko.
- Dobra. Więc zejść z tobą na dół i złapię ci taksówkę.
- Zbędny kłopot. Jesteś wykończony. Jest mnóstwo taksówek.
- W porządku. Ale najpierw powiedz, co się stało. Raptem ni stąd, ni zowąd wyglądasz, jakbyś miała wyskoczyć ze skóry.

Wzruszyłam ramionami.

Pochylił się i pocałował mnie, ale tym razem nic między nami nie zaiskrzyło. Dwoje oddzielnych ust, które zetknęły się ze sobą, a nie połączyły.

Próbował przełamać moją rezerwę, ale odbierałam to jak napaść. Wszystkie zapachy, dotknięcia były naruszeniem mojej nietykalności. Jego skóra na moim policzku była szorstka, ciepły dotyk jego ręki - nieprzyjemnie gorący. Uciekając przed jego pocałunkiem, jego zapachem i jego dłońmi, przesunęłam się gwałtownie na brzeg kanapy i sięgnęłam po kawę.

- Nie potrafię ci wyjaśnić... - zaczęłam.
- Nie proszę cię o to.
- Ale powinnam.
- Nie, Morgan, nie musisz.

Zdziwienie musiało być widoczne na mojej twarzy.

- Nie przywykłam do tego, żeby ludzie mi mówili, co mam robić, a czego nie.

- W to wierzę, ale nie jesteś teraz gdzieś tam, z jakimiś „ludźmi”. Jesteś tutaj. Siedzisz tu sobie, i mnie się ten widok bardzo podoba. Nikt jeszcze nie siedział w tym miejscu w ten sposób i nie wyglądał tak właściwie jak ty, więc zrób mi przyjemność. Nie starajmy się dociec przyczyn pewnego niepowodzenia. Po prostu zostań jeszcze chwilę i posłuchaj ze mną muzyki. Nie musisz robić nic więcej. Potem odwiozę cię do domu.

Uśmiechał się do mnie. Nie takiej miny spodziewałabym się po mężczyźnie, który przed chwilą został odtracony.

Teraz, już bez żadnej presji, powinnam zostać i pozwolić odwieźć się do domu. To mogło scementować na powrót naszą współpracę zawodową. Mogło złagodzić napięcie.

Noah wstał, podszedł do odtwarzacza CD, przejrzał stertę płyt, wyjął tę, która była w środku, i włożył nową.

Mieszkanie wypełniła cicha nastrojowa muzyka, taka, jaką lubiła moja matka. Stare gwiazdy piosenki śpiewały swoje przeboje: Frank Sinatra, Tony Bennett, Ella Fitzgerald, Nat King Cole.

Sączyłam kawę, oswajałam się z jej goryczką i zaczynałam dochodzić do wniosku, że mi całkiem smakuje.

Noah usiadł na krześle ukośnie do kanapy. Jego oczy były skupione na jakimś punkcie po mojej prawej stronie.

Przez dziesięć minut nie odezwał się słowem, a ja sobie siedziałam, słuchając muzyki, zapominając, że powinnam coś zrobić albo coś powiedzieć, albo wytłumaczyć się, albo spróbować wyjaśnić sytuację.

Potem wyjął dwa kieliszki i nalał do obu brandy. Przysunął jeden do mnie, podniósł swój, wciągnął w nozdrza zapach i upił łyczek.

- A więc powiedz mi, jak oddzielasz to, co robisz zawodowo, od tego, kim jesteś?

- Nie jestem pewna, co masz na myśli.

- Słuchasz przez cały dzień ludzi, którzy opowiadają o swoim życiu seksualnym. O tym, co ich podnieca, a nie powinno. A przynajmniej oni uważają, że nie powinno. O tym, co ich kręci w łóżku, a co nie. Jestem pewien, że słyszysz to wszystko, co ja oglądam. Przemoc, sadomaso, krępowanie sznurem, autoerotyzm, bajki bez szczęśliwego zakończenia, prostytutki, które pieprzą się dla pieniędzy na narkotyki, na katujących je alfonsov, na buty od

Gucciego... różne gówna. Wszystko to jest mało przyjemne. Sześć lat praktykowania jako seksuolog, wcześniej kilka lat jako psychiatra ogólny. W jaki sposób od tego uciekasz?

Patrzyłam na lśniące w kieliszku brandy.

- Nie uciekam. Nie chcę.
- Ale powinnaś, prawda?
- Kiedy jestem ze swoją córką, z Dulcie, nie myślę o pacjentach.
- No tak, pewnie posiadanie dzieci nieco pomaga.

Czułam, że coś mnie dławi. Upiłam trochę alkoholu.

To był mój pierwszy łyk i tak mocno zapiekło mnie w gardle, że musiałam zakasłać. Noah wpatrywał się we mnie. Twardo, nie pozwalając mi umknąć wzrokiem.

- Ale kiedy jej nie ma, oni prześladują cię w myślach, prawda?
- Prześladują mnie myśli o tym, jak im pomóc. Problemy niektórych pacjentów są tak przygnębiające, że trudno jest się od nich odciąć tylko dlatego, że skończył się dzień pracy. Nie przestaje się myśleć o kobiecie, która chce, żeby partner ją wiązał i w masce na twarzy traktował dziewięciorzemienną dyscypliną. Ale nie chodzi tylko o krańcowe dewiacje. Są kobiety, które łakną bólu, i mężczyźni, którzy łakną poniżenia.

Pary, które nie rozumieją, że uwodzenie jest równie ważne jak seks, które zapomniały o sztuce dotyku, którym łatwiej jest tracić czas na wydawaniu pieniędzy, niż spędzać go razem. Każda część ciała jest powiązana z czyimiś problemami, z czyimiś obsesjami.

- Więc co robisz, żeby się od tego wszystkiego oderwać?
- To też jest jakaś umiejętność zawodowa, wiedzieć, jak to zostawić... - Mój głos stał się bardziej gorzki. Podobnie jak kawa. I to mnie zdziwiło. - Nie umiem się od tego oderwać. Widzę życie swoich pacjentów jak sceny z filmu przewijające się w moim mózgu, kiedy kładę się wieczorem do łóżka. Próbuję wymyślić, co im powiem. Co

mogę poradzić, jak mogę nimi pokierować, jak głęboko mogę ingerować. To jest to, co robię.

Kiwał głową, słuchając, pochylając się ku mnie.

- Ale gdzie w tym wszystkim jesteś ty?
- Nie myślę o tym. - Mnie samej mój głos wydał się słabutki.
- Co się stało z twoim małżeństwem?

- Ja byłam szczęśliwa w małżeństwie. To Mitch powiedział, że to nieuczciwe, z jego i z mojej strony, żebyśmy żyli tak dalej. Seks to wspaniała rzecz... ale seks uprawiają także zwierzęta. Zwierzęta nie mówią, nie dzielą się swoim bólem w taki sposób, jak robią to ludzie. W seksie nie ma niczego aż tak świętego, żeby rozbijać z jego powodu rodzinę. - Słowa wylewały się ze mnie jak głupie łzy, które płynęły po moich policzkach. Byłam zażenowana, ale zbyt rozstrojona, by coś z tym zrobić. - To, jak ludzie wywracają swoje życie do góry nogami dla seksu, może być groźne. Zapominają, że nie sam akt się liczy, nie samo zaspokojenie, ale również to, że ludzie się wzajemnie potrzebują.

- Myślisz w ogóle o tym, że ktoś mógłby cię znów dotykać? - spytał.

- Oczywiście.

- Ale?

- Ale co?

- Ale dlaczego cię zmroziło, jak tylko się zorientowałaś, że chcę cię dotknąć?

- Każde bez wyjątku zachowanie seksualne należy już do kogoś innego. Kobiety i mężczyźni, którzy mi się zwierniają, robią ze sobą te wszystkie rzeczy. A ja słucham, kiwam ze zrozumieniem głową. Wkraczam do ich sypialni, niewidzialna i milcząca, robię notatki, filmuję ich i robię im zdjęcia. A potem idę do domu, jem kolację z Dulcie, pomagam jej przy lekcjach. Oglądamy film, ona idzie spać. A ja idę do swojej pracowni i ciosam kamień.

- Czego szukasz w kamieniu?
- Nietkniętego miejsca.

Położył rękę na moim ramieniu, ale to nie był gest seksualny, tylko nawiązanie kontaktu. Budował więź.

- Kiedy obrabia się kamień, słychać ten dźwięk dłuta ryjącego w marmurze. Jest głośny. Słyszałeś to kiedyś? - zapytałam.

- Nie. Jak głośny jest ten dźwięk?

Czułam jego palce na swojej dłoni. Falami przenikał mnie jego żar.

- W moich uszach brzmi jak wiertarka udarowa, ale ona nie zagłuszyłaby dźwięku dłuta na marmurze.

Jego ręka powędrowała w górę przez mój nadgarstek, wyżej do ramienia, i nagle drugą ręką odgarnął mi włosy z twarzy. Pochylił się bardziej. Teraz odezwał się prawie szeptem:

- Czy ten dźwięk zagłusza głosy pacjentów?
- Tak.

Nie całował mnie, ale czułam jego wargi przy moim uchu, kiedy mówił. Delikatny nacisk, lekki deszczyk. Prawą ręką odpinał mankiet mojej bluzki, podczas gdy lewa ręka gładziła miejsce za uchem. To nie była strefa erogenna, ale naga skóra. I to wysłało sygnał alarmowy, szokujący dreszcz w głąb mojego ciała.

- Ale te głosy wracają, prawda, Morgan? Obrazy zaczynają tłoczyć się w twoim mózgu i znów słyszysz pacjentów? Dotykanie, całowanie, pieprzenie się - to wszystko staje się wyłącznie słowami, samymi obrazami, na których są inni ludzie, ale nie ty?

Jego palce wciąż były na tym skrawku skóry za uchem, a ja odczuwałam to bardziej jak wiatr niż czyjś dotyk. Na moment zgubiłam sens jego słów, bo po raz pierwszy od dawna doznanie zmysłowe obezwładniało moje myśli.

- Jak się z tym wszystkim czujesz?

Powinnam się była roześmiać z tego, jak on zdobywał nade mną przewagę i zadawał te wszystkie pytania.

- Złoszczę się. Chcę pomóc pacjentom odnaleźć swoje wnętrze, umieć kochać, polubić swoje ciała i swoich partnerów, tylko że tego samego chcę też dla siebie.

Pocałował mnie, ale nim zdążyłam zareagować, jego usta były na mojej szyi i jeszcze niżej. Całował mój dekolt, wrócił do szyi, znacząc pocałunkami drogę, przywierając wargami do obojczyka, używając zębów. Drżąc, przysunęłam się do niego bliżej. Jakimś cudem przebijał się przez moją skorupę, docierał do mnie, po tak długim czasie.

- Co robisz, kiedy się złościsz? - Zajął się resztą guzików mojej bluzki, po czym nagle zsunął ją z moich ramion i ściągnął rękawy.

Materiał ześlizgujący się po skórze był jeszcze jednym czułym objęciem, jak gdyby Noah przepoił bluzkę erotyczną mocą, sprawiając, że sam kontakt z jedwabiem stał się rodzajem pieśczoły.

- Co mogę zrobić? - spytałam.

- Możesz mi o tym opowiedzieć, Morgan.

- Chcę odnaleźć własne obrazy. - Nie myślałam o sensie swoich słów, tylko o tym, jak miękkie są włosy tego mężczyzny na mojej piersi, jak gorący jest jego oddech na moim brzuchu i o tym, jak jego dłonie usuwają napięcie z moich ramion.

Czym była ta dziwna kombinacja psychicznej rzezi, masażu i gry miłosnej? Co my robiliśmy? Nie chciałam przestać, żeby się nad tym zastanowić. Drżałam, chciałam go mieć jeszcze bliżej. W końcu uniosłam ręce do jego ramion, po całym tym czasie, kiedy on dotykał mnie, i zacisnęłam palce na jego mięśniach.

- Morgan, opowiedz mi o wszystkich złych rzeczach, które zdarzyły się w twoim życiu, o tym, co starasz się usprawiedliwiać, bo jesteś zbyt inteligentna, żeby pozwolić sobie na wściekłość.

- Niczego nie usprawiedliwiam.

- Bzdura.

Niemal natychmiast moje ręce wystrzeliły w górę, mocno zaciśnięte, i go zaatakowały. Aż dziw, że z taką łatwością okładałam go pięściami, podczas gdy on mnie całował. Tłukłam go z całej siły, a jego pocałunki były delikatne. Ledwie muskał językiem mój język, bawiąc się w chowanego, drażniąc mnie, tyle samo skąpiąc, co dając.

Obejmował moje plecy, przyciskał mnie mocno do siebie. Nie chciałam tego; chciałam go odepchnąć i powalić na ziemię. Rzucić się na niego i zrobić mu krzywdę.

Przerwałam na chwilę, żeby rozpiąć i zerwać z siebie spodnie, a potem zabrałam się do niego, walcząc z guzikami i jego rozporkiem. Nie pomagał mi. Miotalam się ze wściekłą energią, która gromadziła się od tak dawna. Poroniona pasja, dla której nie znajdowałam żadnego ujścia, eksplodowała. Wybuchły uczucia, co do których żywiłam pewność, że już we mnie nie istnieją.

Kiedy już leżeliśmy nadzy na podłodze, zwarci w uścisku, gdy jego palce poruszały się tak delikatnie, jakby motyle siadały na mojej skórze, przeszywając setką elektrycznych dreszczy całe ciało, sprawił, że chciałam dać mu więcej z tego, co było ukryte głęboko we mnie.

- To jest coś. Teraz to jest prawdziwe - wyszeptał. - Prawda?

Topniała we mnie złość, ustępując miejsca czemuś gorącemu, gęstemu i słodkiemu, co pulsowało w moich żyłach.

To była dzika potrzeba. Nie miłość ani nawet nic tak zdrowego jak pożądanie, tylko zwykła potrzeba. Wszystko odeszło. Nie było we mnie nawet wspomnień tej rzeczy z jakiejś dawno zapomnianej studenckiej nocy czy młodzieńczych zalotów. Moje myśli nie biegły logicznym torem. Uniosłam się nad nim, wysoko, by go widzieć, by chłonąć to oczami, ten przedmiot, który miałam pod sobą. Tę rzecz, której tak strasznie potrzebowałam.

Ześliznęłam się w dół jego ciała. Chwyciłam oburącz jego stopy, pochyliłam się i powędrowałam w górę, używając zębów, języka i warg, smakując jego skórę, wdychając jego zapach. Zatrzymałam się, żeby sięgnąć między swoje nogi, i wilgotnym palcem powiodłam w górę po jego nodze. Znaczyłam go niczym w jakimś pierwotnym rytuale, a gdy zobaczył, co robię, wziął moją rękę i zachęcił, żebym zrobiła to jeszcze raz. Dotykałam się i malowałam go własną wilgocią. Jego uda, jego brzuch, jego tors, jego sutki. Jego męskość. Otaczał mnie zapach, w jakim nie zanurzałam się nigdy dotąd. Mój własny zapach. Na mężczyźnie. Na caluteńkim mężczyźnie.

Podniósł mnie, zobaczył moją zdumioną twarz i roześmiał się.

- Nie jestem do tego przyzwyczajona - powiedziałam.
- To dobrze.
- Nie podoba mi się to.
- Szkoda.
- Masz pełną kontrolę - jęknęłam, kiedy niósł mnie do sypialni.
- Tak. - Znów się roześmiał. Bardziej gardłowo.

Słyszałam, że takim intymnym śmiechem porozumiewają się pary na wieczornych przyjęciach, myśląc, że nikt ich nie słyszy.

- Co za tortura. Biedna doktor Morgan Snow straciła kontrolę. Właśnie tak będzie ze mną. Będziesz miała kontrolę, a potem ja ją będę przejmował. Będziemy z sobą blisko. I to jest najgorsza rzecz, jaką możesz sobie wyobrazić, tak? Nie spodoba ci się, prawda?

- Nie, nie spodoba mi się.
- Cii. - Uciszył mnie pocałunkiem i położył na niezasłanym łóżku, które było nasyczone jego zapachem.

Przewróciłam się na brzuch i zanurzyłam głowę w jego poduszce, czując pod sobą chłodną bawełnianą pościel i zimne powietrze z klimatyzatora owiewające mi plecy. Rozkoszując się bukietem woni na

poduszce, na chwilę przestałam o nim myśleć. Zapomniałam o wszystkim, wdychając całkiem inny świat.

I nagle Noah osunął się na mnie. Jego ramiona na moich ramionach, tors na moich plecach, jego brzuch na moim krzyżu, wierzch ud na tyle moich ud. Otulił mnie całą i już nie było zimnego powietrza, tylko skóra ogrzewająca mnie... nie, rozpalająca mnie... kiedy wsunął się we mnie... i długi, powolny, bolesny jęk wymknął się z moich ust. Przecignięte słowo „tak” zabrzmiało jak nieartykułowany dźwięk.

Poruszał się tak, jak grał jazz. Improwizował, wygrywał akordy i riffy w bluesowym stylu. Nigdy szybko, tylko subtelnie prowadząc temat, zmieniając rytm i tonację. Tańczyłam z nim do muzyki, jakiej nigdy w życiu nie słuchałam.

Byliśmy mokrzy, spoceni mimo chłodu, poruszając się razem z pasją, starając się nie dotrzeć za wcześnie do końca, wygrywając każdą nutę starannie i bez pośpiechu, w pewne klawisze uderzając mocno, w inne dużo łagodniej.

Kiedy już myślałam, że przestanę oddychać i rozpadnę się na kawałeczki, przewrócił mnie na plecy, ostrożnie, a potem przyglądał mi się bez słowa.

Dyszeliśmy oboje. Wziął szklankę wody z szafki nocnej, upił trochę, pochylił głowę i napił mnie wodą ze swoich ust. Kompletnie zaskoczenie nie zmąciło przyjemności.

- Jeszcze... proszę...

Nie wiedziałam, o co proszę. O więcej wody? Więcej jazzu? Więcej jego grania?

Wziął w usta więcej wody, ale tym razem, zamiast mnie napić, zwilżył mój dekolt, moje piersi i szyję. I znów zaczął się we mnie poruszać. Powoli, wybijając nowy rytm, który był teraz bardziej

natarczywy i mniej łagodny. Dla mnie wciąż za wolny. Spieszyło mi się, wyrzucałam do góry biodra, ale nie pozwolił mi zmienić tempa.

- Żadnej kontroli, Morgan - rzekł z uśmiechem.

I wtedy się poddałam. Opuściłam sobie, przestałam istnieć. Jeśli kołatały się we mnie resztki myśli, zagłuszyła je fala doznań. Poruszał się wciąż tak wolno, że to zmieniło się w pewien rodzaj bólu. I był też prawdziwy ból, bo unosiłam się gwałtownie, całowałam jego ramiona, szyję, gryząc go i czując jego zęby na sobie.

Znalazł miejsce w zagłębieniu nad moim obojczykiem - przypadkowo, bo je znał, bo nasze ciała były dla siebie lustrzanym odbiciem, boja znalazłam to miejsce na jego ciele, nie wiedząc o nim. To było bez znaczenia, znalazł to miejsce, pięciocentymetrowej średnicy kółko, i pocałował je, a potem wgryzł się w nie, a ja się wyprężyłam z krzykiem. Miałam wrażenie, jakby to, co czułam między nogami i wrażliwość tego miejsca były połączone przewodem pod napięciem, i on go szarpał. Elektrowstrząsy. Ogień. Ból. Napady zimna, fale żaru. Dźwięki. Głośne przeciągnięte nuty. Muzyka. Promieniście rozchodzące się kręgi. Nie było już niczego więcej.

Zamknięte oczy. Skóra. Zęby. Uczucie pełni w środku. Zbyt dużej, zbyt przejmującej pełni. I za dużo wrażeń. Jakaś siła unosząca mnie w górę, szybowanie w powietrze, wirowanie, ból, wszystko poza kontrolą, jego włosy na moich policzkach, jego usta na moich ustach i znów w tamtym miejscu, podczas gdy wwiercał się we mnie, a ja kołowałam na krawędzi otchłani, bez wytchnienia, aż kręgi się rozplynęły, a ja razem z nimi, drżąc i coś wykrzykując, wbijając paznokcie w jego plecy, żeby mieć go w sobie głębiej i jeszcze głębiej, żebym mogła zapaść się wreszcie w tę otchłań, która otworzy mnie bezgranicznie, bez reszty.

Ale to nie nadchodziło, choć ciągle się do tego zbliżałam. Jak można aż tyle czuć po tak długim czasie i pozwolić się temu wymknąć?

On też o tym wiedział. Czekał tak długo, jak mógł. Przeciągał każdą sekundę doznania jak najdłuższą nutę, jaką muzyk zdolny jest wygrać na fortepianie. I nagle znieruchomiał. Zapadła cisza. Oboje wstrzymaliśmy oddech.

Było tylko łóżko i nasze ciała, i pustka pełni, którą czułam. Wycieńczony umysł, nasycony uczuciem zadowolenia. Oboje czekaliśmy, wciąż połączeni jego czubkiem, gotowym wsunąć się we mnie z powrotem. Oboje powstrzymujący się, powściągający pragnienie. Noah, wsparty na łokciach, patrzył na mnie.

Kiedy otworzyłam oczy, pochwyił mój wzrok.

Oczekiwanie. Więcej ciszy.

Wtem uśmiechnął się jak mały chłopiec, tajemniczo.

- No, Morgan. Dalej, ze mną - wyszeptał śpiewnie.

Osunął się na mnie i wszedł do środka, a nagle zdziwienie, szybkość, ciężar, pełnia, przyspieszony rytm i nowe tempo oraz ten intensywny, czysty ból po tylu godzinach wabienia mnie i kuszenia były tym, czego potrzebowałam. I w końcu to nadeszło.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Następnego dnia o świcie zrobił na śniadanie puszyste omlety z dojrzałymi letnimi pomidorami, soczystymi i mięsistymi, podduszonymi z serem gruyere. Najedliśmy się do syta, a na deser były jeszcze obiecane pączki posypane cukrem pudrem i ta gorzka kawa, która smakowała mi znacznie bardziej rano niż wieczorem.

Siedziałam opatulona w jego o wiele dla mnie za duży frotowy szlafrok. Nie pozwalał mi niczego robić. I dobrze, myślałam, niech się dzieje, co chce. Odnalazłam coś, z czego braku nawet nie zdawałam sobie sprawy, a to sprawiło, że część mojej złości wyparowała.

Jedząc, rozmawialiśmy o różnych głupstwach. Noah pytał, co lubię robić, gdzie byłam, dokąd chciałabym pojechać.

- Nie za wiele podróżowałaś. - Wydawał się zdziwiony.

- Za ciężko pracowałam, a wakacje były skomplikowane.

Skłaniały mnie do myślenia. Skoro nie mogłam mieć przy sobie pacjentów zaciemniających moją własną rzeczywistość, to łatwiej było nie wyjeżdżać, chyba że zabieraliśmy ze sobą Dulcie.

- Pojedziemy do Europy - obiecał, kiedy dolał mi kawy i wsypał trochę cukru.

Skinęłam głową.

- Lubisz plażę?

- Tak.

- Jak tylko ta sprawa się rozwiąże, wsiądziemy do samochodu i pojedziemy nad ocean. Będziemy pływać. I będzie tylko troszeczkę za zimno.

- Całkowicie przejmujesz dowodzenie?

- Wymyślisz jakiś sposób, żeby to wyrównać, ale na razie tak. Będziemy kochankami i będziesz szczęśliwa, no i zastanowimy się, jak to wszystko zrównoważyć.

Zadzwoił telefon, brutalnie przypominając, że poza tym mieszkaniem jest jakiś świat. Oboje, jakbyśmy prawie o tym zapomnieli, gapiliśmy się na wiszące na ścianie urządzenie.

Z desperacją w oczach Noah sięgnął po słuchawkę.

- Jordain - rzucił, a potem długo słuchał.
- Ile miejsc sprawdziliście?

Wstałam i poszłam do łazienki wziąć prysznic. Kiedy wróciłam, stół był sprzątnięty po śniadaniu, a teraz leżało na nim mnóstwo papierów. Notatki, wydruki komputerowe i faksy.

- Mają trop - wyjaśnił. Podeszłam i stanęłam obok.

- To jest lista wszystkich hurtowni zaopatrujących kościoły, które w ciągu ostatniego pół roku miały zamówienia na damskie habitę. Kto je zamówił, w jaki sposób za nie zapłacono i dokąd zostały wysłane. Po analizie wszystkich szczegółów udało nam się to w końcu zawęzić do czterech miejsc. - Podsunął mi listę.

Krew zaczęła pulsować mi w żyłach inaczej niż wieczorem, ale z taką samą intensywnością.

Sześć habitów wysłano do klasztoru Świętej Marii w Minneapolis, cztery do zakonu Matki Boskiej Kwietnej w Southampton w stanie Nowy Jork, sześć kolejnych do parafii Świętego Franciszka z Asyżu w Bernardsville w stanie New Jersey i pięć do Matki Boskiej Bolesnej w St. Martin, N.A.

Włoski na karku stanęły mi dęba. N.A. Znałam te inicjały, ale nie wiedziałam skąd. Gdzieś w ciągu ostatnich trzech tygodni musiałam się na nie natknąć. Wskazałam je palcem.

- Co to jest N.A.?
- Netherland Antilles. Antyle Holenderskie. Czy to ci coś mówi?

- Nie wiem. Tak mi się zdaje, ale nie wiem dlaczego.

- Jeden z naszych ludzi bada wszystkie te adresy. Może będziemy mieli szczęście i znajdziemy powiązanie. Może w jednym z tych miejsc była kradzież, albo któreś było używane jako skrzynka kontaktowa. Występujemy o pokwitowania odbioru, nakazy sądowe, wezwania świadków. Ale jest pieprzony weekend i możliwe, że nie będziemy w stanie zdobyć wszystkiego co trzeba przed poniedziałkiem. Muszę jednak iść do biura.

- W porządku. Okej.

- Zostaniesz tu?

Byłam zaskoczona. I uśmiechnęłam się.

- Jestem umówiona na lunch z Dulcie i Michem.

- Wrócisz tu później?

- Nie wiem. Zadzwoń do ciebie.

- Okej. - Miał uniesione brwi. Starał się czytać w moich myślach, a ja mu tego nie ułatwiałam.

Znów zadzwonił jego telefon.

- Jordain.

Już miałam pójść do łazienki, by się przebrać, ale zatrzymały mnie nagła konsternacja na jego twarzy i nerwowy sposób, w jaki jego palce grały na wymaginowanej klawiaturze.

- Kiedy to przyszło? - Słuchał kogoś, kto przekazywał mu wieści.

- Kiedy laboratorium będzie miało wyniki? - Znów słuchał. - Okej. Będę za godzinę. Odłożył telefon.

- Co się stało?

- Morgan, potrzebuję twojej pomocy.

Miał głos zmęczonego człowieka, mimo że zaledwie godzinę wcześniej wstał z łóżka. Kiwnęłam głową.

- Chodzi o Cleo.

Teraz mój kark pokryła gęsia skórka. Wstrzymałam oddech.

- Jeśli jest jakiś związek... a ty uważasz, że jest, chcę pójść tym tropem. Muszę wiedzieć coś więcej o ludziach, z którymi się spotykała.

Pokręciłam głową.

- Morgan, to jest zatajanie dowodów.

- Chronię swoją pacjentkę.

- Ale utrudniasz śledztwo.

- Nie. Robię, co do mnie należy, a ty robisz to, co należy do ciebie.

- Nagle znalazłam się z powrotem w swoim gabinecie, wtedy, gdy poznałam Noaha. Miałam książkę Cleo, a detektyw Noah Jordain wpatrywał się we mnie swoimi stalowymi niebieskimi oczami.

Chciał wiedzieć to, czego nie chciałam mu wyznać.

- To po to była ta noc? To wszystko? Przyprowadziłeś mnie tutaj i uwiodłeś, mając nadzieję, że stracę dla ciebie głowę i po prostu przekażę ci grzecznie książkę i wszystkie informacje? Czy ty masz nie po kolei w głowie? Moim moralnym obowiązkiem jest chronić prywatność swojej pacjentki.

Zachmurzył się, wyprostował i odsunął się ode mnie, jakbym go oblała gorącym olejem.

- Zwariowałaś? Naprawdę myślisz, że chciałem cię wykorzystać?

- Możliwe.

Nic nie powiedział, tylko odwrócił się i poszedł do łazienki. Z każdym krokiem oddalając się ode mnie i sprawiając, że coraz bardziej i bardziej prawdopodobne stawało się to, że miałam rację.

Gdybym się myliła, próbowałby się jakoś bronić. Odparowałby cios, wpadł w złość. Ale on się wycofywał, tak jak zrobiłby każdy na jego miejscu, gdyby czuł się winny.

Usłyszałam leącą z prysznica wodę i zaczęłam sobie wyobrażać, jak młóci jego skórę w taki sam sposób, jak wczoraj wieczorem robiłam to własnymi pięściami.

Podczas gdy był w łazience, zdążyłam się przebrać i wyszłam. Nie zostawiłam żadnego listu.

On tylko chciał tego, czego chciał od początku, ale nie zamierzałam mu tego dać. Nie był do tego uprawniony. Cleo może jeszcze żyć. Jej zniknięcie mogło nie mieć nic wspólnego z innymi morderstwami. Musiałam działać, wychodząc z takiego założenia.

Schodziłam po schodach, wściekła na samą siebie. Wierzyłam, że zależy mu na mnie, podczas gdy cały czas chodziło o informację.

Ja, z całą swoją wiedzą, dałam się nabrać na najbardziej ograna sztukę.

Wyszłam na ulicę, ocierając z policzków łzy. Co jest? Nie miałam zwyczaju płakać, a jednak płakałam.

Z jego powodu? Z powodu faceta, który po prostu wyczuł mój słaby punkt? No i dobrze, pogratulować.

Nie. Pieprzyć go. Po prostu pieprzyć detektywa Noaha Jordaina. I wtedy się roześmiałam, zdławionym resztką łez, ironicznym chichotem. Przecież przez całą noc właśnie to robiłam, prawda?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Wróciłam do domu, jeszcze raz wzięłam prysznic, ubrałam się, zrobiłam kawę, spokojnie ją wypiałam, a i tak była dopiero dziesiąta. Mając całe dwie godziny do spotkania z Dulcie oraz Mitchem i niczego, czym mogłabym je wypełnić, poszłam do instytutu.

Wysłuchiłam wiadomości nagranych na sekretarkę i zrobiłam listę osób, do których powinnam się odezwać. Ostatni zadzwonił Elias, który sądząc po głosie, był jeszcze bardziej przygnębiony niż poprzednio.

Na chwilę wyobraziłam go sobie stojącego u boku Noaha. Obaj, każdy na swój sposób, byli atrakcyjni, ale jakże różni. Elias był wytworny, jak radca prawny w każdym calu. Równie dobrze mogłam zrobić z siebie pośmiewisko, zadając się z Eliaszem, pomyślałam. Miałby mniej powodów, żeby mnie wykorzystać.

- Morgan, zadzwoń do mnie. Dziś rano wysłałem na policję list z żądaniem okupu. Wiem, mówiłaś, żebym tego nie robił, ale jakoś trzeba ich zmusić do szukania Cleo... - Westchnął. Moment ciszy.

W tej ciszy usłyszałam coś, co brzmiało jak głos z telewizji. To była jakaś kobieta - albo młoda dziewczyna - mówiąca płaczącym głosem.

W takim samym nastroju byłam ja. Tak samo czuł się Elias.

Pomyślałam, że do niego oddzwonię i namówię go, by przyznał się policji, że wysłał fałszywkę, ale zaraz potem pomyślałam, że lepiej będzie zatelefonować do Noaha i powiedzieć, że kiedy przyjdzie list z żądaniem okupu, powinien go zlekceważyć.

Nie chciałam jednak rozmawiać z Noahem, ale też nie mogłam zachować tej informacji dla siebie. Wiedząc, ile mają pracy, nie

mogłam przykładać ręki do wpuszczania policji w maliny, kiedy mieli do rozwiązania konkretne sprawy.

Zadzwoiłam do komisariatu i zostawiłam wiadomość. Telefonistka oznajmiła, że może mnie połączyć z Noahem, żebym sama z nim porozmawiała, ale podziękowałam i podyktowałam informację.

- Proszę mu powiedzieć, że żądanie okupu jest fałszywką. Wysłał je Elias Beecher, żeby zmusić detektywa do potraktowania zniknięcia Cleo bardziej poważnie.

Kiedy powtórzyła mi, co zapisała, rozłączyłam się. Jak się później okazało, była to jedyna rozsądna rzecz, jaką zrobiłam tego dnia.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Mitch i Dulcie czekali na mnie w restauracji Boathouse w Central Parku. Siedząc na pomoście przy barierce, oboje odwróceny w stronę jeziora, przyglądali się ludziom w łodziach wiosłującym po gładkiej powierzchni wody. Moja córka i jej ojciec wyglądali razem tak spokojnie i beztrudnie, że przystanęłam kilka metrów dalej i patrzyłam na nich przez chwilę, ciesząc oczy tym widokiem.

Jeśli Mitch i ja popełniłszy dziesiątki błędów, to przynajmniej w przypadku Dulcie postępowaliśmy właściwie. Noc spędzona z Noahem dręczyła mnie teraz coraz bardziej i wiele bym dała, by cofnąć czas i wrócić do momentu, kiedy Mitch po raz pierwszy powiedział, że powinniśmy się rozstać. Tym razem walczyłabym z większym uporem, by uratować nasz związek.

Znów miałam łzy w oczach. Cholera.

Nie czekając, aż któreś z nich mnie zauważy, odwróciłam się i poszłam do łazienki.

Po kilku minutach poczwórnego oddychania i wewnętrznej rozmowy samej z sobą odzyskałam jako taką równowagę. Jako terapeutką wiedziałam, że miniona doba była jak wstrząs sejsmiczny i nawet jeśli moja głowa nie chciała pogodzić się z tym faktem, ciało wiedziało swoje.

Moja skóra, moje usta, ramiona, plecy i uda dotkliwie mi o tym przypominały. Dałam się uwieść, posiąść, zajeździć do bólu. Otworzyłam się - przed Noahem. Kochałam się z nim bez opamiętania. Byłam rozbita na drobne kawałeczki i nie mogłam pozbierać się w całość. Wszystko miałam opuchnięte i odmienione. Nic już do siebie nie pasowało.

Podczas deseru dwukrotnie zadzwoniła moja komórka, ale oba telefony zostawiłam bez odpowiedzi. Sprawdziłam tylko numery na wypadek, gdyby to był któryś z pacjentów w stanie kryzysu.

Okazało się, że nie.

Najpierw dzwonił Elias, potem Nina.

- Mamo?

To był sygnał. Zawsze kiedy Dulcie zaczynała ze mną rozmowę od „mamo” ze znakiem zapytania na końcu, wiedziałam, że zanosí się na coś poważnego.

- Tak, kochanie?

Przeniosła wzrok ze mnie na ojca. To był z pewnością przewidziany moment. Coś wisiało w powietrzu. Coś, o czym już rozmawiali.

Słońce, które przez pół godziny było schowane za chmurami, wyłoniło się z powrotem i rozświetliło rudawe pasemka w jej włosach. Zobaczyłam na jej twarzy napięcie, jakiego nie było tydzień wcześniej. A może było, ale nie zauważyłam tego aż tak wyraźnie. Dulcie powoli stawała się nastolatką. To było coś, co musieliśmy przetrzymać.

Kochałam swoją córkę. Kochałam ją bardziej niż cokolwiek na świecie. Oddałabym dla niej życie, lecz wiedziałam, że czeka nas kilka niezwykle trudnych lat, a jak wie każdy uczciwy rodzic każdej nastoletniej dziewczyny, te nadchodzące lata miały być próbą dla naszego związku.

- Mamo, mam niesamowitą szansę dostać główną rolę w wielkiej sztuce.

Skąd nagle ta zmowa między nimi? Dulcie grała co tydzień w szkole teatralnej, więc na nic takiego nie musieli mnie przygotowywać.

- W jakiej sztuce?

- W nowej muzycznej wersji „Tajemniczego ogrodu”.

Kiedyś to była nasza ulubiona książka. Czytałam ją Dulcie na głos, kiedy miała sześć lat, a gdy nauczyła się wystarczająco dobrze czytać sama, wybrała ją jako pierwszą samodzielną lekturę.

- To wspaniale. W czym problem?

Następne spojrzenie między ojcem a córką.

- O co chodzi, jakieś sceny rozbierane? W takim razie nie, nie zgadzam się.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, lecz Dulcie nadal coś dręczyło. Podczas chwili milczenia, które zapadło po moim pytaniu, rysowała palcem wzory na oszronionej szklance z wodą.

- Dulcie?

- To nie jest sztuka w szkole teatralnej. To ma być wystawione na Broadwayu. Na Broadwayu! Do akademii przyszedł reżyser i przyglądał się, jak pracujemy. Potem poprosił mnie i dwie inne dziewczyny, żebyśmy przyszły w tym tygodniu na przesłuchanie. Więc mogę? Tata powiedział, że wszyscy musimy wyrazić na to zgodę.

Cholerny Mitch. Naprawdę nie mógł się zdobyć na to, żeby mnie ostrzec? Wciąż był dzieckiem, tak jak Dulcie. W ułamku sekundy przypomniałam sobie, że to nie nudny seks ani moja praca oddaliły nas od siebie i zniechęciły do walki o ratowanie małżeństwa. To była jego kompletna niezdolność do stawiania czoła problemom w dorosły sposób.

- Kiedy to ma być?

- W środę o drugiej.

- Nie, pytam o sztukę. Kiedy ma być wystawiona na Broadwayu?

Teraz Mitch przejął pałeczkę, wyjaśniając, że premiera jest zaplanowana na jesień i że producenci zapewnią indywidualne lekcje na cały okres grania sztuki.

Nie zastanawiałam się ani minuty. Nawet sekundy.

- Nie.

- Maamo... - To była błagalna prośba, ale nie podziałała na mnie.

- Nawet nie próbuj mnie urabiać. Ile razy o tym rozmawialiśmy? Co innego, jeśli chcesz grać w szkolnych przedstawieniach czy chodzić na zajęcia letnie do akademii. Ale nie zaczniesz grać zawodowo w wieku dwunastu lat. Nie. To się na pewno nie zdarzy.

- Morgan - odezwał się spokojnie Mitch - wiem, że uważasz, że to dla Dulcie za duża presja, dla każdej nastolatki, robić coś takiego, ale...

Przerwałam mu, odwracając się do mojej córki.

- Wiem, jak bardzo jesteś utalentowana. Wiem, że kiedyś będziesz w tym bardzo dobra, ale to za wcześnie. To nie jest łatwy kawałek chleba. Masz przed sobą całe życie, żeby robić, co zechcesz, ale na razie jesteś po prostu za młoda, żeby zostać profesjonalną aktorką.

Dulcie płakała. Delikatnie, cicho, ale po jej pełnych brzoskwiniowych policzkach płynęły wielkie łzy. Od- sunęłam swój talerz. Przeszedł mi apetyt, żołądek podjeżdżał mi do gardła. Odwróciłam się do Mitcha.

- To jest najgorsza z rzeczy, jakie możemy zrobić. Wiesz o tym, Mitch. Nie możemy bawić się z naszą córką w dobrego i złego gliniarza.

- Spójrz na nią - powiedział, wciąż próbując mnie przekonać, ale łatwiej przyszłoby mu zgąć gołymi rękami stalowy pręt. - Ona to uwielbia. Jest w tym świetna. Producenci zatrudnią najlepszych nauczycieli.

Nie wiedziałam, co robić, co powiedzieć, w jakie to ująć słowa. Widok mojej córki płaczącej, jakby to był koniec świata, był równie bolesny jak wspomnienie mojej matki, która podobnie wyglądała po powrocie z przesłuchań, które nie wypadły dobrze.

- Dulcie, musisz zrozumieć. Wiem, że to wydaje się zabawą, ale to jest ciężka praca. To ciągła presja. Będziesz musiała się martwić rzeczami, którymi nie musisz się martwić teraz. Krytycy, fani. To jest szaleństwo. To rujnuje życie...

W ogóle mnie nie słuchała. Zamknęła się. Jej twarz była portretem smutku.

- Być może twój ojciec tego nie rozumie, ale ja tak. Wiem, co robisz. Grasz rolę. Jesteś w tym taka dobra, Dulcie. Ale ja nie kapituluję.

Moja doskonała córka - długie jedwabiste włosy z rudawymi pasemkami, wielkie oczy błyszczące od łez, opuszczone kąciki różanych ust. Tak bardzo przypominała zdjęcia mojej własnej matki, że ciarki przeszły mi po grzbiecie.

Przez sekundę milczała. Wytrzymała moment. Gdzie ona się tego nauczyła?

- Myślisz, że mi pomagasz? Tak jak pomagasz tym ludziom, którzy przychodzą do twojego gabinetu? Nie. Nie pomagasz im i nie pomagasz mnie. Ty tylko mówisz. Gadanie, mnóstwo gadania. Kiedyś naprawdę pomagałaś ludziom, zanim poszłaś do Instytutu Butterfielda, kiedy byłaś normalnym psychiatrą. Wtedy byłaś w porządku, wtedy rzeczywiście coś robiłaś. Nie tak jak teraz. Teraz martwisz się tylko życiem seksualnym innych ludzi, wracasz do domu i doprowadzasz mnie do rozpacz. Możesz ustalać wszystkie zasady, jakie chcesz, mam, ale nie ustalisz zasady, co mam do ciebie czuć. I jeśli nie pozwolisz mi grać, znenawidzę cię na zawsze.

Moja ręka wyskoczyła w górę, jakby napędzała ją własna siła, ale nie dotknęłam policzka Dulcie. Nigdy w życiu jej nie uderzyłam, i nie zrobiłam tego teraz. Ale tak bardzo mnie rozzłościła, że miałam ochotę to zrobić. Teraz łzy napłynęły do moich oczu.

Patrzyła na mnie bez słowa. Wręcz się gapiała. To było dorosłe spojrzenie pełne współczucia, które przeszło w złość i prawdziwą niechęć. Moja córka patrzyła na mnie w taki sposób jak ludzie, których spotykałam w więzieniu, patrzą na strażników udzielających im napomnień.

Wokół naszego stołu natychmiast zapanowała cisza. Inni ludzie widzieli, jak rozgrywa się nasz mały dramat i czekali w napięciu na kolejną scenę.

- Dulcie, przepraszam, że podniosłam rękę, ale kiedy mówisz takie rzeczy - kiedy mówisz, że znienawidzisz kogoś na zawsze - musisz rozumieć, jakie to jest prowokacyjne. Jak przykro jest coś takiego usłyszeć.

- Niczego, ale to niczego nie muszę rozumieć, jeśli ty nie chcesz zrozumieć. A nie chcesz. Nie rozumiesz nic, ale to nic z tego, co ja czuję i dlaczego chcę grać w tej sztuce. Nawet mnie nie spytałaś.

Kelner, który kręcił się dotąd w pobliżu, podszedł, by pozbierać talerze.

- Poproszę filiżankę kawy - powiedziałam. Mitch też zamówił kawę. - Dulcie, kochanie, chcesz coś jeszcze? - zapytałam.

Spojrzała w górę na kelnera, jak gdyby nic się nie działo, jak gdyby była na scenie, a to było jedno z jej wejść.

- Nie. Dziękuję. Może później.

Skinął głową, odszedł, ona zaś skierowała wzrok na mnie, swoje małe dłonie odwróciła wierzchem do stołu, jak gdyby otwierając się na mnie.

- Mamo, przesłuchanie jest w środę, o drugiej. Jeśli ciebie tam nie będzie, znajdę jakiś sposób, żeby z tym żyć. Ale nie zapomnę tego. Wiesz, że nie zapomnę.

To było zdumiewające przedstawienie. Przez tyle lat dosyć się nasłuchiwała mojego żargonu, żeby umieć składać w ten sposób słowa,

ale to, co było równie imponujące, to postawa, z jaką je wypowiedziała, sposób, w jaki mówiąc łagodnie, nagle podniosła głos na tyle, by zaakcentować puentę. Gdyby było ciemno jak w teatrze i oświetlałyby ją reflektory, wszyscy by teraz klaskali.

Kelner przyniósł kawę.

- Morgan, dobrze się czujesz? - zapytał Mitch.

Przeglądałam się Dulcie, usiłując w niej widzieć nie moją córkę, lecz osobę. Bezbronne, wrażliwe dziecko. Skąd się w niej brało to aktorstwo? Te role? Dlaczego tego potrzebowała? To było pytanie, które dręczyło mnie najbardziej. W czym ją tak bardzo zawiodłam, że potrzebowała tych sztuczek?

Dulcie przeglądała mi się teraz chłodno, wysyłając sygnały i życząc mi śmierci. Byłam o tym przekonana. Ja też kiedyś myślałam, że łatwiej by było, gdyby moja matka nie żyła i brzemie jej miłości i jej rozczarowań spadło z moich barków.

Ale kiedy zmarła, byłam tylko opuszczoną, jeszcze jedną zagubioną dziewczynką, która chciałaby mieć ją z powrotem. I teraz w pewnym sensie wróciła, by mnie dręczyć.

Dulcie przypominała wszystkie kobiety, młodsze i starsze, które przychodziły do mnie po pomoc, tyle że nie umiałam pomóc im wszystkim. Nie pomogłam Cleo i teraz jej nie było, zaginęła. Nie przewyciężyłam własnych problemów, by pomóc mojej córce. I wiedziałam, że jeśli nie uda mi się tego zrobić, ona też może gdzieś zginać. Mówiły to jej oczy.

- Musisz zrozumieć... - rzekłam do Dulcie.

- Nie, nie muszę. Nie muszę, jeśli nie zechcę.

Potrząsnęła głową i jej włosy się poruszyły, połyskując w świetle. Strużki łez wyschły, ale wciąż widziałam na jej twarzy ich ślady. Miałam ochotę zamoczyć swoją serwetkę w szklance z lodowatą wodą i je zmyć, ale wiedziałam, że by mi nie pozwoliła.

Nie była już moją małą córeczką. Za kilka tygodni miała skończyć trzynaście lat. Przechodziła do następnego etapu, gdzie jest się pół dorosłym, pół dzieckiem.

- Nie, mammo. Ja nie muszę niczego zrozumieć. Ale ty musisz.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Kiedy taksówkarz dodał gazu, odwróciłam się i patrzyłam, jak Mitch i Dulcie odchodzą w przeciwnym kierunku. Przyłożyłam rękę do szyby w daremnym wysiłku, by dotknąć jej miękkich włosów. Lecz ona była już bardzo daleko.

Dulcie była jedyną osobą na świecie, którą w mojej opinii potrafiłam kochać we właściwy sposób. Ale i w tym nie sprawdzałam się najlepiej. Na jej ostatni przytyk pod moim adresem można by machnąć ręką jak na zwykły bunt dwunastolatki, której nie udało się postawić na swoim. Ale nie traktowałam jej w ten sposób. To, że była młoda, nie rozmywało prawdy tego, co zauważyła, co czuła, na co reagowała.

Kiedy mój były mąż i moja córka stali się tylko kolorowymi punkcikami w sobotnim tłumie, odwróciłam się i próbowałam przemyśleć swoją reakcję na jej prośbę.

Wiedziałam, że jestem przewrażliwiona, ale jej wikłanie się w zawodowe aktorstwo było poważnym krokiem życiowym, który mnie martwił. Nie chodziło tylko o to, co stało się z moją matką. Nie tylko o to, jak została ukształtowana, a potem wypaczona jej osobowość przez zbyt duży sukces i presję, które nadeszły za szybko i w krytycznym wieku dla jej rozwoju emocjonalnego. Chodziło też o podstępna kulturę, w jakiej żyjemy, która tak hojnie obsypuje pochwałami i zaszczytami swoje młode gwiazdy, teraz jeszcze w większym stopniu niż w latach pięćdziesiątych, kiedy doświadczyła tego moja matka.

Czy gdyby Dulcie osiągnęła wczesny sukces, też nie umiałaby sobie radzić z późniejszymi realiami, gdyby zabrakło w nich spektakularnych osiągnięć? Gdyby poznała smak sławy, na pewno by jej łaknęła. Myliłaby podziw tłumu z miłością.

Ona była po prostu za młoda, żeby umieć odróżnić jedno od drugiego.

Na górze w swoim gabinecie położyłam na krześle torebkę i zaparzyłam kawę.

- Morgan?

Nina stała w progu, uśmiechając się do mnie.

Była w dżinsach i w białej koszulowej bluzce z podwiniętymi rękawami. Zamiast zwykłego starannego makijażu i wymodelowanej fryzury miała trochę różu na policzkach, rzęsy lekko przeciągnięte tuszem, a miedziane włosy związane w koński ogon. Bez śladu atrybutów szefowej Instytutu Butterfielda i znanej uczoney, wyglądała o dziesięć lat młodziej niż wskazywała na to jej metryka.

- Cześć. Napijesz się kawy?

Kiwnęła głową, weszła do środka i sama napełniła sobie filiżankę. Tak jak ja piła czarną z odrobiną cukru. Kto wie, czy nie nauczyłam się tego od niej.

- Coś nie tak?

Nie byłam zdziwiona. Zawsze się wszystkiego domyślała. Tylko fakt, że Noah również się domyślał, wciąż mnie zastanawiał i niepokoił.

- Nie jestem pewna, od czego zacząć.

W instytucie panowała cisza. W weekendy był zamknięty i tylko kilkoro z nas miało prawo wstępu. Rzadko jednak ktoś z tego prawa korzystał. Nina, która często pisała - wydała trzy książki o seksualności człowieka i postępowaniu terapeutycznym - była jedyną osobą, której można się było tu spodziewać po godzinach pracy i podczas weekendów.

Za moimi drzwiami korytarze były oświetlone, ale puste, wszystkie inne gabinety zamknięte. Brakowało zwykłego, niezbyt głośnego szmeru, co zauważało się wyraźniej niż jego obecność.

- No więc co może być nie tak? - spytała.

- Wśród miliona innych rzeczy moje zdolności macierzyńskie.

- Nie wierzę. - Pokręciła z uśmiechem głową. Nina była dla Dulcie jak babcia i spędzała z nami dużo czasu. - Ty i twoja córka macie ze sobą wspaniały kontakt. Dulcie jest bardzo pozbieranym i uroczym dzieckiem.

- Ona chce grać. Zawodowo, Nina. Chce, żebym jej pozwoliła pójść na przesłuchanie do przedstawienia na Broadwayu.

Nina nie potrzebowała więcej wyjaśnień. Pokiwała głową, po czym przyjrzała mi się badawczo.

- Choćbyśmy nie wiem jak się starali, wciąż wracamy do tego samego mostu, prawda? Myślimy, że uciekliśmy i że możemy zająć się innymi sprawami, innymi problemami, ale ten, który nas prześladowa, nigdy tak naprawdę nie znika. Kiedyś będziesz musiała przejść na drugą stronę, Morgan, bo inaczej ten most wciąż będzie stawał na twojej drodze.

- To moja wina. Musiałam się do tego jakoś przyczynić. To, jak opowiadałam jej o swojej matce, jak mi jej brakowało... Dulcie pewnie doszła kiedyś do wniosku, że cieszyłabym się, gdyby...

- No, no, dla mnie ta hipoteza jest trochę naciągana. To nie ty sprawiłaś, że Dulcie uwielbia grać. To jest przypisywanie sobie za dużej odpowiedzialności i przesadny narcyzm, jeśli chcesz znać moje zdanie. Ona jest także córką swojego ojca, a łatwo o tym zapominasz. On jest reżyserem filmowym, chyba że się mylę.

Roześmiałam się, ale ten śmiech urwał się nagle i ucichł.

- Tak, nie, mniejsza o to. Faktem jest, że ona chce to zrobić i jest na mnie wściekła, bo się nie zgadzam.

- Boisz się, że jeśli puścisz ją na to przesłuchanie, dasz pozwolenie swojej matce, żeby jeszcze raz od nowa zrujnowała swoje życie?

- Nie róbmy tego teraz.
- Czego? Nie próbujmy dotykać sprawy, na którą jesteś odporna?
- Jeśli tak chcesz to widzieć.
- Tak właśnie jest.
- Twoim zdaniem, moim nie. Ale domyślałam się, że moim umiejętnościom terapeutycznym też nie dowierzasz. Cholera, wszystko jest nie tak. Dulcie, ty. To, jaką jestem terapeutką. Kiepska, fakt. Jedna z moich pacjentek zginęła, a ja nie zrobiłam niczego, żeby jej pomóc.

Jeśli Nina uznała moje gładkie przejście z Dulcie na Cleo za dziwne, to nie dała mi tego odczuć. Zamiast tego, jak przystało na dobrą terapeutkę i przyjaciółkę, podpuściła mnie odrobinę i podjęła wątek.

- Jak to, pomóc jej?
- Wciąż nie daje znaku życia, a ja nie mam żadnych dowodów, że coś jej się stało, więc policja w ogóle nie zajmuje się jej sprawą. Wszystkie siły zaangażowali w złapanie tego szaleńca, który udziela prostytutkom ostatniego namaszczenia i ma nadzieję, że przemieni je w święte.

- Skąd wiesz, że policja nie zajmuje się zniknięciem twojej pacjentki i skąd wiesz, że morderca udziela prostytutkom ostatniego namaszczenia? Śledzę tę sprawę dość uważnie i o niczym takim nie czytałam.

Może gdyby lunch z Dulcie nie zdenerwował mnie tak bardzo, byłabym ostrożniejsza w tym, co mówię. A może celowo się wygadałam. Moja współpraca z policją, spotkania z mężczyznami w klubie Diabło, moje własne śledztwo, wszystko to bardzo mi ciążyło.

Od pierwszej rozmowy z Noahem miałam pełną świadomość, że Nina sprzeciwiłaby się moim poczynaniom ze stanowczością, która w najlepszym razie byłaby niewygodna.

Westchnęłam i opowiedziałam jej o wszystkim. Jej jedyną reakcją był zmieniający się kolor knykci dłoni, w której trzymała filiżankę. Im więcej wyjaśniałam, tym bardziej białeły. Była mistrzynią w ukrywaniu emocji, w słuchaniu, w nieprzerywaniu, w obserwowaniu. Robiła to przez całe dni z pacjentami. Zasłużyła na swoją znakomitą opinię umiejętnością wtapiania się w powie- trze i chłonięcia.

To leżało w jej naturze, zanim została terapeutką, i dlatego tak świetnie się nadawała do tego zawodu, ale przez to była skomplikowaną osobą w relacjach prywatnych. Trudno ją było przejrzeć, odgadnąć jej myśli. Tyle że ja to potrafiłam. Uczyłam się latami. Ona była moją nauczycielką, moją zastępczą matką, moją przyjaciółką. Kiedy obserwuje się kogoś i próbuje mu dorównać, można do wielu rzeczy dojść.

- Ilu tych mężczyzn poznałaś do tej pory?

- Wszystkich oprócz jednego. Spotkam się z nim w poniedziałek wieczorem.

- A policja? Mówiłaś im o tym?

- Nie. Żadnych nazwisk. Żadnych informacji. Jeszcze nie.

- Ale zgodziłaś się udzielać im konsultacji?

- Tak.

Skoro ujawniłam już tyle, równie dobrze mogłam powiedzieć o całej reszcie. I zrobiłam to.

Gdy skończyłam, Nina wstała i dołała sobie kawy.

- Szkoda, że nie poinformowałaś mnie od razu, co zamierzasz zrobić.

- Żebyś mogła mi to wybić z głowy?

- Tak. Jesteś terapeutką, a nie detektywem.

- I jako terapeutką robię dla swojej pacjentki to, co powinnam. Ty mnie tego nauczyłaś. Jedynym sposobem, w jaki mogę uchronić prywatność Cleo, jest pomagać policji, dowiadywać się, co oni wiedzą, i próbować rozwikłać sprawę na własną rękę.

- Natychmiast się z tego wyplączesz. Koniec z telefonami do Eliasa Beechera. Żadnych spotkań w klubie Diabło. I koniec współpracy z policją. - Sięgnęła po filiżankę i dopiła kawę, po czym skrzywiła się, przelykając.

- Nie mogę teraz przerwać.

Patrzyła na mnie bez słowa, urażona, zdradzona. Wiedziałam, że moje kontakty z policją dręczą ją bardziej niż wszystko inne. Wstałam i usiadłam przy niej na kanapie.

- Sam łamał prawo.

- Nikogo nie krzywdził. - Jej cichy głos niewiele się różnił od głosu Dulcie podczas lunchu. Była w nim bezsilność i ból.

- Ale on łamał prawo, Nina.

Wyciągnęłam do niej rękę, ale mnie odepchnęła.

- Oni...

- Oni tylko robili, co do nich należało.

- Widziałaś, co robili. Byli pokrętni i cwani. Zgadzałaś się ze mną. Nienawidziłaś ich tak bardzo jak Sam. I tak bardzo jak ja.

- Nie. Tak mi się zdawało, ale to było tylko poczucie solidarności.

- Nieprawda.

- Owszem, prawda. Dlaczego tak ci trudno zrozumieć, że chciałam być wtedy z tobą?

- Bo... - zaczęła i urwała.

Czekałam. Chciałam, żeby mnie rozgrzeszyła. Żeby potwierdziła, że jesteśmy sobie tak bliskie jak zawsze. Że potrafi pogodzić się ze wszystkim, co jej powiedziałam. Że wciąż mnie kocha. Że miałam

prawo wyznać prawdę, której nie chciała usłyszeć, skłonić ją do pomyślenia o Samie w taki sposób, który zmusi ją do dostrzeżenia jego karykaturalności. Ale nie była w stanie tego zrobić.

- Przepraszam. Przykro mi - powiedziałam.

- Z jakiego powodu? - Głos Niny był bliższy swojej zwykłej intonacji i obiektywnego tonu.

- Że się kłócimy. Że traktujesz moją pomoc policji jak osobisty afront.

- Niby dlaczego jest ci przykro, że się kłócimy? Skąd to się bierze, Morgan? Dlaczego nie potrafisz się kłócić i czuć z tym dobrze? Nakręcać się tym. Wyrażasz swoje uczucia, ja wyrażam swoje. Dlaczego nie możemy tego robić bez twojego przeproszenia?

- Znów zaczynasz być zła.

- Tak, ale teraz na siebie. Do tej pory nie pomogłam ci tego zrozumieć, prawda?

- Czego?

- Że ludzie nie znikają, kiedy są na ciebie wściekli. Że wyrzucanie z siebie złości jest zdrowe. Że nie każdy bierze prochy, żeby tłumić uczucia i nie każdy musi cię zawieść.

- Kiedy to się zamieniło w sesję?

Patrzyłyśmy na siebie, obie wściekłe z różnych powodów, obie usiłujące zmierzyć się z czymś, z czym nigdy tak naprawdę nie udało nam się zmierzyć, bez względu na to, jak ciężko nad tym pracowałyśmy.

- Właśnie to jest tak piękne w ludzkiej naturze - oznajmiła. - Bezradność, smutek, bezsilność, wszystko chronione skrzydłami nadziei i determinacji, którymi wciąż, cokolwiek by się działo, otulamy samych siebie i siebie nawzajem.

Słuchałam jej słów, ale widziałam Cleo. Ona miała tę determinację, tę nadzieję, ale byłam pewna, że mimo to teraz jest bezsilna.

Wiedziałam, że z Niną wszystko się ułoży, że przejdzie nam złość i jakoś przez to przebrniemy. I że z Dulcie też mi się uda. Ale do Cleo nie miałam dostępu, Cleo zniknęła z mojego pola widzenia.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

W poniedziałkowe wieczory w klubie Diabło było nieco luźniej niż przez resztę tygodnia. Rozmawiając z Gilem przy barze i czekając, przyglądałam się smukłej, bardzo jasnej blondynce o zielonych oczach, która gładziła nadgarstek jakiegoś mężczyzny z taką werwą, że zaczęłam czuć opuszki jej palców na własnej skórze.

Ten klub kusił swym przepychem. Głębokie klubowe fotele, miękkie światło i muzyka fortepianowa, stoły z egzotycznego drewna lakierowane na tak wysoki połysk, że blaty były jak lustro, i dywan tak gruby, że mógłby służyć za łóżko. Tu nie tyle przychodziło się do klubu, co wkraczało się do jego świata, zanurzało w nim. Ten świat otaczał człowieka kokonem luksusu, zagarniał w swoje ramiona; to była pierwsza rzecz, jaka uderzała, gdy wchodziło się do środka.

Cleo i Gil stworzyli inny wszechświat, w którym nie istniało poczucie czasu ani konfliktu. Oaza w środku Manhattanu. To miasto pełne jest takich miejsc. Tysiące apartamentów wysoko ponad poziomem ulicy. Wygląda się z nich przez ogromne okna na milczący świat, który wydaje się taki piękny. Żyjąc w tym mieście, nie widzi się problemów na ulicy, nie słyszy krzyków w środku nocy. Nie widzi się kobiety, która zarabia na życie, sprzedając seks, która wsiada do samochodu mężczyzny i za dwadzieścia dolarów obciąża mu łaskę.

- On tu jest - oznajmił Gil, stawiając przede mną szklanekę wody sodowej.

Odwrociłam się wolno i przebiegłam wzrokiem salę. Niewolnik był mężczyzną przed sześćdziesiątką, szczupłym, ale niskim, z bujną czupryną siwych włosów i wyrazistymi rysami twarzy. Był eksfinansistą z Wall Street, który pod koniec lat dziewięćdziesiątych wycofał się z rynku z nienaruszoną fortuną i został dziekanem

jednego z najbardziej prestiżowych uniwersytetów w kraju. Pięć lat temu został klientem Cleo, a z tego, co wyczytałam z jej rękopisu, wiedziała o nim trochę za dużo.

Gdy Gil wyszedł z baru, wstałam, lekko się chwiejąc. Nie dlatego, że przesadziłam z drinkami - od trzech kwadransów piłam tylko wodę gazowaną - ale z powodu dziesięciocentymetrowych cienkich szpilek, na których z trudem utrzymywałam równowagę.

- Ed, to jest Morgan - powiedział Gil, przedstawiając nas sobie.

- Miło mi cię poznać. - Przybrałam ton, który już przećwiczyłam i teraz używałam go po raz czwarty.

Uśmiechnął się, szacując mnie wzrokiem.

- Dziękuję - zwrócił się do Gila. A później do mnie: - Usiądź, proszę.

Przez piętnaście minut rozmawialiśmy o filmie, który oglądał poprzedniego wieczoru, i który ja też widziałam kilka tygodni wcześniej. Tak mogłaby wyglądać rozmowa między jakąkolwiek parą, i o to właśnie chodziło.

Od dziewczyn Cleo wymagano umiejętności prowadzenia konwersacji. Ale Niewolnik ni stąd, ni zowąd podniósł moją dłoń i zatrzymał w swojej. Przestało mnie dziwić, że te momenty fizycznego kontaktu działały na moje zmysły, z pominięciem mózgu. W zakłopotanie wprawiał mnie fakt, że czułam się podekscytowana. Znacznie wygodniejszy byłby niesmak albo lęk. Ja tymczasem byłam zaciekawiona. Zachowywałam ostrożność, ale chciałam wiedzieć więcej. Ci mężczyźni pozwalali mi poznawać seks w takich jego przejawach, o których dotąd tylko czytałam, a potem rozmawiałam jako beznamiętny obserwator.

- Masz silne ręce - zauważył.

- To dobrze?

- Tak. Potrzebne ci będą silne ręce. Będziesz musiała mnie powstrzymywać. Powściągać.

- Powściągać?

- Pilnować, żebym nie wstawał, nie dotykał cię, nie wyciągał rąk.

Pokiwałam głową.

- Miałaś już kiedyś niewolnika?

Przekonałam się podczas poprzednich rozmów, że łatwiej jest trzymać się jak najbliżej prawdy.

- Nie. To dla mnie raczej nowość. Pracuję tu od niedawna.

Rozbiłyś mu oczy.

- W tym klubie czy w tym biznesie?

- W biznesie. Niedawno się rozwiodłam. Zmieniła się moja sytuacja finansowa. Pewien znajomy przedstawił mnie Cleo. Ona pracuje nade mną od miesiąca. A w zeszłym tygodniu... miałam debiut.

Uśmiechnął się.

- Więc będę musiał cię nauczyć.

- Lubisz to robić? Uczyć?

- Tak. Nauczę cię postępować z niewolnikiem. Musisz być silna. I chętnie mnie karać.

Kiwnęłam głową.

- Cleo była doskonałą panią.

Serce zabiło mi trochę mocniej. On mówi o niej w czasie przeszłym.

Wahając się, co powiedzieć, znów pokiwałam tylko głową. Słuchałam, patrzyłam i czekałam na właściwy moment, by zadać mu pytania, które dałyby mi szansę zajrzenia w mroczne zakamarki jego umysłu. Na razie był swobodny, lekko zdenerwowany, ale kontaktowy i nie rozkojarzony.

- Dzięki czemu ona była taka dobra w tym, co robiła?

- Kochała to, upajała się tym. Czasami, kiedy leżałem na podłodze nagi, patrząc na nią i błagając, żeby pozwoliła mi się ruszyć, dotknąć jej, żeby pozwoliła mi się do siebie zbliżyć, ona dotykała się i doprowadzała do orgazmu.

Zamknął na moment oczy, jak gdyby przeżywał tamtą scenę ponownie, a potem mówił dalej:

- To, że czekałem na nią, że pragnąłem jej, że chciałem robić, co mi każe, podniecało ją. Masz pojęcie, jak byłem cholernie napalony, kiedy na nią patrzyłem?

Pokręciłam głową.

- Miałaś kiedyś ochotę odwrócić role i być jej panem? - zapytałam cicho.

Teraz on pokręcił głową, wolnym i płynnym ruchem. Wciąż był pogrążony w swoim marzeniu, a mój głos ledwie do niego docierał.

- Nie. Nigdy. Nigdy nie miałem ochoty. To za łatwe. Mogę to robić całymi dniami. Robiłem to przez całe życie. Mówiłem ludziom, co mają robić, co mają kupować, co sprzedawać, czego się uczyć, co zauważać... Mnie podnieca układ, w którym ja jestem bezsilny, kiedy mam kogoś, kto mówi mi, co robić. Myślisz, że mogłabyś być moja panią?

- Tak. Myślę, że byłoby wspaniale mieć niewolnika.

- To jest wspaniale, zwłaszcza dla kobiety, której seks sprawia radość. Ty lubisz seks? Nie wszystkie dziewczyny Cleo lubią seks. Większość nie lubi, a ja potrzebuję kogoś, kto nie udaje. Nie znoszę udawania.

- Złości cię to?

Przytaknął.

- Ale Cleo nigdy nie udawała?

Otworzył szerzej oczy i patrzył prosto na mnie. Miały przedziwny lazuruowy odcień błękitu. Lapis lazuli. Kolor, który kojarzył mi się tylko

z kamieniem. Przez te oczy wyraz jego twarzy wydał mi się jakiś nieludzki.

Coś tu było nie tak. W sposobie, w jaki na mnie patrzył, w tym, o czym rozmawialiśmy, z samym kolorem jego oczu.

W swojej książce Cleo opisała piątego mężczyznę, Uzdrawiacza, jako mężczyznę o tym kolorze oczu. Podobnie było ze spinaczem do banknotów, który należał do Judasza, szampanem jako ulubionym trunkiem Midasa i blizną, którą widziałam na policzku aktora cierpiącego na Parkinsona.

Cleo użyczyła atrybutów tych wszystkich klientów Uzdrawiaczowi. Zaszyfrowała go lepiej niż resztę swoich bohaterów. On był jakimś amalgamatem - ilu innych mężczyzn? Na razie czterech. I dlaczego?

- Ty nie musiałabyś grać, prawda? - spytał Niewolnik.

- Nie. Nie musiałabym. Ja nie umiem grać. - Powiedziałam coś dziwnego, co natychmiast przywołało mi na myśl moją matkę i moją córkę, łącząc realną teraźniejszość z fikcyjną.

Ja przecież jednak grałam. Siedząc tam i udając, że jest możliwe, że dam się wynająć temu mężczyźnie.

- Bardzo się tego boisz, że ktoś mógłby grać - zauważyłam.

Potwierdził skinieniem głowy.

- To jedyna rzecz, której nie jestem w stanie tolerować, jedyne, co mnie hamuje. - Nagle przybrał poważny ton. Mówił o swoich skłonnościach, jakby go wcale nie martwiły. Być może zresztą tak w istocie było. - Jestem żonaty. Z bardzo znaną kobietą. Skojarzyłabyś jej nazwisko, wiedziałabyś, kim jest. Zabiłaby mnie, gdyby się kiedyś wydało, że jej mąż musi sobie kupować tu i ówdzie wieczór przyjemności. Ale jakie ja mam wyjście? Ona nie jest... ona nie może... Próbowaliśmy terapii dla małżeństw i terapii dla par, ona chodziła do najświetniejszych seksuologów, ale...

Poczułam ciarki na skórze.

- Na początku było dobrze, przez pierwsze dwa lata wspólnego życia. Wydaje mi się teraz, patrząc wstecz, że to dzięki świeżości związku seks był okej. Ale im dłużej byliśmy razem, tym mniej ona była zainteresowana, i tym mniej ja byłem zainteresowany. Nic wielkiego, wiem, to się zdarza wszystkim. Ale mnie brakowało tego bardziej niż innym, a rozwód nie wchodził w grę. Kocham ją. Kocham nasze życie i kocham nasze dzieci. To takie obłudne, prawda? Większość mężczyzn, których znam, zostawia swoje pierwsze żony. Młodych żon jest na kopy. Znudzisz się stara, kupujesz sobie nową. Ale ja jestem z nią naprawdę szczęśliwy, pod każdym względem poza tym jednym. I nie ma w tym nic szkodliwego. Póki nikt nie wie.

- Czy dzięki temu, że nikt nie wie, to jest bardziej podniecające?
- spytałam bezmyślnie, i w tym samym momencie ogarnęło mnie przerażenie.

Jego wyznanie tak przypominało to, co mogłabym usłyszeć w swoim gabinecie, że gładko weszłam w rolę terapeutki. Ale on tego nie zauważył.

- Oczywiście. To jeden z najważniejszych elementów. Nikt nie wie, że mam inne życie. Wszyscy myślą, że jestem panem wszechświata... Czytałaś „Ognisko próżności” Wolfe'a?

Gdy skinęłam głową, podjął:

- Nie jestem panem wszechświata, jestem niewolnikiem. Lubie, kiedy ktoś mi rozkazuje. Lubie, kiedy Cleo używa mnie jak zabawki seksualnej. Radość mi sprawia, że mogę tu przyjść, spędzić z nią godzinę i wiedzieć, że ona mnie wykorzystuje dla własnej przyjemności. Dla mojej żony seks nie jest przyjemnością. Ona boi się seksu, tego rodzaju seksu. Boi się zapuścić na krańce erotyzmu. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy leżę bezradny na podłodze, ze związanymi rękami, nogami, a Cleo mnie dotyka tylko jednym palcem

i drażni. Jestem tak cholernie podniecony. Ale ona nie pozwala mi dojść, dopóki nie zrobię czegoś dla niej. Czasami siada mi na piersi z szeroko rozłożonymi nogami i każe mi się lizać. Mam to robić do skutku, aż dojdzie do orgazmu na mojej twarzy.

Zatracił się w swym urojeniu. Znów miał zamknięte oczy, a ja zamieniłam się w słuch, zapominając na moment, że moim zadaniem było wy badać, czy ten człowiek jest kimś, kto mógł porwać Cleo.

- Lubisz iść ostro na całość? Lubisz, żeby Cleo zadawała ci ból? Chcesz, żeby sobie zadawała ból?

Natychmiast otworzył oczy, a ja zobaczyłam w nich totalną konsternację. Szok. Skrzywił usta, jakby spróbował czegoś niesmacznego.

- Ból?

- Próbuję się po prostu dowiedzieć, czego mógłbyś ode mnie oczekiwać. Ja nie lubię bólu. Ani zadawać, ani doświadczać.

Potrząsał gwałtownie głową.

- Nie. Żadnego bólu.

Niewolnik milczał przez jakiś czas. Zajrzał do swojego drinka, wpatrując się w kostki lodu, trzy zielone oliwki i bezbarwny płyn.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczął.

- Tak?

- Nie bierz tego osobiście do siebie, ale chyba nie poproszę cię, żebyś poszła ze mną na górę. - Poczułam, że szpera pod stolikiem, i nagle wziął mnie za rękę.

Jego palce były ciepłe i silne. Otworzył moją dłoń i położył na niej plik banknotów.

- Minał zaledwie tydzień od mojego ostatniego spotkania z Cleo. Nie jestem pewien, czy mogę ci ufać. Po prostu mam takie odczucie. Wiem, że mogę ufać jej. Widujemy się już od kilku lat. Lubię to wszystko, co ona ze mną robi. Myślę, że wytrzymam do jej powrotu.

Przepraszam, to nie jest osobiste. Chociaż... - Zaśmiał się bardzo ciepłym, serdecznym śmiechem. - Zdaje się, że to jest osobiste. Jestem bardziej przywiązany do Cleo, niż sądziłem. Chryste, ja do niej coś czuję. Czy to bardzo dziwne?

- To, że coś czujesz, czy to, że dopiero teraz zdałeś sobie z tego sprawę?

- Jedno i drugie.

- Niezbyt dziwne. Ona cię uszczęśliwia. Nie osądza cię.

Klub stał się moim gabinetem. I przez moment to nie miało znaczenia.

- Dziękuję. Poczułem się, jakby w tym, co lubię, nie było nic niewłaściwego.

- Myślę, że to, co lubimy, nie jest ani niewłaściwe, ani właściwe, dopóki nikt nie zostanie skrzywdzony wbrew własnej woli.

Pokiwał głową i uśmiechnął się do mnie. Szczerze, a nawet łagodnie.

- Właśnie. To okropne. Właśnie to jest złe w naszym społeczeństwie, w naszym świecie, że nie ma przyzwolenia na różnice i na indywidualne upodobania. I dlatego to, co robisz, to, co robi Cleo, jest takie ważne. Wy dajcie nam przestrzeń, w której każdy ma prawo do własnych fantazji. Dopóki spełniamy je w bezpiecznym, prywatnym miejscu, nie ma powodu, żeby ktokolwiek został skrzywdzony.

Dotąd byłem święcie przekonana, że Niewolnik nie mógł być człowiekiem, który porwał Cleo. Ale to, co powiedział na koniec, obudziło moją czujność. Zaczęłam się zastanawiać.

- A gdyby ktoś spróbował odebrać ci to prywatne miejsce, co byś zrobił?

Znów się uśmiechnął. Przyglądałam się jego źrenicom, przyglądałam się pulsowaniu żyły na szyi. Jego oddech nie stał się

szybszy. Nic nie wskazywało na to, żeby ta rozmowa go szczególnie ożywiła lub zaniepokoiła. Zwłaszcza że teraz też się uśmiechnął.

- Gdyby ktoś zagroził, że ujawni tę stronę mojej natury? Albo że zamknie klub? Zdradzę ci pewien smutny sekret. Od dawna czekam, żeby ktoś mi udowodnił, że się mylę, ale jak dotąd nikt tego nie zrobił. Kiedy ktoś chce zrobić coś, co nie leży w moim interesie, dowiaduję się po prostu, jaka jest jego cena. To bardzo smutne, Morgan. Najgorsze w moim życiu jest to, że jeszcze nie poznałem nikogo, kto nie miałby swojej ceny.

Pociągnął łyk drinka.

Mimo że zależało mu na zachowaniu swoich skłonności w tajemnicy, nie sądziłam, żeby był zdolny zrobić coś złego Cleo. Był tylko gotów pozwolić, żeby ona zrobiła coś jemu.

- Wiesz, nie powinnaś tego robić - stwierdził. - To znaczy jesteś wystarczająco ładna, żeby to robić, ale szkoda talentu. Powinnaś być psychoanalitykiem. Poczuję się przy tobie lepiej i lepiej zrozumiałem własne potrzeby niż u tych wszystkich terapeutów, którzy biorą dwieście dolarów za sesję, do których ciągała mnie moja żona.

Roześmiałam się, nie mogłam się powstrzymać. I na szczęście on też się roześmiał, nie dostrzegając w mojej reakcji nic dziwnego.

Kiedy wstał i wyszedł, zobaczyłam, co położył mi na dłoni. Dziesięć ciasno zwiniętych studolarówek.

Spojrzałam na zegarek. Spędziłam z nim czterdzieści pięć minut. Nigdy w życiu nie zapłacono mi więcej za sesję.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Poznałam czterech z pięciu mężczyzn wymienionych w książce, którzy moim zdaniem mogli mieć powód, żeby skrzywdzić albo porwać Cleo. Wyglądało na to, że nigdy nie poznam piątego. Gil, któremu go opisałam, nie miał pojęcia, kim on może być. Tożsamość Uzdrawiacza pozostawała tajemnicą.

Chyba że to jest sam Gil, pomyślałam.

Siedziałam przy barze, kiedy skończył rozmawiać z jakimś klientem.

Gdyby Cleo wydała książkę, Gil byłby zrujnowany. Nic by mu nie zostało. Miał oczywiście lokal i klub, ale gdyby Cleo nie dostarczała mu kobiet, czym byłoby to miejsce? Jeszcze jedną zwyczajną restauracją?

Przeszedł mnie dreszcz. Może powiedziałam Gilowi za dużo? Może zdradziłam mu coś, czego nie powinnam? Czy to on jest tym piątym mężczyzną? Czy to jego opisała Cleo, użyczając mu atrybutów wszystkich innych klientów, żeby go przypadkiem nie zdemaskować?

Odwrócił się do mnie. Na jego twarzy malował się wyraz zaciętości. Było późno. Miał podkrążone oczy i głębokie bruzdy jak znaki nawiasu wokół ust. Miałam wrażenie, że czyta w moich myślach. Nie. To śmieszne. Niemożliwe.

Czy Gil był zdolny wymyślić ten skomplikowany podstęp z przedstawianiem mi klientów Cleo, by odsunąć podejrzania od siebie? Oceniając, co każdy z nich miał do stracenia, był w takiej samej sytuacji jak reszta mężczyzn, z którymi tu rozmawiałam. Klub uczynił z niego bogatego człowieka, dał mu władzę i prestiż. Wydanie książki byłoby zagrożeniem dla wszystkiego, co osiągnął.

Nina miała rację, Noah miał rację. Zabrnęłam w coś, co mnie przerosło. To, że jestem dobrą terapeutką, nie kwalifikuje mnie do oceniania, czy ktoś jest zdolny być porywaczem albo gorzej, mordercą. Ja jestem kimś, kto rozmawia z ludźmi o ich problemach, a nie jakimś jasnowidzem od chorych dusz.

- Gil, jeszcze jeden glenlivet, proszę - powiedział klient.

Czy Cleo jest w tym budynku? Zamknięta w jakimś pokoju? Czy Gil chciał ją w ten sposób przekonać, żeby nie pisała książki? Oczywiście, że to on.

Cleo nie powiedziała by o książce żadnemu klientowi, a z dwóch mężczyzn, którzy na pewno o niej wiedzieli, Elias nie miał nic do stracenia. Nie chciał, by ją wydała, bo się o nią martwił, ale nie skrzywdziłby jej tylko dlatego, by nie dopuścić do publikacji. Za to Gil miał do stracenia wszystko. Poza tym był zazdrosny o Eliasa. Oczywiście, że o nim wiedział. I musiał być wściekły, że stracił przez niego dziewczynę.

Musiałam znaleźć jakiś dowód, żeby przekonać o tym Noaha, żeby mi uwierzył i poszedł tym tropem.

Wstałam, zanim Gil zdążył się do mnie odwrócić.

- Cześć, Gil! - zawołałam.

- Morgan, zaczekaj chwilę. - Usłyszałam niecierpliwość w jego głosie.

Nie zatrzymałam się, tylko wyszłam na ulicę i ruszyłam do przejścia tak szybko, jak tylko mogłam na swoich wysokich obcasach.

Co ja miałam zrobić? Jak mogłam przekonać kogoś, żeby mi uwierzył? Kto mógł mi pomóc to rozwikłać?

I nagle wszystko stało się jasne. Jest jedna osoba, której zależy na znalezieniu Cleo jeszcze bardziej niż mnie. Zapomniałam o Eliasie. Dzwonił wcześniej, kiedy miałam sesję, i nie oddzwoniłam. Unikałam go, odkąd mi powiedział o liście z żądaniem okupu. Nie chciałam mu

mówić, że zawiadomiłam policję, że to fałszywka. Spojrzałam na zegarek. Była dopiero dziesiąta.

Wyjęłam telefon komórkowy i wybrałam jego numer.

RS

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

- Czy nawiedzają cię nieczyste myśli? - spytał.

Odpowiedziała.

- Nie słyszę cię.

- Nie, ojciec - odrzekła, starając się mówić głośniej.

- W głowie miała jednak zamęt. Dni i noce zlewały się w jedno.

Nie była pewna, czy dalej jest sobą, czy teraz już cały czas przemawia przez nią aktorka. Prawie nie otwierała oczu. Jedyne, czego pragnęła, to spać.

I teraz była zła, że ją obudził, by znów odbyć ten rytuał. Dwa razy dziennie. Co rano i co wieczór. Jaka pora dnia była teraz? Wieczór, pomyślała, przypominając sobie, że trzeba spojrzeć, jakie za nim jest światło. Słabe jasnyniebieskawe oznacza, że jest dzień.

- Cleo?

Jego głos docierał do niej z daleka, i odpychała go od siebie. Nie znosiła jego głosu. Pełzał po jej skórze jak wąż, wijąc się, nigdy nie tracąc kontaktu, kręty i zimny. Wiedziała, że jeśli mu nie odpowie, będzie zły. A kiedy był zły, nie pozwalał jej korzystać z łazienki.

- Tak?

- Spytałem, czy nawiedzają cię nieczyste myśli.

- Nie, ojciec.

- Jak je od siebie odpędzasz?

- Modłę się.

- Myślę, że powinniśmy pomodlić się razem.

- Wstrząsnął nią dreszcz. To też należało do rytuału.

I nienawidziła tego niemal tak samo, jak kiedy za karę zabraniał jej korzystania z łazienki. Słyszała, jak otwierają się drzwi, i poczuła podmuch zimnego powietrza, który wnosił z sobą. Podszedł do niej od

tyłu, rozpiął kajdanki i trzymając mocno jej ręce, przelożył je na przód i zapiał kajdanki z powrotem. To była taka ulga mieć ręce przed sobą. W tej pozycji mogła więcej nimi robić. Bolały ją ramiona. Nie jej ramiona, nie jej ręce. Bolały ją ręce aktorki, ona już w niej była. Musiała ją zastąpić z powodu tego, co jej kazał robić. Cleo by tego nie wytrzymała.

Odpiął rozporek i wyjął swój sztywny penis, kładąc go na jej dłoniach, wsuwając go między jej palce, chowając go w jej dłoniach, tak jakby w nią wchodził. Ale to było jeszcze nie najgorsze, myślała. Mniej kłopotliwe, mniej odrażające.

Zamknęła oczy i zaczęła przesuwać rękami po jego kutasie, tam i z powrotem, kołysząc się lekko. Jęknął. Raz. Drugi. Znów. Przyspieszyła tempo.

- Nie chcę ci tego robić - powiedział. Zawsze tak mówił. Teraz doda, że ją kocha.

- Kocham cię.

Czekała, aż oznajmi, że ta nieczystość jest skutkiem jej nieczystości.

- Gdybyś była czysta, nie chciałbym cię kalać w ten sposób.

Znała cały scenariusz na pamięć. Odgrywali tę scenę tyle razy, że straciła rachubę. On chciał... nie, on potrzebował uwierzyć, że to ona go do tego zmusiła. A jej było wszystko jedno. Ma ręce przed sobą, jej ramiona są rozluźnione.

- Wiesz, czego chcę?

Skinęła głową i otworzyła usta, układając je tak, by mógł trafić prosto do środka, gdy już dojdzie.

- To jest święte - zaintonował.

Kiwnęła głową, zaczęła poruszać rękami jeszcze szybciej. Wiedziała, że kiedy mówi o religijnym znaczeniu tego, co ona mu robi, zbliża się do finiszu.

- Będiesz błogosławiona. Ja będę cię błogosławił. To uczyni cię czystą.

Skinęła jeszcze raz.

- Cleo? Wierysz w Ojca, Syna i Ducha Świętego?

- Tak, ojczu. - To maciło jej w głowie.

Była aktorką, nie miała na imię Cleo. Nie wiedziała, dlaczego wciąż ją tak nazywa. Miała na imię...

- Czujesz, jak wstępuje w ciebie duch? Czujesz, jak cię oczyszcza? Kiedy już nie będzie w tobie nieczystości, kiedy pozbędziesz się całego brudu, wtedy będę mógł się z tobą kochać jak należy. Tak, jak byś chciała. Tak, żebyś ty też doznała rozkoszy. Chcesz tego, prawda?

Kobieta w habicie zakonnym, z rękami w kajdankach, która była głodzona, która była kiedyś Cleo i nosiła markowe ubrania, drogie buty i miała klientów, którzy płacili jej wystarczająco dużo, by musiała się zastanawiać, jak je inwestować, przytaknęła mężczyźnie, który był tym jedynym, co do którego się pomyliła.

- Powiedz mi, czego chcesz, Cleo. Powiedz mi, jak to będzie. Powiedz.

- Chcę ciebie.

- Chcesz się ze mną kochać?

- Tak - odrzekła aktorka.

- Chcesz się kochać ze mną?

- Tak. - Przyspieszyła tempo.

- Opowiedz mi.

- Tak, chcę się z tobą kochać, na łóżku. Chcę, żebyś był nagi, żebyś mnie obejmował, całował i kochał w świętym związku małżeńskim...

Potrzebował tylko tych dwóch zdań. To zawsze skutkowało. Zamknęła z powrotem oczy i próbowała zrobić unik w ostatnim momencie, żeby to nie trafiło w poblizę jej ust ani na odsłonięte ciało.

Mimo swojego profesjonalizmu straciła zdolność wykonywania tej pracy bez oporów. I on o tym wiedział. Dwie sekundy później uderzył ją w twarz wierzchem dłoni, tak mocno, że upadła na plecy.

- Ty dziwko! - syknął.

Łzy napłynęły jej do oczu, lecz powstrzymała je siłą woli. Gdyby pozwoliła sobie na płacz, nie byłaby w stanie przestać.

Wiedziała, że jej życie wisi na włosku. Musi jakoś przekonać tego oszalałego mnicha, że już nie jest istotą seksualną. Że jest już oczyszczona. Tylko jak?

Ukląkł ponad metr od niej i zaczął się modlić.

- Święta Mario, Matko Boża, przyjdź do mnie teraz w godzinie potrzeby. Wskaż mi, jak nauczyć twoje dziecko opróżniać umysł z zepsucia, które tyła go szczykami, gównem i wymiocinami. Objaw mi, jak oczyścić ją z brudu, jak uczynić ją godną twojego ducha i twojej łaski. Zdradź mi, jak nauczyć ją lśnić, żeby mogła się do mnie zbliżyć. Cała, nietknięta. Jako dziewica, na twoje podobieństwo, na twoje podobieństwo... żeby mogła być moja.

Potem wstał i wyszedł z konfesjonału.

Światło w okienku zniknęło. Znów była zamknięta w swojej celi. Zapadła cisza, a potem usłyszała dzwonek telefonu. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że wróci szybko, żeby ją wytrzeć. Nie cierpiała brudu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Wybrałam numer i odczekałam trzy dzwonki, zanim w końcu odebrał.

- Elias, tu Morgan Snow. Myślę, że wreszcie coś mam.

- Wie pani, kto porwał Cleo? Gdzie ona jest? - dopytywał się jeszcze bardziej zdesperowanym głosem niż ostatnio.

Wyobraziłam go sobie z przymglonymi ze zmartwienia oczami, drżącymi dłońmi. Ten człowiek doszedł do krawędzi przepaści i stał tam, trzęsąc się ze strachu.

- Nie, przykro mi, tego nie wiem.

Byłam na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej i Madison. Letni wieczór był ciepły i parny, a o dziesiątej wciąż było wystarczająco dużo ludzi, żebym mogła nie przejmować się tym, że idę sama z telefonem przy uchu. Nie koncentrowałam się na otoczeniu, tylko na rozmowie.

- Gdzie pani jest? - spytał.

- Właśnie wyszłam z klubu. Nie wiem, gdzie jest Cleo, ale domyślałam się, który z mężczyzn, o których pisała, może być odpowiedzialny. I muszę pana zapytać, czy coś panu o nim opowiadała. Wsiadam do taksówki. Jeśli poda mi pan adres, będę u pana za dziesięć minut.

- Nie, spotkam się z panią w mieście.

- Elias, nie chcę o tym rozmawiać w miejscu publicznym.

- Ile czasu zajmie pani dojazd?

- Dziesięć minut.

Podał mi numer domu.

W taksówce, w drodze na Upper West Side, sprawdziłam swoje wiadomości. Jedna była od Mitcha, który powiedział, jak bardzo Dulcie jest przygnębiona i że bardzo prosi, żebym przemyślała swoją

decyzję i jednak przyszła na przesłuchanie. Albo przynajmniej zadzwoniła do niego, żebyśmy mogli porozmawiać. Następny nagrał się Noah, mówiąc, że mają wielki przełom w śledztwie.

- Jestem w drodze do komisariatu. Pewna kobieta, prostytutka, została zaczepiona dziś po południu przez mężczyznę, który chciał z nią iść do hotelu. Przed wejściem dał jej gotówkę i powiedział, żeby weszła sama i zameldowała się. Podsunął jej historyjkę, którą miała sprzedać recepcjoniście, że skradziono jej bagaż, ale trzymała w kieszeni rezerwową gotówkę. Potem z kluczem miała wyjść z powrotem na zewnątrz i wprowadzić go. Ale on miał w ręku małą walizkę, a ona naczytała się w gazetach o morderstwach prostitutek, i wystraszona dała nogę. Wieziemy ją do nas i będziemy pracowali z nią dotąd, aż zrobimy portret pamięciowy tego faceta. Za kilka godzin powinienem wiedzieć, jak on wygląda. Bądź ostrożna. Nie idź dzisiaj do klubu. Jeśli to Gil, jeśli to którykolwiek z nich, będzie nerwowy i wystraszony. Może być zdesperowany.

Zamknęłam oczy i potarłam powieki. Napięcie zelzało na minutę. Wciąż mówił do mojej automatycznej sekretarki tym samym śpiewnym tonem, ale każde słowo brzmiało głośniejsze. Skóra mrowiła mnie ze strachu. Z ulgi. Zbliżają się do rozwiązania, myślałam, będą mieli jego portret. Wreszcie się dowiedzą, kogo szukać.

Znajdą go, i skończą się morderstwa. Gdyby tylko zniknięcie Cleo było związane z tą sprawą... Reszta wiadomości miała charakter prywatny.

- Proszę, Morgan, zadzwoń do mnie. Nie możesz traktować lekko tego, co między nami zaszło. To znaczy możesz, ale nie chcę, żeby tak było.

Dalej trzymałam telefon przy uchu, wsłuchując się w martwą ciszę, kiedy taksówka podjechała pod dom Eliasa.

Winda otworzyła się na siódmym piętrze. Poszłam długim korytarzem na prawo, zgodnie z instrukcją. Bolały mnie stopy. Nie przywykłam do wysokich szpilek z wąskimi czubami, a przeszłam w nich kawał drogi. Żałowałam, że nie wróciłam do domu, by się przebrać, ale po wyjściu z klubu nie myślałam o swoim stroju; byłam zbyt podniecona tym, do czego doszłam w sprawie Cleo. Zapinając pod szyję jedwabną bluzkę, wierzchem drugiej dłoni starłam z ust szkarłatną szminkę. Niezbyt stosowne wydawało się przyjście do Eliasa w stroju do wabienia ciem.

Kiedy otworzył drzwi, wyglądał jeszcze gorzej, niż to sobie wyobrażałam, rozmawiając z nim przez telefon. Przekrwione oczy, sterczące beładnie kępkę włosów i zmięte ubranie. Nic, co kojarzyłoby się z partnerem w prestiżowej firmie prawniczej.

Gdyby podszedł do mnie w tym stanie na ulicy, poczułabym się niepewnie i trzymała mocniej torebkę.

I ten zapach...

- Napije się pani czegoś? Kawy? Już zaparzyłem. Jest gorąca. Jeszcze nie wystygła.

Rozpoznałam sposób, w jaki mówił. Znów maskował emocje, a jego przygnębienie było tak silne, że nie mógł się skupić na otaczającej go rzeczywistości.

- Tak, z przyjemnością. Chętnie panu pomogę.

- Nie. W kuchni jest straszny bałagan.

Zostawił mnie w salonie, a ja usiadłam na kanapie, posłusznie czekając.

Widać było na pierwszy rzut oka, że mieszkanie urządził dekorator wnętrz. Ta perfekcja w doborze detali! Porcelanowe lampy w kształcie pękatych dzbanków z gładkimi jasnymi abażurami, szenilowa narzuta na kanapie, ogromne kieliszki koktajlowe i karafki na stosownym ruchomym barku z chromu i szkła. Przerwałam swoją

krytyczną ocenę - byłam wobec niego zbyt surowa. Czegoż innego mogłam się spodziewać po nieżonatym, zamożnym mężczyźnie, który mieszka w Nowym Jorku? Dlaczego nie miałby wynająć dekoratora do urządzenia mu mieszkania, w którym dałoby się jakoś żyć? Tylko dlatego, że Noah... Natychmiast odsunęłam od siebie tę myśl.

Przedemną na obowiązkowym szklanym stoliku leżała sterta książek o sztuce, których prawdopodobnie nikt nie dotykał, i otwarta butelka wina z odwróconą ode mnie nalepką. Coś mnie w niej uderzyło, wydało mi się dziwne, i wyciągnęłam po nią rękę w tym samym momencie, w którym Elias wszedł do pokoju z dwoma kubkami parującej kawy.

Stanął jak wryty, gdy zobaczył, że sięgam po butelkę, a na jego twarzy odmalowała się panika. Jak gdyby popełnił niewybaczalny błąd, nie proponując mi drinka.

- Przepraszam. Może woli pani wino? - spytał szybko i postawiwszy na stole kawę, chwycił butelkę. Martwił mnie. W takim stanie nie mógł w niczym pomóc.

- Nie, dziękuję. Wystarczy kawa.

Kiedy odszedł, znów poczułam tamten zapach - nie kawy, tylko czegoś, co uderzyło mnie w nozdrza, gdy otworzył drzwi. Czegoś znajomego, ale i obcego. Ciężki zapach. Słodki.

Dręczył mnie ten zapach.

Elias postawił butelkę na barku w kącie i wrócił do mnie. Usiadł na skórzanym fotelu ukośnie do kanapy, podniósł swój kubek i ścisnął go oburącz. Kiedy pociągnął łyk, sprawiał wrażenie, jakby nie pił od kilku dni.

Na podłodze przy jego fotelu stała teczka na akta, z którą kiedyś go widziałam. Była większa od typowej walizeczki człowieka na stanowisku, i zrobiona z mniej wykwintnej skóry. Pewnie nosił tak

dużo papierów, że cieńszy model mu nie wystarczał. Teczka była otwarta, ale nie widziałam, co jest w środku.

- Mówiła pani serio, że chce pani pomóc Cleo? - spytał.
- Pomóc? Ma pan na myśli pomoc w jej znalezieniu?
- Mam na myśli pomoc w przezwyciężeniu jej problemów seksualnych.

- Oczywiście.

- Myślę, że powinienem pani opowiedzieć o niej kilka rzeczy.

Jeśli ma pani zamiar jej pomóc, powinna pani wiedzieć o jej ojczymie.

Mówiła pani o nim?

- Elias, nie mogę o tym z panem rozmawiać. Nie mogę panu powiedzieć, o czym rozmawiała ze mną Cleo, tak jak nie mogłam powiedzieć tego policji.

- Ale może mnie pani wysłuchać. Może pani pozwolić mi o tym mówić. I może pani porozmawiać ze mną teoretycznie o kimś takim jak osoba, którą opiszę.

- To mogłabym chyba zrobić. Ale po co?

- Bo to jej pomoże.

Nie odezwałam się. Był coraz bardziej wzburzony, a ja się bałam, że jest bliski załamania psychicznego.

- Gdyby kobieta, która została skrzywdzona i która jest zła, przezwyciężyła problem swojej złości, miałaby szansę dojść do ładu ze swoimi uczuciami - zauważył. - Mam rację?

- Tak.

- Dobrze, w takim razie powiem pani, co wiem o Cleo. Kiedy miała piętnaście lat, jej matka wróciła do pracy, co wiązało się z podróżowaniem, i wtedy Cleo zostawała z nim sama.

- Elias, ja nie mogę...

- Tylko słuchaj. - Nagle podniósł głos. Wiedziałam, że w takiej sytuacji mogę jedynie mu ustąpić, dać się wygadać. Skinęłam więc

głową. Nie miałam zamiaru zdradzać żadnych tajemnic swojej pacjentki. Pomyślałam, że pozwolę mu mówić, a potem zadzwonię do Simona Weissa i zorganizuję Eliasowi pomoc.

- Jej ojczym był dla niej zastępczym ojcem. Ożenił się z jej matką, kiedy Cleo miała pięć lat. Ufała mu, ale nie rozumiała, że on jest tylko jeszcze jednym odrażającym facetem, którym rządzi jego fiut. Więc kiedy się do niej dobrał, była zdezorientowana. Nie rozumiała, była dziewicą, nie miała jeszcze nawet chłopaka.

Elias wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać albo zacząć krzyczeć. On się potwornie dręczył.

- Proszę tego nie robić. Nie musimy o tym teraz rozmawiać - powiedziałam.

- Musimy. Musimy o tym porozmawiać.

- Zgoda. To niech pan mówi dalej.

Koniecznienie chciał mi opowiedzieć jej historię, ulżyć sobie, udowodnić mi, że zna jej koszmarne przeżycia. I choć pamiętając o etyce zawodowej, bardzo chciałam go powstrzymać, to także chciałam usłyszeć, jak ona mu to opowiedziała. Czy przedstawiła to nam obojemu w ten sam sposób? Bo byłoby bardzo znaczące, gdyby każdemu z nas podała inną wersję.

- On był niewyżytyim draniem, a to, jak się do niej dobrał, było obleśne. Zdjął z niej koszulę. Przyłożył głowę do jej małych piersi, które nawet nie były jeszcze dojrzałe, włożył głowę między jej nogi. Potem wsadził swoją grubą pałę między jej uda. Za pierwszym razem użył jej ciasno zaciśniętych ud jako prowizorycznej wagi. Nie wszedł w nią. Nie za pierwszym razem. Nie za drugim. Mijały tygodnie. Kupował jej prezenty. Był skruszony, ona była przerażona. Jej matka ciągle gdzieś wojażowała, zachwycona swoją pracą. Nigdy nie były ze sobą blisko, więc Cleo nie mogła jej powiedzieć. I w końcu zrobił to.

Wdarł się w nią, odebrał jej dziewictwo. Zbecześcił ją. Wziął ją dla siebie.

Zatracił się w opowiadaniu o koszmarze, który musiał często odtwarzać w swojej wyobraźni. Odwróciłam wzrok. Widok bólu na jego twarzy trudno było znieść.

Spojrzałam na reprodukcję fotografii ciemnoniebieskiego irysa na czarnym tle - pięknej, erotycznej, zmysłowej - która wisiała na ścianie. Nie, nie na ścianie. Wisiała na środku drzwi, które znajdowały się na prawo od kuchni. Fotografia mogła być dziełem Mapplethorpe'a, nie byłam pewna, ale była znakomita. Płatki kwiatu przylegały ciasno do siebie. Jak ręce złożone do modlitwy, jak zaciśnięte nogi młodej dziewczyny.

- Mimo że popełniał śmiertelny grzech, zdobył się na taką podłość. Zgwałcił piętnastoletnią dziewczynę w jej własnym łóżku, z pluszowymi zwierzakami leżącymi obok niej - ciągnął Elias.

Słyszałam już wiele podobnych historii, ale mimo całego zawodowego doświadczenia właśnie takie rzeczy sprawiały, że gotowała się we mnie złość. To było to, z czym sobie nie radziłam. Kiedy Noah mnie dotknął, to miało jakiś związek z ojczymem Cleo i jemu podobnymi. To był ten sam akt, chociaż intencja była inna.

Wszystko, czego się nasłuchiwałam, w jakiś sposób mnie zniszczyło, tyle że w ramionach Noaha przez kilka minut czułam, że ja też mam szansę być uzdrowiona. Że tak jak Cleo mogłabym znaleźć nowe i czyste miejsce dla moich własnych uczuć, nieskalane tym, o czym słyszałam i czego byłam świadkiem.

Teraz miałam się nigdy nie dowiedzieć, czy moje nadzieje były słuszne.

Głos Eliasa brzmiał jak chór w tle. Nie byłam pewna, czy muszę dalej tego słuchać. Zalało mnie uczucie potwornego znużenia, jakbym

była pod wpływem jakichś środków oszalamiających, jakby moja krew gęstniała i wolniej płynęła w żyłach.

On mówił o małej, zagubionej dziewczynce tylko trzy lata starszej od Dulcie. Tylko siedem lat starszej ode mnie, kiedy umarła moja matka.

- Jak ona się czuła, doktor Snow? We wszystkie te noce, kiedy zwlekał się z niej i zostawiał ją w jej łóżku, w pościeli mokrej od jego potu i jego spermy, z czerwonymi, poobcieranymi udami? Proszę, niech mi pani powie, jak ona się czuła. Jak to na nią wpłynęło.

- W dziecku pozostaje trwały uraz, złość, furia. - Udzielałam mu podręcznikowych odpowiedzi, ale to mu nie przeszkadzało. Siedział na brzegu fotela, chłonąc każde słowo. - Wini siebie za to, co się stało, właśnie dlatego, że jest dzieckiem i nie wie, co ma o tym myśleć. Nie potrafi podejść do tego inaczej.

To nie było nie fair. Mogłam o tym rozmawiać, bo mówiłam ogólnikami, a nie o Cleo jako takiej, choć wiedziałam, że tak naprawdę rozmawiamy o niej i że to jest klucz do zrozumienia, dlaczego nie potrafiła oddzielić życia zawodowego od prywatnego i kochać się z Eliasem w taki sposób, jak on tego chciał. W taki sposób, jak ona tego chciała.

- Młoda dziewczyna, która przeżyła taki uraz, może podążyć różnymi ścieżkami. Może się załamać albo w końcu komuś powiedzieć i z czyjąś pomocą spróbować poradzić sobie z tym, co ją spotkało - wyjaśniłam.

- A jeśli ani jedno, ani drugie? Jeśli nikomu nie powie i będzie po prostu z tym żyła? Czy zostanie, czy mogłaby zostać prostytutką, żeby utrwalić ten rodzaj postępowania?

- Tak. To by jej dało kontrolę nad mężczyznami.

Każąc sobie płacić za seks, miałyby możliwość decydowania, kiedy zacząć, a kiedy przestać, miałyby całkowitą kontrolę. Wszystko,

co robiłaby w pracy, byłoby w ostatecznym rozrachunku uwłaczające dla mężczyzn. Każdy kolejny klient byłby obiektem jej zemsty.

- A co mogłoby ją uleczyć?

- Gdyby poddała się terapii, terapeuta przeprowadziłby ją ponownie przez tamten okres, pomógłby jej dotrzeć do źródła wściekłości. Pomógłby jej zrozumieć, że wtedy jako dziecko miała ograniczoną władzę, ale już nie jest dzieckiem. Ja zachęciłabym ją do wyrażenia złości i obciążenia winą swojej matki, która na to zasługuje. Przebrnęłybyśmy przez traumę.

- I co wtedy? - Kiwał głową, jakby notował w pamięci moje słowa.

- Wtedy potrzeba upokarzania mężczyzn zaczęłaby ustępować. Będąc prostytutką, biorąc pieniądze za seks, zamieniła go w pracę i nie dopuszczała do głosu uczuć. Musiałaby się nauczyć pozytywnego odczuwania seksu. Gdyby już sobie uświadomiła, że nie potrzebuje tej motywacji, tego wściekłego panowania nad mężczyznami, może byłaby w stanie przestać kochać na dystans. Ona boi się poczucia bezsilności. Została okrutnie zdradzona, nie wierzy w intymne związki, nie potrafi dzielić się sobą taką, jaka jest naprawdę. Nauczyła się nie mówić o sobie i nie odsłaniać swojego prawdziwego wnętrza. To jest miłość na dystans.

- A książka? Po co miałaby pisać książkę?

Na to pytanie nie mogłam mu odpowiedzieć, choć znałam wyjaśnienie. Pisała książkę, bo wciąż była tak zła na mężczyzn, że miała potrzebę zdemaskowania ich, pokazania, jacy są naprawdę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Słuchała. To głos anioła. Głos kogoś, kto przyszedł ją ocalić. Leżąc w nieprzeniknionej ciemności konfesjonalu, Cleo wiedziała, że wreszcie zyskała jakąś szansę. Wszystko się do tego sprowadzało. Jej ojczym przychodził do niej po ciemku, a teraz znów jest ciemno. Żaden z mężczyzn, z którymi chodziła do łóżka, nigdy jej nie zapytał, dlaczego zawsze ma zapalone w pokoju małe światło. Nigdy ich to nie obchodziło. To światło było jej niezbędne, a teraz znów go potrzebowała.

Leżała na podłodze. Musiała się ruszyć z tego miejsca, lecz ze związanymi rękami i nogami to było prawie niemożliwe. Przez zaklejone taśmą usta krzyczała w bezgłośniei agonii, wykrzykując imię kobiety po drugiej stronie drzwi, która mogłaby ją uratować, która uratowałaby ją, gdyby tylko usłyszała, że ona tu jest.

Wsluchując się w głosy, używając ich niczym boi nawigacyjnych wśród bezgwiazdnej nocy, posuwała się pomaleńku do przodu. Półtora metra w tej sytuacji to to samo co półtora kilometra.

Nie mogła ani wstać, ani iść, ani się czołgać. Była bardziej bezradna niż dziecko. Tak kiedyś czuła się przez niego, przez te jego wielkie łapy i obleśny szept. Opowiadała o tym doktor Snow, opowiadała o tym Eliasowi. O tym, że jego głos w jej uszach był czasem jeszcze gorszy niż jego kutas wepchnięty między jej nogi. Musiała słuchać, jak ten sam głos, który czytał jej bajki na dobranoc, szeptał, jaka jest ciasna między udami. Ten sam głos, który słodkim tonem prosił jej matkę, by dołożyła mu makaronu z serem, mówił jej, że była najśłodsza dziewczynką, jaką rznął w swoim życiu. Lubił gadać podczas seksu i dlatego było to jeszcze cięższe do zniesienia. Nie mogła zamknąć oczu i wyobrazać sobie, że to przystojny kolega z

klasy albo jakiś aktor. Musiała być świadoma, że to on. Musiała to wiedzieć zawsze, za każdym razem.

Centymetr za centymetrem. Wolne kołysanie, z boku na bok. Jak daleko ma do celu? Całe szczęście, że po drugiej stronie drzwi wciąż rozmawiają.

Miała nadzieję, że będą rozmawiali wystarczająco długo, by zdążyła tam dotrzeć. Ale co wtedy? Nie miała głosu. Nie mogła poruszyć rękami ani nogami.

Podczas takiego wysiłku trudno było oddychać przez nos. Pot spływał jej po plecach. Tkanina, którą miała na sobie, tak bardzo ciążyła jej na ramionach, tak strasznie było w niej gorąco, że przez nią każdy ruch był jeszcze trudniejszy. Gdyby mogła to zdjąć! Ale nie miała wolnych rąk, nie miała wolnych stóp. Miała tylko swoje ciało. To było jedyne, czym kiedykolwiek dysponowała.

Łzy znów przysłoniły jej oczy. Te cholerne łzy. Z wysiłku? Czy z powodu słów, które docierały do niej zza tych drzwi? Wiedział, że ona słyszy. O to właśnie mu chodziło. Jego ostatnia szansa, żeby ją oczyścić.

Nic innego nie podziałało. Nic nie mogło podziałać. On wykorzystuje doktor Snow. A co potem? Czyjej też chce się pozbyć? Musi go powstrzymać. Ale jedyne, co ma, to swoje ciało...

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Nie było nic więcej do wysłuchania ani do powiedzenia. Przez moment oboje siedzieliśmy w milczeniu z kłębiącymi się w powietrzu słowami. One nawet miały swój dźwięk, jakby delikatny szelest.

Nie. To był prawdziwy dźwięk. Ale jaki to rodzaj dźwięku?

- Dziękuję, doktor Snow.

Kiwnęłam głową. Nie chciałam rozmawiać. Chciałam słuchać. Wstałam i podeszłam do okna. Dźwięk się oddalił. Wracając do kanapy, przeszedłam obok szklanego barku na kółkach i zobaczyłam nalepkę na butelce z winem.

To nie było wino, jakie można kupić w każdym sklepie. To było wino mszalne, sprzedawane tylko kościołom.

Wino mszalne?

I nagle przypomniałam sobie zapach, który poczułam, wchodząc do mieszkania. Kadzidło. Takie, jakiego używa się w kościołach. Byłam z Mitchem na tyłu mszach, że wystarczyło, by rozpoznać ten zapach. Wyczuwałam go wcześniej w obecności Eliasa. I jeszcze gdzieś.

Spojrzałam na niego. Gdy pochwycił moje spojrzenie, odwróciłam wzrok w stronę drzwi.

W stojaku na parasole był czarny parasol ze znajomą czarną rączką. Błyszczała, i ten błysk ze mnie drwił. Przeoczyłam wszystkie tropy, a teraz one cisnęły mi się do oczu. Gdziekolwiek spojrzałam, był następny.

Spacerowałam dalej po pokoju. Teraz przechodziłam koło jego biurka, na którym leżał stos zaadresowanych do niego kopert. Ale nie na ten adres, tylko w St. Martin, N.A. Netherland Antilles.

To stąd pamiętałam te inicjały - z wizytówki służbowej Eliasa. Jedno biuro w Nowym Jorku, drugie w St. Martin, N.A.

To jest tylko zbieg okoliczności.

Noah mówił, że w St. Martin był kościół, który zamówił damskie habity zakonne, ale to niemożliwe. To tylko zbieg okoliczności...

Nagle jakiś głośny łomot zakłócił ciszę, odgłos czegoś masywnego uderzającego w drewno. Dźwięk dobiegł z głębi mieszkania, z miejsca gdzieś za salonem.

Zbieg okoliczności?

Czy Elias mógłby być Uzdrawiaczem? Czy ja mogłam być aż tak ślepa? A jeśli to on mordował te kobiety, musiał też porwać Cleo. Na pewno jest jakiś związek. Ale jaki?

Elias zabił Cleo? Nie.

Wiedziałam, co robię. Zawsze przyglądałam się jego twarzy, kiedy o niej mówił. Miał na jej punkcie obsesję. Naprawdę ją kochał, nie zabił jej. Ale czy zabił tamte inne kobiety, w jakimś obłędnym rytuale, który miał związek z Cleo? Nie mogłam odpowiedzieć sobie na to pytanie, jeszcze nie teraz, nie w chwili, kiedy byłam tak przerażona. Ale to wszystko jest jakoś z sobą powiązane. Cały czas tak mi się wydawało.

I wtedy znów usłyszałam ten dźwięk. Uderzenie. Niezbyt mocne, lecz wystarczająco głośne, by zwrócić na nie uwagę. Elias zmrużył gniewnie oczy.

Chociaż bardzo mnie korciło, by przeszukać mieszkanie, wiedziałam, że jeśli mam rację i jeśli tam ktoś jest - Cleo? - jedyną szansą jest wydostać się najpierw na zewnątrz. Musiałam skorzystać z telefonu, zadzwonić do Noaha. Jego imię było teraz wypisane w mojej głowie wielkimi, lśniącymi literami. Stanowiło rozwiązanie.

Żeby tylko wyjść, podejść do drzwi. Nie patrzeć w stronę, z której dochodzi ten dźwięk.

- Muszę iść, Elias.
- Tak, musi pani iść.

Co on wyczytał z mojej twarzy? O czym myślał? Gdzie jest Cleo? Na razie nie mogłam się na tym koncentrować. Najpierw musiałam wyjść. Po prostu wyminąć go i przekroczyć próg tych drzwi.

Byłam w połowie drogi, prawie u celu, kiedy zorientowałam się, że zostawiłam torebkę. Musiałam zachowywać się normalnie, wrócić po nią, bo inaczej byłby pewien, że ten odgłos wzbudził moje podejrzenia.

Gdyby tylko domyślił się, że czegoś się domyślam, za nic nie pozwoliliby mi wyjść, a gdybym nie mogła wyjść, nie mogłabym pomóc Cleo. Musiałam się wydostać z tego mieszkania w imię ratowania Cleo. Ratowania Dulcie. Adrenalina kipiała w moich żyłach.

Zawróciłam do kanapy po torebkę, ale mój wzrok powędrował ku drzwiom przy kuchni.

Fotografia z niebieskawoczarnym irysem była przekrzywiona.

Znów usłyszałam ten dźwięk. Dochodził zza tamtych drzwi, a po ostatnim uderzeniu rama zsunęła się z haczyka, odsłaniając fragment drucianej siatki: róg kratki konfesjonału.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Było za późno. Elias zauważył, że wpatruję się w drzwi. Spostrzegł to, co ja spostrzegłam, i doskonale wiedział, do jakich wniosków doszłam.

Niewiele mogłam zrobić. Nie miałam czym się bronić. Elias był na drugim końcu pokoju, ja stałam kilka kroków od tamtych drzwi. Nie miałam już nic do stracenia.

Otworzyłam te drzwi. Nie myślałam o niczym, niczym się nie przejmowałam. Zbyt wiele się wydarzyło. Stawka była zbyt wysoka.

Gapiałam się w ciemną przestrzeń.

Zakonnica ubrana w habit leżała na podłodze. Piękne oczy Cleo były zalane łzami, usta zaklejone taśmą, ręce i nogi związane, czoło zroszone potem.

Bałam się odwrócić i spojrzeć na Eliasa, bo teraz już byłam pewna, z kim jestem w tym mieszkaniu. I byłam przekonana, że nie ma szansy, by Uzdraviacz pozwolił mi teraz wyjść.

Dlaczego nie byłam w stanie pozbić tego w całość wcześniej? Miałam książkę, pełno w niej było różnych tropów. Fakt, że w moim gabinecie Cleo nazywała Eliasa Cezarem, a w książce nadała mu przezwisko Uzdraviacz. Ale nie ukrywała też, że ma dla niego parę innych imion. Powiedziała mi to, a ja zapomniałam.

Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki oddech. Co mogłam zrobić? Przecież do cholery jestem terapeutką! Jak mogłabym z tego wybrnąć?

Postanowiłam go zagadać. W końcu tym właśnie się zajmowałam, gadaniem. Niczym innym. Potrafiłam pomagać ludziom słowami.

- Elias, usiądźmy.

Pokręcił głową.

- Co ja mam, kurwa, z panią zrobić? Dlaczego pani nie wyszła?

Nie chcę pani tutaj. - Był bliski płaczu.

- A czego pan chce?

- Chciałem tylko poznać sekret, jak przywrócić jej czystość.

- Mogę panu w tym pomóc, jeśli ją pan rozwiąże i odknebluje jej usta. Będzie mogła usiąść i razem będziemy mogli to omówić.

- Och, proszę, doktor Snow. Nie mogę tego zrobić. Nie mam zamiaru wpaść.

- W końcu pan wpadnie.

- Nie, ja nie wpadam. Nie wpadłem w hotelach ani w pani gabinecie. To ja wtedy splądrowałem pani gabinet. Próbowałem znaleźć książkę Cleo, zabrać ją. Nie chciałem, żeby się pani czegoś domyśliła.

To po to zgłosił się na wizytę do Simona Weissa - by dostać się do instytutu, by zostać zauważonym i nie wzbudzać oczywistych podejrzeń, gdyby ktoś zobaczył go po raz drugi.

- Nie ma na mnie silnych - chępną się desperacko.

- Proszę pozwolić sobie pomóc.

- Nie ma na to sposobu. Musiałaś tam zajrzeć, co? Musiałaś być taką wścibską suczą pizdą i zajrzeć, nie? No i co ty zrobiłaś?

- Masz rację. To moja wina, że zajrzałam. Jestem rzeczywiście wścibska, ale to dlatego, że przejmuję się tobą. I Cleo. Przejmuję się ludźmi, którzy się pogubili, którzy czegoś nie rozumieją i którzy myślą, że nie ma żadnego wyjścia.

- Zabiłem pięć kobiet. Jakie tu jest wyjście?

Serce waliło mi tak mocno, że słyszałam je w swojej piersi. Uzdrawiacz zwabiał prostytutki do pokoi hotelowych, by sprawdzić, czy może przemienić grzesznice w święte. Oczyszczyć je, stworzyć efekt aureoli, który mógłby potem zastosować w przypadku Cleo.

Przeniosłam wzrok na jej wymizerowaną twarz. Cleo leżała na podłodze, bezsilna. Elias był po drugiej stronie pokoju. Cleo wpatrywała się we mnie, dając mi jakieś znaki oczami. Na moment skupiłam się tylko na niej. Rzuciła spojrzenie na podłogę, następnie w kierunku Eliasa. Znow na podłogę, tuż koło moich stóp, potem znow na moją twarz. Wiedziałam, że próbuje mi coś przekazać, ale nie mogłam jej zrozumieć.

Postąpiłam krok w jej stronę. Pozwolił mi. Podeszłam bliżej, jeszcze bliżej, a potem schyliłam się i otarłam jej łzy.

- Świecona woda - dobiegł mnie głos z głębi pokoju. - Nawet tego próbowałem. Kapałem ją w święconej wodzie, wypraktykowałem to na tamtych innych dziwkach. Eksperymentowałem z sakramentami, z hostią, z wszystkim, co tylko przychodziło mi do głowy, co mogłoby je oczyścić.

- A kiedy się nie udawało, kiedy stwierdzałeś, że dalej są prostytutkami, zabijałeś je.

- Żeby mogły zostać świętymi, żeby mogły stać się godne Marii Dziewicy. Przynajmniej tyle mogłem dla nich zrobić. - Sprawiał teraz wrażenie silniejszego. To była brawura, jedna z cech zdradzających psychopatę. Okazał się tak przebiegły. Prawnik. Przychodził do mnie i mówił, że jest podejrzany. Odpierał podejrzenie, biorąc je na siebie.

Zaczął grzebać w szufladzie biurka. Wyrzucał papiery, szukał czegoś, chował jakieś rzeczy do kieszeni.

- Jestem na to przygotowany. Całkowicie.

Nie pytałam, co ma na myśli.

Cleo znow dawała mi znaki oczami. Przenosiła wzrok z podłogi na Eliasa, z powrotem na podłogę.

Teraz wyjmował rzeczy z walizeczki. Nie żadne akta. To wcale nie była teczka. To była walizka liturgiczna.

Zobaczyłam święconą wodę, wielki złocony kielich mszalny i purpurową jedwabną szatę. Wyrzucił wszystko na podłogę. Te rzeczy go zawiodły. Kopnął z całej siły kielich. Gdyby potoczył się w moim kierunku, mogłabym go użyć jako broni.

„Zadaje im cios ciężkim okrągłym przedmiotem...”

Przypomniałam sobie, że Noah mówił mi o takim narzędziu. To tym kielichem musiał ogłuszać swe ofiary.

Prawie opróżnił już walizkę. Co zamierzał zrobić z nami? Czy miał broń? Nie potrzebował broni. Miał ręce. Udusił nimi pięć kobiet. Mógł po prostu...

I wtedy zrozumiałam, na co patrzy Cleo, co mi usiłuje przekazać...

Elias ruszył w moją stronę, sięgając do kieszeni. Broń? Nóż? Co zamierzał?

- Nie zrobię pani krzywdy, nie muszę. Wychodzę i zostawiam was tu obie.

W rękę miał rolkę takiej samej srebrnej taśmy klejącej, jaka krępowała nogi i ręce Cleo. I jaką miała zaklejone usta. Idąc powoli, odwinął długi kawałek i oderwał go zębami. Był coraz bliżej. Zamarło mi serce. Całą sobą skupiłam się na kalkulacji, jak szybko idzie, w jakiej jest odległości ode mnie, ile mam czasu i kiedy będę musiała zrobić ruch.

Metr.

Za daleko.

Jeszcze kroczonek. Następny. Ponad pół metra.

Wciąż za daleko. Próbowałam skoncentrować całą swoją energię na tym, co muszę zrobić, na tym, by za wiele nie myśleć. Żeby mnie nie sparaliżowało.

Wwiercał się we mnie wzrokiem. Był w stanie psychotycznym - nic nie wiedział, nic nie czuł, działał w pełnej nieświadomości. Jego

rozum i racjonalizacja były kompletnie zablokowane, bezużyteczne dla nas obojga.

Zrobił jeszcze jeden kroczek. Starając się nie poruszyć zbyt szybko, by go nie spłoszyć, zsunęłam swoje obłędnie wysokie szpilki i wtedy najszybciej, jak mogłam, schyliłam się i...

- Co ty robisz? - wrzasnął.

Nie odpowiedziałam. Zamachnęłam się, ściskając mocno w dłoni nosek buta. Miałam napięte jak struna mięśnie, zaciśnięte kurczowo palce, ale nic nie czułam. Śledził ruch mojej ręki, zaskoczony, nie pojmując, co się dzieje. Był szybki i silny, ale ja przerobiłam ten jeden moment szoku na swoją korzyść. Nie spodziewał się tego. Na ułamek sekundy podniósł głowę i wtedy długi cienki obcas wylądował w jego oku.

Wrzask był mój, krew jego. Czułam ten gorący płyn na policzku. Elias złapał się za twarz. Wył jak oszalały, kręcił się w kółko jak zwierzę, złapany w sidła bólu. Powłóczył nogami po omacku, z jednym okiem osłepionym, drugie zaciskając w męczarni. Zrobił następne kółko, znalazł się bliżej drzwi. Tracił krew. Nie miałam pojęcia, jak bardzo go zraniłam.

Potrzebowałam trochę czasu, by zadzwonić na policję, żeby oswobodzić Cleo. Jak długo może potrwać jego ból?

Otworzyłam drzwi wejściowe do mieszkania i ruszyłam na niego. Nie miałam pojęcia, czy mnie widział, czy przejrzał moje intencje - jego zdrowe otwarte oko nie było zwrócone na mnie.

Wciąż wydawał gardłowe zwierzęce odgłosy, których miałam nie zapomnieć do końca życia. To ja spowodowałam ten ból, na mnie była jego krew. W tej chwili jednak to wszystko nie miało znaczenia, absolutnie żadnego, a ja z zapasem nowej siły ruszyłam znów na niego, modląc się, aby dalej był w szoku, żebym mogła zrealizować swój plan.

Wyciągnął rękę, złapał mnie za włosy i szarpnięciem przyciągnął do siebie, zanim zdążyłam do niego dojść. Zaskoczona siłą jednoręcznego chwytu, wytrzymałam jakoś ból, pozwoliłam Eliasowi przyciągnąć się bliżej i ponownie zamachnęłam się tym głupim butem.

Uderzyłam go w plecy i usłyszałam trzask. Czy trafiłam w łopatkę? W żebra? Z ust Eliasa wyrwał się wrzask w reakcji na nowe źródło bólu.

Wciąż jednak jedną ręką trzymał mnie za włosy, druga zasłaniając oko, z którego lała się krew. Nie wyszarpywałam się. Oboje, jak złaczeni w jakimś makabrycznym tańcu, obracaliśmy się w kółko, dzięki moim manewrom coraz bardziej zbliżając się do drzwi. W końcu użyłam głowy jako taranu i mimo że Elias silnie trzymał mnie za włosy, mimo piekącego bólu w czaszce, popchnęłam go i uderzyłam w podbródek.

Siła ciosu musiała wywołać następny paroksyzm bólu, bo za progiem upadł na plecy, nie wypuszczając z ręki moich włosów. Miałam mniej niż dziesięć sekund na to, by się podnieść, zatrzaskać drzwi i zamknąć się od środka, zostawiając go na korytarzu.

Wstałam, zachwiałam się, położyłam ręce na drzwiach i je pchnęłam. Między jego palcami zauważyłam jedynie garść brązowych włosów.

Dźwięk zaskakujących z trzaskiem zamków dał mi sekundę oddechu, by się zastanowić, co dalej.

Dolny zamek. Środkowy zamek. Łańcuch. Muszę rozwiązać Cleo, potrzebowałam jej pomocy. I muszę zadzwonić na policję. Elias mógł mieć przy sobie klucze i dostać się z powrotem do środka. Nie, zamknęłam drzwi na łańcuch, ale nigdy nie wiadomo.

Podbiegłam do telefonu, wybrałam 911, wykrzyczałam adres.

- Macie trzy minuty. On jest Mordercą Magdalenek. Jest na korytarzu. Zabarykadowałam się w środku, ale on może mieć klucze.

- Może mi pani powiedzieć, na czym polega...

- Jasny szlag, nasze życie jest zagrożone. On może nas zabić, gołymi rękami! Przyślijcie tu kogoś. Zadzwońcie do detektywa Noaha Jordaina. Wydział Specjalny. Proszę mu powiedzieć, że dzwoniła Morgan Snow. Natychmiast.

Rzuciłam słuchawkę i ukłękłam przed Cleo, by zedrzeć taśmę klejącą z jej rąk. Była za gruba, nie mogłam jej w żadnym miejscu naderwać. Pochyliłam się do jej nadgarstków, próbując zrobić to zębami, jak Elias. Nic z tego.

Cleo miała dziki wyraz oczu. Patrzyła na coś za moimi plecami - na biurko. Wstałam. Na stosie papierów leżał zwykły otwieracz do listów. Zbyt tępy. Potrzebowałam nożyczek, ale ich nie znalazłam.

Usłyszałam koszmarny metaliczny dźwięk otwierania zamków, szczękania zapadek. Tak głośny, że wydawało mi się, że ogłuchnę. Nie było w naszym świecie żadnego innego dźwięku - tylko otwieranie kluczem drzwi.

Były dwa klucze, dwa zamki. Ale istniało jeszcze jedno zabezpieczenie - zamknęłam drzwi na łańcuch.

Dając sobie na chwilę spokój z rękami Cleo, chwyciłam róg taśmy, którą miała zaklejone usta, i z całej siły szarpnęłam. Skrzywiła się, a kiedy knebel ustąpił, rozległ się jej przeciągły wrzask, który narastał i narastał. W końcu stał się tak głośny, że przestałam słyszeć szczeń kluczy.

- Weź nóż - powiedziała szybko, jakby czekała, żeby to powiedzieć. - Tam jest kuchnia.

Nie rozejrzałam się dokoła, lecz pognałam do kuchni. Otworzyłam jedną szufladę, drugą, trzecią, aż w końcu znalazłam nóż.

Cleo uśmiechnęła się do mnie, gdy dostrzegła jego błysk. W tym uśmiechu było tyle nadziei, że przez chwilę uwierzyłam, że naprawdę

z tego wyjdziemy. Że on nie będzie w stanie wyważyć drzwi, że łańcuch wytrzyma. I zdąży przyjechać policja.

Oczywiście, że nie będzie w stanie otworzyć drzwi, myślałam. To był mocny łańcuch.

Ostrożnie rozcinałam taśmę, bo starałam się nie skaleczyć Cleo. Zajął mi to więcej czasu, niż powinno, lecz udało się.

- Poradzisz sobie z nogami?

Skinęła głową.

Dałam jej nóż.

Elias stał za drzwiami, próbując wepchnąć do środka palce, ale szczelina była za wąska. Jeszcze przez chwilę mogliśmy się uważać za bezpieczne.

Cleo przecięła taśmę u nóg i zaczęła dźwigać się z podłogi.

Pobiegłam jeszcze raz do kuchni, do domofonu. Podniosłam słuchawkę.

- Halo - odezwał się powoli portier.

- Niech pan tu nie wchodzi i nie pozwoli wejść nikomu. Niech pan wyjdzie na zewnątrz i poszuka policji. Niech pan ich wpuści na górę. Proszę znaleźć policję. Zadzwoń na 911. Jedna kobieta jest ranna. Na korytarzu jest morderca.

- Kto mówi?

- Niech pan to zrobi. Potrzebujemy pomocy.

Wypuściłam z ręki słuchawkę i wbiegłam do salonu.

Cleo stała bez ruchu i patrzyła na mnie z przerażeniem w oczach. Spojrzałam na drzwi. Palce zniknęły. Wiedziałam, że go tam nie ma.

- Gdzie on jest?

Potrząsnęła głową.

- Cleo, możesz mówić?

- Tak.

- Gdzie on jest?

I wtedy znów usłyszałam szcęk zamka. Zabrział w moich uszach jak strzelanina.

- Gdzie on jest?
- Są tylne drzwi. W kuchni.

Rozejrzałam się wokół. Dokąd miałyśmy iść? Co on mógł nam zrobić? Czy we dwie nie byłyśmy w stanie go pokonać? Miałam nadzieję, że nam się uda, ale nie byłam przekonana. Skąd miałam mieć pewność?!

- Chodź - szepnęłam i wzięłam ją za rękę.

RS

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Taras wychodzący z salonu miał jakieś pięć metrów długości oraz dwa metry szerokości i był zastawiony ciężkimi meblami z kutego żelaza. Poza stołem i czterema krzesłami zauważyłam kilkanaście roślin w ceramicznych donicach.

Obie byłyśmy ubrane na ciemno. Była noc. Może nas nie zauważy? Może. Może w tej ciemności będziemy niewidoczne, dopóki nie zacznie nas tu szukać.

Dopóki nie pomyśli o tarasie.

- Kładź się - szepnęłam.

Położyła się, a ja koło niej, i zaczęłyśmy czekać, nasłuchując policyjnych syren, wypatrując, kiedy za szklanymi drzwiami pojawi się Elias.

Wyglądał jak ofiara brutalnej napaści. Oczy miał zapuchnięte. Jego twarz, koszula, szyja i ręce były całe we krwi. Ociekał krwią, która skapywała na podłogę.

Wstrzymałam oddech, chociaż żadnym cudem nie mógł mnie usłyszeć z wnętrza mieszkania.

Krażył po pokoju oszalały, przewracał wazony i książki, jakby wierzył, że mogliśmy się skurczyć i gdzieś tam ukryć. Z trudem go rozpoznawałam, tak bardzo wściekłość, krew i rana zmieniły jego twarz.

- Co on robi? - wyszeptała Cleo.

Z kąta, w który ją wepchnęłam, nie mogła go widzieć.

- Rozgląda się. Szuka nas.

- Nie pomyśli o tarasie.

- Nie.

- Nie, nie pomyśli.

Nasze słowa brzmiały jak modlitwa. Miałam nadzieję, że się sprawdzą.

Dopóki nie usłyszałam, że Elias przekręca gałkę szklanych drzwi.

- Leż, nie wstawaj. Cokolwiek się stanie, leż. Za chwilę przyjedzie policja. Na pewno. Minęło najwyżej pięć minut, chociaż wydaje się, że wieki.

Drzwi się otworzyły. Nie patrz w górę, pomyślałam, przesyłając tę myśl do Cleo, mając nadzieję, że nie wstanie, że pozostanie w ukryciu.

Elias mnie nie kochał, nie miał motywów, żeby chcieć mnie zabić, ale chciał zabić Cleo.

- Doktor Snow - odezwał się dziecięcym głosem, bardzo młodym.

- Pani mnie zraniła.

Milczałam.

Jego stopy przystanąły kilka centymetrów od mojej twarzy, kiedy poczułam, że się nade mną pochyła i ciągnie mnie za włosy. Mimo bólu pozostał silny. Pomyślałam, że zamierza skrócić mi kark, tak jak to zrobił z tamtymi kobietami.

Czy to było wycie syreny na wietrze, zmieszane z innymi odgłosami ulicznego ruchu? Nawet jeśli tak, są o wiele za daleko. On zabije mnie i Cleo, myślałam gorączkowo, i zdąży uciec, zanim policja tu przyjedzie.

- Elias, jeśli mnie wypuścisz, porozmawiam z policją. Przekonam ich, żeby cię nie zamknęli w więzieniu, wytłumaczę, że potrzebujesz pomocy.

Wpatrywałam się w jego zdrowe oko. Nie miał pojęcia, o czym mówię. Nie rozumiał mnie.

Postawił mnie na nogi. Sięgnął do mojej szyi jedną ręką, potem drugą.

Syrena była bliżej, ale nie dość blisko.

Z palcami wczepionymi w moją szyję pociągnął mnie na siebie. Leżał na plecach, a ja na jego brzuchu. Czułam pod sobą jego twarde ciało, jego mięśnie i jego kości. Jego oddech na mojej twarzy. Czułam wszystko poza jego dłońmi zaciskającymi się na mojej szyi, lecz wiedziałam, że to tylko kwestia sekund.

Bo wszystko powoli stawało się czarne.

RS

ROZDZIAŁ PIEĆDZIESIĄTY SIÓDMY

- Doktor Snow, proszę wstać.

Cleo stała przy jego głowie. Wiatr smagał jej nogi, podwiewając habit jak w klasycznej pozie Marilyn Monroe. Jak w takiej chwili mogłam myśleć o czymś takim?

Trzymała w wyciągniętej ręce nóż połyskujący w bladym świetle księżyca, które padało na tę część tarasu. Z ostrza wolno skapywały krople krwi.

Pode mną jęczał Elias, ale to były anemiczne jęki, rozmyte i słabe.

Straciłam jego ręce ze swojej szyi i wstałam. Powoli, jakbym nigdy wcześniej nie wstawała na nogi i nie była pewna, czy wiem, jak to się robi.

Syreny wyły już tuż pod nami. Przyjechali. Spóźnili się jedynie odrobinę.

Podeszłam do Cleo, objęłam ją, a ona objęła mnie, nie wypuszczając z ręki noża. Jej ciało było nieruchome, ledwie wyczuwałam bicie jej serca.

Była sztywna jak posąg na cmentarnym nagrobku - przez sekundę, bo potem coś w niej pękło. Jej płacz był najpierw suchy, gardłowy, jakby lkał tylko jej tors, jej ciało, ale jeszcze nie jej serce, jeszcze nie jej głowa.

Nagle w mieszkaniu rozbłysły światła, jasne i przeraźliwie białe, i do środka wbiegło czterech policjantów w mundurach z wyciągniętymi pistoletami.

Przewodzili im detektywi Jordain i Perez.

Oglądałyśmy ich przez szklane drzwi, jakby byli na scenie, szukających ciała, ludzi, sprawcy, szukających ofiary.

Ani ja, ani Cleo nie miałyśmy siły, żeby się poruszyć, żeby ich zawołać.

Pierwszy zobaczył nas Noah.

Wyciągnął rękę, jak gdyby mógł mnie dosięgnąć przez szybę. Krzyknął, a ja usłyszałam swoje imię. Potem otworzyły się drzwi i wszyscy wysypali się na taras.

Jeden z gliniarzy ukląkł i przyłożył palec do szyi zalanego krwią Eliasa.

- Oddycha. Czuję puls.

- Ma puls! - krzyknął ktoś inny i natychmiast zjawili się dwóch ratowników. Sprawnie i w milczeniu założyli mu rękaw ciśnieniomierza i zaczęli podawać sobie informacje na temat jego funkcji życiowych.

Było mi przykro.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Kiedy złożyłam zeznanie w komisariacie, Nina zabrała mnie do siebie, położyła do swojego łóżka i usiadła przy mnie, czekając, aż zapadnę w sen. Nie mogłam jednak zasnąć.

Rano zadzwoniłam do Dulcie i opowiedziałam jej tylko tyle, ile musiałam, by nie przestraszyła się mojej prośby - chciałam, żeby została jeszcze kilka dni u ojca.

A potem wybrałam się z Niną na długi spacer do Central Parku. Dotarłyśmy do jeziora, a potem w drodze powrotnej zatrzymałyśmy się w naszym ulubionym miejscu: Ogrodzie Botanicznym, który mienił się kwiatami we wszystkich kolorach - różami i ostróżkami, naparstnicami i begoniami. Siedziałyśmy, przyglądając się ptakom dziobiącym ziemię, ale nie rozmawiałyśmy o niczym istotnym. Na to było za wcześnie.

Siedziałam, wdychając zapachy lata, pozwalając im usuwać z mojej głowy inne wonie. Słońce paliło mnie w oczy i dość skutecznie zamazywało prześladowające mnie obrazy.

Potem pojechałyśmy taksówką do szpitala, do którego w nocy zawieziono Cleo. Czuwał przy niej Gil. Powiedział nam, że jest w dobrej formie i że zdaniem lekarzy za dwa dni wypuszczą ją do domu.

- I wtedy będę chciała wrócić do terapii - wyznała mi.
- Nie u mnie. Po tym, co razem przeszliśmy, nie mogę. Zabrakło mi obiektywizmu.
- Uratowała mi pani życie - powiedziała i wzięła mnie za rękę.
- Chciałabym, żeby tak było, ale jest odwrotnie. To ty uratowałaś mi życie. Ty zdobyłaś się na to, żeby pchnąć go nożem.

Wypowiadając te słowa, zaczęłam dygotać. Musiałam zamknąć oczy, by odsunąć od siebie obraz Eliasa padającego na plecy i ciągnącego mnie ze sobą, zaciskającego palce wokół mojej szyi.

Instynktownie podniosłam rękę do gardła. Zastanawiałam się, kiedy mi to przejdzie, kiedy minie mi odruch dotykania własnej szyi? Kiedy zniknie mi ta sina obroża?

- Uratowaliśmy się nawzajem - oświadczyła i lekko się uśmiechnęła.

Nina z Gilem zeszli na dół na kawę, a my zostałyśmy same. Niczym dwie siostry połączone więzami krwi, tyle że nie naszej. Krwi oszalałego maniaka, którą wspólnie przelałyśmy.

- Jakim cudem to zrobiłaś, Cleo? Byłaś związana i zakneblowana w tamtej ciemnicy przez tyle dni... Jak ty tego dokonałaś?

- Mnie tam nie było. To nie ja to zrobiłam. Grałam rolę, rolę prostytutki więzionej przez szaleńca. To ona mnie zastępuje, kiedy jestem z klientami.

Pokiwałam głową. No tak, jasne. To była gra.

- Naprawdę mi zależy na podjęciu terapii - powtórzyła.

Nie mogłam jej pomóc uporać się z urazami, które w sobie nosiła, z pytaniami, które była zmuszona sobie zadać i sama na nie odpowiedzieć.

- Możesz chodzić do Niny. To jest najlepsza terapeutka, jaką znam.

- Nie, pani jest najlepsza. Uratowała mi pani życie. Nie można dostać niczego lepszego.

- Tak naprawdę to życie uratowały nam tamte szpilki. To jest broń. Powiedziałaś mi o tym podczas pierwszej sesji.

Wzięła mnie za rękę i długo ją trzymała. Patrzyłam na nas z dystansu. Była zagłodzona i wycieńczona, zamknięta w niewoli przez

mężczyznę, który był pewien, że może wziąć sobie dziewczynę i przemienić ją w Madonnę.

Nawet kosztem jej życia.

Prawdę mówiąc, niewiele brakowało.

RS

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Noah zadzwonił do mnie na komórkę we wtorek wieczorem, by opowiedzieć, czego się dowiedział.

- Elias Beecher okpił nas wszystkich. Jako młody człowiek poszedł do seminarium jezuickiego i pewnie zostałby księdzem, gdyby nie zgwałcił pewnej kobiety. Jego ojciec wszystko zatuszował. Nie było aresztowania, żadnego procesu. Przeniósł się do świeckiego college'u skończył go z wyróżnieniem i poszedł na prawo. Więc co do tego miałaś rację. I wiemy już, że habity zakonne trafiły do jego biura na Antylach Holenderskich. Tu też miałaś rację.

- Do jego biura? Sądziłam, że musiały być wysłane do jakiegoś kościoła.

- Zamówienie zostało złożone na adres kościoła Matki Boskiej Bolesnej przy Fairway Drive 1212. Tylko że pod tym adresem nie ma kościoła. To biurowiec wynajęty firmie prawniczej Eliasa Beechera.

- A brylantowy krzyżyk? To on go jej kupił?

- Nie. Sama go kupiła.

Więc przypuszczenia Gila były słuszne.

- Byliśmy pięć minut za tobą. W drodze do jego mieszkania, kiedy zadzwoniłaś na 911.

- Jak to? Skąd...

- prostytutka, która uciekła przed nim z hotelu, właśnie skończyła z naszym artystą portret pamięciowy. Od razu rozpoznałem w nim Eliasa.

Nie wiedziałam, jak zareagować.

- Dobrze się czujesz?

Kiwnęłam głową, znów zapominając, że on mnie nie widzi, i dopiero po chwili powiedziałam:

- Tak.
- Na pewno?
- Nie. Tak. - Zdobyłam się na lekki śmiech. - Nie mam pojęcia.
- Chciałbym cię zobaczyć.
- Nie. Jeszcze nie.
- Zadzwońisz do mnie? - spytał.
- Nie odpowiem ci teraz. Dulcie ma jutro przesłuchanie. Chce, żebym tam była.
- To wspaniale.
- Nie, to wszystko jest nie tak. Nie wiem, czy będę mogła tam pójść.

- Morgan, chciałbym wpaść i pogadać z tobą.

- Nie. Jestem u Niny. Jestem zmęczona, mam mętlik w głowie.

Nie naciskał. Prawdopodobnie równie często jak ja miał do czynienia z ludźmi w szoku.

- Rozumiem. Ale odezwij się, jak tylko będziesz gotowa. Będę czekał - oświadczył swoim niskim, melodyjnym głosem.

Kiedy skończyłam rozmowę, Nina rzuciła mi zaciekawione spojrzenie, ale o nic nie zapytała. Zrobiła mi następną herbatę i namówiła, żebym się zdrzemnęła. Słuchałam jej, wykonywałam jej polecenia. Chciałam, żeby podejmowała za mnie decyzje. Nie byłam w formie, żeby wysilać się na samodzielne myślenie.

Później, po drzemce i po kolacji, zapytała, jakie mam plany, więc oznajmiłam, że następnego dnia chyba wrócę do domu. Uważała, że jeszcze nie jestem gotowa. Spierałyśmy się o to, ale w końcu zawarłyśmy porozumienie, że ona pozwoli mi wrócić do siebie, jeśli obiecuję, że przyjadę z powrotem, jak tylko poczuje, że jednak nie jestem w stanie mieszkać sama.

- I pojadę z tobą jutro na przesłuchanie Dulcie - zaproponowała.

Siedziałam w jej salonie na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i głaskałam jej rasową pudliczkę Madeline, drapiąc ją po jedwabistych uszach.

- Nie jestem pewna, czy tam pójdę.

- Ona na ciebie liczy - powiedziała Nina swoim najbardziej matczynym tonem.

- Nie, ona przestała na mnie liczyć. Machnęła na mnie ręką.

- Dulcie jest dwunastoletnim dzieckiem, które wkłada całe swoje serce w to, żeby zostać aktorką. W tej chwili jesteś jedyną osobą, która stoi jej na drodze. Jediną przeszkodą.

- Lepiej, żeby mnie nienawidziła, niż zaczęła doświadczać brutalności tego biznesu. Przynajmniej przed tym mogę ją uchronić.

Nina westchnęła.

- Ale twoja córka nie jest jeszcze jedną kobietą, którą musisz ratować. Ona nie jest Cleo. Nie jest twoją matką. Ona nie jest zagubioną dziewczynką.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

Na dworze było gorąco. Zdjęłam sweter, przewiązałam się nim w pasie i poszłam dalej w stronę centrum Manhattanu. Do Pięćdziesiątej Piątej Ulicy na Broadwayu miałam spory kawałek drogi, ale wyszłam wcześniej: chciałam dać sobie trochę czasu.

Zadzwoeniłam do Mitcha i oznajmiłam, że nie mam nic przeciwko temu, żeby zabrał Dulcie na przesłuchanie. I że powinien jej powiedzieć, że jeśli dostanie tę rolę, zgodzę się, żeby ją przyjął.

- Morgan, powinnaś pójść z nami na przesłuchanie - odparł. - Ona nie potrzebuje twojego przyzwolenia. Ona potrzebuje twojego wsparcia.

Teatr znajdował się w środku kwartału. Nacisnęłam mosiężną klamkę przeszklonych drzwi i weszłam do środka. To było trudniejsze, niż przypuszczałam. Instynkt mi mówił, że powinnam wbiec przez podwójne drzwi do sali, znaleźć Dulcie i wyprowadzić ją stamtąd bez względu na to, co zdaniem innych jest „słuszne”, a co nie. Chciałam uchronić swoje małe dziecko przed tym czymś, co było tak wielkie, absorbujące i kuszące. Chciałam uchronić ją przed dorastaniem.

A nie mogłam, i wiedziałam o tym.

W torebce zadzwonił mój telefon. Skasowałam połączenie, nawet nie patrząc na wyświetlacz, wzięłam oddech i weszłam do mrocznego teatru.

Nieoficjalny charakter próby odebrał jej trochę magii. Światła na widowni były zapalone, różni ludzie kręcili się wokół sceny, rozmawiając, robiąc notatki, każdy wypełniał czymś czas.

Nie widziałam żadnych dzieci i nie chciało mi się nikogo pytać, gdzie są.

Usiadłam z brzegu, bliżej końca widowni, i wtedy jakiś wysoki mężczyzna o mocnej szczęce i władczym wyglądzie, ubrany w dżinsy i T-shirt, wkroczył na scenę.

- Okej, zaczynamy. Bob, możesz dać więcej światła na scenę? A Janet? - Rozejrzał się.

- Jestem tutaj. Już idę. - Potężnie zbudowana kobieta o krótkich rudych włosach wpadła na scenę z plikiem papierów i położyła je na fortepianie.

Wyciągnęła stółek, usiadła, wzięła pierwszą kartkę z nutami, sprawdziła, czy to jest to, czego potrzebuje, i oparła dłonie na klawiszach.

Mężczyzna, który wyglądał mi na reżysera, wywołał imię, na scenę wbiegła młodzianka jasna blondynka. Rozmawiali kilka minut o tym, kim jest i do jakiej chodzi szkoły, a ona przedstawiła jakieś referencje.

Potem Janet zaczęła grać, a dziewczyna o imieniu Amy zaśpiewała. Dźwięk był czysty i perfekcyjny. Westchnęłam. Dulcie czeka przykre rozczarowanie. Konkurencja jest zbyt silna, zbyt wysokie wymagania. Moja córka nie miała tak wyszkolonego głosu jak ta dziewczyna.

Przesłuchano jeszcze trzy młode kandydatki, wszystkie według mnie równie dobre. W końcu przyszła kolej na Dulcie. Weszła na scenę opanowana, zupełnie nie wyglądała na zdenerwowaną. Albo tak mi się zdawało z dużej odległości.

Była niska, ale robiła wrażenie, jakby była ze stali.

W oczach miała wrogi błysk, który przyprawił mnie o gęśią skórkę. Ale skoro nie wiedziała, że tu jestem, dla kogo było przeznaczone to spojrzenie?

Janet zaczęła grać tę samą piosenkę, którą grała wcześniej. Muzyka była skomponowana specjalnie do tej sztuki. Słów nie słyszałam nigdy wcześniej i nadal z trudem je śledziłam.

- Czy ty mnie słyszysz? - zaśpiewała na całe gardło moja córka głosem czystym, silnym i bardzo pięknym. - Słyszysz mnie? Czy wciąż nie rozumiesz, o czym mówię?

Nie mieściło mi się w głowie, że ta istota jest moją córką. Ona jest jeszcze dziewczynką, dzieckiem, które nie powinno stać na scenie i śpiewać w ten sposób. Skąd ona wiedziała, gdzie znaleźć ból, o którym śpiewała? Skąd wiedziała, jak oddać się bez reszty piosence w taki sposób, w jaki oddają się sobie kochankowie?

Gdy skończyła, reżyser rozmawiał z nią przez chwilę o tym, gdzie mieszka i do jakiej chodzi szkoły. A ludzie siedzący najbliżej sceny słuchali uważnie, pochylając się do przodu trochę bardziej niż podczas przesłuchania czterech innych dziewczyn.

- Panno Abbot, proszę zostać na kilka minut po tym, jak wszyscy wyjdą. Czy są tu pani rodzice? - spytał.

Wiedziałam, co to znaczy. Ona też. I cztery inne dziewczyny, które płakały teraz cichutko, zbierając swoje rzeczy.

Mitch wstał i zbliżył się do sceny.

- Tak, jestem tu.

- Pan Abbot?

- Tak, ojciec Dulcie - odparł, a ja słyszałam uśmiech w jego głosie.

Obserwowałam z tyłu, jak rozgrywa się nasz dramat. Moja córka nawet mnie nie wypatrywała, ani razu jej wzrok nie zbłądził na widownię. Daleko na scenie kosmyk włosów zasłonił jej oko. Wyciągnęłam rękę, żeby odgarnąć go z odległości dwudziestu metrów.

Nie chciałam tego. Wiedziałam, że to będzie mnie straszyć każdego dnia, a w nocy przyprawiać o bezsenność. Moja córka jest na to za młoda.

Wstałam.

I nagle, jakby nie musiała mnie szukać, Dulcie odnalazła mnie wzrokiem i posłała mi uśmiech, który nie przypominał ani Mitcha, ani mojej matki, ani mnie.

- Ja też tu jestem - powiedziałam. - Jestem matką Dulcie.

Godzinę później wszyscy troje razem wyszliśmy z teatru. Idealny obraz rozbitej rodziny, ale sklejonej w taki sposób, że jedno z nas zawsze mogło liczyć na pozostałą dwójkę.

Mitch zatrzymał taksówkę i podał adres eleganckiej restauracji na Upper East Side.

Kiedy dojechalśmy na miejsce, znów zadzwoniła moja komórka. Tym razem spojrzałam na wyświetlacz.

- Wejdźcie do środka, za minutę do was przyjdę - powiedziałam.

- Musisz być cierpliwa wobec pacjentów. - Dulcie roześmiała się i przewróciła oczami do Mitcha, który przewrócił oczami do niej, a potem ruszyli do wejścia.

Ale to nie był pacjent.

- Zaczekaj chwilę - poprosiłam, patrząc, jak ich plecy znikają w obrotowych drzwiach.

- Wydzwaniem do ciebie cały dzień - powiedział Noah swoim śpiewnym, przeciągłym głosem.

- Wiem.

- Nie odbierałaś telefonów.

Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić, więc zapadła długa cisza.

- Elias został oskarżony. Chciałem, żebyś wiedziała.

Kiwnęłam głową, po czym zdałam sobie sprawę, że on mnie nie widzi. Dlaczego ciągle z nim to robię? Czyżbym uważała, że on czyta w moich myślach i wie, co robię, nawet jeśli go przy mnie nie ma?

- Nie ma wątpliwości, że będzie siedział do końca życia. I wiele lat dłużej potem.

Nie pozostawało mi nic innego, jak znów skinąć głową.

- Prawdopodobnie będziesz musiała zeznawać, chyba że on przyzna się do winy.

Następna pauza.

- Morgan, jesteś tam?

- Tak.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

Milczałam. Lubiłam słuchać jego głosu, słuchać jego oddechu w ciszy między słowami. Przez okno restauracji widziałam stolik, przy którym właśnie usiedli Mitch i Dulcie. Na odległość moja córka wyglądała na starszą niż w rzeczywistości. Nagle spojrzała na ulicę i mnie zauważyła.

Pomachała radośnie ręką, znów wyglądając na swój wiek. Tak wiele dla niej chciałam, ale jedyne, co mogłam zrobić, to usunąć się w cień i patrzeć, jak próbuje znaleźć swoje miejsce w świecie, który mnie dał się poznać jako nie zawsze przyjazny. Dulcie miała jednak nas, Mitcha i mnie. A także Ninę i wszystkich innych swych przyjaciół. Wiedziałam, że będzie dobrze, i że będzie bardzo ciężko. Ale z nastolatkami zawsze jest ciężko.

- Morgan, gdzie teraz jesteś?

- Na późnym lunchu. Z Mitchem i z Dulcie.

- Byłaś na przesłuchaniu?

Kiwnęłam głową.

- Więc dostała tę rolę - zauważył, jakby widział moje kiwnięcie. - Jesteś cudowną matką. Piękną kobietą. A w tej chwili bardzo wystraszoną i poturbowaną.

Tak wiele chciałam mu powiedzieć, że nie byłam w stanie powiedzieć niczego. Tyle słów wzięło mi w gardle.

Marzyłam, by znaleźć się w jego ramionach, schować głowę na jego piersi i wszystko mu powiedzieć. Zamiast tego stałam na zewnątrz restauracji, patrzyłam przez szybę na moją córkę i na mojego byłego męża i słuchałam, jak zawsze, czyjegoś głosu.

Ten głos jednak należał do Noaha i brzmiał jak przyprawy korzenne i miód, wirował wokół mnie, przenikał do mojej głowy, dodawał mi odwagi, ponaglał.

- Dosyć się nagadałem - oświadczył. - Jak skończysz lunch, chcę, żebyś wzięła taksówkę i podała kierowcy mój adres. Musisz z kimś porozmawiać. Ja chcę słuchać. Jestem dobrym słuchaczem, Morgan. Prawda?

I roześmiał się - długim i powolnym śmiechem przypominającym grany na fortepianie riff jazzowy, który docierał z oddali i przyciągał mnie ku niemu.

Skinęłam głową.

Tym razem pewna, że mnie widzi.